



C. J. BOX

**TRZY TYGODNIE
NA POŻEGNANIE**

Zabójcy nienawidzą niewinnego, prawi o jego życie się troszczą. Niegodziwy człowiek jest wstrętny dla prawych; dla bezbożnych wstrętny — ktoś prawej drogi.

KSIĘGA PRZYSŁÓW 29,10; 27*

* Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Biblia Tysiąclecia, Pallottinum, Poznań 2003.

Denver

1

Był sobotni poranek, trzeci listopada, i kiedy wszedłem do biura, pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem, było migające światelko automatycznej sekretarki. Wczoraj wieczorem wyszedłem późno, a to oznaczało, że ktoś zadzwonił w nocy pod mój numer wewnętrzny. Dziwne.

Nazywam się Jack McGuane. Miałem wówczas trzydzieści cztery lata. Moja żona, Melissa, też. Zakładam, że moje nazwisko jest wam znane, a przynajmniej widzieliście mnie w telewizyjnych wiadomościach, choć na świecie tyle się dzieje, że za pierwszym razem mogliście nie zwrócić na mnie uwagi. Tyle jest różnych spraw, że przy tych wszystkich ważnych nasze są jak kropla wody w oceanie.

Pracowałem jako specjalista do spraw podróży w Miejskim Biurze Konwencji i Turystyki, agencji zajmującej się zdobywaniem i organizowaniem konwencji, a także reklamującej Denver turystom. Ma ją każde miasto. Pracuję ciężko, często zostaję po godzinach, a kiedy trzeba, przychodzę w soboty. Ciężka praca jest dla mnie ważna, chociaż biurokracja do niej nie zachęca... i nieczęsto ją wynagradza. Bo widzicie, nie jestem najbardziej cwany ani najlepiej wykształconym facetem na świecie. Ale trzymam w rękawie jednego asa: pracuję ciężiej niż wszyscy, chociaż nie muszę. Jestem przekleństwem biura wypełnionego biurokratami. Dla mnie to powód do dumy. To wszystko, co mam.

Nim zrobiłem cokolwiek, wcisnąłem przycisk poczty głosowej.

„Jack, tu Julie Perala. W agencji...”.

Gapilem się na głośnik. Słyszałem głos cichy, napięty, zupełnie niepasujący do pewnej siebie i współczującej Julie Perali z agencji adopcyjnej, z którą oboje z Melissą spędziliśmy wiele godzin, przechodząc długi i trudny proces adopcji Angeliny, naszej dziewięciomiesięcznej córeczki. Przede wszystkim pomyślałem, że jakimś cudem jesteśmy im winni więcej pieniędzy.

„Jack, to okropne musisz dzwonić do kogoś do pracy w piątek. Mam nadzieję, że odsłuchasz tę wiadomość i zaraz do mnie oddzwonisz. Musimy porozmawiać. Jak najszybciej. Przed niedzielą, jeśli to możliwe”.

Zostawiła numer agencji i numer swojej komórki. Zapisałem jeden i drugi.

„Jack, tak mi przykro” — powiedziała jeszcze, po czym zapadła cisza, zupełnie jakby Julie chciała powiedzieć coś więcej, ale z jakiegoś powodu nie mogła. Rozłączyła się.

Opadłem na krzesło. Jeszcze raz odsłuchałem wiadomość i sprawdziłem, kiedy została nagrana. W piątek, za piętnaście dziewiąta wieczorem.

Najpierw zadzwoniłem do agencji i wcale się nie zdziwiłem, kiedy od razu odezwała się automatyczna sekretarka. Potem wybrałem numer komórki Julie.

— Tak?

— Julie, tu Jack McGuane.

— Och!

— Powiedziałaś, żebym natychmiast zadzwonił. Udało ci się mnie przestraszyć. O co chodzi?

— Nie wiesz?

— A skąd mam wiedzieć? O co chodzi? W jej głosie pojawił się gniew. I panika.

— Martin Dearborn się z tobą nie skontaktował? Chyba jest twoim prawnikiem, tak? Nasi prawnicy mieli do niego zadzwonić. O Boże!

Serce biło mi szybko, słuchawka ślizgała się w rękę.

— Julie, nie wiem nic a nic. Dearborn nie dzwonił. Proszę cię, powiedz, co się stało.

— Boże, dlaczego spadło to na mnie!

— Co spadło?

Krótką, niemal nieuchwytną przerwą, a potem:

— Biologiczny ojciec chce odzyskać Angelinę.

Kazałem jej powtórzyć te słowa, na wypadek gdybym źle usłyszał. Powtórzyła.

— I co z tego? Adoptowaliśmy ją. Jest teraz naszą córką. Kogo obchodzi, czego on chce?

— Nie rozumiesz... to bardziej skomplikowane...

Wyobraziłem sobie Melissę i Angelinę siedzące w domu.

Leniwy sobotni poranek.

— Przecież to się musi dać załatwić. To nieporozumienie, nic więcej niż nieporozumienie. Wszystko będzie dobrze.

Mówiłem to, czując w ustach metaliczny posmak.

— Biologiczny ojciec nie zrzekł się praw rodzicielskich, Jack. Matka tak, ale ojciec nie. To straszna sytuacja. Twój prawnik powinien ci wszystko wyjaśnić. Ja nie chcę wchodzić w te sprawy. Nie mam odpowiednich kwalifikacji. Jak powiedziałam, sprawa jest skomplikowana...

— Nie wierzę własnym uszom.

— Tak mi przykro.

— Przecież to bez sensu — protestowałem. — Ona jest z nami od dziewięciu miesięcy. Jej matka nas wybrała!

— Wiem. Przecież tam byłem.

— Powiedz mi, jak załatwić tę sprawę. — Wyprostowałem się na krześle i oparłem łokcie na biurku. — Mam mu zapłacić czy co?

Julie milczała bardzo, bardzo długo.

— Jesteś tam? — spytałem.

— Jestem.

— Spotkajmy się u ciebie w agencji. Natychmiast — powiedziałem.

— Nie mogę.

— Nie możesz czy nie chcesz?

— Nie mogę. Nie powinnam nawet z tobą rozmawiać. Nie wolno mi było zadzwonić. Prawnicy i moi szefowie zabronili mi bezpośredniego kontaktu, ale czułam, że muszę...

— Dlaczego nie zadzwoniłaś do nas do domu?

— Przestraszyłam się. Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałam wymazać wiadomość, którą ci nagrałam.

— Jestem ci wdzięczny za wszystko, ale nie możesz teraz machnąć ręką i zniknąć. Muszę zrozumieć, co mówisz. Musimy zastanowić się razem, co zrobić, żeby ten chłopak się odczepił. Jesteś nam coś winna.

Usłyszałem dziwne urywane dźwięki. Najpierw pomyślałem, że połączenie się urwie, ale zaraz potem zrozumiałem, że nie, że Julie płacze.

— Jest taka restauracja, niedaleko — odezwała się wreszcie. — Nazywa się Sunrise Sunset. Przy South Wadsworth. Mogę spotkać się tam z tobą za godzinę.

— Pewnie się spóźnię — ostrzegłem ją. — Muszę pojechać do domu po Melissę. Powinna o wszystkim wiedzieć. I chyba weźmiemy z sobą Angelinę. Nie znajdziemy teraz opiekunki.

— Miałam nadzieję...

— Miałaś nadzieję na co? Że ich z sobą nie zabiorę?

— Tak. Przy niej będzie mi trudniej. Wolałabym, żebyśmy spotkali się we dwoje.

Rzuciłem słuchawkę. Oszolomiony i ogłupiały zapisałem adres restauracji.

* * *

Pojawienie się Lindy Van Gear wyczułem, nim zdążyła zajrzeć do mojego pokoju. Jej aura ją poprzedzała. A także bardzo silna woń perfum. Wydawało się, że pcha ją przed sobą.

Właśnie taką miałem szefową.

Była to tęga rzeczowa kobieta, siła natury. Melissa powiedziała o niej kiedyś: „karykatura dziwki”. Obcesowa, wymalowana, gładko przylizana. Jej sztywne włosy przypominały zachodzące na siebie łuski dinozaura. Nosila kostiumy wyglądające tak, jakby miały wypchane ramiona, ale to były jej ramiona. Usta malowała na czerwono, czerwono i jeszcze raz czerwono. Na przednich zębach też miała ślady szminki. Oblizywała je spiczastym językiem. Jak wielu ludzi pracujących w marketingu międzynarodowych usług turystycznych miała kiedyś nadzieję, że zostanie aktorką, a jeśli nie, to co najmniej jakąś sławą, choćby oceniającą amatorów w telewizyjnych konkursach piosenkarskich. Nie za bardzo lubiano ją w biurze i ca-

łym przemyśle turystycznym, ale mnie pracowało się z nią całkiem nieźle. Dodawała mi energii, bo niczego nie ukrywała. Jeśli chciała coś powiedzieć i zrobić, to mówiła i robiła.

— Cześć, kochanie — przywitała mnie, otwierając drzwi. — Widzę, że wpadłeś na trop?

Nawet go nie zauważyłem, ale okazało się, że owszem, wpadłem. Przede mną leżała gruba koperta wypełniona wizytówkami pachnącymi jej perfumami, dymem papierosowym i rozlanym winem.

— Oczywiście. Wszystkie materiały są tutaj.

— Jest tam kilka tak gorących, że kiedy ich dotkniesz, poparzą ci palce — wyrecytowała, udając entuzjazm. — Musimy o nich pogadać. Za pół godziny? — Przyjrzała mi się uważniej i zmrużyła oczy. — Dobrze się czujesz?

— Nie.

Nie miałem ochoty zagłębiać się w szczegóły, ale uznałem, że powinienem jednak wyjaśnić sytuację, choćby po to, by przełożyć rozmowę. Słuchała, przeszywając mnie wzrokiem. Uświadomiłem sobie, że kocha tego rodzaju sprawy, kocha dramat, a ja tego jej właśnie dostarczyłem.

— Jakiś chłopak chce opieki nad waszą dziewczynką? — upewniła się.

— Tak, ale zamierzam z nim walczyć.

— Mnie ominęła jakoś macierzyńska histeria — wyznała. — Tak naprawdę to chyba nigdy jej nie rozumiałam. — Pokręciła głową. Nie miała dzieci i nie ukrywała, że nigdy nie chciała ich mieć.

Skinąłem głową, jakbym ją rozumiał. Stąpaliśmy po cienkim lodzie.

— Słuchaj, wiesz, że w poniedziałek wylatuję z burmistrzem na Tajwan. Przedtem musimy pogadać. Jezu, przecież wywlekłam z łóżka zmordowaną różnicami czasu dupę tylko po to, żeby się z tobą spotkać. Mamy o czym rozmawiać.

— I porozmawiamy — zapewniłem ją. — Zadzwoń do ciebie, kiedy tylko skończę z Julie Peralą. Pozwól mi. O nic więcej nie proszę.

— Prosisz o wiele — prychnęła gniewnie.

— Zadzwoń — obiecałem. — Jeśli chcesz, przyjdę nawet do ciebie do domu.

— To zrób to — powiedziała, obróciła się na pięcie i odeszła. W pustym korytarzu stukot jej butów brzmiał tak, jakby szalony perkusista uderzał pałeczkami w krawędź bębna.

* * *

Otworzyłem drzwi. Melissa leżała na podłodze z Angeliną. Spojrzała na mnie i nim zdołałem się odezwać, spytała, czy stało się coś złego.

— Dzwoniła Julie Perala. Powiedziała, że są problemy z adopcją.

Melissa zbladła. Spojrzała na Angelinę, a potem znów na mnie.

— Powiedziała, że ojciec chce ją odzyskać. Melissa nie wytrzymała. Podniosła głos:

— Odzyskać?! Odzyskać?! Przecież on jej nawet nie widział!

Spotkaliśmy się trzynaście lat temu na Uniwersytecie Stanowym Montany, gdzie oboje studiowaliśmy. Była szczupłą szatynką o oczach zielonych jak jadeit, atrakcyjną, mądrą, dobrze zbudowaną, prak-

tyczną, pewną siebie, miała wydatne kości policzkowe i pełne, wyraziste usta, chętnie zdradzające, co myśli. Kipiła życiem. Przyciągnęła mnie w jednej chwili: czysta chemia, i to zwariowana. Wyczuwałem, kiedy wchodziła do pokoju pełnego ludzi, nim zdążyłem ją zobaczyć. Ale wtedy spotykała się z gwiazdą futbolu, z biegaczem. Byli piękną parą. Nienawidziłem faceta tylko za to, że była jego dziewczyną. Usychałem z tęsknoty. Myśl o niej nie dawała mi zasnąć. Kiedy rozeszło się, że zerwała z gwiazdą, powiedziałem do kumpla — miał na imię Cody — „Ożenię się z nią”.

— Pomarzyć dobra rzecz — westchnął Cody.

— Bardzo dobra.

— Wpadłeś, człowieku — stwierdził Cody i poradził, żebym zapomniał o Melissie, urznął się i przespał z jakąś dziewczyną. Nie skorzystałem z tej rady, tylko umówiłem się z nią, no i można powiedzieć, przechwyciłem podanie. Uznała mnie za porządnego i zabawnego gościa. Ku mojej wielkiej radości okazało się, że potrafię ją rozbawić. Jedyne, o czym marzyłem i o czym marzę po tych wszystkich latach, to ją uszczęśliwić.

Trzy lata po ślubie powiedziała mi, że chce mieć dziecko. Kolejny, normalny, logiczny krok we wspólnym życiu. Tak przynajmniej sądziliśmy.

Wyraz jej twarzy zasmucił mnie i jednocześnie rozżłościł. Miałem ochotę komuś przyłożyć.

Podszedłem do nich i podniosłem Angelinę. Zapiszczała z radości. O tym, jak bardzo potrafię się o kogoś troszczyć, dowiedziałem się dzięki niej dopiero wtedy, gdy wkroczyła w nasze życie. Była bardzo piękna, ciemnowłosa, anielska. Miała wielkie oczy, zawsze szeroko otwarte, jakby cały świat rozkosznie ją zaskakiwał. Kiedy się budziła, jej najeżone włoski sterczały w kępkach. W uśmiechu pokazywała cztery ząbki jak perełki, dwa na górze i dwa na dole. Śmiała się cudownie, jej śmiech zaczynał się z brzuszka i ogarniał całe ciało, był naprawdę zaraźliwy. My też zaczynaliśmy się śmiać tak serdecznie, że ona śmiała się jeszcze bardziej, aż robiła się wiotka. Śmiała się tak chętnie, że poszliśmy do pediatry dowiedzieć się, czy to nie problem. Popatrzył na nas i tylko pokręcił głową. Ostatnio nauczyła się mówić „mama” i „tata”. Patrzyła na mnie w taki sposób, że od razu chciałem chronić ją i bronić przed całym światem, jakbym był najwspanialszą i najsilniejszą istotą we wszechświecie. Ta mała dziewczynka, jak wcześniej Melissa, kazała mi inaczej patrzeć na moje miejsce na ziemi. W jej oczach byłem bogiem, który nie może zrobić nic złego, przynajmniej na razie. Widziała we mnie giganta. Nie chciałem jej rozczarować, a po tym, czego się dowiedziałem, chyba będę musiał.

* * *

Weszliśmy do restauracji. Najpierw pomyślałem, że pomyliłem adres albo nazwę, bo Julie Perali nie było ani przy stoliku, ani w żadnym z boksów. Trzymałem w ręku komórkę i już miałem do niej zadzwonić, kiedy dostrzegłem, że macha do nas z prywatnej sali, używanej na przyjęcia i spotkania. Schowałem telefon.

Julie miała szeroką twarz, szerokie biodra, łagodne oczy i uspokajający uśmiech profesjonalistki. Było w niej coś jednocześnie współczującego i pragmatycznego. Wiele miesięcy temu, kiedy ciągle jesz-

cze próbowaliśmy zorientować się, jakie mamy szanse, spotkaliśmy ją i od razu polubiliśmy. Doskonale wyczuwała sytuację, ale nie była cikliwa, poza tym wiedziała o wiele więcej o „przydziałach” niż ktokolwiek z innych agencji, które zdążyliśmy odwiedzić. Powiedziała nam, że nigdy w życiu nie czuje się tak szczęśliwa jak wtedy, gdy załatwi przydział zadowolający wszystkie trzy strony: biologiczną matkę, rodziców adopcyjnych i dziecko. Wydawała się godna zaufania, więc jej ufaliśmy. Zauważyłem także, że kiedy się odpręża, ma słabość do dwuznacznych żartów. Uznałem, że po kilku drinkach może być, i pewnie jest, całkiem fajna.

— Kawy? — spytała. — Jestem po śniadaniu.

— Nie, dziękuję — powiedziałem i zamilkłem.

Melissa tuliła Angelinę i patrzyła na Julie Peralę wzrokiem, którego wolałbym na sobie nie poczuć.

— Znam kierownika — wyjaśniła Julie, odpowiadając na pytanie, które miałem zamiar zadać. — Z góry wiedziałam, że dostanę tę salę. Zamknij drzwi, proszę.

Zamknąłem drzwi, jak prosiła, usiadłem i patrzyłem, jak nalewa sobie kawę z restauracyjnego termosu.

— Bardzo ryzykuję, spotykając się z wami — zaczęła, nie patrząc mi w oczy, koncentrując się na nalewaniu kawy. — Gdyby dowiedzieli się o tym w agencji, toby mnie zabili. Od tej chwili my wszyscy mamy porozumiewać się z wami wyłącznie przez prawników. To polecenie.

— Ale... — powiedziałem i umilkłem.

— Ale ja was bardzo lubię, ciebie i Melissę. Jesteście dobrymi ludźmi. Normalnymi. Wiem, że kochacie Angelinę. Czuję, że należy się wam ode mnie szczerą rozmową.

— Doceniam to.

Melissa nie spuszczała wzroku z Julie.

— Cóż, jeśli przyjdzie mi za to zapłacić, nie będę zachwycona, ale miałam nadzieję, że przynajmniej ten jeden raz uda nam się porozmawiać bez adwokatów.

— Porozmawiajmy — zgodziłem się.

Minęło kilka chwil, Julie nie od razu znalazła właściwe słowa.

— Nie potrafię wyrazić, jak źle się czuję w tej sytuacji. To się nie powinno zdarzyć takim miłym ludziom jak wy.

— W pełni się z tobą zgadzam.

— Nie powinniśmy zataić faktu, że przed trzema miesiącami skontaktował się z nami sędzia John Moreland. Mieliliśmy nadzieję, że sprawę uda się załatwić polubownie. Mieliliśmy nadzieję, że nie będziecie mieli żadnych kłopotów, że w ogóle o niczym się nie dowiecie.

— Kim jest sędzia Moreland? — spytałem. — Biologicznym ojcem?

— Nie, nie. Biologicznym ojcem jest jego syn Garrett. Kończy liceum Cherry Creek. Ma osiemnaście lat.

— Nie do wiary — jęknąłem.

Julie wzruszyła ramionami i rozłożyła ręce, jakby chciała mi pokazać, jak wyglądają od spodu jej dłonie.

— Zgadzam się z tobą. Ale gdyby udało się załatwić sprawę polubownie, tobyśmy tu teraz nie rozmawiali. Nie byłoby w ogóle żadnego problemu.

— Dziewięćdziesiąt dziewięć procent — przypomniałem jej. — Pamiętasz, jak spytałem, jaka jest szansa, że ojciec zrzeknie się praw rodzicielskich? Pamiętasz, że użyłaś dokładnie tych słów?

— Pamiętam. — Twarz Julie się zachmurzyła. — I to prawda. Mówiłam prawdę. W swojej karierze załatwiłam niemal tysiąc przydziałów, a to jest pierwszy taki przypadek. Nie wierzyliśmy, że to może się zdarzyć!

— Nie powiedziałaś, że staracie się odnaleźć biologicznego ojca? — spytała Melissa z goryczą. — Nie powiedziałaś, że zgodził się podpisać zrzeczenie?

Julie skinęła głową.

— Co się właściwie stało?

— Znaleźliśmy go w Holandii. Spędzał tam wakacje z matką. Zdaje się, że mieszkali u jej krewnych. Nie rozmawiałam z nim, to było zadanie mojej współpracownicy. Wyjaśniła mu sytuację. Powiedziała mi potem, że był zaskoczony. Zgodził się podpisać zrzeczenie się praw, dał nam numer faksu, pod którym można go złapać. Wysłaliśmy papiery.

— Których nie podpisał — powiedziałem.

— Zaniedbaliśmy sprawę. Dziewczyna nawiązała kontakt, owszem, ale zaraz potem odeszła z agencji. Gdyby ktokolwiek z nas choćby podejrzewał, że chłopak odmówi podpisania, natychmiast poinformowalibyśmy was o sytuacji. Ale wiedzieliśmy tyle, że nie chce być ojcem. Nie możemy go namawiać, rozumiecie? Nie możemy wywierać presji. To musi być jego decyzja.

Gniew budził się we mnie powoli, ale było go już tyle, że musiałem odwrócić wzrok od Julie.

— Prawnie jesteście chronieni ze wszystkich stron. — Julie spojrzała na nas przepraszająco. — Poszukiwaliśmy go, dając ogłoszenia, zrobiliśmy wszystko, czego się od nas wymaga. Brak podpisanych papierów nie jest niczym niezwykłym, bo sędziowie sądów rodzinnych zawsze, ale to zawsze w takich sprawach przyznają pełnię praw rodzicom adopcyjnym. Przecież nie sposób dać przydział nieobecnemu i nie-reagującemu na wezwania ojcu biologicznemu, prawda?

— Skontaktowaliście się z ojcem Garretta? — spytałem. — Dlatego włączył się w sprawę?

— Zwykle nie kontaktujemy się z rodzicami biologicznego ojca, bo można to zinterpretować jako wywieranie nacisku.

— Ale wiedzieliście, kim jest? Wiedzieliście o Johnie Morelandzie?

— Nie.

— Ciekawe, że matka o niczym nie wiedziała, skoro była z nim w Europie, kiedy znalazła go wasza agencja. Jak mogła nie wiedzieć?

Julie wzruszyła ramionami.

— Dla mnie to nie ma sensu, ale w tej sprawie wiele rzeczy nie ma sensu. Może wiedziała, ale nie chciała powiedzieć mężowi? Dlaczego... nie mam pojęcia.

— Więc ten sędzia Moreland pojawił się w sprawie, kiedy Garrett wszystko mu powiedział?

— O ile wiem, tak.

— I wtedy jego prawnicy skontaktowali się z agencją? Spuściła wzrok.

— Tak — przyznała. — List przyszedł niespełna dziesięć dni przed upływem terminu ogłoszenia. Gdyby poczekali jeszcze dwa tygodnie, sąd rodzinny przyznałby wam prawa rodzicielskie. Jeśli o to chodzi, mieliście pecha.

— Jasne — prychnąłem.

— Jeśli oboje z Melissą postanowicie przystać na żądania Morelanda, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by naprawić sytuację.

— To znaczy? — spytała Melissa.

Julie odetchnęła głęboko i zdołała spojrzeć jej w oczy.

— Uczestniczyłam w spotkaniu z dyrekcją i prawnikami. Wiem, że natychmiast zwrócimy wszystkie opłaty. Znajdziecie się na czele listy czekających na przydział. Nie poniesiecie w związku z nim żadnych kosztów. W ramach ugody otrzymacie znaczną sumę... wraz z przeprosinami. Pod warunkiem że sprawa nie trafi do sądu i do prasy. Z pewnością zgodzicie się ze mną, kiedy powiem, że ostatecznie, czego byśmy chcieli, to ograniczenie szans dziecka na szczęśliwy przydział do kochającej rodziny tylko dlatego, że dana rodzina przestraszyła się adopcji.

— To się nie dzieje naprawdę — powiedziała Melissa, bardziej do siebie niż do nas.

— Dlaczego wasi prawnicy nie skontaktowali się z naszym prawnikiem w sprawie tych spotkań? — spytałem. — Bo chyba tak to powinno wyglądać?

— Myślałam, że się skontaktowali — odparła Julie.

— Nic o tym nie wiemy. Wzruszyła ramionami.

— Nie jestem prawnikiem.

— Zdaje się, że o naszym facecie też można to powiedzieć — warknąłem.

— Nie rozumiesz — powiedziała Melissa. — Nie możemy przecież stracić dziecka.

Julie zaczęła coś mówić, ale zagryzła wargi i odwróciła wzrok.

— Przecież nie możemy stracić dziecka — powtórzyła Melissa, tylko że teraz to był prawie krzyk.

— Sędzia Moreland to potężny człowiek — odpowiedziała Julie bardzo cicho. — Mam wrażenie, że przywykł dostawać to, czego chce.

— Opowiedz mi o nim — poprosiłem. — Opowiedz mi, jaki jest człowiek, z którym mam walczyć.

— Bogaty. Z tego, co wiem, majątek wniosła żona, sędziom nie płaci się aż tak dużo. Ma mnóstwo nieruchomości. Wspominam o tym, bo mówiłeś coś o kupieniu Garretta. Ciężko mi to powiedzieć, ale chyba nie dacie rady. A tak w ogóle, to sędzia wydaje się bardzo miły. Jest przystojny, pewny siebie. Ta-

kich jak on lubi się od pierwszego wejrzenia. I ma się nadzieję, że on polubi ciebie, bo nie chce się sprawić mu przykrości. Rozumiesz?

— Wiesz, Julie, kiedy myślę o was wszystkich na tych spotkaniach, dyskutujących o naszych sprawach, zbiera mi się na mdłości.

Skinęła głową i znów spojrzała gdzieś w bok.

— Zastanawialiśmy się, jakie ma możliwości. Bardzo zależało mu na tym, żeby załatwić wszystko jak należy, nie skrzywdzić Melissy i ciebie.

— Jakie to miłe — mruknęła Melissa.

— Julie, powiedz mi, jak możesz teraz spojrzeć sobie w oczy?

Ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się. Nie mogłem nic poradzić na to, że poczułem się okropnie, bo przecież płakała przeze mnie. Ale nie cofnąłem tych słów. Poczekalem, aż weźmie ze stołu serwetkę, otrze oczy, rozsmarowując tusz na jednym policzku, tak że wyglądał jak stara blizna. Melissa wstała, tuląc Angelinę.

— Muszę jej zmienić pieluszkę — powiedziała. — Zaraz wrócimy.

Wyszła. Zostaliśmy ja i Julie. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, nie patrząc na siebie.

— Jest coś, w czym możesz nam pomóc — odezwałem się w końcu.

— Co takiego?

— Gdybyś była na naszym miejscu, Melissy i moim, czy walczyłabyś w sądzie? Czy wiedząc to, co wiesz, sądzisz, że mamy choćby cień szansy?

Pokręciła głową ze smutkiem i powiedziała:

— Najlepsze, co moim zdaniem możecie osiągnąć, to coś w rodzaju prawa do odwiedzin, w zakresie zależnym od woli sędziego. Ale nie wydaje mi się, by to kogokolwiek satysfakcjonowało. Na waszym miejscu modliłabym się do Boga, żeby dziecko wychowywali John i Kellie. Żeby trzymali tego Garretta tak daleko od Angeliny, jak to tylko możliwe.

Dostałem gęziej skórki.

— Dlaczego tak mówisz? Znów pokręciła głową.

— Z tym chłopcem coś jest nie tak. Przeraza mnie. Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale wiem, że z nim coś jest zdecydowanie nie tak.

— O Boże — westchnąłem.

Julie zacisnęła usta i spuściła wzrok. Przyglądała się swoim dłoniom.

— Kiedy wchodzi, to jest tak, jakby temperatura w pokoju spadała o dziesięć stopni. Zero ciepła. Wydaje się, że to zimny cwaniak. Nie powierzyłabym mu dziecka, w ogóle nie powierzyłabym mu opieki nad nikim.

Zdrętwiałem. Pochyliłem się w jej stronę.

— Rozumiem, co chcesz mi powiedzieć, ale czy masz coś, czego mógłbym użyć? Może słyszałaś o nim coś takiego, co moglibyśmy sprawdzić i dzięki temu udowodnić, że będzie złym ojcem?

Julie siedziała nieruchomo, obiema dłońmi gładząc kubek z kawą. Myślała, myślała i wreszcie powiedziała:

— Zdaje się, że miał jakieś kłopoty w szkole. Podczas jednego ze spotkań zadzwoniono ze szkoły Garretta i John musiał wyjść. Nie wiem, kto dzwonił ani o co chodziło, ale sędzia bardzo się zdenerwował.

— I to się zdarzyło w ciągu ostatniego miesiąca? — spytałem, próbując nie okazać, jak rozgniewały mnie te rozmowy agencji z Morelandami, prowadzone za naszymi plecami.

— Tak.

— Coś jeszcze?

— Owszem, jest jeszcze coś, ale też raczej nieokreślone. Przeglądaliśmy z nimi wasze podanie i przydział... — Aż syknąłem z gniewu, ale mówiła dalej: — Sędzia zauważył, że macie psa...

— Harry'ego.

— Powiedział, że nie mogą mieć psa, bo Garrettowi nie układa się z domowymi zwierzętami. Pomyślałam wtedy, że to raczej dziwny dobór słów. Nie: „ma alergię na zwierzęta”, nie: „nie potrafi się nimi opiekować”, ale że „mu się nie układa”. I najpierw to powiedział, a potem było widać, że żałuje.

— Nic więcej?

— Nic. Też uważam, że brzmi to bardzo niekonkretnie.

— Dziękuję. Przynajmniej mam od czego zacząć. Ale też mnie od tego mdli.

— No tak. — Julie podniosła głowę i spojrzała mi w oczy. — Moim zdaniem jedyne wyjście to przekonać jakoś Garretta, żeby zrzekł się praw rodzicielskich.

— Też tak uważam. Ale na razie nie robimy postępów.

Wyprostowała się i odetchnęła głęboko. Wspomniała coś o tym, że nie lubi płakać przy ludziach.

— Bo może trzeba lepiej dobrać środki perswazji. — W jej głosie pojawiła się nuta gniewu.

— To znaczy?

— To znaczy... — Pochyliła się nad stołem. Jej oczy płonęły. — To znaczy, że gdyby Angelina była moją córką, wynajęłabym paru nabitych motocyklistów... albo kowbojów... żeby go postraszyli, ale tak porządnie. Żeby był gotów radośnie podpisać, co tylko się przed nim położy. Potrzebuje specjalnego rodzaju zachęty. Takiej, dzięki której uwierzy, że determinacja ojca to najmniejszy z jego problemów.

Wyprostowałem się. Nie tego się spodziewałem, ale ona wyraźnie przemyślała i takie rozwiązanie.

— Rzecz jasna, mówię hipotetycznie — zastrzegła szybko. — I prywatnie, a nie jako reprezentantka agencji lub osoba zajmująca się zawodowo przydzielaniem dzieci.

— Oczywiście, oczywiście — przytaknąłem i spytałem: — Dałoby się go przstraszyć?

Zastanawiała się tylko chwilę.

— Chyba tak.

* * *

— Przyjęłaś to znacznie spokojniej, niż przypuszczałem. Zaskoczyłaś mnie — powiedziałem do Melissy, kiedy wracaliśmy do domu.

— Wcale nie jestem spokojna. Tylko martwa gdzieś tam, w środku. Ale to, co się stało, tłumaczy, skąd na naszej sekretarce nagranie od sędziego Morelanda. Zapowiedział się na jutro po południu.

— Jezu! — jęknąłem.

— Co powinniśmy zrobić?

— Zamierzam spotkać się z Martinem Dearbornem. Jadę do niego do domu. Nie dzwoń do sędziego. W ogóle wyłącz telefon. Będę dzwonił do ciebie na komórkę, więc miej ją cały czas przy sobie. Jeśli sędzia nie dowie się, że odebraliśmy wiadomość, może odłoży odwiedziny, więc nie odpowiadamy.

Roześmiała się bardzo dla niej nietypowym śmiechem mrozącym krew w żyłach. Nigdy go nie słyszałem i nie marzę, by znów usłyszeć. Był to śmiech fałszywy, pobrzmiwający przerażeniem i poczuciem klęski.

— Wiesz, co mówią? Że tuż przed śmiercią człowiek widzi całe swoje życie.

— Tak, wiem.

— Więc ze mną jest teraz właśnie tak.

* * *

Martin Dearborn, prawnik prowadzący sprawę adopcji, ubrany w złoto-czarną bluzę Colorado Buffaloes, kiedy podjechałem do niego moim dziesięcioletnim jeepem cherokee, ładował poduszki pod tyłki i koce do stojącego na podjeździe mercedesa SUV klasy M. Na ścianie w jego gabinecie wisiał dyplom z wyróżnieniem Uniwersytetu Columbia, numer rejestracyjny też miał uniwersytecką obwódkę. Martin był tęgi, siwowłosy, nosił grube okulary, przez co jego jasnobrązowe oczy wydawały się większe, niż były w rzeczywistości. Głowę miał wielką, basowy głos i łapy jak bochny chleba. Spojrzał na hamujący z piskiem opon samochód, mrużąc oczy. Nie rozpoznał go i nie rozpoznał mnie. Nie od razu.

Wyskoczyłem zza kierownicy. Widziałem, jak przez jego twarz przebiega skurcz. Powiedziało mi to tyle, że wie, dlaczego tu jestem, ale nie chce się do tego przyznać.

Jego żona, przesadnie szczupła, o ściągniętej twarzy, jak on wystrojona w barwy Buffów, wyszła z garażu, zobaczyła mnie i spytała: „A to kto?”. Martin gestem wygonił ją do domu. Podchodząc do mnie, bardzo się starał zachować kamienną twarz i obojętne spojrzenie, ale wielkiego sukcesu nie odniósł. Chuda żona demonstracyjnie spojrzała na zegarek, więc powiedział do niej: „Wiem, wiem, ale nie martw się. Zdażymy na początek meczu”.

— Mecz mnie nie obchodzi — oznajmiła. — Obchodzi mnie spotkanie przed meczem.

— Bez obaw, zdażymy — uspokoił ją mąż.

Odwróciła się i weszła do garażu.

— Jack, to może poczekać do poniedziałku. Oboje z żoną jesteśmy zaproszeni...

— Ty sukinsynu, jak długo zamierzałeś czekać, nim powiesz nam o...

— Do poniedziałku. W poniedziałek jadę do biura. Kiedy jestem w biurze, pracuję. Tak to się u nas załatwia.

— Poniedziałek to za późno, o czym sam doskonale wiesz.

— Słuchaj — powiedział, ścisząc głos do oficjalnego, prawniczego, takiego, którego używał, kiedy chciał zaimponować mnie i Melissie. — Byłem w Springs. Wielka sprawa cywilna. Nie mogłem do nich zadzwonić, bo siedzieliśmy w sądzie.

Podszedłem do niego wystarczająco blisko, żeby nieco się odsunął.

— Nie robią przerw? Nie masz aplikantów, mogących cię zastąpić w takich przypadkach?

Nie odpowiedział, tylko odwrócił głowę.

— Cholera, wyglądasz na winnego. Musisz nas z tego wyciągnąć, i to teraz, zaraz. Natychmiast. Jutro ten facet i jego syn przyjdą do nas do domu.

— Radzę wam, żebyście zachowywali się w sposób cywilizowany — powiedział i jego głos nie był już cichy i spokojny. — Obawiam się, że prawo jest po jego stronie.

Złapałem go za podkoszulek Columbii i zaraz puściłem. Nie potrafiłem się opanować. Słyszałem, jak pani Dearborn, ukryta bezpiecznie w garażu, pyta:

— Kochanie, mam zadzwonić na policję?

— Nie. Wszystko w porządku.

— No i wygląda na to, że wiesz wszystko — powiedziałem. — W takim razie radzę ci, żebyś udał, że jesteś prawnikiem. Naszym prawnikiem. Musimy iść do sądu teraz, natychmiast. Zacząć działać. Nie istnieje zakaz sądowy? Coś w tym rodzaju? Nie możemy jakoś temu zapobiec?

— Będę musiał sprawdzić — powiedział Dearborn niewyraźnie.

— Nie mamy czasu.

Spojrzał na mnie, krew napłynęła mu do twarzy.

— Jack, to urzędujący sędzia federalny. Mianował go prezydent, a zatwierdził senat. Myślisz, że ten człowiek nie zna prawa? Cholera, on je tworzy!

— A więc to tak?

— Nasza firma występuje przed nim w przyszłym tygodniu. Kilka spraw, wielkich spraw. Wielomilionowych spraw o znaczeniu narodowym. Znalazłem się w naprawdę trudnej sytuacji.

Pokręciłem głową. Miałem ochotę dać mu w pysk. Jego żona kryła się w garażu, ale dostrzegłem, że trzyma w ręku słuchawkę. Była gotowa zadzwonić na policję. Pokazała ją palcem drugiej ręki i samym ruchem warg spytała: „...dziewięć... dziewięć... jeden?”.

— Czy on wie, że jestem twoim doradcą? — spytał Dearborn.

— Nie. Do tej pory nie ruszyłeś dupy, więc skąd miałby wiedzieć?

— Musisz się uspokoić, Jack. I obawiam się, że musisz też zatrudnić nowego adwokata. Nie jestem dla ciebie właściwym człowiekiem, nie w tej sprawie. Bo wiesz — mówił dalej Dearborn — on jest wiel-

kim przyjacielem burmistrza i gubernatora. Do diabła, jego nazwisko wymienia się przy okazji Dziesiątego Okręgowego! I wyżej.

— Co właściwie chcesz mi powiedzieć?

— Że on nie tylko zna prawo, ale też wie, jak się prawem posługiwać. Dyryguje na boisku. Nie uprzedziłeś mnie, że masz zamiar wystąpić przeciw sędziemu Morelandowi.

— Bo sam nic o tym nie wiedziałem.

— Moim zdaniem powinieneś się uspokoić i spojrzeć na sprawę z jego punktu widzenia.

— A moim zdaniem tracisz robotę. To koniec — powiedziałem, chociaż przedtem sam zrezygnowałem.

— I dobrze.

— Dziewięć, dziewięć, jeden — powiedziała jego żona, ściskając telefon jak totem.

* * *

Pojechałem do domu Lindy Van Gear tak wściekły, że przed oczami miałem mgłę. Zobaczyłem ją ubraną w dres, z rozpuszczonymi włosami, biegającą między akwarium w dużym pokoju a toaletą, wynoszącą po jednej śniętę rybki. Jej dom był w rozpaczliwym stanie.

— Tak to jest, kiedy zarabia się na życie podrózkami, a sąsiad, który miał karmić rybki, zapomina o nich i wyjeżdża na narty, bo „takiego śniegu nie wolno przegapić, skarbie” — mówiła gniewnie. — Człowiek wraca do domu pełnego trupów.

Powiedziałem jej, że moja sytuacja bardzo się pogorszyła od naszego ostatniego spotkania i że w związku z tym nie będę mógł pojechać na Targi Turystyki Światowej do Berlina, mające odbyć się za tydzień. To ją skutecznie unieruchomiło. Stała, trzymając w ręku małą siatkę z martwym, ociekającym wodą skalarem.

— Więc chcesz, żeby kto inny tam pojechał? — spytała w końcu.

— Tak.

— I kogo proponujesz?

Nasz wydział składał się z niej i ze mnie. Zasugerowałem Ritę Greene-Bellardo, nową pracownicę zatrudnioną do prowadzenia sekretariatu, niecierpiącą raczej na nadmiar pracy.

— Jest w ciąży — oznajmiła Linda. — Właśnie się dowiedziałam. Ma zamiar urodzić dziecko, wykorzystać urlop macierzyński i rzucić robotę. Słyszałam, jak mówiła przyjaciółce, że od początku tak to sobie zaplanowała. Nie możemy na niej polegać.

Rzuciłem nazwisko Pete'a Maxfielda, szefa wydziału kontaktów z mediami. Czasami pracował z dziennikarzami z różnych krajów, więc miał doświadczenie, którego mógłby użyć na targach. Ale Lindzie mój pomysł się nie spodobał.

— Kochanie, Pete to pies myśliwski. Przez cały czas będzie pił niemieckie piwo i próbował zaciągnąć do łóżka jakąś biedną, ślepą, głuchą i głupią Niemkę. Rozkurzy fundusz reprezentacyjny na prosty-

tutki. A tymczasem to dla nas największa, najważniejsza impreza. Nie wysyłamy tam kogoś po to, żeby kogoś tam wysłać. Wiesz, że poza tobą liczę się tylko ja.

Wiedziałem o tym, ale wołałem to przemilczeć.

— Lecę na Tajwan. Nie mogę być w dwóch miejscach naraz — dodała.

Wiedziałem, do czego to prowadzi.

— Musisz być na tym wielkim spotkaniu z Malcolmem Harrisem.

Malcolm Harris był wzorcowym angielskim agentem, właścicielem AmeriCan, od słów „Ameryka” i „Kanada”, biura podróży wysyłającego tysiące Anglików do Ameryki Północnej na wycieczki przygotowane według ich indywidualnych zamówień. To on przysyłał najczęściej turystów do Denver i dalej, na obszar całych Stanów Zachodnich, uważaliśmy go więc za wyjątkowo poważnego klienta. Obowiązywała żelazna zasada: będzie traktowany jak sam Pan Bóg, choć ma reputację kłótliwego, marudnego i bardzo zadowolonego z siebie, bo, jak twierdzi i w co głęboko wierzy, nie spotkał jeszcze Amerykanina, który wiedziałby o Ameryce więcej od niego. Oczekiwał, że będzie się nad nim piał z zachwytu, karmiło frykasami i poilo winem, no i te oczekiwania natychmiast spełniano. Każde jego żądanie stawało się automatycznie najważniejszym dla nas oraz dla rozsianych w terenie biur promocji. Pracując jeszcze na rynku europejskim, Linda stała się sławna, a raczej niesławna, bo przyklejała się do niego, wsłuchiwała w każde jego słowo, chichotała z anegdotek i w ogóle wpatrywała się w niego, jak to zgrabnie ujął jeden z jej krytyków, „oczami Nancy Reagan”.

— Jak wiesz — ciągnęła Linda — facet myśli o otwarciu biura rezerwacji i centrum informacji telefonicznej do obsługi wycieczek, a to oznacza setki miejsc pracy. Przygląda się trzem miastom: Nowemu Jorkowi, Los Angeles i Denver. Zajmujemy pierwsze miejsce na liście ze względu na lokalizację. Jeśli skłonimy go, żeby zainwestował właśnie tutaj, burmistrz nas pokocha, bo będzie mógł oznajmić, że z turystyki ma się nie tylko turystów, lecz także wzrost zatrudnienia. Jestem pewna, że Harris spotka się z przedstawicielami konkurencji. Jeśli nie pojedziesz do Berlina i nie przekonasz go do jedynej właściwej decyzji, możemy wszystko stracić.

Zapadła krępująca cisza. Przerwałem ją pytaniem.

— Więc burmistrz wie o wszystkim, tak?

— Dostał ode mnie pełny raport. Miesiąc temu. Jego szef sztabu przysłał mi e-maila w zeszłym tygodniu. Pytał, czy zawarliśmy już umowę z AmeriCanem.

Więcej jej nie przerywałem.

— Kotku — zakończyła przemowę — wiesz, że przy planowaniu budżetu za każdym, ale to każdym razem szuka się cięć i ktoś zawsze proponuje ograniczenie budżetu promocji turystyki. Nam najłatwiej zabrać, bo ludzie sądzą, że mamy taką wspaniałą robotę i nic tylko latamy sobie po całym świecie. Najłatwiej odbiera się luksusy, nie? Tab Jones nas nie kocha, ale widzi w nas sposób na obejrzenie kawałka świata, więc jeszcze nie uniósł topora, ale rok po roku wychodzę na ring i walczę. Przedstawiam im fakty i liczby, a tym razem, kiedy już kładli nam głowę na pień, powiedziałam, że AmeriCan może nam

rozkrećć biznes. Tab i burmistrz strasznie się podniecili, bo turyści są jak duchy, ale budynek i biurka wi-
dać. Jest za co przypisać sobie zasługę. Rozumiesz, co mówię?

— Rozumiem, oczywiście.

— Jeśli nie pojedziesz do Berlina, kotku, oboje możemy pożegnać się z wydziałem. I z pracą. A ja
bardzo jej potrzebuję.

— Ja też.

Nie żartowałem. Od kiedy Melissa poświęciła się opiece nad córką na pełny etat, kredyt hipoteczny
spłacałem z bieżących dochodów. To był jeden z tych złych kredytów i biorąc go, popełniliśmy największy
błąd w życiu. O miękkim lądowaniu nawet nie warto wspominać. Gdybym stracił pracę... Jezu, nie chcę
nawet myśleć, gdzie byśmy się znaleźli. Zwłaszcza w sytuacji, kiedy pewnie będziemy musieli tłumaczyć
przed sądem, jakimi to wspaniałymi bylibyśmy rodzicami. Moja praca była w tej chwili wszystkim.

Linda cofnęła się o krok i bardzo uważnie mi się przyjrzała.

— Więc doskonale mnie rozumiesz, prawda?

— Oczywiście. Polecę do Niemiec i spotkam się z Malcolmem Harrisem.

— Dobry chłopczyk, Jack. Wiedziałam, że zmienisz zdanie. No dobrze, a teraz zajmijmy się waż-
niakami.

Zgarnąłem robotę i zapakowałem ją do teczki. Lindę interesowało coś jeszcze.

— Nie ma innych dzieci czy co? — spytała.

— Są, ale nie dla nas. To nie jest jak wymiana samochodu na nowy model!

I pomyślałem: Jak można tego nie zrozumieć? Machnęła lekceważąco ręką.

— Jasne, jasne. W każdym razie życzę wam szczęścia w tej sprawie z dzieckiem.

* * *

Ta sprawa z dzieckiem.

Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby Melissa zaszła w ciążę. Studiowała literaturę medycy-
ną, rzuciła się na wyniki badań nad płodnością, poświęcając im wszystko, ze skupieniem, do którego chyba
tylko ona była zdolna. Szperała w bibliotekach i w Internecie i wkrótce wiedziała tyle, co każdy lekarz, a
nawet więcej niż większość z nich. Seks stał się moją drugą pracą. Melissa naklejała różowe serduszka na
kalendarzu, oznaczając w ten sposób dni, kiedy się kochaliśmy. Tych serduszek było mnóstwo. Przez trzy
tygodnie kochaliśmy się każdego ranka i co drugi wieczór. Wynik godny podziwu. Raz zdołaliśmy spotkać
się na lunch w śródmieściu. Melissa przyszła z gołymi nogami. Przy kanapkach zabawiała mnie, opowia-
dając o tym, że nie włożyła bielizny i że wynajęła pokój na godziny w sąsiednim hotelu. Z trudem coś
przełknąłem. Byłem zarówno podniecony, jak i zaniepokojony, tłumaczyłem jej nawet, choć przyznaję, że
bez przekonania, iż mam taką pracę, jaką mam, ktoś mnie może rozpoznać i uznać, że schadzka wcale nie
jest tym, czym jest w rzeczywistości. Roześmiała się tylko, zupełnie lekceważąc tę uwagę, wyprowadziła
mnie na ulicę, trzymając za rękę, i zaczęła rozbierać się już w windzie. Pomacała mnie przez spodnie,
sprawdzając, czy jestem twardy.

— Rozumiem, że w to wchodzisz? — zapytała.

Nie było moim zwyczajem nie wchodzić. Nie w to. Byłem — i jestem — śmiertelnie zakochany w mojej żonie. Jest moim ideałem. To, że w głębi duszy może być przekonana, iż już na mnie nie działa, i to właśnie dlatego, że nie może zająć w ciążę, było zaskakujące... i rozpaczliwe. Powtarzałem jej raz za razem, że doprowadza mnie do szaleństwa. A ona pytała: „To dlaczego nie możemy mieć dziecka, Jack?”.

* * *

Doktor nazywał się Kimmel. Był szczupły, lecz atletycznie zbudowany, i bardzo, bardzo schludny. Zebrał wszystkie badania, a gdy przyszliśmy do jego kliniki i usiedliśmy w gabinecie, przedstawił nam ich wyniki i potwierdził wniosek, do jakiego Melissa doszła wcześniej: wina leży po mojej stronie.

— Pozwólcie, że ujmę to w ten sposób — powiedział, odwracając się nieco w moją stronę. — Wyobraź sobie, jeśli potrafisz, że jesteś strzelcem. Dostałeś broń maszynową. Ale strzelasz kiepsko. Bardzo kiepsko. Jesteś najgorszym strzelcem w marines.

Przerwał, dając mi trochę czasu na przemyślenie sytuacji.

— Więc strzelam ślepakami — dokończyłem za niego. — Pańskie zachowanie wobec pacjenta przynosi panu zaszczyt, doktorze.

Kimmel skinął głową najpierw mnie, potem Melissie. Bardziej poczułem, niż zobaczyłem, że jej wzrok prześlizguje się po moim policzku.

— Z każdej sytuacji można oczywiście znaleźć wyjście. W naszych czasach męska bezpłodność praktycznie nie istnieje. Jesteśmy w stanie wyizolować pojedynczy plemnik. — Opowiedział o procedurach, lekarstwach, zapłodnieniu in vitro.

Byliśmy pełni nadziei. W ciągu kilku lat wypróbowaliśmy wszystkie dostępne sposoby, jeden po drugim. Melissa trzykrotnie poroniła. W naszym małżeństwie pojawiło się napięcie, a nasza bliskość rodziła wyłącznie frustrację. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie przy posiłkach ciągnących się długo, w milczeniu. Godzinami przebywaliśmy pod tym samym dachem, nie odzywając się do siebie ani słowem. Ona w duszy winiła za wszystko mnie, ja w duszy winiłem za wszystko ją. Uczucia stawały się coraz bardziej wyraziste i powoli wypływały na powierzchnię. Czasami przyłapywałem ją na tym, że przygląda mi się, jakby oceniała moją męskość i charakter. Na te jej spojrzenia reagowałem sarkastycznymi, okrutnymi uwagami, których żałowałem, gdy tylko uświadamiałem sobie, co mówię. Raz ośmieliłem się powiedzieć, że gdybyśmy nie próbowali aż z takim zacięciem, gdybyśmy nie uczynili z dziecka naszej dziejowej misji, może moglibyśmy znów być szczęśliwi. Nie odzywała się do mnie przez kilka tygodni. Myślałem, że mnie rzuci.

Aż wreszcie podjęła decyzję. Powiedziała: „Adoptujemy”.

Właściwie nawet o tym nie rozmawialiśmy. Ufałem jej ocenie sytuacji, a adopcja jest przecież dobrą rzeczą. Poza tym odzyskałem żonę, chmury, gromadzące się nad nami przez lata, rozeszły się, znów zaświeciło słońce.

Julie Perala z agencji wyjaśniła nam, że istnieją trzy rodzaje adopcji: międzynarodowa, zamknięta i otwarta. Wybraliśmy otwartą. Ale otwarcie miało poziomy otwartości: od spotkania z biologiczną matką, co preferowaliśmy, do zgody na odwiedziny biologicznej matki i jej rodziny.

Matką okazała się piętnastolatka imieniem Brittany, blada, piegowata, tęgawa nawet przed zajściem w ciążę. Co drugie słowo mówiła: „bo wiecie”. „Bo wiecie, przybieram na wadze”. „Bo wiecie, te poranne mdłości są okropne”. Wśród wielu powodów, jakie podała w agencji, mających przemawiać za nami, były i te, że jesteśmy młodzi, bezdzietni, wydajemy się „spokojni” i „lubimy świeże powietrze”. Bywało, że przymykaliśmy oczy na jej arogancję. Wiedziała, że ma coś, czego Melissa pragnie. Brittany była płodna, Melissa nie, więc manifestowała poczucie wyższości. Raz, kiedy żona wyszła z pokoju, nachyliłem się do niej i szepnąłem: „To nie ona. To ja”.

Chociaż, szczerze mówiąc, przyczyny bezpłodności nie zostały do końca wyjaśnione i prawdopodobnie oboje byliśmy winni. Jakoś.

Warunki adopcji to coś, na co jesteśmy w tej chwili bardzo uwrażliwieni, szczególnie Melissa. Często mówi się to, czego nie powinno się mówić, i słowa, choć wypowiedziane w najlepszej intencji, ranią. Na przykład Brittany jest biologiczną matką, a nie „prawdziwą” czy „naturalną”. Melissa jest matką Angeliny, i koniec. Brittany nie „oddała dziecka do adopcji”, ale „przekazała je adopcyjnym rodzicom”.

Naturalny instynkt człowieka nakazuje mu się wtrącać. Rozumiem to i staram się spokojnie przyjmować pytania typu: „Po kim ona ma te ciemne oczy?” (ja mam niebieskie, Melissa zielone) albo „Włosy ma takie gęste i czarne!”, podczas gdy ja jestem rudawym szatynem, a Melissa jasną szatynką. Nauczyliśmy się odpowiadać wymijająco: „Cecha rodzinna”. Nie kłamaliśmy przecież, ale nie bawiliśmy się w wyjaśnienia, o czyją rodzinę chodzi.

Patrząc wstecz, widzę teraz, że mogliśmy zadać więcej pytań o biologicznego ojca. Ale agencja i rozmowy Melissy z Brittany upewniły nas, że chłopiec został wyeliminowany z gry. Brittany nie wymieniała nawet jego imienia. Nazywała go „Spermowy”, twierdziła, że nie chce odbierać jej telefonów. Ani słowem nie wspomniała o tym, że wyjechał z kraju, dlatego uwierzyliśmy, że nie ma pojęcia, gdzie jest. Powiedziała Melissie, że „Spermowy” nic dla niej nie znaczy. Była pijana, wylądowała na tylnym siedzeniu jego fajnego samochodu, no i jakoś poszło.

Angelina miała sześć, potem siedem i osiem miesięcy. Była zdrowa, wesoła, kochana. Zaczynała mówić „mama” i „tata”. Kochała Harry'ego, naszego starego czarnego labradora, ostatnią pamiątkę z moich kawalerskich czasów, a Harry zaczął sypiać pod dziecinnym łóżeczkiem, żeby jej bronić. Świat był kompletny, doskonały.

A potem przestał być kompletny i doskonały.

Czysta, niczym nieskażona rutyna ma spore zalety, a może nawet być nieskazitelnie piękna. Gdyby nie to, nie wiem, jak przeżylibyśmy ten wieczór, kiedy wreszcie wróciłem do domu.

Jestem pewien, że coś zjedliśmy.

Być może oglądaliśmy telewizję.

Pamiętam, że bez zwykłego entuzjazmu, ale jednak, bawiłem się z Angeliną na podłodze. Uwielbiała stodołę Fisher-Price'a. Dostała prawie wszystkie zwierzęta, a także farmera i jego żonę. Mnie pozostała krowa i tylko krowa. Menażeria Angeliny spędzała cały swój czas, każąc krowie robić różne rzeczy. Krowa spędziła cały swój (mój?) czas na próbach rozbawienia Angeliny. Ale serca w to nie wkładałem.

Pamiętam także gwałtowną, lecz chaotyczną dyskusję z Melissą. Jej hasłem było „Nigdy jej nam nie odbiorą”. W połowie tej dyskusji Melissa poszła do telefonu w kuchni, żeby sprawdzić, czy są jakieś nowe informacje. Widziałem, jak jej oczy rozszerzają się, a usta zaciskają. Włączyła głośnik automatycznej sekretarki.

Przemówił męski, dojrzały, pełen współczucia głos.

„Jack, Melisso, trudno mi było do was zadzwonić. Mówi sędzia John Moreland. Oczywiście wiem, że wiecie, dlaczego dzwonię. Uwierzcie, proszę, że nie jest mi łatwiej niż wam. Nikt nigdy nie spodziewa się, że mógłby się znaleźć w takiej sytuacji, i za to bardzo was przepraszam. Mam tylko nadzieję, że potraficie zrozumieć sytuację, w jakiej znalazła się moja rodzina. Angelina jest naszą pierwszą wnuczką, córką mojego syna. Zakładam, że odsłuchujecie wiadomości, chociaż nie odbieracie telefonów. Przyjdziemy do was jutro o jedenastej przed południem. Nie obawiajcie się, chcemy tylko spotkać się z wami, porozmawiać. Nie ma powodów do paniki i gwałtownych reakcji. Zachowujmy się jak ludzie dorośli w bardzo trudnej, bardzo nieprzyjemnej sytuacji, powstałej bez ich udziału”.

Wymieniliśmy spojrzenia. Widziałem, jak z twarzy Melissy znika napięcie, jak rozluźnia się cała jej sylwetka.

Ale sędzia miał do powiedzenia coś jeszcze.

„Szeryf hrabstwa wie o mojej wizycie. Przykro mi, że musiałem się z nim skontaktować, ale uznałem, że dla wszystkich, przede wszystkim dla dziecka, lepiej będzie, jeśli do spotkania dojdzie pod okiem władz. Nie obawiajcie się, nie będzie świadkiem rozmowy, ale pozostanie w pobliżu, gdyby sytuacja wymknęła się spod kontroli. Oczywiście tego się nie spodziewam. Podziwiam i szanuję was oboje. Sądzę też, że nasz problem można rozwiązać racjonalnie i że pożądane wyjście jest w zasięgu ręki. Mam nadzieję, że odsłuchaliście tę wiadomość i powitacie nas na progu.

Niech was Bóg błogosławi. Do zobaczenia jutro”.

Pik.

Tej nocy nie mogliśmy zasnąć. W pewnej chwili wyślizgnąłem się z łóżka i cicho podszedłem do szafy. Na najwyższej półce, wśród nieporządnie rzuconych starych ubrań, leżał antyczny colt mojego dziadka, czterdziestkapiątka peacemaker z ręcznie napinanym kurkiem. Broń, która zdobyła Dzikie Zachód.

Bardzo chciałbym wspomnieć w tym momencie, że ofiarował mi go podczas jakiejś międzypokoleniowej ceremonii pełnej symbolizmu i wielkich znaczeń, prawda jednak wyglądała inaczej: ukradłem go, kiedy pomagałem ojcu przenosić starego z jego domu w White Sulfur Springs do domu opieki w Billings. Nie zorientował się, co stracił, więc nie żałował straty, przynajmniej w tamtej chwili. Pielęgniarki mówiły, że w miarę jak pograżał się coraz głębiej w otchłani demencji, coraz częściej krzyczał, że chce broń, ale personel nie miał zamiaru jej dla niego szukać.

Colt był masywny, ciężki, z sześciocalową lufą. W magazynku tkwiło pięć antycznych nabojów. Iglica mierzyła w pusztą komorę, by nie doszło do wypadku. Rękojeść zrobiona była z jesionowego drewna, gładko wypolerowana od częstego używania. Magazynek uniknął oksydacji dzięki temu, że rewolwer wyciągany był ze skórzanej kabury i chowany do niej setki razy.

— Co robisz? — spytała Melissa.

— Nic.

2

W niedzielę Melissa sprawiała wrażenie równie pięknej, jak przerażonej. Na jej nosie i policzkach pojawił się cień piegów, które zawsze wydawały mi się bardzo dziewczęce i bardzo pociągające. Długie do ramion włosy starannie ułożyła. Przez kilka godzin zastanawiała się, co włożyć, próbowała tego, tamtego i owego, szukała połączenia dającego odwagę i siłę. Cierpiała, nie umiając dokonać wyboru: włożyć rajstopy czy nie, i wreszcie postanowiła, że nie włoży. Zdecydowała się na prostą białą bluzkę bez rękawów, sweter i beżową spódniczkę. Nogi miała długie, smukłe, opalone. Chciała wyglądać sympatycznie, ale nie przesadnie sympatycznie.

— Nie aż tak sympatycznie — powiedziała do mnie — by biologiczny ojciec mógł mieć do mnie o to pretensję.

Ja włożyłem dżinsy, elegancką koszulę, której daleko było do nowości, i granatową bluzę. Wyglądałem sympatycznie, ale nie przesadnie sympatycznie. Melissa poprosiła, żebym zmienił stare kowbojskie buty na lekkie mokasyny. Powiedziała, że nie życzy sobie, żebym wyszedł na prostaka. Jeśli chodzi o te sprawy, dawno temu nauczyłem się nie protestować. Sądzę, że nieprotestowanie to jeden z sekretnych sposobów na szczęście małżeńskie.

Angelinę ubraliśmy w białą sukieneczkę w czerwone groszki. Wyglądała jak laleczka: czarne włosy, kremowa cera, pyzate policzki i te zdumiewająco ciemne oczy.

— Sukinsyny — prychnąłem. — Żeby kazać nam przez to przechodzić.

Mój głos był tak szorstki, że Angelina zacisnęła pięści i zaczerpnęła oddechu, gotowa się rozplakać.

— Nie, nie, kochanie — zagruchałem uspokajająco. — Wszystko w porządku.

Ale nic nie było w porządku. Mimo to się odprężyła. Wierzyła, kiedy kłamałem. To mi rozdzierało serce. Melissa zabrała ją na górę na przedpołudniową drzemkę. Miałem tylko nadzieję, że kiedy się obudzi, nasze życie znów będzie normalne i nigdy się nie dowie, co się o mały włos nie stało.

* * *

Niebieski, prawie nowy Chevrolet SUV zwolnił pod naszymi oknami i skręcił na podjazd. Widziałem siedzące w środku dwie osoby.

Garrett Moreland, syn sędziego i przypuszczalny biologiczny ojciec naszej córki, wysiadł pierwszy. Przyjrzał się naszemu domowi, a jego spojrzenie wyrażało coś, co mogę tylko nazwać tolerancyjną pogardą.

* * *

Garrett Moreland był wysoki i doskonale zbudowany. Miał kruczoczarne włosy i niesamowite oczy, jak kulki brązowego lśniącego szkła. Na widok oczu Angeliny w twarzy tego już nie chłopca, a jeszcze nie mężczyzny serce mi się ścisnęło. Poczulem wypełniającą usta gorycz. Patrzył na nasz dom, a jego nienaturalnie sterczące na zbyt długiej szyi jabłko Adama poruszało się w górę i w dół, mięśnie szczęk napinały się i rozluźniały jak mocne, lecz elastyczne sznury. Skóra jego twarzy wydawała się tak blada, że niemal biała. Przecinała ją czerwoną kreską wąska linia ust, wyglądających jak zadana brzytwą rana, z której za chwilę pocieknie krew. Sprawiał wrażenie osiemnastolatka wybierającego się do kościoła na niedzielne nabożeństwo: luźne bawełniane spodnie, lekkie mokasyny, rozpięta pod szyją koszula i trochę za duża bluza, którą prawdopodobnie pożyczył od ojca. Stał lekko pochylony, kołysząc się w przód i w tył, z rękami luźno zwisającymi po bokach i opuszczoną głową. Można powiedzieć, że patrzył spode łba. Pomyślałem, że sprawia wręcz demoniczne wrażenie.

John Moreland także był wysoki. I przystojny, w stylu gwiazdora filmowego. Sporo po czterdziestce, może nawet blisko pięćdziesiątki, zachował przyjemnie chłopięcą twarz. Dość długie brązowe włosy opadały mu kosmykiem na czoło. Wyglądał jak światowy prezbiteriański duchowny przyzwyczajony do tego, że go zauważają, świetnie czujący się we własnej skórze, diakon swojego kościoła, przewodniczący Klubu Rotariańskiego, były ochotnik Korpusu Pokoju, nadal pamiętany i czczony jak Bóg w jakiejś wiosce w Trzecim Świecie. W jasnobrązowym garniturze i kremowej koszuli wyglądał naturalnie i elegancko, był lekko opalony, na policzku miał pieprzyk, niemal dokładnie w tym miejscu, w którym pieprzyk dla urody narysowałaby sobie modelka. Samą postawą i sposobem chodzenia zdradzał dużą pewność siebie.

Ojciec i syn stanęli na naszym progu. Nim zapukali do drzwi, wymienili spojrzenia. Było w nich coś... znaczącego.

Usłyszałem na schodach kroki Melissy.

— To oni — powiedziała. — Widziałam ich z góry.

Skinąłem głową.

— Przystojni są. Potrafię zrozumieć, dlaczego uległa Garrettowi.

Spojrzałem na żonę uważniej. Nie pamiętałem, kiedy ostatni raz pozwoliła sobie na tego typu uwagę.

— Patrzyłam, jak wysiadali — dodała cicho — i serce mi krwawiło. Więc chciałam ich znienawidzić od pierwszego wejrzenia.

— Nie udało ci się.

Pokręciła głową, krótko i szybko, wygładziła ubranie i zrobiła wojowniczą minę.

— Nienawidzę ich za powód tej wizyty. — Ujęła w dłonie moją twarz. — Pamiętaj, o czym rozmawialiśmy. Zachowaj spokój... nie daj się sprowokować. Ostatnia rzecz, której byśmy chcieli, to ich teraz zdenerwować, zwłaszcza Garretta. Przecież będziemy próbowali skłonić go, żeby podpisał papiery. Nie daj mu powodu, żeby wahał się przed ich podpisaniem choćby sekundę dłużej niż to konieczne.

— Rozumiem.

— Jesteś pewny?

— Jestem pewny.

John Moreland stał na progu naszego domu szeroko uśmiechnięty. Uśmiechał się nieco krzywo, rozbijając, nie udało mu się jednak całkiem zamaskować zdenerwowania. Jakoś nie przyszło mi do głowy, że oni też mogą się denerwować. Od razu poczułem się lepiej.

Zaprosiliśmy gości do środka. Boże, ale byliśmy światowi. Melissa zaproponowała kawę, Moreland poprosił o filiżankę, nadąsany Garrett tylko pokręcił głową. Początkowo nie potrafiłem go wyczuć. Unikał mojego wzroku, postawą i sposobem poruszania się dawał do zrozumienia, że chce zachować dystans w stosunku do wszystkiego, co znajduje się w pokoju.

— Usiądźcie, proszę — powiedziałem, wskazując kanapę, przed którą stał niski stolik. Dla siebie i Melissy już wcześniej ustawiłem dwa duże fotele po przeciwnej stronie. Były nieco wyższe od kanapy i o to właśnie mi chodziło, żeby ojciec i syn musieli siedzieć blisko siebie i patrzeć na nas z dołu. Nauczyłem się tego na spotkaniach służbowych. Kwestia uzyskania przewagi psychologicznej.

Niestety, sędzia nie dał się zrobić i zachował tak, jakby w ogóle nie dostrzegł mojego gestu. Usiadł w jednym z foteli. Garrett, powłóczęgając nogami, podszedł do kanapy. Opadł na nią ciężko, całym sobą okazując ojcu pogardę.

Natychmiast po wyjściu z kuchni Melissa zorientowała się, jaka jest sytuacja. Miała wybór: mogła usiąść obok sędziego, w pozycji dominującej, albo obok Garretta. Jej wahanie było bardzo widoczne. Przejąłem inicjatywę i wybrałem miejsce obok Garretta. Niosła na tacy filiżanki, których nigdy przedtem nie widziałem, co trochę mnie zdenerwowało. Moreland wziął jedną z nich.

— Coś wam przyniosłem. Taki drobiazg. — Podał mi torbę. Zajrzałem do środka, były w niej jakieś lepkie ciasteczka. Podałem ją Melissie. Ona też do niej zajrzała i powiedziała: „Dziękuję”. Poszła do kuchni, by przełożyć je na talerz. Wróciła.

Przerwałem niezręczną ciszę, zwracając się do Garretta.

— Miło mi cię spotkać. Kończysz liceum, prawda? — Chciałem pokazać, że coś jednak o nim wiem.

— Tak, kończę — odpowiedział, krzywiąc się.

W sytuacjach towarzyskich Melissa zawsze przejmowała inicjatywę. Spojrzałem na nią. Mimo że się uśmiechała, w jej twarzy nie było kropli krwi. Bała się przemówić, poruszyć ten najważniejszy z tematów. Obowiązek prowadzenia rozmowy spadł więc na mnie. Robiłem, co mogłem, by zachować tę odrobinę przewagi, jaką, jak sądziłem, zyskałem, zwracając się bezpośrednio do Garretta.

Prowadziliśmy bląhą rozmowę o pogodzie (ochłodziło się) i ruchu po drodze do naszej dzielnicy (niekłopotliwym, jak to w weekend). Moreland miał głęboki dźwięczny głos i sympatyczny, lekko południowy akcent. Próbowałem jakoś go umiejscowić i doszedłem do wniosku, że to albo Tennessee, albo Karolina Północna. Miał zwyczaj patrzeć na kogoś, do kogo mówi, co odczułem jako uspokajające. Garrett milczał. Melissa również.

— Na drogach powinien być spokój aż do meczu — powiedziałem. — A potem na I-dwadzieścia pięć robi się korek. Przez jakiś czas będzie się tam stać zderzak w zderzak.

Moreland uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo i skinął głową.

— Mam bilet na całe rozgrywki. Oglądam wszystkie mecze Broncosów z Raidersami. Od piętnastu lat! I jeśli o mnie chodzi, każde zwycięstwo Broncosów jest za niskie. — Spojrzał na mnie z przejęciem. — Powiedz mi, że nie jesteś fanem Raidersów i że obraziłem cię podejrzeniem, iż możesz nim być.

— Nie jestem fanem Raidersów — powiedziałem, żałując przez chwilę, że rzeczywiście nim nie jestem.

— No cóż — Moreland uśmiechnął się zniewalająco — a więc jednak mamy z sobą coś wspólnego. Kiedy przyjechałem studiować na Uniwersytecie Stanowym Colorado w Boulder, nauczyłem się przede wszystkim tego, jak wyjątkowe znaczenie mają Broncoosi dla mieszkających tu ludzi. Nawet dla tych, którzy nie przepadają za futbolem. Wszyscy się nimi interesują, bo ich zwycięstwo oznacza dobry tydzień pełen sukcesów, a przegrana wściekłych kierowców na drodze i warczących sprzedawców w sklepach.

W ten sposób zyskał kontrolę nad rozmową, a ja ją straciłem. Próbowałem odebrać jakiś pomocny sygnał od Melissy, ale Melissa mi nie pomagała, tylko uważnie przyglądała się sędziemu i jego synowi. Przede wszystkim synowi. Niewątpliwie notowała w pamięci podobieństwo jego rysów do rysów Angeliny, być może nawet próbowała wyobrazić go sobie jako ojca. Zauważyłem także, że Garrett spogląda na nią, wykorzystując każdą okazję, kiedy wydawało mu się, że nie zwraca na niego uwagi. Były to spojrzenia za długie, drapieżne, oceniające moją żonę od stóp w sandałach, przez nagie nogi, ręce złożone na kolanach, aż do piersi pod bluzką bez rękawów i swetrem. Robiłem, co mogłem, żeby mnie to nie wkurzało.

— Najwyższy czas, żebyśmy przeszli do sprawy — powiedziałem, prawdopodobnie zbyt gwałtownie. Dość towarzyskich pogawędek. Dość gapienia się na moją żonę.

— Chyba tak — przyznał Moreland niemal smutno.

Nikt się wprawdzie nie poruszył, ale było tak, jakby wszyscy obecni zmienili biegi, a pokój nagle zrobił się sterylny. Melissa wyprostowała się na kanapie, a Moreland na fotelu. Tylko Garrett, rozparty wygodnie, z rękami zarzuconymi na oparcie, nadal gapił się w sufit... kiedy nie gapił się na moją żonę.

— O ile wiemy — zacząłem — kontaktowaliście się z agencją adopcyjną w sprawie naszej córki Angeliny.

Moreland skinął głową.

— Według pani Perali z agencji, Garrett nie chce podpisać dokumentów dających nam pełną opiekę nad Angeliną. Jest to dla nas nieopisanie szokujące. Agencja twierdzi, że z takim przypadkiem spotkała się po raz pierwszy w całej swej historii. Oczywiście jest dla was jasne, że zdarzyło się coś, co uważamy za niedopuszczalne. Żeby czekać półtora roku na zgłoszenie roszczeń!

Garrett nie zaszczycił mnie spojrzeniem, dla niego istniały tylko lampa na suficie i Melissa. Moreland ani drgnął, ale na jego skroni pulsowała żyłka, widomy dowód, że zaczyna się irytować.

— Panie Moreland — ciągnąłem — kochamy Angelinę. Angelina kocha nas. Nie ma innych rodziców. Jej biologiczna matka wybrała nas spośród wielu z pewnością zasługujących na ten przywilej rodzin, a my zrobiliśmy wszystko, by zapewnić dziecku dobre warunki życia w kochającej rodzinie. Niechże się pan rozejrzy! Melissa zrezygnowała z pracy, by zapewnić dziecku całodzienną opiekę. Dla Angeliny jest matką. — Nie powiedziałem tego, co zabrzmiałoby przecież zupełnie naturalnie: „a ja ojcem”. W tej chwili alienowanie Garretta byłoby bez sensu. Miałem niejasne wrażenie, że jest po naszej stronie. — Spodziewam się, że teraz, kiedy obaj z Garrettem nas odwiedziliście, widzieliście nasz dom, postanowicie jednak podpisać papiery.

Podobało mi się to, jak Moreland słuchał moich słów, zauważyłem też, że kiedy wspomniałem o domu, rozejrzał się dyskretnie.

— Macie bardzo ładny dom — powiedział, a ja nagle nabrałem odwagi. — Nie wątpię też w waszą szczerłość.

A potem przyszło nieuniknione:

— Ale...

Kątem oka zobaczyłem, że Melissa aż się skręca. Ścisnęła oparcia fotela tak mocno, że pobiełały jej palce.

— ...mamy inny pogląd na tę sprawę. — Sędzia wskazał gestem Garretta. — Mój syn popełnił bardzo poważny błąd. Wstydzę się za niego. Jego matka, Kellie, także. On sam jest zawstydzony. Jego zachowanie plami honor rodziny. Znajdował się wówczas pod wpływem złych przyjaciół, udzielających mu złych rad. Nie są już jego przyjaciółmi. Właśnie dlatego wysłaliśmy go na pewien czas za granicę. Chcieliśmy, by wyrobił sobie właściwy stosunek do życia i świata, żeby wyrósł na mężczyznę. Ale ani on, ani nasza rodzina nie mogą uchylać się od odpowiedzialności, unikać konsekwencji głupstw, które Garrett popełnił, kiedy był młodszy. To sytuacja, z którą musimy poradzić sobie sami. W kręgu rodziny. Chcemy, żeby nasze dziecko dorastało w naszej rodzinie.

Nie znajdowałem słów. „Nasze dziecko!”.

— Proszę państwa. — Moreland pochylił się w fotelu. Spojrzał na Melisę, potem na mnie i znowu na Melisę. — Jak państwo chyba wiedzą, jestem sędzią federalnym. Mam opinię sprawiedliwego, ale tak-

że surowego sędziego. Wierzę w odpowiedzialność, w to, że o człowieku świadczą jego czyny. Jeśli miałbym przekazać synowi jedną jedyną rzecz, tą rzeczą byłoby przekonanie, że każdy czyn człowieka ma konsekwencje. Ponoszenie odpowiedzialności jest czymś najważniejszym, najistotniejszym. Garrett jest odpowiedzialny za poczęcie i narodziny tego dziecka. Proszę, nie zrozumcie mnie źle. — Ton głosu sędziego zmienił się, był teraz łagodny i pojednawczy. — Nie mam nic przeciwko któremuś z was. Jest dla mnie oczywiste, że oboje kochacie dziecko. Zapewniliście mu wspaniały dom we wspaniałej dzielnicy. Jest mi bardzo przykro, że zdarzyło się to, co się zdarzyło. Naprawdę, bardzo przykro. Nie wiedzieliśmy nawet, że mamy wnuczkę, póki nie znalazłem listów z agencji adopcyjnej w pokoju Garretta. Nawet ich nie otworzył. — Przeszył syna morderczym spojrzeniem, na co ten tylko przewrócił oczami, po czym znów zwrócił się do nas. — Przecież są inne dzieci, prawda?

W jego ustach pytanie to zabrzmiało niemal rozsądnie. Samo pytanie, nie intencje. Powiedz coś, Melisso — błagałem w myślach. Weź udział w rozmowie. Ale Melissa nic nie powiedziała, tylko przyglądała się sędziemu z dziwną powagą.

— Panie Moreland — odezwałem się najciszej, jak potrafiłem — pańska prośba jest, niestety, nie do spełnienia. Angelina jest naszą córką od dziewięciu miesięcy, do których należy doliczyć siedem, spędzonych przez nas z oczekującą rozwiązania biologiczną matką. Przez ten czas staliśmy się rodziną. Nie muszę chyba dodawać, że nie mieliśmy pojęcia o istnieniu Garretta... i jego ojca. Gdyby dziecko was obchodziło, skontaktowalibyśmy się z wami. Rozpoczynanie sprawy teraz jest po prostu nierozsądne.

Moreland skinął ze współczuciem głową.

— Wiedziałem, że będzie to dla was ciężkie. Wiem też, w jakiej sytuacji jesteście. Sytuacji finansowej.

Poczułem, że zaczynam się pocić.

— Proszę państwa, zadałem sobie trud sprawdzenia paru rzeczy. Bardzo prawdopodobne, że sama adopcja kosztowała was ponad dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Wiem, że pani McGuane zrezygnowała z pracy poza domem, co jest oczywiście godne podziwu. A jeśli chodzi o pana McGuane'a, to pensja wysokości pięćdziesięciu siedmiu tysięcy pięciuset dolarów rocznie to niewiele, by utrzymać dom taki jak ten oraz rodzinę. Trudno nie lubić was obojga, ale wiemy, że toniecie w długach, a to nie jest komfortowa sytuacja. Jestem gotów pokryć wszystkie poniesione przez was do tej pory koszty, a także w całości sfinansować adopcję kolejnego dziecka.

Czułem się zgwałcony jego wiedzą. Reżyserowaliśmy w myślach to spotkanie, planowaliśmy i wszystko diabli wzięli, ot tak. Puf! Było, nie ma. Zerknąłem na Melissę. Jej twarz wyglądała jak alabastrowa maska. Oczy miała zwężone, nieruchome, twarde. Takiego ich wyrazu nigdy nie widziałem.

Dodawał mi śmiałości, a jednocześnie przerażał. Zdumiewało mnie to, że nic nie mówi. Zdumiewało mnie też to, że nie skoczyłem sędziemu do gardła przez stojący mi na drodze stół.

— Nie chodzi o pieniądze — rzekłem spokojnie. — Na tę dyskusję jest już o wiele za późno. — Może gdybyś się z nami skontaktował przed narodzinami Angeliny...

— Nie wiedziałem. — Moreland podniósł głos w gniewie. Ale nie gniewał się na nas. Spojrzał na swojego syna z czystą, niekłamana pogardą. — Garrett spędził wiele miesięcy z matką, za granicą. Nie powiedział nam o tym, co się stało. Gdyby powiedział, nigdy nie doszłoby do tej sytuacji.

— Gdzie byłeś? — spytała Garrettta Melissa zimnym, ciężkim jak ołów głosem.

Garrett chyba nie zdawał sobie sprawy, że mówi do niego.

— W Holandii i w Anglii, w odwiedzinach u krewnych — odpowiedział za niego ojciec. — Kellie ma dużą rodzinę, poza tym był to także wyjazd turystyczny. O tym — wskazał nas gestem — dowiedzieliśmy się zaledwie dwa miesiące temu.

Kątem oka widziałem, jak Garrett znów przewrócił oczami.

— Wiedziałaś, że jest w ciąży? — spytała go Melissa. Spojrzał na nią, uśmiechając się lekko. Wzruszył ramionami. Wyraźnie dawał do zrozumienia, że wszystko mu jedno.

Pochyliłem się w fotelu. Czekałem, aż Moreland zwróci uwagę na mnie.

— Nie chodzi o ciebie — powiedziałem. — Nie chodzi o Garrettta ani nawet o nas. Chodzi wyłącznie o Angelinę i o to, co dla niej najlepsze.

Próbowałem wbić klin między ojca i syna. Moreland milczał przez bardzo długą chwilę.

— Tak, oczywiście, chodzi wyłącznie o dziecko — przyznał. — Ale to dziecko jest częścią mojej rodziny, naszej rodziny, niezależnie od zachowania Garrettta. W żyłach tego dziecka płynie moja krew. Musimy naprawić zło, do którego doszło.

Dopiero później uświadomiłem sobie, że póki sędzia przebywał pod naszym dachem, ani razu nie powiedział „Angelina”. Dla niego to było „dziecko”.

Spojrzałem na Garrettta. Ignorował nas, gapił się na Melissę, która tym razem podchwyciła jego spojrzenie i również na niego patrzyła. Wydawało się, że od tej wymiany spojrzeń powietrze się gotuje. Nie zniósłbym tego ani sekundę dłużej.

— Garrett — powiedziałem.

Nie doczekałem się reakcji.

— Garrett!

Odwrócił głowę, powoli, z pogardą.

— Muszę zadać ci pytanie.

Uniósł brwi.

— Naprawdę chcesz być ojcem? Naprawdę chcesz zmienić tryb życia teraz, w tej chwili? Czy zdajesz sobie sprawę, ile pracy wymaga ojcostwo, troska o dziecko, utrzymanie go?

I znów sędzia odpowiedział za syna:

— Kellie i ja wychowamy dziecko. Będzie naszą wnuczką i córką. Garrett pójdzie na studia, zostanie prawnikiem lub lekarzem, a kiedy się ożeni, będzie miał dom, przyjmie do niego dziecko.

— Pytałem Garrettta — powiedziałem spokojnie.

— Garrett nie ma nic do powiedzenia. — Głos Morelanda nie był już taki grzeczny, taki obojętny.
— Przedyskutowaliśmy to w rodzinie i tak będzie.

Garrett obserwował, jak przyjmuję przemowę jego ojca. Oceniał mnie.

— Więc... jaka jest opinia pańskiej żony? — spytała sędziego Melissa. — Dlaczego z wami nie przyszła?

— Czułaby się niezręcznie — powiedział Moreland przez zaciśnięte zęby.

— Nie chciała się z nami zobaczyć — stwierdziła Melissa z goryczą.

Moreland zaczerwienił się i zaczął oglądać czubki swoich butów.

— Byłaby zakłopotana. — Zabrzmiało to jak kłamstwo. Zmienił temat:

— Chciałbym zobaczyć dziecko — oznajmił.

— Śpi — powiedziała Melissa.

— Nie obudzę go.

Melissa spojrzała na mnie przerażona, zrozpaczona.

— Może lepiej by było nie oglądać jej teraz — zasugerowałem.

— Chcę ją zobaczyć. Chcę zobaczyć, jak wygląda. — Moreland był bardzo stanowczy.

Pat. Przez pełną minutę nikt z nas nie powiedział słowa. Żołądek podszedł mi do gardła, poczułem, że czubki palców mam suche i lodowato zimne. Pewność siebie, towarzysząca mi od początku spotkania, gdzieś się ulotniła. Miałem nieodparte wrażenie, że w pokoju, w którym siedzimy, coś się zmieniło, że nie znam go tak dobrze, jak znałem.

Melissa westchnęła.

— Chodźmy na górę.

— Jesteś pewna? — spytałem ją. Czyżbyśmy ustępowali? Nie miałem pewności. Może Melissa liczy na to, że kiedy Moreland zobaczy Angelinę śpiącą w kołysce, w tym domu, zmięknie i zrozumie nasze stanowisko? W końcu do tej pory rozmowa miała raczej abstrakcyjny charakter. Pokazanie sędziemu naszej małej mogło nam pomóc.

— Jestem pewna — powiedziała Melissa.

— Chcesz pójść z nimi? — spytałem Garretta.

Pokręcił głową.

— Niekoniecznie. Ale napiłbym się coli czy czegoś takiego. Macie colę?

Nie chciał zobaczyć Angeliny! Od razu wrócił mi dobry humor. Melissa poprowadziła sędziego schodami, a ja poszedłem do kuchni. W lodówce mieliśmy zapas dietetycznej coli. Nasypałem do szklanki lodu z maszynki, wziąłem puszkę i zaniósłem do pokoju. Garrett stał przy kominku, przyglądając się zdjęciom z naszego ślubu, moim rodzicom na ranczo, rodzinie Melissy, gdy spotkała się cała zeszłego lata w Broadmoor w Colorado Springs, małej Angelinie w ramionach Melissy.

Z głośnika zainstalowanego dla bezpieczeństwa dziecka dobiegł trzask. Otworzyli drzwi pokoju.

Podaliśmy Garrettowi szklankę i puszkę. Zostaliśmy sami. Miałem szansę.

— Tak naprawdę wcale nie chcesz być ojcem, prawda?

— Właściwie nie.

— Więc chodzi o twojego ojca?

— On zawsze ma swoje pomysły.

— Możesz na niego wpłynąć? Żeby zmienił zdanie?

— Nie sędzę.

— Spróbujesz?

Garrett spojrział na mnie. Było w jego nieruchomym spojrzeniu coś, co mnie niepokoiło. Czulem się tak, jakby uważał mnie za niezdolnego do zrozumienia go i niewartego wyjaśnień.

— Po prostu podpisz papiery — powiedziałem. — Jeśli je podpiszesz, twoi rodzice nic nie będą mogli zrobić.

Uśmiechnął się swym krzywym uśmiechem.

— Jeśli je podpiszesz, zrobię dla ciebie, co tylko będę mógł — obiecałem, nie mając pojęcia, co mógłbym zrobić.

— Ojciec jest bardzo bogaty. Nie potrzebuję cię.

— Być może będziesz mnie jednak potrzebował, jeśli podpiszesz te papiery. — Próbowałem narzucić ton rozmowy, takiej jak mężczyzna z mężczyzną. — Słuchaj, wszyscy popełniamy błędy. Nikt nie jest doskonały. Bycie ojcem wszystko zmienia, możesz mi wierzyć na słowo. To dobre życie, ale trzeba być do niego przygotowanym. Trzeba pogodzić się z wyrzeczeniami. Już nie należysz do siebie. Tracisz wolność. Poza tym, jeśli podpiszesz papiery, postąpisz właściwie i chyba o tym wiesz.

Słuchając mnie, Garrett kiwał głową. Oczy mu błyszczały. Słuchał mnie, owszem, i chyba nadal chciał słuchać. Miałem jednak dziwne wrażenie, że nie tyle chce mi pomóc, ile prowokuje.

W kuchni rozległ się głos Melissy.

— Nie dotykaj jej. Zaskoczył mnie jej ton.

— Chciałem ją tylko obrócić, popatrzeć na twarz — tłumaczył Moreland.

— Ja to zrobię.

Usłyszałem szelest pościeli w łóżeczku Angeliny i ciche mruczenie.

— Już — powiedziała Melissa.

Uświadomiłem sobie, że obaj z Garrettem wpatrujemy się w głośnik, wyęzając słuch, starając się wychwycić każde słowo, każdy dźwięk.

— Och! — zachwycił się Moreland. — Jest taka piękna. Podobna do ojca. I do mnie.

Melissa milczała.

— Widzisz to małe znamię na łydce? Mam takie samo. To oznaka, że jest się Morelandem.

— Nie!

Co on chce zrobić?

— Chcę tylko wziąć ją na ręce.

— Powiedziałam nie.

— Tak, oczywiście — uspokoił ją sędzia. — Nie będę jej budził, ale czy mogę przynajmniej zrobić zdjęcie? Dla Kellie?

— Proszę. Wolalabym nie.

— Przecież to tylko zdjęcie. Jedno.

Milczenie Melissy uznaliśmy za oznakę zgody, i ja, i Moreland. Rozległ się cichy trzask aparatu cyfrowego.

— Chcę na nią popatrzeć. Jeszcze chwilę.

— Ale tylko popatrzeć — ustąpiła Melissa. — Nic więcej.

Odstawiłem szklanekę z lodem na stolik. Byłem gotów pójść na górę. Ręce mi się trzęsły. Zaciśnąłem dłonie w pięści, wiedziałem, że lada chwila mogę stracić nad sobą kontrolę. Jeśli powie jeszcze jedno słowo, zrobi kolejne zdjęcie, dotknie mojej żony...

— Pani McGuane, proszę... proszę nie utrudniać tego, co i tak jest trudne.

— To moje dziecko, a ty chcesz mi je zabrać. — Wiem, co czujesz.

Zabrzmiało to bardzo łagodnie. Odetchnąłem głęboko i spróbowałem się uspokoić. Dawno nie byłem tak wściekły. Ciekawe, pomyślałem, co też bym zrobił, gdybym rzeczywiście poszedł na piętro? Znów pomyślałem o colcie czterdziestypiętce. Tak, to prawda, oboje z Melissą wkroczyliśmy na nieznany teren. Od dziś wszystko będzie inne.

Zauważyłem, że Garrett obserwuje mnie uważnie, ze złośliwym uśmieszkiem.

— I co masz zamiar zrobić? — spytał.

— Ja? Nic.

— Jasne. Nic a nic.

— Nie chcesz zobaczyć dziecka, prawda? — spytałem.

— Nie — odpowiedział z tym swoim półuśmieszkiem.

— Podpisz papiery.

— Masz fajną żonę. Podoba mi się.

Nagle kpina znikła, powrócił niewzruszony spokój. Melissa i sędzia schodzili po schodach. Garrett patrzył na nią, nie na niego.

— Może przyjadę obejrzeć z wami mecz? — rzucił.

— Co? — spytałem, zaskoczony.

— Chyba powinienem lepiej was poznać. — Nie odrywał wzroku od Melissy. — Powinniśmy trzymać się razem.

Nie miałem pojęcia, co zrobić, jak zareagować. Po wyrazie twarzy Melissy i sędziego poznałem, że go nie usłyszeli. Moreland zatrzymał się na półpiętrze i podał Melissie rękę.

— Dziękuję — powiedział. — Jest piękna.

— Jest piękna. — Melissa uśmiechnęła się lekko, zapewne wbrew swojej woli. — I jest nasza.

— Ach, to dopiero trzeba rozstrzygnąć.

— Nie. Nie ma nic do rozstrzygania.

Do diabła, nie mogłem jej nie podziwiać, taka była twarda. Po prostu „nie”.

Moreland spojrział na mnie. Ja lekko skinąłem żonie głową, jakbym chciał powiedzieć: „Ta sprawa nie jest w moich rękach. Odpowiedź brzmi: »nie«”.

— Idziemy, Garrett — rozkazał Moreland. Zwrócił się do nas: — Dziękuję za kawę. Miło było was poznać.

Garrett dopił colę i wręczył mi pustą puszkę. Odczekał, aż jego ojciec się oddali. Na twarzy miał wyraz błogości, jakby nie mógł uwierzyć w szczęście, które go nagle spotkało.

— O co chodzi? — spytałem.

Kąciki jego ust powędrowały w górę, źrenice się rozszerzyły. Niemal słyszałem, jak mówi do siebie: „Teraz należycie do mnie, ludzie. Bo co? Nie ośmielicie się powiedzieć ani zrobić czegoś, co mnie zdenerwuje, bo jeśli się zdenerwuję, nie podpiszę papierów”.

Uśmiechnął się szeroko, w jego oczach zatańczyły iskierki. Kropla zimnego potu spłynęła mi wzdłuż kręgosłupa.

— Synu? — Moreland zdążył już otworzyć drzwi. Garrett podszedł do niego powoli. Przechodząc obok mnie, rzucił niedbale „Na razie”.

Sędzia spojrział na moją żonę.

— Muszę pomyśleć — powiedział. — Jesteście wspaniałymi ludźmi. Ale...

Zawsze to samo. Zawsze musi być jakieś „ale”.

— ...ale w tej sprawie okoliczności są, można powiedzieć, czarno-białe. Przejrzałem precedensy, spotkałem się także z przyjaciółmi specjalizującymi się w prawie rodzinnym. Biologiczna matka zrzekła się praw rodzicielskich, ale ojciec, mój syn, nie. To on powinien zostać opiekunem dziecka, takie to proste. Żaden sąd tego nie podważy. Poza tym — machnął ręką, jakby argumenty prawne, które właśnie przytoczył, nie miały żadnego znaczenia, choć właśnie użył ich na swoją korzyść — nadal uważam, że możemy współpracować. Widać wyraźnie, że darzycie dziecko uczuciem, poza tym działaliście przecież w dobrej wierze. Być może będziecie odwiedzali je od czasu do czasu, staniecie się pozytywną częścią jej życia, tacy dobrzy ciocia i wujek. Co nie zmienia faktu, że w żyłach tego dziecka płynie nasza krew i że prawnie należy ono do nas. Od faktów nie da się uciec. Krew jest krwią, a prawo prawem. Każdy sędzia dostrzeże, że mamy środki, by zapewnić jej życie na odpowiednim poziomie i wspaniały dom.

— Co to znaczy? — spytała Melissa. — Że my ich nie mamy?

— Oczywiście zrobiliście wszystko, co w waszej mocy — zapewnił Moreland nie bez sympatii.

— Kochamy Angelinę. — W głosie Melissy zabrzmiała nutka paniki.

John Moreland skinął głową i zacisnął wargi.

— Pomyśl o tym, czy Garrett nie powinien jednak podpisać papierów — włączyłem się do rozmowy. — Powiedziałeś, że możemy adoptować inne dziecko i że Garrett musi wziąć na siebie odpowiedzialność. Może to on powinien odwiedzać Angelinę? Od czasu do czasu? Może on powinien być wujkiem?

Czułem na sobie ciężar spojrzenia Melissy. Nie chciała mieć do czynienia z żadnym z nich.

— Ach, kompromis. — Moreland wykonał taki gest, jakby wznosił toast, choć nie trzymał w ręku kieliszka. W ten sposób sygnalizował, że przyjmuje do wiadomości to, co powiedziałem. — Cóż, nie na takich warunkach. Mam tylko nadzieję, że rozstrzygniemy nasz problem we własnym gronie, bez przeciągającej się wojny prawnej, którą musicie przecież przegrać. Byłaby nieprzyjemna i emocjonalnie wyczerpująca zarówno dla was, jak i dla dziecka. W rzeczywistości dla małej mogłaby okazać się wręcz okrutna, jako że wynik może być tylko jeden, a środki, które możecie poświęcić na prawników, bardzo ograniczone. Słuchajcie — mówił łagodnie, przyjaźnie — wiem, że to dla was trudne chwile i że pewnie kręci wam się w głowach. Podtrzymuję ofertę. Nie brakuje dzieci do adopcji, a ja mogę ją wam ułatwić. Jedno z tysięcy potrzebujących dzieci może znaleźć ciepło i miłość w domu takim jak wasz. Podtrzymuję ofertę pomocy w naprawieniu tego, co się stało. A teraz... rozważmy, proszę, rozłożenie spraw w czasie. Mamy prawo zażądać wydania dziecka teraz, w tej chwili, ale byłoby to zdecydowanie zbyt surowe. No i chcemy przecież uniknąć sceny, samochodów szeryfa wjeżdżających na wasz podjazd, syren i błyskających świateł, policjantów siłą odbierających wam dziecko. Dajemy wam trzy tygodnie na pożegnanie. Do końca miesiąca. Do niedzieli. To wystarczająco dużo czasu, by rozpocząć nową procedurę adopcyjną, z moją pomocą, oczywiście. I by ucałować dziecko na do widzenia. Szeryf został już poinformowany o dacie. On sam i jego ludzie będą gotowi, ale nie przyjadą tu, jeśli nie okaże się to absolutnie konieczne. Bardzo was proszę, żebyście nie zmuszali ich do tej ostateczności. To wszystko, co możemy zrobić. Przykro mi. Trzy tygodnie.

Garrett stał nieruchomo, z kamienną twarzą. Nie sposób było odgadnąć, co myśli.

— Cóż... — westchnął Moreland — chyba lepiej będzie, jeśli już pójdziemy. Naprzód, Broncos! Przynajmniej pod tym względem się zgadzamy, prawda?

Zamknął za sobą drzwi. Stałem przy oknie, Melissa podeszła do mnie. W pokoju jakby brakowało tlenu. Obserwowaliśmy Garretta wsiadającego do ojcowskiego chevroleta od strony pasażera i zamykającego za sobą drzwi. Patrzył wprost przed siebie. Moreland podszedł do samochodu, zatrzymał się i obrzucił nasz dom pożegnalnym spojrzeniem, jakby podejmował bolesną decyzję. Wyglądał na kogoś, kogo gnębą wyrzuty sumienia, ale twarz miał zaciętą. Serce mi się ścisnęło, wiedziałem już, że ten człowiek nigdy nie zmieni zdania.

Na razie nie mógł jednak odjechać. Mój przyjaciel, Cody, wybrał sobie tę chwilę, by podjechać pod dom swoją policyjną crown victoria i niechcący zablokował stojącego na podjeździe SUV-a. Sędzia wziął się pod boki i spojrzał na niego gniewnie. Cody nie zwrócił na niego uwagi. Wysiadł, podszedł do bagażnika i otworzył go. Z kącika jego ust jak zwykle zwisał papieros. Aż tutaj słyszałem brzękliwe country z radia jego samochodu. Wyjął wiertarkę udarową, którą pożyczył ode mnie przed wiekami i wreszcie zde-

cydował się oddać, a także dwunastopak taniego piwka. Odwrócił się, zrobił krok w kierunku domu i wreszcie zobaczył, z kim ma do czynienia.

Nie słyszałem wymiany słów, ale widać było wyraźnie, że mój kumpel przeprasza i nie może przestać. Wrócił do samochodu, wrzucił wiertarkę i piwo do bagażnika i wycofał się szybko, pozwalając Morelandom odjechać.

Melissa nie widziała tej scenki. Wtuliła twarz w moją koszulę na piersi.

— To jak zły sen! — płakała.

— Wiem.

Spojrzała na mnie płonącymi oczami. Nigdy nie widziałem w nich tak szalonej determinacji.

— Przysięgnij mi, Jack, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy, żeby ocalić przed nimi nasze dziecko.

Skinałem głową i przytuliłem ją mocniej.

— Przysięgnij!

— Przysięgam — powiedziałem. — Obiecuję. — Żołądek mi się ścisnął.

Cody wszedł do naszego domu bez pukania. Jasne włosy miał potargane, dres przepocony.

— Jezu Chryste — jęknął — mam nadzieję, że ten tam sędzia mnie nie rozpoznał. Nie wolno mi używać samochodu, kiedy nie jestem na służbie, do załatwiania prywatnych spraw. A co on tu w ogóle robił? Hej, co wam się stało? Wyglądacie, jakbyście zobaczyli ducha.

Przez głośnik usłyszeliśmy szelest w pokoju Angeliny. Budziła się, ziewnęła, zaczęła gaworzyć, westchnęła. Łóżeczko skrzypnęło, próbowała usiąść. Powiedziała: „ma...ma...”.

3

W trzeciej minucie pierwszej kwarty meczu usłyszałem basowy silnik samochodu dojeżdżającego do mojego podjazdu. Melissa była na górze. Kapała Angelinę.

Zabrzączał dzwonek.

Było ich trzech: Garrett, młody Latynos pokryty tatuażami i wyglądający jak gangster oraz przerażająco chudy, rudy biały, ubrany w tym samym, co Latynos, hiphopowym stylu. Na podjeździe stał jaskrawożółty hummer H3. Wyglądał jak napakowany starszy wujek mojego jeepa cherokee.

Garrett przywitał mnie przesadnie przyjacielskim „cześć”, a potem powiedział:

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzają ci moi przyjaciele? Luis? Stevie?

Po chwili dodał, że wpadli tak „po przyjacielsku”. Ja nic nie powiedziałem.

— Masz z tym jakiś problem? — spytał, patrząc na mnie niewinnie. Kpił ze mnie w żywe oczy. Stevie przyglądał mi się z pogardliwym uśmieszkiem. Luis powitał mnie przyjacielskim „Cześć, *amigo!*”, ale oczy miał martwe.

On i Garrett usiedli na kanapie, na której Garrett siedział zaledwie przed kilkunastoma minutami. Stevie przysiadł na poręczu. Całym swym zachowaniem sugerował, że zajmuje podrzędne miejsce w hierarchii. Wszyscy trzej oglądali mecz w całkowitej ciszy, przyjmując każdą akcję w milczeniu, bez komentarza. Nie mogłem jednak powiedzieć, że się nudzili, nie. Uważnie obserwowali to, co działo się na boisku, nie umknął im żaden szczegół. Garrett i Luis dokładnie przyjrzeni się schodzącej po schodach do kuchni Melissie, a kiedy zamknęła za sobą drzwi, Garrett spojrzał na przyjaciela, jakby chciał powiedzieć: „Widzisz? A nie mówiłem?”. Podchwyciłem to spojrzenie.

Luis był od niego niższy i ciemniejszy. Miał tępą twarz boksera za często obrywającego na ringu, krótko obcięte czarne włosy i tępe czarne oczy. Ubrany był w spodnie wory i za duży podkoszulek, na który włożył jeszcze większą kraciastą koszulę z długimi rękawami. Tatuaż na szyi z boku, pod szczęką, oznajmiał „Sur-13”. Nosił rozsznurowane wielkie buciska na grubej podeszwie, dokładnie widoczne, bo siedział na kanapie rozwalony, z wyciągniętymi nogami. Stevie też nosił za duże ciuchy, na głowie zawiązał czerwoną chustkę, ale jego uczesanie, idealnie utrzymane zęby i drogie nowe tenisówki zdradzały chłopca z zamożnej rodziny udającego gangstera. Widać było, że on i Garrett to przyjaciele, a tylko Luis jest prawdziwy. Kiepsko do nich pasował.

— Garrett, może jest coś, o czym chciałbyś ze mną porozmawiać? — spytałem w przerwie na reklamę środków wspomagających erekcję.

— Właściwie to jest — odparł, patrząc na mnie niewinnie. Skinąłem głową, zachęcając go, by mówił dalej.

— Napiłbym się czegoś zimnego. Ta cola, którą częstowałeś mnie wcześniej, była w sam raz. I założę się, że moi przyjaciele też chętnie by się czegoś napili.

— Dla mnie piwo, człowieku — powiedział Luis. Uśmiechnął się, pokazując złote zęby.

— Dla mnie też — przyłączył się do niego Stevie z lekkim, a także sztucznym meksykańskim akcentem.

Pokręciłem głową. Niewiarygodne.

— I może coś do przegryzienia — dodał Garrett. — Chipsy z jakimś dipem? Nachos? Nie podjadacie przy meczu?

— Bo my zawsze podjadamy — powiedział Luis. — Lubimy podjadać przy meczu.

Najzwyczajniej sobie ze mnie kpił!

Zakląłem pod nosem. Poszedłem do kuchni po colę. Nie miałem zamiaru częstować Luisa i Steviego piwem, niech ich diabli. I nic do jedzenia! Słyszałem, jak chichoczą. Musiałem zamknąć oczy i kilka razy odetchnąć głęboko, żeby opanować gniew.

* * *

Podczas trzeciej kwarty spytałem Garretta, czy myślał może o podpisaniu papierów.

— Nie, nie myślałem — powiedział lekceważąco. — Jeśli o to chodzi, musisz pogadać z ojcem.

Widziałem, jak słysząc te słowa, Luis wykrzywia usta w uśmiechu, lekkim, lecz bezlitosnym.

— Ojciec zawsze podejmuje za ciebie decyzje?

— W tym przypadku tak.

— Dlaczego?

Spojrzał mi prosto w oczy. Poczulem chłód, od którego zjeżyły mi się włoski na ramionach.

— Mamy układ.

Nim zdążyłem zapytać, co to za układ, Melissa wyszła z kuchni i poszła na górę do sypialni. Garrett odprowadził ją wzrokiem.

Za Melissą z kuchni wyszedł także Harry, nasz stary labrador. Garrett na jego widok wyprostował się i wcisnął w kanapę.

— Jest nieszkodliwy — zapewniłem z uśmiechem. — Harry wszystkich lubi.

— Proszę go odwołać — powiedział Garrett grobowym głosem.

— Jasne.

Zdziwił mnie, zawsze się dziwię, spotykając ludzi nie lubiących psów. Wygoniłem Harry'ego do ogródka. Pod moją nieobecność chłopcy się nie poruszyli, a na twarzy Garretta nadal malował się wyraz, który mogę nazwać tylko obrzydzeniem.

— Któryś z was jest uczulony na psy? — spytałem.

— Nie. — Garrett powiedział to jedno słowo tak, że nie mogłem mieć wątpliwości. Nie chciał już rozmawiać na ten temat.

— On nie lubi psów — zakpił Luis. — Ja mam cztery. Bojowe. Nikt nie postawi się moim psom.

— Mogę skorzystać z toalety? — spytał Garrett.

— Na górze po lewej. — Pomyślałem, że może chce zerknąć na Melissę siedzącą pewnie w pokoju Angeliny, ale szybko wrócił. Kiedy pojawił się na schodach, Luis wstał.

— Teraz moja kolej — powiedział.

Odszedł. Zwróciłem się wprost do Garretta, ignorując Steviego:

— Czego od nas chcesz? Dlaczego przyprowadziłeś kolegów?

Wiedziałem, że zbyt mocno zaciskam dłonie na poręczach fotela.

— A co, nie lubisz Meksykanów? — spytał niewinnie. — Luis cię denerwuje?

— Nie o to chodzi.

— A mnie się wydaje, że o to. Co ty o tym sądzisz, Stevie?

— Mnie też się wydaje, że o to. Garrett się uśmiechnął.

— Przypominasz mi moją macochę. Ona też nie lubi Luisa.

— Macochę?

— Tak. Moja prawdziwa matka zmarła. Kellie to macocha.

— Jest fajna — oznajmił Stevie.

— Obaj wiemy, że musisz być dla mnie miły — ciągnął Garrett — bo nie podpiszę papierów. Musisz być dla mnie bardzo miły. Wiem, że cierpisz przez to jak cholera, ale co tam.

— Co to za gierki?

— To nie gierki.

— Masz zamiar podpisać dokumenty czy nie? Wzruszył ramionami.

— Nadal o tym myślę. To zależy od tego, jak bardzo będziesz miły. Dla mnie i dla moich przyjaciół. Jeśli obrazisz któregoś z nas, cóż... nie dostaniesz tego, czego chcesz.

Miałem ochotę rzucić się na niego, walnąć pięścią w pysk, ale tylko mocniej ścisnąłem poręczę fotela.

A on spojrzał na Luisa, który wreszcie pojawił się na schodach. Twarz miał dziwnie czerwoną.

— Skończyłeś? — spytał.

— Jasne. — Luis spojrzał na mnie. — Coś nie tak z twoją toaletą, człowieku. Powinieneś się nią zająć.

— Moja toaleta jest...

— Musimy już iść. — Garrett uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo. — Jutro szkoła, rozumiesz. — Spojrzał na przyjaciela. — Gotowy, Luis? — A potem szepnął jeszcze: — Do zobaczenia.

Wyszli. Odezwał się silnik hummera. Przez kilka minut siedzieli w samochodzie. Słyszałem głęboki, basowy warkot świadczący o tym, że tłumik został specjalnie przerobiony. Zgasilem światła, dając im tym sygnał, że powinni się zbierać, a także dlatego, że mogłem ich w ten sposób obserwować. Nie widziałem niczego dokładnie, ale kiwali głowami w sposób sugerujący, że rozmawiają i śmieją się, co doprowadzało mnie do szału. Wreszcie ruszyli, wycofali się z podjazdu i powoli, bardzo powoli pojechali ulicą.

Gdy tylko ucichł warkot silnika, z góry rozległ się krzyk Melissy.

— Jack!

Z toalety wypływała brudna brązowa woda. Strasznie śmierdziało. Odchody kręciły się w wodzie, rozpadały i przelewały przez krawędź na wykładzinę.

— Wezwę hydraulika — powiedziałem.

— Cody'ego też. — Melissa się dławiała. — I Briana.

4

Dorastałem na ranczach Montany. Każde z nich pamiętam dobrze do dziś, to znaczy pamiętam, jak wyglądało, gdzie stały budynki, zagrody dla koni, kryjówki. Były to rancza koło Ekalaka we wschodniej Montanie, Billings, Great Falls, Townsend, Helenie. Ojciec zarządzał nimi, a my przenosiliśmy się z miejsca na miejsce w zależności od tego, gdzie dostał pracę. Chciałbym powiedzieć, że awansowałem, ale to nie było tak. Rancza były raz lepsze, raz gorsze, ale ich właściciele, wszyscy bez wyjątku, jakoś nie potrafili się z tatą dogadać. Bo on miał własne zdanie na temat koni, krów i zarządzania całym tym bogactwem, a jeśli właściciel nie robił wszystkiego dokładnie tak, jak chciał, żeby było zrobione, mówił mamie, że „nie patrzę sobie w oczy”. Mama wzdychała i zaczynały się poszukiwania nowej pracy, a kiedy już się znalazła,

ojciec rzucał gniewnie starą, pakował cały nasz majątek do pick-upu i na przyczepę. Jechaliśmy w nowe miejsce. Jedyne stałą w moim młodym życiu byli rodzice. Dorastając, nauczyłem się za nich wstydzić.

A potem, kiedy rozważyłem wszystkie okoliczności, zrobiło mi się z tego powodu trochę głupio. Byli w końcu prostymi ludźmi, pochodzili z innych czasów, mieli inne nastawienie. Byli Joadami*. Pracowali ciężko, a kiedy świat ich wyprzedzał, nawet nie podnieśli głowy. Rzadko czytali książki.

* Tom Joad — bohater powieści Johna Steinbecka *Grona gniewu*.

Rozmawiali o ziemi, jedzeniu i pogodzie. Ojciec kupił kolorowy telewizor dopiero wtedy, kiedy nie miał wyboru. Obdarowali mnie jednak na wiele sposobów, tylko że wówczas nie umiałem tego docenić. Na przykład właściwą perspektywą. Jestem jedyną znaną mi osobą, która dorastała na dworze. Wiem, co to ciężka praca i niedostatek, bo w tym rodzina się specjalizowała. Kiedy moi koledzy narzekali na długie godziny pracy i rosące na biurkach stosy papieru, ja zestawiałem to z cieleniem się krów podczas wiosennej śnieżycy i koniecznością odniesienia nowo narodzonego cielęcia do obory w ciągu kilku minut, bo inaczej zamarznie, porykując.

Ale po prostu nie byłem stworzony do pracy na ranczo. Stawiałem ogrodzenia, cechowałem bydło, pielęgnowałem, szczepiłem, zimą zrzucałem głodującym zwierzętom siano z pick-upu i z wozów. Mimo to nie zaskoczyłem. Nigdy nie okazywałem niezadowolenia ani braku szacunku, czy to wobec ojca, czy jego pracy, jedynie brak zainteresowania. Szybko zrezygnował z prób wychowania mnie na zarządcę lub choćby kompetentnego pracownika. Mama zaś okazywała mi uczucie wyłącznie w najbardziej niestosownych momentach. Doskonale pamiętam, jak raz szedłem gruntową drogą na przystanek szkolnego autobusu i nagle zobaczyłem, że za mną biegnie. Zatrzymałem się, pochyliłem głowę i zakryłem ją rękami. Spodziewałem się lania, więc tylko zastanawiałem się, co tym razem zrobiłem nie tak. Tymczasem mama wzięła mnie w objęcia, przytuliła, pocałowała w czubek głowy i ze łzami w oczach powiedziała: „Och, jesteś całym moim światem, wszystkim, co mam, ty kochany, kochany chłopcze”. Całowała mnie i przytulała, nawet kiedy przyjechał autobus pełen wiejskich dzieciaków wiszących w oknach, wyjących i gwizdzących. Po południu, po powrocie do domu spytałem ją, o co jej właściwie chodziło, a ona zbladła jak prześciera-dło, spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami przerażona tym, że ośmieliłem się poruszyć ten temat przy ojcu. Nieprędko pojąłem, jaką głębię macierzyńskiej miłości ośmieliła się wówczas okazać. Teraz, patrząc na Angelinę, czuję taką właśnie miłość i wiem, że będę ją kochał, cokolwiek się zdarzy.

Często szukałem ucieczki w teorii, że matka w sekrecie chciała, żebym odszedł. Odszedłem, ale wcale nie jestem pewny, co tak naprawdę czuła. Sądzę, że widziała we mnie spełnienie swego własnego utajonego buntu przeciw mężowi i życiu w ogóle. Nie o to chodzi, że była zgorzkniała. Nie była. Po prostu urodziła się pod złą gwiazdą, która z czasem robiła się coraz gorsza. Musiałem się z tym pogodzić, więc się pogodziłem.

Jedynym miejscem, w którym wytrzymał się ponad dwa lata, było HS Bar, leżące między Townsend i Heleną. Jego właścicielem, którego spotkałem zaledwie raz, był inwestor, milioner z Connecticut, hałaśliwy, gadatliwy i zgryźliwy. Pojawił się na ranczo w stroju kowboja jakby żywcem wyjętym z *Bonanza* i nawet wyglądającym na kostium, a nie coś, co spotyka się w rzeczywistości. Nie lubiłem go, mówił na mnie „Jake”, a nie „Jack”, ale z powodu kiepskiego stanu zdrowia, kiepskiego rozwodu i problemów z Komisją Nadzoru Giełdowego nieczęsto go widywaliśmy. To dlatego ojciec twierdził, że jest najlepszym właścicielem, dla którego kiedykolwiek pracował. Mówił, że „patrz sobie w oczy”, co oznaczało, że właściciel się do niego nie odzywa. Jeździłem wtedy autobusem do liceum w Helenie. Byłem wyrzutkiem, jak komiksowy Bengal. Po drodze do miasta, w East Helena, czyli „po złej stronie torów”, zabieraliśmy Cody'ego Hoyta. Zaprzyjaźniliśmy się na śmierć i życie. Potem spotkaliśmy jeszcze Briana Eastmana. Między nami trzema zaskoczyło, zapewne dlatego, że żaden z nas nie należał wcześniej do jakiejś określonej grupy. Ojciec Briana był prezbiteriańskim duchownym w Helenie.

Razem polowaliśmy, łowiliśmy ryby, wędrowaliśmy i podrywaliśmy dziewczyny. Niemal od razu stało się dla nas jasne, że Brian przeznaczony jest do rzeczy wielkich. Wszystkie dziewczyny kochały Briana. Był ich najlepszym przyjacielem i powiernikiem. To dzięki niemu Cody i ja zawsze mieliśmy dziewczyny, a on nie. Dla niego żadna nie była wystarczająco dobra. A przynajmniej tak wówczas sądziliśmy.

Po ukończeniu liceum obaj z Brianem poszliśmy na studia, on na uniwersytet w Denver, dzięki stypendium, ja na stanowy Montany w Bozeman, dzięki pomocy finansowej i pożyczkom studenckim, które miały mi wisieć nad głową przez kolejnych dziesięć lat. Wyjeżdżając do Bozeman dwudziestoletnim jepelem, wiedziałem, że nigdy nie wrócę na HS Bar czy na jakiegokolwiek inne ranczo, którym będą zarządzali rodzice. Cody pozostał w Helenie. Pracował dorywczo na budowach i na ranczach, w tym pół roku na HS Bar, dla mojego ojca. Powiedział mi później, że zapisał się na akademię policyjną tylko po to, żeby już nigdy w życiu nie musieć pracować dla takiego cholernego sukinsyna jak on.

Melissę przedstawiłem rodzicom dopiero po zaręczynach, bałem się, że się przestraszy i ucieknie. Tata obdarzył ją długim spojrzeniem, po czym powiedział do mamy: „Za dobra dla niego”. Rodzice Melissy, mieszkający wtedy w Billings, jeszcze przed rozwodem, byli tego samego zdania. Z żaglami wydętymi wiatrem tak wielkiego pokładanego w nas zaufania pospieszyliśmy do Las Vegas z Brianem i Codym, samochodem Briana, zaśmiecając pobocza autostrady pustymi puszkami po piwie aż do samego końca. Gnębieni potężnym kacem przyjaciele posłużyli nam za drużbów i świadków ślubu, który zawarliśmy w Kaplicy Wydm przy Glitter Gulch*.

* Glitter Gulch — część słynnego pasażu Fremont Street Experience w Las Vegas.

Uzyskałem tytuł magistra dziennikarstwa, który okazał się praktycznie bezużyteczny. Zacząłem pracę w „Billings Gazette”. Pracowałem głównie jako asystent działu grafiki, zarabiając dolara ponad płacę

minimalną. Mieszkaliśmy w przyczepie przy MetraPark, w zasięgu wzroku — i węchu — od zagród, do których spędzano przeznaczone na aukcje bydło, dzieląc przestrzeń mieszkalną z dwoma psami, które odwiedziły nas pewnego dnia i tak już zostało. Melissa wylądowała miękko, przynajmniej w porównaniu ze mną. W ciągu dwóch lat wspięła się po drabinie służbowej od recepcjonistki do spraw rezerwacji w miejscowym hotelu przez asystentkę kierownika do stanowiska kierowniczego, a kiedy pojawił się wakat w Biurze Konwencji i Turystyki w Billings, najpierw namówiła mnie, żebym złożył podanie o pracę, a potem użyła swoich wpływów i dała mi dobre referencje. Cieszyła się doskonałą reputacją, więc zarząd biura uznał, że jej mąż też może się nadać, i tak dostałem pracę. Po kilku latach przenieśli mnie do Bozeman i do Casper w Wyoming, żebym uczył się tam turystyki. Zacząłem się czuć trochę jak mój ojciec — wędrowałem z miejsca na miejsce.

Brian po studiach został w Denver. Odniósł wielki sukces w nieruchomościach jako deweloper. Szybko stał się znanym i cenionym członkiem społeczności. Zasiadał w radzie biura w Denver. Zasugerował Lindzie Van Gear, wiceprzewodniczącej od turystyki, że mogłaby mnie zatrudnić.

Przenieśliśmy się do wielkiego miasta.

Cody został policjantem. Jego też przenosili tu i tam, z jednego małego miasteczka do drugiego małego miasteczka w Wyoming i Montanie, służył także w Kolorado, w Loveland. Jego nazwisko zaczęło się pojawiać w „Denver Post” i w „Rocky Mountains” w związku z szeregiem sensacyjnych zbrodni, w tym porwania, zgwałcenia i zamordowania studentki przez Meksykanina, nielegalnego imigranta. Artykuł w „News” nazwał go „nieustępliwym detektywem”. Ożenił się dwa razy i dwa razy rozwiódł. Zakotwiczył wreszcie w wydziale policji Denver, a ostatnio awansował na detektywa pierwszej klasy w wydziale dochodzeniowo-śledczym. Dowodził zespołem, który zatrzymał Aubreya Coatesa, nazwanego przez gazety „Potworem z Desolation Canyon”.

Wybraliśmy Denver jak wielu innych. W tym mieście prawie nie spotykałem ludzi z niego pochodzących, lub choćby z Kolorado. Poczucie wspólnoty historycznej czy kulturowej praktycznie tu nie istnieje. Wzajemne związki i stosunki są mniej więcej tak głębokie, jak ciekący przez miasto niczym krew z nosa strumyk zwany rzeką South Platte.

* * *

— Prawdopodobnie możesz oskarżyć ich o wandalizm i jestem pewien, że oni doskonale o tym wiedzą — powiedział Cody Hoyt. — Nie chodzi o to, czy masz powód do wniesienia skargi, lecz o to, czy masz jaja. Zaczepisz ich i wkurzysz.

Cody pojawił się u mnie tego samego dnia późnym wieczorem. Brian też. Larry z Pogotowia Hydraulicznego Larry'ego 24/7 nadal pracował na górze. Cody miał na sobie ten sam dres co podczas poprzedniej wizyty. Śmierdział piwem, dymem papierosowym i potem. Powiedział nam, że kiedy już odwiózł wiertarkę, pojechał obejrzeć mecz do ulubionego baru gliniarzy, blisko siedziby policji przy Cherokee Street. W miarę jak się starzał, coraz bardziej upodabniał się do ojca, nałogowego pijaka, weterana z Wietnamu, z nosem jak kartofel i wielkim brzuchem, jeżdżącego po hrabstwie półciężarówką z budą z de-

sek, zarabiającego na życie wykonywaniem różnych drobnych prac. Półautomatyczny pistolet, wsunięty za gumkę spodni od dresu, kazał mi się zastanowić, o co właściwie chodzi, a naszemu pokojowi narzucił atmosferę powagi, której mu chyba do tej pory brakowało.

Brian był zupełnie inny. Miał na sobie luźne spodnie khaki, mokasyny z frędzlami na gołych stopach i wyłożoną na wierzch bladoniebieską koszulę z długim rękawem. Włosy mu się przerzedziły, właściwie został z nich tylko cienki kosmyk nad czołem. Orzechowe oczy patrzyły na świat przenikliwie jak zwykle, a poza tym stracił na wadze i zaczynał wyglądać jak wieszak na swoje eleganckie ubrania.

Melissa, nim usiadła, zaproponowała im coś do picia. Cody poprosił o piwo, Brian o wodę z lodem i „cienkim plasterkiem cytryny”.

— Jestem pewien, że to Luis — powiedziałem. — Spędził w łazience sporo czasu. Ale nie mam pewności, czy Garrett go do tego namówił.

— Obrzydliwe. — Brian się skrzywił. — Świnie.

— Ten tatuaż, o którym wspomniałeś. „Sur-Trzynaście”. To symbol Sureños Trzynaście, miejscowej gałęzi gangu o krajowym zasięgu. W południowych dzielnicach miasta ich graffiti widzi się dosłownie wszędzie. Wiemy o nich wszystko. Handlują, głównie metadonem, w Kolorado. Sprawdzę tego Luisa u naszych ludzi z przestępczości zorganizowanej, może coś o nim wiedzą.

— Skąd on się wziął przy Garrettcie? — zastanawiałem się. — A może odwrotnie? Stevie też jest biały.

— To się zdarza coraz częściej — tłumaczył Cody. — Bogate białe dzieciaki klejące się do meksykańskich gangsterów. Mają nadzieję, że przeniknie do nich trochę tej siły i luzu. To tak jak biali raperzy, którzy strasznie chcą być kimś, kim nie są. Meksykańskie gangi rządzą Denver, jak zresztą wszystkimi miastami na Zachodzie i Południowym Zachodzie.

— A co mają z tego gangsterzy? — spytałem.

— Układy. Dostęp do szkół i dzielnic pełnych młodych potencjalnych klientów z wypchanymi kieszeniami. A poza tym ten Luis jest pewnie cwany. Wie, że ojciec Garrettta to sędzia federalny. Taka znajomość może kiedyś pomóc jemu albo któremuś z kumpli.

— Jeszcze coś — dodałem. — Znikł pilot od telewizora. Musieli go zwędzić, kiedy byłem w kuchni, szykując im coś do picia.

— Dobry z ciebie gospodarz — zakpił Cody.

— Byliśmy dla nich mili, ponieważ nie chcieliśmy zrazić ich na samym początku — włączyła się do rozmowy Melissa. — Mieliśmy nadzieję, że kiedy porozmawiają z nami, zobaczą, jaki dom ma Angelina...

Brian i Cody jednocześnie skinęli z sympatią głowami. Cody zerknął do notesu.

— Czy Garrett powiedział coś, co można uznać za groźbę?

— Nie.

— Ale zasugerował, że jeśli nie będziecie dla niego mili, nie podpisze wam papierów adopcyjnych?

— Tak.

— Słyszałaś tę wymianę zdań, Melisso?

— Nie.

Cody znów zwrócił się do mnie:

— Więc mamy tylko twoje słowo przeciwko jego słowu. Pokręciłem głową.

— Nie chodzi o to, co mówili, raczej o to, jak się zachowywali. Jakby wizyta u nas była czymś w rodzaju dobrego żartu. Patrzyli na siebie i wydawało mi się, że lada chwila wybuchną śmiechem.

— Nie było to szczególnie przyjemne — dodała Melissa. — Garrett gapił się na mnie jak na kawałek... kawałek ciała.

Zdenerwowało to przede wszystkim Briana. Wyprostował się w fotelu i ścisnął kolana dłońmi. Troszczył się szczególnie o Melissę, zawsze, od dnia naszego ślubu. Mówił, że to my jesteśmy jego rodzinną zastępczą, bo własnej nigdy nie miał. Co parę dni rozmawiali przez telefon, takie długie pogawędki bez jakiegoś określonego tematu, z których do mnie docierał tylko jej śmiech i przesadnie oburzone „Brian!”, kiedy powiedział coś szczególnie złośliwego albo pikantnego. Był przy Melissie po poronieniach. Tych dwoje łączyło coś szczególnego, czego im zazdrościłem. Nadal zdumiewało ją, że znaleźliśmy się od tylu lat, razem dorastaliśmy, i ja nie miałem pojęcia, że Brian jest gejem, a ona zorientowała się w pierwszej minucie pierwszego spotkania. Mówiła, że jest jej najlepszym przyjacielem. Partnerem Briana był Barry, architekt. Żyli z sobą od kilku lat, mieszkali razem w modnym drogim mieszkaniu przerobionym ze strychu w budynku w centrum miasta. Z Barrym trudno było się zaprzyjaźnić, mnie wydawał się sztywny, nieprzystępny, ale Melissa nie miała takich problemów. Ja rzadko go widywałem.

Melissa powiedziała mi kiedyś, że podejrzewa Cody'ego o konflikt uczuć związany ze starym przyjacielem, który odniósł tak wielki sukces finansowy... i prowadzi tak ekstrawagancki tryb życia. Tylko wzruszyłem ramionami. Uznałem, że cechuje go cynizm, z którym tak wielu gliniarzy patrzy na biznesmenów. Cody dorastał, cytując Honoriusza Balzaka (choć nie wiedział, że cytuje właśnie jego): *Za każdą fortuną kryje się zbrodnia*. Sądzę, że głęboko w to wierzył. I zapewne stosował to powiedzenie i do Johna Morelanda... i do swojego przyjaciela.

Brian spojrzał na mnie gniewnie.

— Dlaczego w ogóle wpuściłeś ich do domu?

— Myślałem, że Garrett zechce porozmawiać — wyjaśniłem. — Miałem nadzieję usłyszeć od niego, że zrzeka się praw rodzicielskich. Ale nawet o tym nie wspomniał. To ja poruszyłem ten temat.

— Nie możesz udowodnić, że to oni zabrali pilota — powiedział Cody.

— Wiem, że miałem go w ręku, kiedy zaczynał się mecz. Potem poszedłem do kuchni. Zakładam, że wtedy go zabrali.

— Po co im pilot, którego nie mogą użyć? — zdziwił się Cody.

— Trofeum — wyjaśnił Brian. — Ma znaczenie symboliczne, jakby pozbawiali cię kontroli we własnym domu. Nic więcej nie zginęło?

Oboje z Melissą rozejrzeliśmy się po pokoju. Owszem, mogli zabrać coś jeszcze, ale w tej chwili nie byłem tego pewny. Nadal miałem wrażenie, które obudziły we mnie wcześniejsze wydarzenia tego dnia: nasz dom stał się dla mnie obcy.

Oczy Melissy spoczęły na półce nad kominkiem... i zatrzymały się na niej. Widziałem, jak krew odpływa jej z twarzy. Wstała i rzuciła się w tym kierunku.

— Zdjęcie Angeliny i moje w szpitalu — wykrztusiła.

— Garrett przyglądał się zdjęciom — potwierdziłem. — Widziałem to.

— Może chce mieć zdjęcie córki? — zgadywał Brian. — Biologicznej córki — poprawiłem go.

Melissa była wrażliwa na niuanse.

— A może — zastanawiał się Cody — chce mieć zdjęcie Melissy?

Na myśl o tym zacisnąłem dłonie w pięści. Hydraulik Larry wyszedł na schody. Chrząknął. Schodząc, uśmiechał się i kręcił głową.

— No, gotowe — oznajmił. — Zawsze tak jest, kiedy dzieci zaczynają chodzić. — Wymieniliśmy z Melissą zaskoczone spojrzenia. — Mógłbym założyć kolekcję rzeczy znalezionych w toalecie. — Zatrzymał się na półpiętrze i dokończył wypisywanie faktury na podkładce. — Lalki Barbie, skarpetki, buciki. Jeden dzieciak próbował spłukać całe jabłko, bo nie chciał, żeby mama odkryła, że go nie zjadł. Problem w tym, że takimi znaleziskami interesują się wyłącznie inni hydraulicy.

— Ale... nasze dziecko jeszcze nie chodzi — powiedziała Melissa.

— Nie? — Larry podniósł wzrok znad podkładki. — Dziwne. — Zobaczył Harry'ego i roześmiał się swobodnie. — No ale w konkurencji wrzucania rzeczy do toalety drugie miejsce po dzieciach zajmują labradory.

— A co znalazłeś? — spytałem.

— Waszego pilota. Zaklinował się dość głęboko. Już się do niczego nie nadaje. Jeśli chcesz, to go oczyszczę i spróbuję doprowadzić do porządku.

— Nie trzeba. — Machnąłem ręką.

— Przed wami jeszcze sporo sprzątnięcia. — Larry podał mi rachunek. Na widok sumy aż westchnąłem. Czteryście dolarów.

— Usługa na każde wezwanie sporo kosztuje — powiedział, udając, że nic się nie stało. — Zwłaszcza po meczu, kiedy człowiek wypił parę zimnych piw i zdążył już pójść do łóżka.

Wyszedł. Wsiadł do stojącego na podjeździe pick-upu.

— Symbolizmu ciąg dalszy — westchnął Brian. — Odebrał ci kontrolę, a jego przyjaciel spłukał jej symbol w toalecie i jeszcze na niego nasrał. Niech mi ktoś powie, z jakim dzieciakiem masz właściwie do czynienia?

— Spróbujmy popracować nad jakimś planem — zaproponował Cody.

Nie położyliśmy się spać do drugiej w nocy. Prawie godzinę zajęło naszej czwórce zerwanie wykładziny, umycie jej wodą z węża na podwórku i oczyszczenie podłogi. Brian zawiązał sobie na twarzy chustkę zakrywającą nos i usta, ale i tak słyszeliśmy, jak powtarza: „Świnie”. Wcześniej zrobił kilka zdjęć toalety aparatem cyfrowym.

Był zdania, że potrzebujemy nowego adwokata, skoro wywaliliśmy Dearborna. Jakiegoś buldoga. Kogoś, kto — jego zdaniem — potrafi „dopaść Morelandów i spuścić im na łeb bombę atomową”.

— Na kogoś takiego nas nie stać — przypomniałem. — Właściwie na nic nas nie stać, z domem, z adopcją... Melissa już nie zarabia.

— Zastanawiałam się, czy ta sprawa wypłynie — powiedziała gniewnie, niż mogłem się spodziewać. Nie zdążyłem wytłumaczyć, o co mi chodzi, bo jeszcze nie skończyła. — Możemy sprzedać dom. Mogę wrócić do pracy. Dzwonili z Marriotta, z Radissona...

— Pomogę wam — przerwał jej Brian. — Nie martwcie się o pieniądze. Więcej, pozwólcie, że w tej sprawie ja będę waszym adwokatem. — Pochylił się, a jego głos opadł o oktawę. Takim głosem załatwia się interesy. — Przyjechałem do Denver jakiś czas temu. Poznałem cholernie dużo ludzi. Wielu ludzi jest mi winnych przysługę. To duże miasto, owszem, i rośnie jak wściekłe, ale rośnie na marginesach. W środku to ciągle prowincjonalne miasteczko rządzone przez klikę miejscowych, deweloperów i polityków. Są poziomy władzy. Wiem, jak to rozgrywać. Od lat uprawiam te gierki. Znam radnych, znam ludzi mediów i wiecie, że należę do wewnętrznego kręgu przyjaciół burmistrza. Jeśli się rozejdzie, że występuję w waszym imieniu, zamiast sprawy pojawi się problem. A to ostatnia rzecz, której chcą nasze ziemskie potęgi.

— Dziękuję ci, Brianie. — W oczach Melissy błyszczały łzy.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Do tej pory przez całe moje życie nikt, ale to nikt nie powiedział mi: „Nie martw się o pieniądze”.

— Nie — zaprotestował Cody. — Nie sądzę, żeby to był najlepszy plan. Nawet z pożyczką i nowym prawnikiem...

— Nic nie mówiłem o pożyczce — przerwał mu ostro Brian.

— ...nadal występujesz przeciw Johnowi Morelandowi — ciągnął Cody, traktując Briana tak, jak sam został potraktowany. — A Moreland jest sędzią. Ma więcej znajomości, niż potrafisz sobie wyobrazić. Może nająć armię prawników i doić was przez lata. Poza tym każdy sąd uzna, że może utrzymać dziecko bez problemu, a wy będziecie tylko coraz bardziej zadłużeni.

— To nie jest w porządku — syknął Brian przez zaciśnięte zęby.

— Owszem, to nie jest w porządku — przyznał Cody ze współczującym uśmiechem. — Ale fakt pozostaje faktem:

Garrett nie zrzekł się praw rodzicielskich. Może sobie być złodziejem i pieprzoną kanalią, ale prawo jest po jego stronie. I życzę szczęścia w poszukiwaniu dobrego prawnika, który zechce zadrzeć z urzędującym sędzią. Zwłaszcza z tym urzędującym sędzią.

Melissa westchnęła i opadła na oparcie kanapy. Oczy miała zaczerwienione od płaczu. Zaciśnęła usta, znałem ten ich wyraz. Z trudem powstrzymywała łzy.

— To takie niesprawiedliwe. Nie zasłużyliśmy sobie na coś takiego. Zrobiliśmy wszystko jak trzeba. Będę z nimi walczyła na śmierć i życie — powiedziała, niemal wypluwając słowa. — Zrobię wszystko, powiem wszystko, co trzeba, żeby zatrzymać córkę. Jeśli trzeba będzie flirtować z Garrettem, będę flirtowała z Garrettem.

Skrzywiłem się.

— Musimy przekonać go, żeby podpisał papiery — mówiła dalej. — Nie wierzę, żeby w ogóle interesował się Angeliną. Nie chce być ojcem i w ogóle nie potrafię zrozumieć, jaki ma w tym interes. Może po prostu korzysta z okazji, żeby nas zastraszyć?

— Wygląda na to, że cię lubi — powiedział do niej Brian.

— Nie możemy stanąć z nim twarzą w twarz. Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby zmienił zdanie.

— Więc poruszamy się w kierunku zasugerowanym przez Julie Peralę — stwierdziłem.

Melissa odwróciła się w moją stronę.

— Możesz przecież nadal być dla niego miły, prawda? A przynajmniej udawać, póki nie wymyślimy, jak go przekonać.

— Po tym, co dzisiaj zrobił? — Podniosłem rękę, wskazując piętro. — Nie chodzi o to, że on kalkuluje, nie tylko o to. Jest naprawdę zły. Spojrzałem mu w oczy i od razu zrobiło mi się zimno.

— W sądzie cholernie się to spodoba. — Cody przewrócił oczami. — Czy ty nie wiesz, że na naszym świecie, w naszej epoce, nie ma czegoś takiego jak „zło”? I jeszcze w naszym politycznie poprawnym mieście? Człowieku, musisz zacząć wychodzić z domu!

— Niektórzy nazywają to tolerancją i pochwałą różnorodności — zwrócił mu uwagę Brian. — Dość często używa się też słowa „postęp”.

Cody tylko westchnął ciężko.

— W dupie mam taki postęp. Brian nie dał się sprowokować.

— Panowie, proszę — powiedział tylko — wróćmy do tematu.

Melissa zignorowała ich spór.

— Nie chodzi o Garretta, ale o jego ojca. Gdyby można było ich rozdzielić i gdybym porozmawiała z Garrettem...

— Nie — przerwałem jej. — To nie jest dobry pomysł.

— ...może gdybym porozmawiała z nim albo pokazała, ile czasu i wysiłku wymaga opieka nad dzieckiem, to by go odstraszyło. Może wystarczy, że zobaczy brudne pieluchy, wymioty na śliniaczku, a

uświadomi sobie, że nie stać go na takie poświęcenie... nawet jeśli dziecko będą wychowywali jego rodzice.

— Ale on nie chce oglądać Angeliny — przypomniałem Melissie. — Musi mieć jakiś powód. Zakładasz, że myśli racjonalnie. Ja jakoś tego nie widziałem.

— Ty myślisz, że on jest „zły” — zakpił Cody.

— Garrett nie chce konfrontacji z rzeczywistością — powiedziała Melissa. — Próbuje unikać Angeliny, ale gdyby ją zobaczył...

Brian pokręcił głową.

— No, nie jestem pewny...

Musiałem się z nim zgodzić. Melissa spojrzała najpierw na niego, potem na mnie.

— Panowie — powiedziała zdecydowanie — musimy myśleć przede wszystkim o dobru Angeliny. Jeśli zdarzy się najgorsze, trafi do nich. Nie mówię, że tak będzie, ale nie możemy tak po prostu skreślić tej możliwości. John Moreland sprawia wrażenie człowieka wyjątkowo zdeterminowanego. No więc jeśli ma zdarzyć się najgorsze, to nie chcę zatruć ich wzajemnych stosunków.

Znów zapadła cisza, tym razem na dłużej. Byłem rozdarty.

— Jesteś zdumiewającą osobą — szepnął Brian.

To prawda, była zdumiewająca. I zdumiewające, że była moja.

Ale bałem się. Strach skręcał mi wnętrzności. Wiedziałem, że jeśli spełni się najgorszy scenariusz, jeśli Morelandowi uda się w jakiś sposób odebrać nam Angelinę, zniszczy to moją Melissę. Po tym, co razem przeszliśmy, zniszczy nas.

— Ja na to nie pozwolę — oznajmiłem. Melissa spojrzała na mnie ze smutnym uśmiechem.

— Nie pozwolę — powtórzyłem.

— Boże! — jęknął Cody i wstał. — Muszę napić się piwa.

* * *

— Co my właściwie wiemy o Johnie Morelandzie? — To oczywiste pytanie zadała Melissa. — On tu jest kluczem.

Cody wiercił się na kanapie, jakby, nim coś powie, chciał zająć więcej miejsca. Ale pierwszy odezwał się Brian:

— Spotkałem go parę razy. Zebrania towarzyskie, imprezy dobroczynne, takie sprawy. Cholernie ciężko mi to powiedzieć, ale sprawia wrażenie niewiarygodnie normalnego, sympatycznego faceta. Jest najlepszym przyjacielem burmistrza, ma doskonałe dojścia do obu senatorów, prokuratora generalnego, nawet prezydenta. Z tego, co słyszałem, wynika, że jest na dobrej drodze do czegoś większego niż federalny sąd okręgowy. Ma zajść wysoko. Wręcz promieniuje kompetencją i pewnością siebie, wiecie?

— Wiemy. — Melissa skinęła głową.

— Jego żona ma na imię Kellie — dodałem. — Garrett nazwał ją macochą. Podobno jego prawdziwa matka nie żyje.

Brian wyprostował się i skrzywił.

— Widziałem Kellie. Blondynka jak marzenie.

— A mnie zastanawia, skąd te związki z Surenos Trzynaście — wtrącił Cody.

— W każdym razie — ciągnął Brian — mogę zacząć zadawać pytania w moich kręgach. Zdumiewające, czego można się dowiedzieć o tych wysoko postawionych, wiecie? Na koktajlach, na imprezach dobroczynnych. Wlać w ludzi kilka drinków i zaraz wychodzą na wierzch głęboko ukryte sekrety. Denver niczym się nie różni od Heleny, potraficie to sobie wyobrazić? No, chyba że wielkością. Jak dobrze pójdzie, może dowiem się, że nie jest jednak taki doskonały. Zdobędziemy trochę amunicji.

Oboje z Melissą skinęliśmy głowami. Wiedzieliśmy, że jeśli chodzi o plotki, Brian nie ma sobie równych. Atrakcyjne mężatki, takie jak Melissa, czuły się wręcz zmuszone wyjawiać mu tajemnice. Oczywiście przyjemność, z jaką ich słuchał, sama w sobie była wystarczającą nagrodą.

— Tylko uważaj, żebyś nie wpadł na nieodpowiednich ludzi, bo zrobisz koło pióra Jackowi i Melissie — ostrzegł go Cody. — A przy okazji i mnie. Pracuję dla miasta. Od czasu do czasu muszę zeznawać nawet przed Morelandem. Poznałem go, kiedy był prokuratorem federalnym, a ja pracowałem w grupie międzywydziałowej.

Przez ostatnich kilka lat Cody raz i drugi skarżył mi się, że przydzielają go do zespołów złożonych z pracowników różnych agencji: z federalnych, śledczych stanowych i gliniarzy z policji miejskiej. Miał problemy z biurokracją, procedurami i kompetencjami FBI. Dochodziło do sporów. Ale to, co robił, robił dobrze i nie zależało mu zdobywaniu przyjaciół, więc w końcu rozwiązywał sprawy sam, pozwalał FBI zgarnąć zasługi i liczył na to, że zostawią go w spokoju. Nie potrafił pracować w zespole.

— Jaki jest w sądzie? — spytałem go. — Sam siebie uważa za twardego i sprawiedliwego, tak mi powiedział. No i musi mieć poczucie odpowiedzialności, skoro zdecydował się narazić nas... i swoją rodzinę... na te przejścia.

Cody skinął głową.

— Wszyscy sędziowie mówią tak o sobie, więc jego opinią raczej się nie przejmujcie. Powiedziałbym, że sędzia Moreland uwielbia być sędzią. Jest doprawdy wspaniały, jeśli ma oskarżonego, którego nie lubi od samego początku, bo wtedy posadzi go, choćby nie wiem co się działo. Można powiedzieć, że od razu wiemy, jaką podejmie decyzję. Rozpoznamy to po proceduralnych kruczkach, które stosuje, żeby było akurat tak, jak chce, by było. Jeśli uważa oskarżonego za łobuza, dopilnuje, żeby skończył w więzieniu federalnym, a jeśli z jakiegoś powodu uważa, że dorwaliśmy nie tego gościa, którego powinniśmy dorwać, nie ma mowy, żeby zmienić jego opinię. Bo z sędziami jest tak, że teoretycznie powinni wysłuchać argumentów, sprawdzić precedensy, oceniać na podstawie przedstawionych faktów, i Moreland to robi, ale też przesądza z góry, i większość z nas jest zdania, że stawia się ponad prawem. To oczywiście wspaniałe, kiedy się z nami zgadza, ale fatalne, kiedy się nie zgadza. Jednak przeważnie jest za nami, gliniarzami, a to wszystko, co nas obchodzi. A w ogóle — dodał jeszcze Cody — jutro zeznaję przed nim w sprawie Coate-

sa. No, wiecie, Potwora z Desolation Canyon. Może powinniście wpaść do sądu i zobaczyć waszego człowieka w akcji? Zaczynamy o trzynastej.

— Sądzisz, że czegoś się dowiem? — spytałem.

— Dowiesz się, przeciwko komu występujesz — powiedział Cody w sposób, który bynajmniej nie dodał mi odwagi.

Znów zapadła niezręczna cisza. Przerwał ją Brian:

— Nas powinien interesować Garrett, Melisso. Jeśli jest taki, jak obydwoje go opisujecie, to kiedyś coś musiało się zdarzyć. No bo mówicie, że wręcz promieniuje złem, a dziś pojawił się z gangsterem. Poznamy go lepiej, to może znajdzie się coś, co przekona sąd, że absolutnie nie jest materiałem na ojca, niezależnie od tego, co opowiada o nim tatuś.

Cody skinął głową.

— Ale może być trudno — ostrzegł. — Jeśli zrobił coś jako młodociany, akta mogły zniknąć.

— Ukryli je przed detektywem? — Brian uśmiechnął się złośliwie. — Przed cudem, przed gwiazdą, przed gliną, któremu federalni nie dorastają do pięt, który samodzielnie aresztował Potwora? Założę się, że ten detektyw zna milion sposobów na zajrzenie do ukrytych akt.

Skreśliłem Cody'ego. Na razie. Nie chciałem go przyciskać.

— Mogę pogadać z tym i z owym. Dyskretnie — powiedział Cody. — Ale absolutnie nie mogę mieszać się w jakieś śledztwo dotyczące samego sędziego. Muszę pozostać niepokalanie czysty. Wyobrażacie sobie, co by się stało ze mną i z departamentem, gdyby wyszło na jaw, że sprawdzam urzędującego sędziego na własny rachunek? Cholera, wyładowałbym w Montanie. Albo jeszcze gorzej.

Brian zadrzał. Ostatnim miejscem, w którym pragnąłby się znaleźć, był dom.

— W porządku — powiedział z błyskiem w oku, klepiąc się w kolano. — Mamy plan i niespełna miesiąc na jego realizację. Ja dowiem się wszystkiego, czego można się dowiedzieć o sędzim. Cody sprawdzi gówniarza. Jack, Melisso, wy róbcie to, co zawsze robiliście. Znajdźcie dobrego prawnika, niech stawia się sukinsynom tak długo, jak to tylko możliwe.

Cody podniósł rękę.

— Chcecie, proszę bardzo, ale mnie w to nie włączajcie. W żaden sposób. A poza tym sądzę, że to głupi pomysł.

— Jak to? — spytał Brian urażony. Odpowiedziała mu Melissa.

— Nie chcemy zrazić Garretta. Jeszcze nie. Najpierw musimy spróbować przeciągnąć go na naszą stronę.

Brian spojrzał na mnie bezradnie. Cóż możemy zrobić?

* * *

Brian i Melissa poszli na górę odwiedzić Angelinę, a Cody do kuchni, po kolejne piwo.

— Jesteś pewny, że masz na to ochotę? — spytałem go. — Zdaje się, że jutro stajesz przed sądem?

Wzruszył ramionami i otworzył puszkę.

— Załatwimy tego sukinsyna Coatesa. Potwór z Desolation Canyon praktycznie już nie żyje. Nie mam się czego bać, chociaż fakt, federalni są wściekli, że to ja zamknąłem sprawę. Oby tylko sędzia nie rozpoznał mnie tam, przed domem. Jeśli się dowie, że jesteśmy przyjaciółmi...

— To co?

— Właściwie nie wiem. — Wzruszył ramionami i zaczął pić piwo. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, a potem pochylił się ku mnie i powiedział cicho: — Wiem, że Brian ma najlepsze intencje, ale... no, już widzę, jak rozpuszcza jęzor przy tych swoich przyjaciółach z wyższych sfer. Dla nich to będzie prawdziwa gratka. A jeśli sędzia Moreland zorientuje się, że ktoś próbuje dokopać się brudów w jego życiorysie albo w życiorysie syna, może naprawdę dowalić wam obojgu... a przy okazji pewnie i mnie.

— Czyli? — spytałem zirytowany.

— Może na przykład wycofać ofertę załatwienia wam innego dziecka. A to cholernie hojna oferta, Jack.

— Melissa w ogóle nie bierze tego pod uwagę. Ja także.

— Chcę tylko powiedzieć, że czasami warto przyjąć najlepszą realną ofertę. Wiesz, że jestem ojcem? Mam syna?

— Co?

Cody otarł usta rękawem.

— Mam syna. Owoc pijaństwa i chwili zapomnienia z barmanką z Fort Collins. Robiłem tam za tajniaka. Ma na imię Rae Ann. Jest mężatką, właściwie to nawet ma drugiego męża, ale i tak co miesiąc wysyłam jej pieniądze dla małego Justina. Przy mojej pensji to cholerne obciążenie, ale co tam.

— Nic nam nie powiedziałaś. Wzruszył ramionami.

— Zdarza się. I w ogóle nie o to mi chodzi, ale o to, że Justin ma już sześć lat. Stajemy się sobie bliscy. Przez pierwsze pięć lat był po prostu dzieckiem. Szczerze mówiąc, mógłby być obojętnie jakim dzieckiem. Dzieci to dzieci. Ale teraz jest już prawdziwym sobą, rozumiesz? Lubi baseball i lizaki. A przez pierwsze lata był tylko takim małym tłustym czymś. Dzieci nie są ludźmi, dopóki nie podrosną, tego się nauczyłem.

— Nie rozumiem cię — powiedziałem, kręcąc głową. Cody dopił piwo.

— Chyba chcę powiedzieć, że dla mężczyzny dzieci to po prostu dzieci. Możesz wziąć następne i ono też dorośnie, będzie osobą. Hej, całkiem możliwe, że pokochasz je bardziej, niż teraz kochasz Angelię. Po prostu nie wiesz. Jeśli dostaniecie szansę z innym dzieckiem, to powiem ci, że razem z Melissą wspaniale je wychowacie.

Świat przed moimi oczami nabrał nagle czerwonego koloru.

— Cody, mam wrażenie, że zrobiło się późno, a ty jesteś pijany. Więc się zamknij, dobrze?

Podniósł uspokajająco dłoń.

— Ja tylko mówię, że...

— Wiem, co mówisz. Przestań. To nie wchodzi w grę.

— Powinieneś jednak się nad tym zastanowić, Jack.

— Nie ma takiej możliwości.

Próbował jeszcze się kłócić, ale kiedy na schodach pojawili się Melissa i Brian, powiedziałem „dość” i to go uciszyło.

— W porządku — rzekł tylko. — To co, zobaczymy się jutro?

W tym momencie nawet nie wiedziałem, czy chcę go jeszcze kiedykolwiek oglądać.

— Zadzwoń do mnie — powiedział Brian, tuląc Melissę na dobranoc.

— Zadzwonię — obiecała Melissa. Była równie zmordowana jak ja. Nie potrafiła tego ukryć. Łzy znów napłynęły jej do oczu.

— Szkoda, że nie możemy po prostu zadzwonić do wujka Jetera i poprosić, żeby zajął się sprawą.

— Cody się roześmiał.

Nawet ja uśmiechnąłem się na tę myśl. Kiedy dorastaliśmy w Helenie, Jeter Hoyt był tam prawdziwą instytucją. Jednym z powodów, dla których nikt nigdy nie tknął któregoś z nas trzech, był właśnie on, wujek Cody'ego. Opowiadano o nim wyłącznie zduszonym szeptem, i to dopiero wtedy, kiedy chętny do snucia opowieści obejrzał się przez ramię, by sprawdzić, kto za nim stoi.

— Masz dobrych przyjaciół — powiedziała Melissa, kiedy już ich pożegnaliśmy.

— Mamy dobrych przyjaciół — poprawił ją, ale nie wspomniałem słowem o tym, co mi powiedział Cody.

* * *

Przed godziną poszliśmy spać. Melissa otuliła Angelinę kołderką i szepnęła jej coś, czego mikrofon nie wychwylił. Równy oddech śpiącej córeczki był tłem naszego snu.

Spałem źle.

* * *

O czwartej rano usłyszałem niski warkot silnika przejeżdżającego ulicą samochodu. Rozpoznałem hummera Garretta.

Wyobraziłem sobie jego i Luisa. Patrzyli na nasz dom, a pomiędzy nimi leżała skradziona fotografia.

Poniedziałek, 5 listopada Pozostało dwadzieścia dni

5

W poniedziałek Angelina obudziła nas bardzo wcześnie, ale w najmilszy możliwy sposób.

— Posłuchaj — powiedziałem. — Ona śpiewa.

— Tak naprawdę to wcale nie śpiewa — poprawiła mnie Melissa. — Po prostu jest szczęśliwa.

Słuchaliśmy, jak Angelina szczebiocze i wymawia różne nic nieznaczące słowa. Twarz zasłuchanej Melissy wydawała się tak spokojna, że aż anielska.

— Wypałaś się? — spytałem.

— Raczej nie — przyznała.

— To tak jak ja.

* * *

Sala rozpraw sędziego Morelanda, mieszcząca się w gmachu Sądu Stanów Zjednoczonych imienia Alfreda A. Arraja przy Dziewiętnastej Ulicy, duża, wyłożona boazerią z jasnego drewna, oświetlona wpuszczonymi w sufit lampami, była elegancka i poważna. No i zatłoczona, jednak udało mi się znaleźć miejsce w przedostatnim rzędzie. Zająłem je niemal dokładnie w chwili, gdy na miejscu dla świadków pojawił się detektyw Cody Hoyt. Wielkie spłowiałe freski na ścianach, wykonane w latach wielkiego kryzysu, ilustrowały historię stanu Kolorado: poszukiwacze złota i srebra, budowniczości kolei, Pikes Peak*. Przypomniało mi to, że stan tworzyli głównie spekulanci, ludzie zmierzający do pieniędzy najkrótszą możliwą drogą, i że jego początki powtarzają się dziś. Ostatnią falę przybyszów stanowili ludzie tacy jak my z Melissą pozbawieni więzi rodzinnych czy kulturowych, zdecydowani pozostać tam, gdzie mieli jakąś szansę, jakieś możliwości.

* Pikes Peak — szczyt w Górach Skalistych, słynący z malowniczości.

Akustyka sali była po prostu wspaniała. Mimo jej rozmiarów i mimo że wypełniona była do ostatniego miejsca, słyszałem stłumione klikanie klawiatury protokolantki siedzącej blisko ławy sędziowskiej, szelest papierów asystentki prokuratora federalnego, przeglądającej notatki sporządzone na kartkach dużego bloku, głośne sapanie Aubreya Coatesa, lat czterdzieści trzy, oskarżonego o porwanie, molestowanie seksualne i zamordowanie Courtney Wingate, lat pięć, ostatni raz widzianej na placu zabaw niedaleko kempingu Desolation Canyon, gdzie pracował jako dozorca. Ponieważ ośrodek znajdował się na terenie narodowego parku leśnego, proces miał się odbyć przed sądem federalnym.

Jako dziennikarz spędziłem trochę czasu w salach sądowych Billings. Relacjonowałem między innymi niesławny proces dwóch Indian z plemienia Crow i ich uzależnionych od metadonu przyjaciółek,

którzy szaleli przez tydzień w południowej Montanie i północnym Wyoming, mordując po drodze małżeństwo farmerów. Potrafiłem więc rozpoznać charakterystyczną dla tej sali atmosferę spokojnej rzeczowości, powstałą zapewne dzięki temu, że sędzia Moreland prowadził sprawę równie energicznie jak gładko. Nie krzyczał, nie gestykulował, ale kiedy mówił, wszyscy go słuchali. Miał charyzmę, miał pełnię władzy w sposób najzupełniej naturalny. Nie mogłem oderwać od niego wzroku, tak jak nie można oderwać wzroku od wielkiego aktora — powiedzmy Denzela Washingtona — nawet jeśli nie wygłasza kwestii i w ogóle nie znajduje się w środku akcji. Kiedy Moreland unosił brew, słysząc zadane przez obrońcę pytanie, obrońca zaczynał się pocić, a oskarżycielom widocznie poprawiał się humor. Oczywiście obserwowałem go po to, by czegoś się o nim nauczyć, ocenić go, znaleźć słabe punkty. Jeśli widział mnie wchodzącego, to nie dał tego po sobie poznać.

Nadal kręciło mi się w głowie od wydarzeń poprzedniego wieczoru. W żołądku czułem ciężar czarnej kuli strachu przesuwającej się wyżej, do płuc, utrudniającej oddychanie.

Usiadłem z tyłu sali, obok potężnej, elegancko ubranej czarnej kobiety o szerokiej mięsistej twarzy. Miała na sobie sukienkę w roślinny wzór, niepasujący do miejsca i do zdarzeń. Rozejrzałem się. Gliniarze, dziennikarze, których znałem z telewizji i z wiadomości w kablówce, mnóstwo kibiców, zwabionych drastycznym charakterem sprawy, do których zaliczyłem także moją sąsiadkę. Miałem wrażenie, że udało mi się nawet dostrzec samego Aubreya Coatesa, a w każdym razie tył jego głowy. Siedział przy stole, twarzą do sędziego.

— Tak, to właśnie Potwór. — Siedząca obok kobieta pochyliła się w moją stronę. Nagie czekoladowe ramię, które wepchnęła mi pod żebra, promieniowało ciepłem. Jej oddech pachniał miętą i papierosami. — Od czasu do czasu odwraca się i sprawdza, kto jest na sali — wyszeptwała mi do ucha. — Chyba lubi skupiać na sobie uwagę. To chory, bardzo chory człowiek. Kiedy na mnie spojrział, zrobiłam tak... — Wyprostowała się nagle, sztywno, a jej oczy zrobiły się gniewne, martwe. — Kiedy ludzie to widzą, zatrzymują się w pół kroku, ale on tylko się do mnie uśmiechnął.

Widziałem zdjęcia Aubreya Coatesa w gazetach, zrobione oczywiście, nim się ogolił i odwiedził fryzjera. Siedział zgarbiony, mały człowieczek w źle leżącej marynarce. Kępki siwych włosów wyrastały mu nad dużymi uszami, a kiedy odwrócił głowę, żeby powiedzieć coś do obrońcy, zobaczyłem jastrzębi pożyłkowany nos, wydęte wargi i spiczastą brodę. Potem znów spojrział przed siebie, jego łysa czaszka załśniła, a lampy wyrysowały na skroni wzór szachownicy światła i cienia. Pomyślałem o naturze zła, o tym, że czasami można je wyczuć, zobaczyć.

— Jest winny — powiedziała kobieta, kiwając głową. — Nie mam najmniejszych wątpliwości. Zrobił to i więcej niż tylko to.

Wyciągnąłem do niej rękę.

— Jack — przedstawiłem się.

— Olive. — Wielka dłoń zamknęła się na mojej dłoni. — Możesz mnie pytać, o co chcesz, Jack. Znam wszystkich na tej sali. To właśnie robię najchętniej: obserwuję procesy.

— Wiesz, kto jest obrońcą Coatesa? — Miałem na myśli pulchnego mężczyznę, uśmiechającego się i zachowującego swobodnie.

Znowu skinęła głową, a jej oczy się rozszerzyły.

— Dostał najlepszego. Bertrama Ludika. Nie wiem, skąd ten śmieć wziął na niego pieniądze. Moim zdaniem, gdyby Charles Manson wynajął Ludika, do dziś chodziłby po świecie, wbijając widelce w ludzi.

— Daj spokój.

— Sam zobaczysz — powiedziała z przekonaniem, a potem dodała: — Całe szczęście, że sędzia Moreland nie pozwala Bertiemu być Bertiem.

Gestem brody wskazałem Cody'ego.

— Tego faceta znam.

— Detektyw Hoyt — szepnęła z niewątpliwą sympatią. — Chciałabym zabrać go do domu, przytułić i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

— Dlaczego? — spytałem, bardzo zdziwiony.

— Ma chorą duszę. Przyjrzyj mu się. Wielki detektyw, ale duszę ma chorą.

Po prostu kac, pomyślałem.

Cody miał na sobie granatowy garnitur, pijący pod pachami, białą koszulę i porządny czerwony krawat, nieco już spłowiały. Wyglądał na sądowego wyjadacza, nie całkiem pasującego do sądu. Szedł, powłócząc nogami, przeczesał palcami włosy, przez co tylko je potargał. Usiadł na miejscu dla świadków, ogarnął salę spojrzeniem mówiącym: „Jestem tylko gliniarzem, dajcie mi wykonywać moją robotę”. Spojrzałem na niego, ale nie byłem pewny, czy mnie zauważył.

— Przypomina się świadkowi, że nadal zeznaje pod przysięgą — powiedział sędzia Moreland.

— Rozumiem, Wysoki Sądzie.

— Pani Blair — Moreland zwrócił się do zastępcy prokuratora federalnego, atrakcyjnej rudej kobiety, konferującej przy stole oskarżenia z prokuratorem federalnym — proszę kontynuować przesłuchanie świadka.

— Dziękuję, Wysoki Sądzie. — Pani prokurator wstała i podeszła do miejsca dla świadków, trzymając pod pachą duży notes. — Mam tylko kilka pytań.

Sędzia niecierpliwym gestem polecił jej zacząć.

— Detektywie Hoyt... — przerzuciła kilka kartek — ...powiedział pan w piątek, przed przerwą w rozprawie, że ósmego czerwca zatrzymał pan oskarżonego w trakcie niszczenia przez niego dowodów rzeczowych...

Oto, co wiem o Aubreyu Coatesie, Potworze z Desolation Canyon.

Od dziesięciu lat ginęły dzieci spędzające z rodzinami wakacje w zachodnich stanach. Większości nigdy nie odnaleziono. Dzieci zniknęły z określonych terenów określonych stanów: Kolorado (Grand Junction, Pueblo, Trinidad), Utah (Wasatch, St. George), Wyoming (Rock Springs, Pinedale). Zarówno chłopcy, jak i dziewczynki poniżej dwunastego roku życia. Niemal w każdym przypadku rodzice twierdzili, że w

jednej chwili dziecko było przy nich, a w następnej już go nie było. Bawiły się na placach zabaw, przy strumieniach, na szlakach i nagle... było dziecko, nie ma dziecka.

Zniknięcie dziecka w górach nie jest niczym wyjątkowym. W górach dzieci znikają każdego lata. Bardzo często rodziny urządzają pikniki, czasami spotykają się na większych rodzinnych zjazdach i nagle ktoś orientuje się przy podwieczorku, że nie ma dziecka. Czasami gubi się, czasami wpada do rzeki, czasami wścieka się na bliskich i „ucieka”, czasami wsiada do nie tego samochodu.

Większość zaginionych dzieci się odnajduje. Pamiętam, jak kiedyś zgłosiliśmy się z tatą na ochotnika do poszukiwań małego chłopca, który znikł z kempingu przy Gates of Mountain Wilderness, na północ od Heleny. Pojechaliśmy konno. Poszukiwania pozostały mi w pamięci jako wielka, bardzo poważna przygoda. Przez dwa dni przeszukiwaliśmy ścieżki i brzegi rzeki, krzycząc „Jarrod! Jarrod!”. Na trzeci dzień Jarrod znalazł się niespełna dwa kilometry od miejsca, w którym znikł. Przyznał się, że zabłądził w lesie, położył się i zasnął. Przyznał się też, że chował się przed poszukiwaczami, bo byli obcymi ludźmi, a jego nauczono, że z obcymi się nie rozmawia... Nawet z obcymi wołającymi go po imieniu.

Patrząc wstecz na te szczególne przypadki ginących przez kilka lat dzieci, widzi się wzór, władze zaś powszechnie oskarża się o to, że nie dostrzegły tego, co dziś wydaje się oczywiste. Cody wyjaśnił mi, że to nie fair. Dzieci ginęły w trzech stanach. W ciągu dekady. Jedyne „wzór” to taki, że zdarzało się to zawsze na kempingach, a w każdym razie z dala od cywilizacji. Nie znajdowano wizytówek, żadnych dowodów mogących świadczyć o tym, dokąd zostały zabrane, niczego w tym rodzaju. Przypadki zdarzyły się na terenach trzech jurysdykcji, obejmowały je kompetencje trzech różnych zespołów policyjnych. Nie wzywano FBI, ponieważ ich związek odkryto dopiero po fakcie. Od żadnej z rodzin nie domagano się okupu, żadna rodzina nie była w jakikolwiek sposób napastowana. Nikt nie wskazał i nie obciążył nikogo.

I nigdy nie znaleziono żadnego ciała.

Aubrey Coatesa, pracującego jako gospodarz kempingów na zastępstwo, przesłuchano w sprawie czterech różnych przypadków, ponieważ jego przyczepa stała w pobliżu miejsc, gdzie ginęły dzieci. Za każdym razem odpowiadał na wszystkie pytania i nie uchylał się od współpracy. Więcej niż raz zgłosił się na ochotnika do zespołów poszukiwawczych. Nigdy nie był aresztowany, jego nazwisko nie figurowało na żadnej liście podejrzanych o czyny przestępcze o podłożu seksualnym. Strażnicy pracujący w parkach narodowych wszystkich trzech stanów znali go jako samotnika, ekscentryka od poobijanej przyczepy Airstream, najeżonej zwykłymi i satelitarnymi antenami telewizyjnymi i do odbioru Internetu, ale potwierdzali też, że jest doświadczony i można na nim polegać. Gdziekolwiek gospodarz kempingu zachorował albo wyjechał na wakacje, to z nim zawierano umowę na zastępstwo. Jego zadaniem było pobieranie opłat, sprzątanie terenu, pilnowanie, by turyści nie przedłużali pobytu poza opłacony, udzielanie rad i pomocy w stanach, w których wyjazdy na kempingi są elementem kulturowej stałej. W ciągu dwudziestu lat skarżono się na niego zaledwie dwukrotnie. W pierwszym przypadku rodzice uznali, że „przygląda się lubieżnie” ich dzieciom, druga skarga dotyczyła „nieuprzejmego zachowania”: odmówił wyjścia z przyczepy („a co on

tam właściwie robił?"), gdy chciano pożyczyć od niego pompkę samochodową. Oba „wykroczenia” uznano za pomniejsze. Poza tym skargi złożono w odstępie sześciu lat, w dwóch różnych stanach.

Coates umiał zacierać ślady. Trójka dzieci zginęła po powrocie stałych dozorców i jego nazwisko w ogóle nie wypłynęło.

Za najgorsze, zdaniem Cody'ego, należało jednak uznać to, że liczba siedmiorga dzieci przed zniknięciem Courtney Wingate była całkowicie arbitralna. W rzeczywistości Coates mógł porwać dziesięcioro, dwadzieścioro albo i pięćdziesięcioro. Przez trzydzieści lat na Zachodzie, od Nebraski do Kalifornii, zebrało się ponad siedemdziesiąt podobnych i nadal otwartych spraw. Do których należało doliczyć dziesiątki z zachodniej Kanady. I nie wiadomo, co w tamtym czasie robił Coates.

Więc skąd liczba siedem? Stąd, że policja znalazła zdjęcia siedmiorga zaginionych dzieci w laptopie Coatesa. Jeśli było ich więcej — a zdaniem Cody'ego udało mu się skutecznie wymazać większość danych ze zlokalizowanego w przyczepie serwera, a nie jedynie z laptopa — to nie tylko mój przyjaciel, ale nawet zaangażowany do sprawy ekspert nie zdołali ich znaleźć.

Coates pierwotnie oskarżony został o porwanie siedmiorga. Prokurator federalny miał nadzieję, że skłoni go do zawarcia układu: zmniejszenie kary w zamian za wskazanie, gdzie ukryte są ciała, ale zderzył się ze ścianą. Oskarżony do niczego się nie przyznawał. Twierdził, że jest niewinny. Po kilku miesiącach z siedmiu przypadków ostał się jeden: Courtney Wingate, ostatnia ofiara, zaginiona na kempingu Desolation Canyon. Coates pracował tam jako dozorca na zastępstwie, miał w laptopie kilka zdjęć dziewczynki, a jej rodzice zidentyfikowali go jako mężczyznę, który kręcił się koło ich namiotu w noc przed porwaniem.

Cody wraz z prokuratorem pokazali ławie przysięgłych sporządzoną w PowerPointcie prezentację fotografii z komputera oskarżonego jako dowód na to, że od dłuższego czasu obserwował ofiarę. Przedstawiły dziewczynkę jeżdżącą na dużym plastikowym trzykołowym rowerku, w jakimś nieokreślonym miejscu, z wielkimi sosnami w tle. Ja tymczasem zlokalizowałem jej rodziców siedzących za stołem oskarżenia. Samo wyobrażenie sobie, przez co przechodzą, wywoływało ból. Crystal Wingate, mama Courtney, była chuda, spięta i zdenerwowana, a jej pomarszczona twarz świadczyła o tym, że wie, co to ciężkie czasy, choć w tej chwili przeżywa najgorsze. Donnie Wingate, budowlaniec, miał wielkie wąsy i bokobrody. Wyglądał na człowieka, który w zamkniętym pomieszczeniu jest nieszczęśliwy. Podczas prezentacji z trudem się opanowywał, widziałem napięte niczym liny mięśnie jego szyi. Ten potężnie zbudowany mężczyzna sprawiał wrażenie wystarczająco sprawnego, by przeskoczyć przez barierkę i skręcić Coatesowi kark, nim ochrona zrobi krok w jego kierunku. Nawet chciałem, by tak się stało. Nie odrywał wściekłego spojrzenia od tyłu głowy oskarżonego, a tymczasem Cody spokojnie i metodycznie wyjaśniał znaczenie innych zdjęć i faktu, że w przyczepie znaleziono skomplikowany, choć częściowo już zniszczony sprzęt elektroniczny.

Jego zeznanie trwało jeszcze półtorej godziny i polegało głównie na streszczeniu całodziennego zeznania z piątku.

Pochłoneńo mnie całkowicie. Prostim językiem, w jednoznaczny, wyćwiczony przez lata sądowych wystąpień sposób, dawał się prowadzić zastępczyni prokuratora federalnego, pani Blair. Sam prokurator, wysoki, atletyczny i łysy, przyglądał mu się z nieskrywanym podziwem.

Cody budował zeznanie metodycznie: od telefonu Wingate'ów zgłaszających zaginięcie córki do chwili, gdy na prośbę szeryfa hrabstwa przybył na miejsce i zobaczył przyczepę dozorczy, najwyraźniej pełną elektroniki.

— Przyczepa Coatesa przypomniała mi jedno z tych mobilnych centrów łączności, których nasza armia używa za granicą — opowiadał. — Zdolnej do transmisji danych audio i wizualnych, umożliwiających dowódcom gdzieś w Nevadzie czy na Florydzie dowodzenie bitwą w czasie rzeczywistym. Anteny, zwykle i satelitarne, były dosłownie wszędzie. Generator zapewniał zasilanie na wypadek, gdyby system zainstalowany na kempingu był za słaby. Zadałem sobie pytanie: dlaczego człowiek, z jakichś przyczyn potrzebujący natychmiastowego, szybkiego połączenia z Internetem, woli mieszkać na odizolowanym od świata kempingu niż w Denver lub jakimkolwiek innym mieście? Od tego zacząłem.

Nie zaglądając do notatek, Cody relacjonował ławie przysięgłych, jak, mając na względzie tak sformułowaną wątpliwość, rozpoczął obserwację oskarżonego. Im więcej dowiadywał się o jego zwyczajach i podróżach oraz o zaginięciach dzieci w okolicach, które odwiedzał, tym poważniejsze były jego podejrzenia w sprawie Courtney. Dane otrzymane od dostawcy satelitarnego Internetu wskazywały wzory zwiększonego ruchu, sięgającego tysięcy megabajtów danych, przesyłanych w jedną i drugą stronę, ładowanych i odbieranych. Aktywność ta nasilała się w godzinach od drugiej w nocy do szóstej rano.

— Aktywność internetowa odpowiadała wzorcowi kogoś zamieszanego w dziecięcą pornografię — tłumaczył. — Podejrzany nie tylko odbierał strumieniowe wideo i inne ciężkie pliki, ale także je wysyłał.

Podczas całego tego bardzo obciążającego zeznania Aubrey Coates siedział sztywno i nieruchomo. Ani razu nie pokręcił głową, ani razu nie przewrócił oczami, tylko uważnie patrzył i słuchał. Ale to nie on mnie niepokoił. Wydawało się, że Bertram Ludik obserwuje mojego przyjaciela z rozbawieniem i nieskrywaną pogardą. I podczas gdy Cody relacjonował zdarzenia, zdaniem moim i Olive bardzo przekonująco, zdecydowanie się ożywiał. W którymś momencie westchnął głośno, ale sędzia Moreland rzucił mu spojrzenie, które skutecznie go uciszyło.

Blair odczytała z notesu pytanie:

— A więc, kiedy ósmego czerwca wszedł pan do przyczepy oskarżonego na mocy federalnego nakazu przeszukania, co pan zobaczył?

— Oskarżony właśnie niszczył dane elektroniczne. Dane z kamery wideo zostały wymazane, karty pamięci do aparatów fotograficznych znikły. W pojemniku na śmieci stojącym obok przyczepy znajdowały się spalone czasopisma. Później, po analizie zawartości pojemnika, określono je jako zdjęcia i czasopisma zawierające drastyczną pornografię dziecięcą. Wydaje się oczywiste, że w jakiś sposób dowiedział się o przeszukaniu. Nadal nie znaleźliśmy dowodów uzasadniających aresztowanie.

Blair przedstawiła dowody: zwęglone zdjęcia i magazyny, stronnice w plastikowych okładkach. Sędziowie przysięgli przekazywali je sobie z rąk do rąk. Kilku zbladło, niewątpliwie z obrzydzenia, a jeden zsunął okulary na czubek nosa i spojrzał na Coatesa, nie kryjąc pogardy.

— A komputery? — spytała Blair, wracając na miejsce. — Co znalazł pan w komputerach?

— Zdjęcia Courtney Wingate, które pokazywaliśmy przysięgłym — odparł Cody bez wahania. — Oraz zdjęcia sześciorga innych dzieci.

Te słowa wywołały na sali poruszenie, szepty i westchnienia. Oczy sędziów przysięgłych zwróciły się na Coatesa, nadal zachowującego olimpijski spokój. Była to chwila prawdy. Jakim cudem Donnie Wingate zdołał się opanować, do tej pory jest dla mnie tajemnicą.

Pani prokurator zakończyła przesłuchanie. Poprosiła sędziego o możliwość zadania dodatkowych pytań później, na co otrzymała zgodę. Wracała na miejsce za stołem pewnym energicznym krokiem. Myślałam, że gdyby w tej chwili przeprowadzić na sali badanie opinii publicznej, obejmując nim nawet sędziów przysięgłych, wyrok byłby jednogłośny: znaleźć kawałek sznura i powiesić Aubreya Coatesa na najbliższym drzewie.

Bertram Ludik wstał, odchrząknął, smutno pokręcił głową, jakby ganił Cody'ego niczym niegrzeczne dziecko, i podszedł do stanowiska dla świadków na sztywnych nogach, z rękami równie sztywno opuszczonymi wzdłuż boków. Jak niedźwiedź.

* * *

Początkowo nie potrafiłem powiedzieć, do czego Ludik zmierza, i szybko przestałem go słuchać. Zeznanie Cody'ego była dla wszystkich, łącznie ze mną, jak jazda kolejką górską, zawsze kończąca się gwałtownym zjazdem. Nie mogłem się skupić. Ludik zadawał pytania proceduralne: kiedy poproszono o pozwolenie na przeszukanie, kiedy zostało ono wydane. O której dokładnie godzinie przeszukiwanie się rozpoczęło. Według jakich kryteriów spisano znalezione w przyczepie przedmioty. Ilu funkcjonariuszy w nim uczestniczyło i jakie były obowiązki każdego z nich. Kilka razy mylił nazwiska i Cody musiał go poprawiać. Moim zdaniem wykazał się nadludzką wręcz cierpliwością. Zachowywał się z uprzejmością profesjonalisty. Widać było, że przysięgli go lubią. Adwokat wyglądał na zdezorientowanego i niezorganizowanego. Zadawał pytania dotyczące przeróżnych kwestii, po każdym robił przerwę, zaglądał do notatek, jakby zastanawiał się, czym wypełnić czas. Kiedy rozbawiony spojrzałem na Olive, zastanawiając się, czego aż tak niezwykłego i godnego podziwu kiedyś dokonał, tylko wzruszyła ramionami.

Spojrzałem na zegarek, zastanawiając się, ile czasu musi jeszcze upłynąć, nim sędzia Moreland zakończy rozprawę na ten dzień. Odtworzyłem w pamięci rozmowę z Julie Peralą i w żołądku znów poczułem kulę strachu. Pogrzeżyłem się we wspomnieniach z wczoraj.

Do rzeczywistości przywołał mnie ostry głos prokurator Blair, która nagle zerwała się z miejsca.

— Sprzeciw, Wysoki Sądzie! Pytania pana Ludika nie mają żadnych podstaw!

Spojrzałem na Olive. Usłyszała, czego dotyczyło ostatnie pytanie, i teraz wyteżała słuch, by usłyszeć więcej.

— O co chodzi? — spytałem.

— Bertram spytał Cody'ego o coś dotyczącego laptopa.

— Proszę strony do siebie — powiedział Moreland, wyraźnie zirytowany zachowaniem Ludika.

Między prawnikami a sędzią rozpoczęła się ożywiona dyskusja. Moreland przykrył mikrofon dłonią, ale prokurator federalny usłyszał wystarczająco dużo, by wstać od stołu i się do niej włączyć. Ja oczywiście nie miałem pojęcia, o co chodzi.

Ze swojego miejsca dla świadków Cody musiał coś usłyszeć i chociaż jego twarz nie zmieniła wyrazu, nagle pobladła.

Patrzył ponad naszymi głowami na jakiś nieokreślony punkt w przestrzeni, jakby obserwował swoje upływające życie. Rozpoznałem to spojrzenie i przestraszyłem się, bo widziałem je już wcześniej. Kiedy byliśmy w liceum, ojciec Briana wezwał nas trzech, posadził w swoim pokoju i spytał, który z nas włamał się do jego barku i zabrał dwie butelki bourbona. Wiedziałem, że nie ja, domyślałem się, że nie Brian, i rzeczywiście, zrobił to Cody. W końcu się przyznał, ale już wtedy wyglądał tak jak teraz. Na winnego. Ciekawe, pomyślałem, czym teraz zawinił?

* * *

Sędzia Moreland odesłał prawników. Prokurator wyglądał na wściekłego. Usiadł za stołem, oddychając ciężko. Jego asystentka, napięta jak cięciwa łuku, wpatrywała się w Cody'ego z zaciśniętymi ustami. Tymczasem Ludik uśmiechał się do przysięgłych. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że jękając się i szperając w notatkach, udawał, zastawiał pułapkę, starał się wzbudzić w świadku fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Od tej chwili jego pytania były krótkie i precyzyjne. Zadawał je wręcz z pogardą.

— Detektywie Hoyt, chcę, by coś mi pan wyjaśnił.

Cody skinął głową i natychmiast, nim sędzia pouczył go, że ma odpowiadać tak głośno, by usłyszała go protokolantka, powiedział: „Tak?”.

— Jak wynika z raportu, podczas przeszukania przyczepy mojego klienta zakwalifikowano sto osiem przedmiotów jako tak zwane dowody.

— Mam wrażenie, że tak rzeczywiście było.

— Pańskie wrażenia mi nie wystarczą, detektywie. Proszę sprawdzić notatki lub poszukać w aktach sprawy. Ja mam czas, poczekam.

Znałem Cody'ego zbyt dobrze, by wiedzieć, że jest zły, choć to ukrywa. Taką twarz i postawę przybierał na boisku jako ofensywny obrońca tuż przed tym, nim atakował linię przeciwnika i robił komuś krzywdę. Przerzucił kilka stron akt, znalazł to, czego szukał, i skinął głową.

— Owszem. Dowodów z przeszukania jest sto osiem.

— Dowody te zostały zarejestrowane przez departament policji Denver i tam też zdeponowane?

— To prawda.

— Ale... przeszukanie było wspólną akcją sił federalnych i lokalnych. Dlaczego przedmiotów nie przewieziono do siedziby jednostki federalnej, co jest normalną procedurą podczas tego rodzaju śledztw?

Cody odchrząknął. Spojrzał na Ludika nieprzyjaźnie.

— Dlatego że federalni pracują od dziewiątej do siedemnastej. Wiedziałem, że u nas ktoś będzie.

— A więc nie tylko aresztował pan mojego klienta, nie informując o tym swych federalnych partnerów i nie korzystając z ich pomocy, lecz także zabrał pan tak zwane dowody do swoich przyjaciół w śródmieściu?

— Właśnie tak.

— Interesujące. W takim razie zatrzymajmy się przy tak zwanych dowodach. Policja miejska nada je każdemu przedmiotowi numer i dołącza opis, mam rację?

— Właśnie tak.

— Każdemu przedmiotowi, nawet kawałkom zwęglonego papieru z pojemnika na śmieci, tak?

— Właśnie tak.

— Przeglądałem tę listę wielokrotnie, detektywie, ale nie udało mi się znaleźć numeru i opisu twardego dysku serwera z przyczepy mojego klienta.

Cody zmierzył go lodowatym spojrzeniem.

— Czy coś pominąłem?

— Nie. Nie znaleźliśmy twardego dysku.

— Co?

— Powiedziałem, że nie znaleźliśmy twardego dysku. Coates zniszczył go lub ukrył. Nie mieliśmy okazji zbadać jego zawartości.

Ludik potarł twarz.

— Detektywie, jestem luddystą, jeśli chodzi o komputery. Moja żona nazywa mnie nawet Ludik Luddysta. — Kilku przysięgłych zachichotało. — Proszę mi więc wybaczyć, jeśli będę zadawał oczywiste pytania.

Sędzia Moreland, niech go Bóg ma w swojej opiece, przerwał mu ten aktorski występ:

— Panie Ludik, proszę przejść do rzeczy lub zarzucić tę linię przesłuchania — zażądał stanowczo.

— Oczywiście, Wysoki Sądzie. Bardzo przepraszam. Detektywie Hoyt, proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale twardego dysku jest dla komputera jak mózg, prawda? Zawiera wszystkie pliki, całą jego pamięć?

— Tak.

— Bez twardego dysku komputer jest tylko nie działającą maszyną, prawda? A więc bez twardego dysku serwera mojego klienta nie sposób powiedzieć, do czego był używany komputer ani do czego używał go, kiedy nocami łączył się z Internetem?

— Tak.

— To samo dotyczy brakujących kart pamięci z aparatów cyfrowych?

— Tak.

— A więc wszystko, co podobno łączy mojego klienta ze zniknięciem biednej Courtney, to jej zdjęcia nie na twardym dysku komputera, używanego podobno nocami, i nie na kartach pamięci aparatów znalezionych u jego przyjaciela, lecz znalezione w jego laptopie, prawda?

— Tak — powiedział Cody głosem bez wyrazu.

— Zdjęcia Courtney, które widzieliśmy wcześniej, pochodzą z laptopa?

— Tak.

— A czy znaleźliście w laptopie coś łączącego mojego klienta z dziecięcą pornografią? Filmy, inne zdjęcia budzące zastrzeżenia?

— Nie.

Blair znów skoczyła na równe nogi.

— Wysoki Sądzie, to do niczego nie prowadzi. Fizyczne dowody pornografii dziecięcej zostały znalezione w pojemniku na śmieci koło przyczepy oskarżonego!

— Nie kwestionujemy tego faktu — powiedział spokojnie Ludik, zwracając się do sędziego. — Ale na tej sali nie zeznawał nikt mogący potwierdzić, że widziano mojego klienta palącego cokolwiek. Na magazynach nie ma nalepek adresowych, nie przedstawiono ani subskrypcji, ani danych pocztowych dowodzących, że były jego własnością lub że ich używał. Mogły przecież zostać włożone do pojemnika i podpalone przed przyjazdem policji. Albo... — Ludik zawiesił głos jak w teatrze i podszedł do miejsca dla świadków — ...ktoś mógł je podrzucić tuż przed policyjnym nalotem.

— Sprzeciw! — ryknął prokurator federalny, który do tej pory nie brał udziału w przesłuchaniu. — To pozbawione podstaw spekulacje!

— Proszę podjąć. — Moreland nie ukrywał, że jest zły na prawników obu stron. — Natychmiast!

Rozpoczęła się dyskusja krótka, lecz burzliwa. Sędzia był widocznie poruszony. Ludikowi groził palcem, a prokuratorowi kazał „dać spokój!” tak głośno, że nawet ja go usłyszałem. Uświadomiłem sobie nagle, że podziwiam sposób, w jaki prowadzi rozprawę. I przez cały czas zastanawiałem się, o co właściwie chodzi. Ludik wrócił na miejsce. Nie marnował czasu.

— Detektywie Hoyt, wróćmy do sprawy laptopa. Wymieniony jest jako dowód numer sześć, nie mylę się?

— Tak — przyznał Cody.

— Chciałbym spytać pana o coś jako doświadczonego detektywa i policjanta śledczego. Czy same zdjęcia uderzyły pana jako niezwykle lub dziwne?

Cody zawahał się i to było widać.

— Nie jestem pewny, o co pan pyta.

Ale ja byłem pewny. Nie zastanawiałem się nad tym wcześniej, dotarło to do mnie dopiero teraz. Poczulem mdłości. Olive, która też zorientowała się, o co chodzi, westchnęła i chwyciła mnie za rękaw.

— Zdjęcia dzieci — powiedział Ludik z namysłem. — Na wszystkich dzieci są w domach albo z rodzinami. Takie fotografie robią dzieciom wszyscy rodzice. Mamy je na biurkach. Prawda, detektywie?

— Nie jestem pewny... — powtórzył Cody.

— Proszę przejść do rzeczy — wtrącił Moreland.

— W tej chwili, Wysoki Sądzie — zgodził się uniżenie adwokat. Ale wahał się i patrzył w ziemię, jakby zbierał siły, jakby uginał się pod ciężarem konieczności zrobienia czegoś, czego wcale nie miał ochoty zrobić. Widać było, że gra. — Detektywie Hoyt — powiedział w końcu — nim wrócimy do tej sprawy, proszę mi pozwolić zwrócić pańską uwagę na listę dowodów zabranych z przyczepy mojego klienta. Czy zgadza się pan z opinią, że jest na niej sto osiem pozycji?

— Tak.

— Proszę pana teraz, by zwrócił pan uwagę na inny dokument w aktach sprawy. To lista sporządzona w magazynie dowodów departamentu policji w Denver ósmego czerwca. Czy pan ją znalazł?

Cody nie spieszył się, ale w końcu chrząknął potakująco.

— Proszę dokładnie jej się przyjrzeć, detektywie Hoyt. Jest to w zasadzie kopia poprzedniej listy, ale po prawej widnieje numer nadany każdemu dowodowi przez sierżanta dyżurnego w magazynie. Odbierając każdy kolejny przedmiot, sierżant jednocześnie go numerował. Mam rację?

Kolejne chrząknięcie.

— Czytam dokument, detektywie Hoyt, i widzę, że jeden przedmiot nie został zarejestrowany przez sierżanta dyżurnego magazynu dowodów rzeczowych ósmego czerwca. Jest na liście, ale został na nią wpisany dopiero dwunastego czerwca, cztery dni później. Czy widzi pan wymieniony przeze mnie przedmiot, detektywie? Mówię o dowodzie rzeczowym numer sześć. O laptopie. Wydaje się, że został zabrany z przyczepy mojego klienta ósmego czerwca, ale znalazł się w posiadaniu władz dopiero dwunastego czerwca. Czy ma pan podobne wrażenie, detektywie Hoyt?

— Tak — przyznał Cody ledwie słyszalnie.

— Czyj podpis widnieje przy wpisie z dwunastego czerwca, detektywie Hoyt?

— Mój.

— A więc... czy sierżant dyżurny popełnił głupi błąd, czy też rzeczywiście laptop przekazany został do magazynu dowodów rzeczowych cztery dni po tym, gdy został zabrany?

Cody wpatrywał się w Ludika martwym wzrokiem.

— Detektywie Hoyt, czy słyszał pan pytanie?

Mój przyjaciel wybełkotał coś, czego nie usłyszałem. Jego głos zagłuszył donośny szept widzów i dziennikarzy. Sędzia

Moreland wezwał do zachowania ciszy, a kiedy cisza wreszcie zapadła, powiedział:

— Detektywie Hoyt, proszę odpowiedzieć na pytanie.

— Ja zaopiekowałem się laptopem.

— Pan? — Ludik doskonale udał zdumienie. — Czy to zwykła procedura? Nie złamał pan przypadkiem obowiązujących w departamencie zasad?

— Chciałem sprawdzić, co zawiera. Wykonywałem swoją pracę.

— Pracę? — powtórzył Ludik z jadowitym sarkazmem. — A więc jest pan ekspertem komputerowym, detektywie? Ma pan kwalifikacje pozwalające panu na grzebanie w komputerze podejrzanego przez cztery dni, bez nadzoru? Cztery dni, podczas których mogli się nim zajmować prawdziwi eksperci? A gdzie się pan tym zajmował? W pańskiej prywatnej Jaskini Nietoperzy?

Blair wstała, nim zdążył skończyć.

— Wysoki Sądzie, to niedopuszczalne! To gnębienie świadka!

— Sędzia pozwala Bertiemu na tyle, że nie do wiary — szepnęła Olive. — Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to że nie znosi tego policjanta.

Oho! Spróbowałem złowić spojrzenie Cody'ego, ale mi się nie udało. Nie spuszczał wzroku z Ludika, oczy mu płonęły, z całej siły przygryzał wargi.

Adwokat przeprosił, ale zaraz zapytał:

— Ujmę to inaczej, za pozwoleniem Wysokiego Sądu. Detektywie Hoyt, gdzie pan spędził weekend dziewiątego i dziesiątego czerwca, bezpośrednio po przeszukaniu w Desolation Canyon? A także jedenastego czerwca? Lista obecności departamentu policji Denver świadczy o tym, że nie zgłosił się pan do pracy.

Cody oderwał wzrok od Ludika. Spojrzał na Blair i na prokuratora, zapewne oczekując, że mu pomogą. Lecz pomoc nie nadeszła. Prokuratorzy pojedynkowali się na spojrzenia, zapewne próbując oskarżyć się nawzajem o przegapienie tak ważnego szczegółu... jeśli był prawdziwy.

— Detektywie Hoyt? — ponaglił Cody'ego sędzia.

— Evergreen. — Miasteczko Evergreen leży w górach, przy I-70.

— W hotelu w Evergreen? — spytał niewinnie Ludik.

— Nie.

— A więc gdzie?

— To pan nie wie? — Cody wyszczerzył zęby w parodii uśmiechu. — Wydaje się, że wie pan wszystko, i co? Mam narysować?

— Był pan w areszcie, prawda, detektywie Hoyt? Zatrzymany za pijaństwo w miejscu publicznym ósmego czerwca, czyli w piątek wieczorem. Przebywał pan w miejskim areszcie w Evergreen do poniedziałku rano, prawda?

— Prawda — przyznał Cody. — Świątowaliśmy aresztowanie Aubreya Coatesa i chyba trochę przesadziliśmy.

— Chyba?

— Dobrze. Przesadziliśmy.

— Mój Boże! — szepnęła Olive. — Oni nic o tym nie wiedzieli!

Blair poprosiła o przerwę. Moreland odmówił. Ludik smutno pokręcił głową, jakby martwiła go ta straszna wpadka oskarżenia. Tyle godzin przygotowań, tyle konferencji prasowych, na których triumfalnie oznajmiano ujęcie Potwora, zeznania tylu świadków... co za strata czasu.

— Co działo się z laptopem, gdy pan przebywał w areszcie, detektywie Hoyt?

— Był w samochodzie, zamknięty w bagażniku.

— Jest pan tego pewny? Czyżby jakimś cudem widział pan samochód przez okno celi?

— Wysoki Sądzie! — zaprotestowała Blair piskliwym głosem. — Znów mamy do czynienia z nękaniami świadka.

— Pytanie jest w pełni uzasadnione. — Rozczarowanie Codym Moreland miał dosłownie wypisane na twarzy. Wyglądał na najbardziej z nas wszystkich zawiedzionego tym, co się stało. — I świadek na nie odpowie.

Już nie „detektyw Hoyt”, lecz „świadek”.

— To oczywiste, że nie mogłem widzieć samochodu — odrzekł Cody.

— A więc kluczowy dowód, dowód, na którego podstawie oskarżenie próbuje wysłać mojego klienta na całe życie do więzienia, przez dwa i pół dnia spoczywał w bagażniku samochodu stojącego na parkingu przed barem w Evergreen, w Kolorado, czy tak?

Cody próbował przełknąć ślinę, ale wyglądał tak, jakby bardzo go to bolało.

— Nikt nie miał do niego dostępu — zapewnił.

— Doprawdy? Jak może pan być tego pewny? Odwrócił wzrok.

— Nikt nie miał do niego dostępu — powtórzył. Ludik ustawił go sobie do strzału.

— Detektywie Hoyt, pozwoli pan, że wrócę do pytania, które zadałem wcześniej. Dotyczy ono czegoś, co nie dawało mi spokoju od czasu, gdy miałem okazję przejrzeć listę dowodów świadczących przeciw mojemu klientowi. Twierdzi pan, że jeśli chodzi o pedofilów i ich zachowania, jest pan ekspertem, i dlatego pańskie podejrzenia skupiły się na moim kliencie. Nie wydaje się panu dziwne, że zdjęcia znajdujące się podobno w jego laptopie, zdjęcia siedmiorga zaginionych dzieci, nie były bynajmniej pornograficzne ani nawet w żaden sposób zmysłowe? Że były to nieupozowane fotografie zrobione przede wszystkim przez rodziców? Że w rzeczywistości te same fotografie publikowały różne policyjne departamenty na listach osób zaginionych?

Blair nie zdołała się opanować i ciężko westchnęła. Prokurator federalny obrócił się manifestacyjnie bokiem do Cody'ego. Aubrey Coates wyprostował się powoli, oparł wygodniej i spojrzał przez ramię na rodzinę Wingate'ów, jakby chciał powiedzieć: „Widzicie?”.

— Detektywie Hoyt — powiedział Ludik po przerwie wypełnionej stukaniem młotka, którym sędzia Moreland zdołał jakoś uciszyć salę — czy skopiował pan te zdjęcia wprost z policyjnych kartotek na laptopa mojego klienta?

— Nie!

Cody o mało nie zeskoczył z miejsca dla świadków. Woźny zrobił krok w jego stronę, a Moreland bardzo stanowczo polecił mu usiąść.

— Na przykład w poniedziałek rano, gdy został pan zwolniony z aresztu w Evergreen, jeszcze nim zdeponował pan laptopa w magazynie dowodów rzeczowych?

— Powiedziałem już, że nie! — warknął Cody.

— Ale nie może pan z całym przekonaniem zapewnić sędziów przysięgłych, że nikt nie mógł zabrać laptopa z pańskiego samochodu i dokonać tego w ciągu weekendu?

Cody pokręcił głową.

— Słucham, detektywie Hoyt?

— Nie mogę tego powiedzieć z całą pewnością, ale...

— Detektywie Hoyt, czy zna pan jakąś sprawę, przy okazji której w tak drastyczny sposób przerwano łańcuch dowodowy z powodu błędu w przechowaniu głównego dowodu rzeczowego?

Cody niemal charczał.

— Znajdziemy ten twardy dysk! A kiedy go znajdziemy, nic innego nie będzie miało znaczenia. Ten człowiek — znów wstał, wymierzył palec w oskarżonego, który odpowiedział mu uśmiechem — porwał i zabił co najmniej siedmioro niewinnych dzieci. Nie możecie go wypuścić, by nadal zabijał!

Sędzia Moreland był wściekły.

— Detektywie, albo pan usiądzie i się zamknie, albo w tej chwili każę pana aresztować za obrazę sądu. — Spojrzał na sędziów przysięgłych. — Proszę, by przysięgli zignorowali ostatnie słowa świadka. Były nieodpowiedzialne i nie należy brać ich pod uwagę.

— W tej chwili nie mam więcej pytań — oznajmił Ludik, zamykając notes.

Moreland zwrócił się do pani prokurator.

— Jakieś uwagi, pani Blair? — spytał.

Blair wyglądała na oszołomioną i rozgniewaną.

— Być może będziemy chcieli zadać jeszcze kilka pytań — powiedziała słabym głosem. — W tej chwili... no... robi się późno...

— Za pozwoleniem — warknął Moreland — to ja decyduję o odroczeniu i sam potrafię odczytać godzinę z zegara. Czy ma pani jakieś pytania do świadka, czy nie?

— Nie — odparła pani prokurator.

— Woźny — syknął Moreland przez zaciśnięte zęby — proszę odprowadzić świadka.

Cody przeszedł przez salę eskortowany przez woźnego, nie odstępującego od jego boku. Gapili się na niego dosłownie wszyscy siedzący na sali, ja też, a kiedy nasze oczy się spotkały, gniewnie pokręcił głową.

— Matko Boska — szepnęła Olive — nigdy w życiu nie widziałam czegoś takiego.

Wyszedłem na korytarz. Do Cody'ego podeszło kilku jego przyjaciół gliniarzy i próbowali go pocieszyć. Warknął do nich: „Zostawcie mnie w spokoju!” i prawie pobiegł w kierunku oszklonych drzwi wyjściowych. Kilku reporterów wykrzykiwało pytania, które oczywiście zignorował.

Chwyciłem drzwi, nim zdążyły się zamknąć, pchnąłem je i wypadłem za nim.

— Cody!

Zbiegał po schodach. Nie zwracał na mnie uwagi.

— Cody!

Przystanął na chodniku i tam go złapałem. Nigdy nie widziałem go tak wściekłego. Twarz miał ściągniętą, oczy jak szparki, usta wykrzywione grymasem.

— Cholerny fiut — syknął. — Mam ochotę wrócić i dać mu w łeb.

— Ludikowi?

— Nie — powiedział, strząsając rękę, którą położyłem na jego ramieniu. — Morelandowi. Wpuścił mnie w kanał, po prostu wpuścił mnie w kanał. I rodziców wszystkich tych dzieciaków też.

— Cody, przecież to Ludik...

— Nic nie rozumiesz. Nie masz pojęcia, jak to działa. Sędzia mógł poprowadzić przesłuchanie tak, żeby wyszło na moje. Mógł ogłosić przerwę, dając oskarżeniu szansę na przegrupowanie. Pozwolił toczyć się sprawie, którą mógł przerwać. Oskarżenie zgłupiało, nie wiedziało, co ma powiedzieć. Sędzia może robić, co chce, a on chciał, żeby do tego doszło!

Znalazłem się w idiotycznej sytuacji obrońcy kogoś, kto chce zabrać mi dziecko.

— Daj mi święty spokój — warknął Cody, widząc, że znów wyciągam do niego rękę. Przez chwilę miałem wrażenie, że chce mi dać w łeb, ale tylko odwrócił się i odszedł.

Patrzyłem, jak przechodzi przez ulicę, nie zwracając uwagi na samochody, rozpaczliwie hamujące, by nie rozmazać po Bannock Street mojego przyjaciela, który nagle wypadł z łask.

* * *

Kiedy wróciłem do domu, było już ciemno. Z nieba leciały małe twarde kulki śniegu. Wcześniej zadzwoniłem do Melissy. Zacząłem jej opowiadać o tym, co się stało na sali sądowej, ale przerwała mi po kilku słowach.

— W telewizji wszyscy mówią tylko o tym — powiedziała. — Podobno został zawieszony.

Powiedziała też, że Brian spędził w naszym domu prawie całe popołudnie i że oglądali transmisję z procesu, przeskakując z kanału na kanał. Miażdżąca klęska Cody'ego stała się sensacją dnia.

Zaparkowałem na podjeździe obok lexusa Briana. Wyłączyłem silnik. Śnieg, padający na maskę i dach jeepa, szeleścił jak piasek. Siedziałem nieruchomo, nagle bardzo zmęczony. Miałem mętlik w głowie. Otworzyłem drzwi i wysiadłem, czując się tak, jakbym przekroczył setkę. Śnieg kłuł mnie w twarz i rękę. W stanie, w jakim się znajdowałem, odrętwiały, nie zwróciłem uwagi na dobiegające z ulicy dźwięki rytmicznego hip-hopu ani na znajomo brzmiący dźwięk silnika, który powinien był być dla mnie ostrzeżeniem. Położyłem rękę na klamce. W tej samej chwili muzyka głośno ryknęła. Później uświadomiłem sobie dlaczego. Samochód stanął przy krawężniku, pasażer otworzył okno i wymierzył we mnie pistolet.

Śnieg stłumił jego ciche trzaski. Dostałem dwa razy w plecy, a trzeci raz, kiedy odwróciłem się zaskoczony, w twarz. Ciepły płyn zalał mi oczy, oślepił.

Poprzez szum w uszach usłyszałem śmiech. Samochód szybko odjechał.

Paintball. Postrzelono mnie czterokrotnie z markera do paintballu. Na żółto. Kto do mnie strzelał? Garrett? Luis? Stevie? Nie miałem pewności.

Melissa zadzwoniła na policję, ja, w kuchni, ścierałem farbę z twarzy papierowym ręcznikiem. Mięło ładnych parę minut, nim moje serce zwolniło, nim wypaliła się płynąca w żyłach adrenalina. Ręka, w której trzymałem ręcznik, drżała. Przystawałem się bać, zaczynałem wściekać.

Na wezwanie przyjechał dwudziestoparoletni policjant, Latynos, z cieniutkim wąsikiem i potężnym brzuchem, grożącym oderwaniem guzików koszuli. Przyjął ode mnie skargę, zrobił zdjęcia plam farby na kurtce. Kręcił przy tym głową, a potem powiedział, że mój przypadek nie jest bynajmniej pierwszy.

— W lecie było kilka bardzo podobnych — powiedział. — Dzieciaki zakładają się, które „zabije” więcej ofiar w określonym czasie, zapisują najlepsze wyniki, stosują punktację: „zabójstwo” w tak dobrej dzielnicy jak ta to więcej punktów. Kilkoro złapaliśmy. Niektóre po prostu małpują gangsterów, ale większość to zwykłe tępaki. — Przygryzłem język. Melissa i ja wymieniliśmy spojrzenia. — Ale twierdzi pan, że nikogo nie widział? Nie rozpoznałby pan samochodu? Nie zapamiętał numerów rejestracyjnych?

— Farba mnie oślepiła. Przecież mówiłem.

— Rozejrzemy się i damy panu znać, jeśli coś znajdziemy — powiedział gliniarz głosem niepozostawiającym wątpliwości: nigdy więcej go nie zobaczymy i nie usłyszymy od niego ani słowa.

* * *

Jedliśmy. Brian zamówił chińszczyznę. W pewnej chwili odsunął się od stołu i z kieszeni na piersi wyjął telefon.

— Dzwoniłem do Cody'ego — wyjaśnił. — Nagrałem prośbę, żeby wpadł albo się odezwał, ale nie odpowiedział.

— Mam tylko nadzieję, że nie zrobi krzywdy sobie... albo komuś — mruknąłem.

Opisałem rozprawę. Melissa smutno pokręciła głową.

— Biedny Cody. Jak uważasz, Ludik naprawdę sądzi, że to on zrobił Potwora?

— Trudno powiedzieć. Ale zaszczerpił poważne wątpliwości, więc nie wiem, jak można by teraz uzyskać wyrok skazujący. Nawet ja zacząłem się zastanawiać, czy niektórych dowodów nie podłożył on albo jakiś inny glina. Nie żebym wątpił w winę Coatesa, z pewnością ma coś na sumieniu, po prostu wątpię, czy mają tyle niepodważalnych dowodów, żeby go skazać.

Melissa zadrżała.

— Jeśli go uwolnią, w Kolorado nie zaśnie już spokojnie żadna matka ani żaden ojciec.

— I oni wszyscy będą nienawidzili detektywa Cody'ego Hoyta — dodał Brian z lekką nutką złośliwej satysfakcji.

— Jednak wątpię — mówiłem dalej, ignorując go — czy da radę znów zaatakować z zaskoczenia. Wszyscy będą na niego uważali.

— Nie bądź taki pewny — rzekł Brian. — Jeśli zostanie uznany za niewinnego, jego akta pozostaną czyste. Może nawet wytoczyć sprawę i odzyskać pracę. Nie możesz nie dać pracy komuś, kogo wystawili gliniarze, nie?

— Cody z pewnością go nie wystawił — stwierdziła Melissa z urazą.

Brian położył na stole dłonie stykające się czubkami palców. Spojrzał na nią bardzo poważnie.

— Cody potrafi robić rzeczy, które z pewnością by się wam nie spodobały. Powiedziałbym nawet, że być może wraz z kumplami wytypowali tego Coatesa i zrobili coś, dzięki czemu ich sprawa miała widoki na rozwiązanie. Nie byłby to pierwszy raz. Przecież doskonale wiemy, że nasz Cody nie jest czysty jak świeżo spadły śnieg.

— Brian! — oburzyła się Melissa.

— Bardzo mi przykro, ale tak właśnie jest. Cody czerpie dumę z pakowania złych facetów za kratki i nie ma wyrzutów sumienia, jeśli raz i drugi zdarzy mu się pójść na skróty. Sam mi to powiedział. Pokazał mi kiedyś pistolet ze spiłowanym numerem seryjnym. Tłumaczył, że to broń „do rzucenia”. Że ma ją pod ręką tak na wszelki wypadek.

Melissa pokręciła głową i wzrokiem poszukała u mnie pomocy. Wzruszyłem ramionami. Tyle to i ja wiedziałem.

Na ulicach obie strony robiły różne rzeczy, ale tak, żeby nie było widać. O niektórych mówił, o innych pewnie nie. Według Cody'ego, kiedy burmistrz Halladay został wybrany, kiedy zaczął budować schroniska dla bezdomnych i ogłosił Denver ich azylem, miasto zalali nędzarze i nielegalni robotnicy, głównie anonimowi Meksykanie. Wykorzystywały ich gangi sprzedające narkotyki i oferujące ochronę. Podobno policja robiła wszystko, by jakoś kontrolować sytuację, nie wywołując sensacji informacjami o gwałtownym wzroście przestępczości. Gdy zapadła decyzja, że to w Denver ma się odbyć konwencja wielkiej partii politycznej, z biura burmistrza przyszło polecenie: „oczyścić ulice z tych ludzi”. Policja miała po cichu uporać się z falą przestępstw. Napięcie między nowymi przybyszami, gangami, policją i biurem burmistrza rosło. Policja, jeśli Cody'ego uznać za reprezentatywnego dla policji, uznała, że burmistrz otwarcie głosi „pochwałę różnorodności”, po cichu zaś każe „załatwić różnorodnych”. Wypełniano jego polecenia, ale pojedynczy policjanci doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że jeśli padnie oskarżenie o brutalność, jeśli ktoś nagra gdzieś nieodłącznym telefonem komórkowym scenę pobicia bezdomnego lub przedstawiciela mniejszości, burmistrz stanie po stronie domniemanej ofiary, ponieważ, jak to ujął jego rzecznik prasowy, „jest obrońcą uciśnionych”. Brian był niegdyś bliskim przyjacielem Halladaya, jeszcze przed objęciem przez niego funkcji publicznej. Robili razem jakieś interesy, ale potem się rozstali i ich stosunki trudno byłoby nazwać serdecznymi.

— Cody może naginać zasady — powiedziałem teraz — ale nigdy nie zrobiłby niewinnego człowieka. W tym przypadku przekroczył granicę, owszem, ale tylko dlatego, że był pewny winy Potwora, który w każdej chwili mógł znowu zamordować. Dlatego tak się wściekł na Morelanda. Nie chodziło o niego, lecz o to, że Coates jest wolny i znowu może zabijać.

— Skoro mowa o sędzim Morelandzie... — Brian wyjął z kieszeni marynarki plik papierów. — Melissa i ja zabawiliśmy się w detektywów, wiesz?

— No to posłuchajmy. Melissa wstała.

— Przebiorę Angelinę w piżamę i zaraz wracam — obiecała.

— Zdumiewające — powiedział Brian, kiedy na nią czekaliśmy — co można znaleźć dzięki Google i paru dobrze ustawionym przyjaciółom na właściwych stanowiskach. No i w dobrym towarzystwie nigdy nie zabraknie ludzi kochających obrzucać błotem innych ludzi.

Następnie streścił krótko zawodową i rodzinną historię sędziego.

— W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku John Moreland ukończył liceum Ridgeview w Asheville w Karolinie Północnej. Był doskonałym uczniem, najlepszym w swym roczniku, przewodniczącym klubu dyskusyjnego, rozgrywającym szkolnej drużyny futbolowej i tak dalej, do znudzenia. A także, z tego, co wiem, jedynakiem. Jego rodzice nie żyją.

— Naprawdę? Nie wydaje się aż taki stary.

— Ma czterdzieści pięć lat. Rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miał lat osiemnaście. Znalazłem wycinki prasowe. Policja uznała, że tata Johna musiał zasnąć za kierownicą, dlatego uderzył w drzewo. Oboje zginęli na miejscu, panią Moreland wyrzuciło przez przednią szybę. Przeleciała w powietrzu dziesięć metrów. Pojawiły się spekulacje, jakoby ktoś zepchnął ich z drogi, ale nikogo nigdy o nic nie oskarżono.

— Moreland znalazł się w gronie podejrzanych?

— I mnie od razu przyszło to do głowy, ale najwyraźniej nie. Był w domu z przyjaciółką, czekał na przyjazd rodziców. Przyjaciółka nazywała się Dorrie Pence. Potwierdziła jego słowa. Zapamiętajcie to nazwisko: Dorrie Pence.

Skinąłem głową.

— Nadal badam tę sprawę — zaznaczył Brian. — Z gazet dowiedziałem się tyle, że doszło do tragicznego wypadku.

Na pogrzebie pojawili się wszyscy, którzy powinni się pojawić, urządzono zbiórkę pieniędzy dla naszego Morelanda, tego rodzaju rzeczy. W Karolinie Północnej mam trochę kontaktów, nieruchomości, więc mogłem zbadać grunt. Pytałem dyskretnie, czy ktoś może coś słyszał. Z mojego doświadczenia wynika, że ludzie z handlu nieruchomościami najlepiej wiedzą, co się dzieje w społeczności, kto się wyprowadza, kto rozwodzi i może wystawi dom na sprzedaż, i tak dalej. Bywa, że nawet gliniarze nie mają takiej wiedzy. Na przykład ja lepiej wiem, co się dzieje w Denver, niż ten głupawy chłopak, który was odwiedził. Rozumiecie, o co mi chodzi?

— Mów dalej — ponagliłem Briana, który wyraźnie cieszył się chwilą.

— Jasne. No więc wprost z Karoliny przyjechał do Kolorado. Studiował na uniwersytecie stanowym, miał stypendium naukowe, ale też kupę forsy z ubezpieczenia na życie rodziców. Nigdy nie należał do ubogiej studenckiej braci, co to, to nie. Ukończył specjalizację „nauki polityczne”, poszedł do Szkoły

Prawa na Harvardzie, no i oczywiście skończył ją *magna cum laude*. Jak zwykle. Miał dwadzieścia cztery lata. W Denver poślubił ukochaną z dzieciństwa, niejaką Dorrie Pence.

— Ach! — wtrąciłem. — Ona dała mu alibi, on wziął ją za żonę.

— Ano właśnie. Garrett urodził się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku. Był ich jedynym dzieckiem. Jedynak, jak tatuś. Tak czy inaczej, przez kolejne kilka lat Moreland prowadził prywatną praktykę. Wyrobił sobie opinię doskonałego obrońcy w sprawach kryminalnych, po czym przerzucił się na cywilne. Uznano go za jednego z dziesięciu najlepszych prawników w kraju i tak dalej. Jak zwykle. Z tego, co udało mi się znaleźć, wynika, że należał do tych, którzy, gdy już coś robią, są w tym najlepsi. Został prokuratorem federalnym, pełnił tę funkcję przez pięć lat, ale nie to jest interesujące.

Melissa zeszła na dół z Angeliną ubraną w żółte śpioszki. Wyglądała słodko, szcziotała, wręcz wydawało się, że naśladuje Briana. Wziąłem ją na rękę, a Brian mówił dalej:

— W dwa tysiące pierwszym roku Dorrie zginęła tragicznie podczas wycieczki w góry. John i Garrett towarzyszyli jej, szli szlakiem w kanionie, kiedy zarwała się ścieżka. Dorrie spadła z wysokości dwudziestu metrów i uderzyła głową o kamień. Mąż i syn byli świadkami wypadku, lecz nie zdołali jej pomóc. Okazało się, że w chwili śmierci była w szóstym miesiącu ciąży z drugim dzieckiem.

Wymieniliśmy z Melissą znaczące spojrzenia.

— Uznano to za wypadek? — spytałem. Brian skinął głową.

— W gazetach nie ma nic, co sugerowałoby cokolwiek innego. Morelanda opisywano wręcz jako zrozpaczonego i zdruzgotanego. O Garretcie nie znalazłem prawie niczego, no ale miał wtedy zaledwie dwanaście lat. Odbył się uroczysty pogrzeb z udziałem ojców miasta, polityków i tak dalej, i tak dalej.

— A więc oboje rodzice oraz pierwsza żona giną w wypadku — podsumowałem. — Dziwne. Zналиśmy kogoś, kto zginął w wypadku? Jakoś nie pamiętam.

— Twój wujek Pete — przypomniała mi Melissa. — Miał wypadek na łodzi, prawda? Utonął czy coś?

— No dobra, kogoś znaleźliśmy.

— Co wiemy o Dorrie? — spytała Melissa. — Ktoś ją znał?

— Dobrze to chyba nikt — odparł Brian. — Sędzia Moreland uczestniczył, i uczestniczy, we wszystkich wydarzeniach towarzyskich w Denver, kwestach i tak dalej. Widuję go tam na własne oczy, jest jak element krajobrazu. Ona nie przepadała za światłem reflektorów, wiem o tym z plotek. Wygląda na to, że zwróciła się ku Kościołowi. Kiedy brali ślub, była katoliczką, tu bardzo związała się z życiem parafii. Co rano chodziła na mszę i w ogóle. Sądząc po zdjęciu ślubnym w gazetach, wyglądała bardzo... no... zwyczajnie. John, przystojny jak gwiazdor filmowy, poślubił dziewczynę niebłyszczącą urodą, tęgawą, która z czasem zrobiła się po prostu gruba. Moje najlepsze źródło opisało ją właśnie jako grubą, nieśmiałą, źle czującą się w tłumie. Nie była to dobrana para.

— Niezbyt wygodna partnerka dla mężczyzny robiącego karierę — prychnęła Melissa.

— Ale los mu sprzyjał — ciągnął Brian. — Niemal dokładnie dwanaście miesięcy po śmierci Dorrie John Moreland poślubił eks-modelkę i spadkobierczynię kosmetycznej fortuny, Kellie Southards. Ślub był bardzo uroczysty. Tego samego, dwa tysiące drugiego roku został mianowany federalnym sędzią sądu okręgowego na okręg Kolorado.

— Rok to dość krótko jak na kogoś, kto miał być zrozpaczony i zdruzgotany — zauważyła Melissa.

— Rzeczywiście, interesujące — przytaknąłem, myśląc intensywnie. — Ale nie zapomnij, że to wszystko to wyłącznie spekulacje. I że rozmawiamy o sędzim, najwyraźniej bardzo lubianym, a także dysponującym cennymi powiązaniem. Być może wyciągamy pochopne wnioski.

— Przejdźmy do Garretta — zaproponował Brian. — Oddaję głos Melissie.

* * *

— Garrett Moreland wydaje się bardzo inteligentnym chłopcem, mającym bardzo poważne problemy — rozpoczęła Melissa. — Nie sądzę, by była to dla was nowina. Dowiedziałam się także, że bardzo trudno jest otrzymać jakiegokolwiek informacje o młodocianym oficjalnymi kanałami.

— A skąd wiesz to, co wiesz? — spytałem, pełen podziwu.

— Przyjaciółka przyjaciółki, z którą pracowałam w śródmieściu, jest psychologiem w jego szkole w Cherry Creek. Dziś po południu, kiedy ty byłeś na procesie, my spotkałyśmy się na kawie. Na początku nie chciała o nim mówić, bo wiesz, oni nie powinni tego robić, ale kiedy dowiedziała się, w jakiej jesteśmy sytuacji — gestem głowy wskazała na śpiącą w moich ramionach Angelinę — zdecydowała się pomóc. Oczywiście przysięgam, że dochowam tajemnicy. Ale, Jack... to, czego się od niej dowiedziałam, sprawiło, że jestem jeszcze bardziej zdeterminowana, by walczyć z Morelandami do końca.

— Nie żebyś przedtem nie była zdeterminowana — mruknąłem.

— Owszem, byłam. Sądzę, że mamy do czynienia z poważnie chorym chłopcem.

— Czego się dowiedziałas? — spytałem, czując, jak przeszywa mnie dreszcz.

— Garrett miał pewną... reputację... nim poszedł do liceum. — Z torby na pieluchy stojącej na podłodze Melissa wyjęła bloczek, w którym zapisywała listę zakupów. — Nie był kimś zupełnie nieznanym. W gimnazjum zdarzyło się coś, czym zyskał sobie pewną sławę. Moja znajoma usłyszała o tym od kolegi po fachu. Najwyraźniej psycholog z gimnazjum doskonale znał Garretta, ponieważ miał okazję rozmawiać z nim rok wcześniej, zaraz po śmierci matki. Powiedział, że jego zdaniem jest on pozbawiony uczuć, że nie zdołał do niego dotrzeć, sprawić, by żałował straty w normalny sposób. W każdym razie, ponieważ Garrett też go znał, pewnego dnia przyszedł do niego ze skargą na kolegów, którzy nie chcieli mieć z nim nic wspólnego. Domagał się, żeby szkoła ich za to ukarała. Dał psychologowi listę tych, których powinno się ukarać. — Pokręciłem głową. — Na pytanie, dlaczego należy to zrobić, powiedział, że nie chcą już chodzić z nim do szkoły i w ogóle unikają go przy każdej okazji.

— Ot, dzieciaki — prychnąłem, pamiętając, jak okrutne potrafią być nastolatki.

— Przy każdym nazwisku — mówiła Melissa — napisał odpowiednią karę. Dwóch kolegów należało, jego zdaniem, napiętnować rozżarzonym żelazem, jeden powinien nosić przez miesiąc dziewczęce ubranie, a ostatniego należałoby wykastrować.

Brian zagwizdał cicho.

— Psycholog, bardzo zaniepokojony, poszedł z tą listą do wicedyrektora. Zwróćcie uwagę na to, że od masakry w liceum Columbine minęły zaledwie dwa lata i nauczyciele byli szczególnie uwrażliwieni na tego rodzaju zagrożenia. Ale wicedyrektor znał, zdaje się, ojca tego specyficznego ucznia, więc postanowił uporać się z problemem po cichu. Obaj z Morelandem doprowadzili do spotkania chłopców, zaproponowali, by spróbowali dojść do porozumienia. Z rozmowy wynikło, że koledzy uważają Garretta za dziwnego, niesamowitego i że się go boją. Dostał reprimendę za listę, ale nie został oficjalnie ukarany. Psychologa doprowadziło to do furii. Kiedy Garrett poszedł do liceum, opowiedział o wszystkim koleżance, tej, z którą byłam na kawie. W liceum — kontynuowała Melissa — pojawiły się kolejne niepokojące objawy. Garrett był, i może jeszcze jest, zainteresowany pisarstwem. Napisał kilka nieprawdopodobnie brutalnych sztuk teatralnych i opowiadań. Psycholog, z którą rozmawiałam, czytała je. Zgodziła się z nauczycielem angielskiego, że autor przekroczył dopuszczalne granice. Tortury, ścinanie głów, tego rodzaju rzeczy. Bardzo interesowało go zachowanie przestępców. Rozmawiała z Garrettem na ten temat, ale dowiedziała się od niego tylko tego, że istnieje wolność słowa i on ma do niej prawo, szczególnie jako artysta. Zagroził też, że jeśli nauczyciele przeszkodzą mu w karierze, włączy w sprawę ojca.

— A ja myślałem, że za takie rzeczy wyrzucą się ze szkoły — powiedziałem, przypominając sobie to, co słyszałem i czytałem, choćby o uczniu, którego wywalono, bo w torbie na lunch miał plastikowy nóż do masła.

— Wyrzucą się — przytaknął Brian. — Ale kogo, to już najwyraźniej zależy od tego, kim ten ktoś jest. A zwłaszcza kim jest jego ojciec.

Melissa nie dała się zbić z tropu.

— Garrett przyniósł książki ze szkolnej wypożyczalni, ze scenami gwałtu i brutalnymi obrazami, oraz wypożyczone w Blockbuster filmy tak brutalne jak to, co pisał. Argumentował, że jego dzieła nie są niczym gorsze od tego, co każdy może dostać praktycznie wszędzie.

— Oto przyszły obrońca w sprawach kryminalnych — powiedziałem, myśląc o tym, co dziś pokazał Ludik.

— Więc w końcu znów uszło mu na sucho — mówiła dalej Melissa. — Moja znajoma powiedziała, że po tym nabrał odwagi. Odwagi dodawały mu także pieniądze, z którymi wręcz się obnosił. Zawsze miał najlepszy samochód, najlepsze ciuchy, najlepszy komputer. Jako pierwszy w Cherry Creek dostał iPhone'a. I tak dalej. Uczniowie go za to nie lubili, ale i udawali przyjaźń, bo warto było się z nim kolegować. Chętnie woził kumpli, fundował im lunch, kupował alkohol.

— I tu pojawia się sprawa jego związku z gangiem — wtrącił Brian, a Melissa skinęła głową.

— W drugiej klasie zaczął pokazywać się w towarzystwie gangsterów ze śródmieścia na szkolnych meczach koszykówki i futbolu. To była jego paczka. Potrafił wykorzystać sytuację. Kumple z gangów dawali mu siłę. Więc mamy dzieciaka dysponującego pieniędzmi i siłą i nikt, ani nauczyciele, ani szkolny psycholog, nie robi w tej sprawie nic. Jednocześnie w tym samym roku szkoła zaczęła mieć problem z narkotykami. Znajoma podejrzewa, że to kumple Garretta handlowali na potęgę krystalicznym metadonem i nie tylko.

— Obrońca kryminalny i głowa gangu jednocześnie. Zabójcza kombinacja — zauważył Brian.

— Możemy to udowodnić? — spytałem.

— Przed sądem? Przed sędzią, jeśli doprowadzimy do przesłuchania w sprawie prawa do Angeliny? — upewniła się Melissa.

— Tak. — Po raz pierwszy poczułem nadzieję.

— Cóż, nietrudno chyba będzie znaleźć byłych uczniów szkoły potwierdzających to, czego dowiedziałam się od psycholog.

Brian, ożywiony, skinął głową.

— Jeśli znajdziemy odpowiedniego adwokata, takiego buldoga, jeśli zorganizujemy paradę uczniów i nauczycieli pamiętających Garretta, już widzę, jak sędzia uznaje, że powinniście zatrzymać Angelinę dla jej dobra i bezpieczeństwa.

Bardzo pragnąłem mu uwierzyć.

— Tylko pomyśl, Jack — cieszył się Brian — mamy faceta, którego rodzice i pierwsza żona zginęli w niejasnych okolicznościach, a syn to zaliczka na Człowieka z Blizną. Jaki sąd zdecyduje się oddać im małą dziewczynkę z drobnych powodów proceduralnych?

— Być może wcale nie musi do tego dojść — dodała Melissa. — Być może wystarczy, jeśli porozmawiamy z sędzią Morelandem, powiemy mu, co wiemy. Jestem przekonana, że nie spodoba mu się pomysł wywlekania sekretów rodziny na światło dzienne. Może mamy już wystarczająco dużo, żeby się od nas odczepił.

* * *

Położyliśmy Angelinę do łóżka i siedzieliśmy do późna, rozmawiając. Brian podsycił nasz optymizm, nasze nadzieje. Potrafił doprowadzić do tego, że Melissa śmiała się z jego żartów, a to było po prostu cudowne. Miałem wrażenie, że dnie i noce pełne strachu się skończyły, że nasze obawy zaczynają powoli ustępować.

* * *

Brian ubierał się do wyjścia, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Oboje z Melissą znieruchomieli i spojrzeli na mnie, a ja na zegar. Była pierwsza dwadzieścia.

Strach i wściekłość, czające się we mnie pod cienką pokrywą spokoju, wypłynęły na światło dzienne. Czy to wrócili chłopcy? Jeśli tak, nie uda im się znów mnie upokorzyć. Pobiegłem na górę po czterdziestkępiątkę.

— Jack! — krzyknęła Melissa na widok colta, którego ściszałem w garści.

— Oni mogą sobie mieć markery do paintballu, ale to ja mam prawdziwą broń.

Brian pokręcił głową.

— Nooo... nie wiem...

Otworzyłem jednak szeroko frontowe drzwi, gotów, więcej, chętny wymierzyć w twarz Garretta i Luisa.

Cody potknął się o próg. Ledwo trzymał się na nogach. Oczy miał załzawione, na jego głowie i ramionach topniał śnieg.

— No już — wybełkotał. — Strzelaj.

Odłożyłem rewolwer. Obaj z Brianem pomogliśmy mu wejść. Z trudem szedł, musieliśmy dosłownie zaciągnąć go na kanapę. Opadł na nią bezwładnie. Śmierdział bourbonem.

— Cody, masz na sobie krew — zaniepokoiła się Melissa. — Nic ci nie jest?

Nie zauważyłem tego od razu, ale rzeczywiście: spodnie przyjaciela i przód jego kurtki pokryte były kwiecistym czerwonym wzorem. Dłonie też miał okrwawione, z pozdzieraną z kostek palców skórą.

— Czuję się po prostu rewelacyjnie — wybełkotał — ale ten dzieciak w hummerze, z markerem do paintballu, chyba nie może tego o sobie powiedzieć.

7

Wydaje się, że podobnie jak wiosenne, także jesienne śnieżyce w Górach Skalistych podporządkowują sobie świat, odcinają człowieka od rzeczywistości, wytrącają z równowagi, zmuszają do rozejrzenia się po kuchni i zadania sobie pytania: „Czy mamy co jeść?”.

Ale tego dnia, gdy Cody pojawił się w naszym mieszkaniu pijany i zakrwawiony, śnieg nie odwrócił naszej uwagi, raczej zaostrzył ją po krótkim okresie nadziei, a rzeczywistość uczynił bardziej konkretną. Twardą.

* * *

Siedziałem za kierownicą jeepa, mając przy sobie Briana. Krążyliśmy powoli uliczkami wokół naszego domu, szukając dzieciaków lub samochodu, który Cody opisał. Śnieg sypał pionowymi białymi pasami płatków wielkości żetonów do pokera, tak gęstymi, że tłumiły dźwięk i rysowały wokół latarni barwne halo. Nie ochłodziło się wystarczająco, by zamarzał, jeszcze nie, ale spadało go na ziemię tak dużo i tak szybko, że po prostu nie topniał. Puchate kulki odbijały się od dachu samochodu, osiadały na wycieraczkach.

W kilku sąsiednich domach za zasłonami widać było światło, w trzech czy czterech paliło się też światło na ganku. Płatki śniegu niczym tłuste ropy w lecie krążyły wokół źródła blasku i nagle wraz z blaskiem znikły. Wokół nas zrobiło się czarno.

— Oho? — zdziwił się Brian. — A to co takiego?

— Nie ma prądu — stwierdziłem. — Pewnie burza przerwała gdzieś linię.

— Cudownie. Tylko tego nam brakowało.

— Jezu... a co powiedział Cody, nim zasnął? — spytałem.

— Coś o tym, że omal nie uderzył w tył samochodu jadącego ulicą bez świateł. Zobaczył, kto jest w środku, więc pojechał za nim.

— Nie powiedział, gdzie to było? — Głos miałem piskliwy z napięcia. Przy krawężnikach i na podjazdach nie widziałem żadnego nieznanego samochodu, a te, które widziałem, przykryte były mniej więcej piętnastocentymetrową warstwą śniegu, pod którą trudno było rozpoznać markę i model, zwłaszcza po ciemku.

— Nie sposób było go zrozumieć. Schlał się do nieprzytomności. Z tego, co udało mi się poskładać, zajechał im drogę i chłopcy próbowali uciec, ale jednego z nich dorwał. Ale w jego stanie? Nie zdziwiłbym się, gdyby mu się to wszystko przywidziało.

— Krew na ubraniu nie była przywidzeniem — odparłem.

— Nie wiemy przecież, czy to, co się zdarzyło, zdarzyło się właśnie tu — zauważył rozsądnie Brian. — Poza tym nadal jestem więcej niż pewny, że powinniśmy zadzwonić na policję. To oni szukaliby teraz samochodu i jego pasażerów.

— I aresztowali Cody'ego.

— Może powinno się go aresztować?

— Słyszałeś, co powiedziała Melissa. Brian tylko westchnął.

— Ciekawe, czy nie wzywając ich, już naruszyliśmy prawo?

— Nie mam pojęcia — przyznałem.

— Ale przynajmniej wiemy, że powinniśmy ich wezwać, prawda?

— Chyba tak.

— I nie wezwiemy, co?

— Nie ma mowy.

* * *

Przejechałem bardzo powoli główną uliczką mojego osiedla, przy końcu skręciłem w lewo, pod zgaszoną latarnią. W ciemności, w śnieżycy, nawet najbliższa okolica wydawała mi się obca. Miałem to samo dziwne, nieprzyjemne uczucie co wtedy, w niedzielę, kiedy odwiedził nas Moreland i mój własny dom nagle zmienił się w coś, czego nie znałem i w czym wcale nie czułem się dobrze.

— O, tam! — Brian wskazał coś przez szybę.

W połowie następnej przecznicy stał hummer H3 Garretta, zaparkowany krzywo, przednim kołem na chodniku, tyłem na ulicy. Światła mojego jeepa prześlizgnęły się po nim, ujawniając, że w środku nikogo nie ma. Zbliżyłem się do niego powoli.

— Pusto — stwierdził Brian. — Gdzie oni się podzieli?

— Cody powiedział, że jednemu udało się uciec. A drugi?

Nie bardzo chciałem zatrzymać się przy hummerze, któryś z sąsiadów mógł wyrzeć przez okno. Ja bym go w tych ciemnościach nie zobaczył, lecz mógłby rozpoznać mnie lub choćby samochód. Zastanowiłem się nawet, czy może ktoś już zwrócił uwagę na H3, w końcu nie jest to samochód nierzucający się w oczy, i zawiadomił policję. Pomyślałem, że w każdym razie ktoś zgłosił już awarię elektryczności. Zawróciłem przy końcu przecznicy. Nie zatrzymałem się.

— Nie za szybko — poprosił mnie Brian. — Chcę coś zobaczyć.

— Tam jest — powiedziałem, wyciągając rękę.

— Gdzie?

— Tam.

Coś, co wyglądało jak kupka ubrania, leżało jakieś trzy metry od granicy chodnika, na trawniku domu ludzi, których nie znałem. Było ciemne, spore, przysypane śniegiem. Mijaliśmy to, gdy dostrzegłem, albo wydawało mi się, że dostrzegłem, zakrwawioną twarz i cienki wąsik. Na trawniku stał też ośnieżony znak „Na sprzedaż”, postawiony przez lokalną agencję handlu nieruchomościami. Mimo braku elektryczności dom otaczała aura spokoju. Pomyślałem, że najprawdopodobniej w środku nie ma jednak nikogo.

— Luis — powiedziałem. — Nie Garrett, Luis.

— O rany... — Brian złapał mnie za ramię. — I co zrobimy?

— Nie jestem pewny.

— Nie żyje? A jeśli żyje, to szybko zamarznie.

— Wiem.

— Gdzie jest Garrett? Rozejrzałem się i pokręciłem głową.

— Poczekaj, znajdę miejsce do zaparkowania — powiedziałem. — Muszę pomyśleć.

— O Jezu! — Brian nie używał tego zwrotu od czasu liceum. — Jeśli włączą prąd... jeśli pokażą się gliniarze... albo Garrett...

— Wiem!

Przejechałem do końca przecznicy. Zawróciłem. Podjechałem do krawężnika, zatrzymałem się, wyłączyłem światła i silnik. Hummer stał jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, po drugiej stronie ulicy. Luis leżał nieruchomo, wyglądał jak czarny kleks na białym śniegu. Moje oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności, dostrzegłem ślady biegnące od drzwi kierowcy hummera w górę ulicy i ginące w mroku. Tam uciekł Garrett.

— A jeśli on żyje? — spytał Brian, gestem głowy wskazując nieruchomego Luisa. Głos miał piśkliwy, pełen napięcia.

Żałowałem, że nie mogę wykrzesać z siebie iskry sympatii, ale o Luisie wiedziałem tylko tyle, że napaskudził mi w łazience i zaatakował mnie markerem do paintballu. A także to, że koleguje się z chłopakiem, który chce nam odebrać córkę. Sama myśl o nim wywoływała gniew. W doskonale prosperującym mieście, którym Denver niewątpliwie jest, rozkwitającym ekonomicznie i dającym szansę każdemu, kto zechce z niej skorzystać, on wybrał rolę członka brutalnego ulicznego gangu handlującego narkotykami.

Nie było przecież tak, że nie miał wyboru. Gdyby umarł, w ogóle by mnie to nie obeszło. Ale czy mogę siedzieć tak i patrzeć, jak umiera?

A tak, owszem.

Nie chciałem tylko wplątać w to Cody'ego.

Sięgnąłem do klamki i w tym momencie na śniegu pojawił się słaby blask. Znieruchomiałem. Płatki padającego śniegu zmieniły się w żółte iskry. Światła samochodu. Ktoś nadjeżdżał.

— Nie mogą nas zobaczyć — powiedziałem. Obaj osunęliśmy się na siedzeniach.

— O rany — jęknął Brian. — Co powiemy, jeśli to gliniarze?

— Jeśli nas nie zobaczą, nie będziemy musieli nic mówić.

— Mnie dobrze znają w tym mieście, Jack — przypomniał Brian. — Mam tu wielu przyjaciół... i wielu wrogów. Jeśli mnie tu złapią, to nie ma mowy, opiszą wszystko w gazetach.

— Wiem. Nie zapominaj, dla kogo pracuję.

— Tak, ale...

— Ale co? — warknąłem. — Jesteś ważniejszy ode mnie? Masz więcej pieniędzy?

— Szczerze mówiąc, odpowiedź na oba pytania brzmi „tak”. Tylko chodzi o to, że jeśli się coś stanie, nie będę mógł wam pomóc, tobie i Melissie.

Nieźle się broni, pomyślałem.

Siedziałem tak, że mogłem obserwować, co się dzieje, w kawałku przedniej szyby między deską rozdzielczą a górnym łukiem kierownicy. Nagle zdałem sobie sprawę, że jeep jest prawdopodobnie jedynym samochodem na tej ulicy, którego jeszcze nie przysypał śnieg. Że się wyróżnia. Śnieżycą się nasiliła, owszem, zasypywała przednią szybę, pokrywała dach, ale i tak byliśmy jakieś trzy centymetry do tyłu.

Zobaczyliśmy nadjeżdżający samochód. Skręcił i zatrzymał się przy hummerze, nie gasząc świateł. Był to starszy, amerykański wóz, nisko zawieszony, czterodrzwiowy, z całą pewnością nie radiowóz. Już raczej podrasowany klasyk, niektórzy Latynosi je uwielbiają. Otworzyło się jednocześnie troje drzwi, w środku zabłysła lampka. Zobaczyłem Garretta siedzącego obok kierowcy Latynosa. Za nimi też siedział Latynos. Obaj ubrani byli w luźne kurtki, luźne spodnie i wielkie, niezasnurowane, ciemne buty.

— Garrett i gangsterzy — szepnąłem do Briana. — Wrócili po Luisa.

— Zauważyli nas?

— Jeszcze nie.

Czterdziestkapiątka leżała na siedzeniu tuż przy moim udzie. Przesunąłem ręką po tapicerce powoli, bardzo powoli, aż namacałem gładką drewnianą kolbę. Uchyliłem okno, chciałem słyszeć, o czym rozmawiają.

Kierowca i Garrett podbiegli do leżącego Luisa, krzycząc, żeby wstał.

— Hej, kurwa, człowieku, wstawaj! — Kierowca trącił go czubkiem buta. — Wstawaj, kurwa, bracie...

Latynos z tylnego siedzenia został przy samochodzie, jakby stał na czatach. Ręce wsadził w kieszenie, pomyślałem, że pewnie ma broń, może nawet dwie sztuki. Spojrzał wzdłuż ulicy najpierw w jedną stronę, potem w drugą, prześlizgnął się wzrokiem po moim jeepie. Twarz miał nieruchomą, jakby martwą: okrągły pojemnik na ciasto z kępką włosów pod dolną wargą i ciężkimi opadającymi powiekami.

Garrett i kierowca naszarpali się z Luisem, ale w końcu udało się im dźwignąć go na nogi. Chwycili go za ręce, zarzucili je sobie na ramiona i ruszyli do samochodu. Miałem wrażenie, że próbuje im pomóc, samodzielnie porusza nogami, ale nie mogłem być tego pewny. Kiedy wsadzali go do samochodu, głowa kiwała mu się bezwładnie, a potem opadła na kurtkę. W świetle wewnętrznej lampki wydawało mi się, że na jego twarzy i ubraniu widzę plamy krwi. Odniosłem wrażenie, że żyje, ale ledwo ledwo.

Za to całkiem dobrze widziałem twarz Garretta, ohydną, wykrzywioną z wściekłości. Powiedział coś o markerze paintballowym, chłopak na czatach zszedł z posterunku, przespacerował się po trawniku, znalazł go i przyniósł. To byli oni, jasne.

— W porządku — powiedział głośno, zatraskując tylne drzwi. Kierowca wślizgnął się na swoje miejsce, chłopak z czatów usiadł obok niego. Garrett cofnął się, odwrócił i trzymając w ręku kluczyki, podszedł do hummera. Sięgnął do klamki, ale naraz znieruchomiał, a potem spojrzał w naszym kierunku, mrużąc oczy.

— No nie... — szepnąłem.

— Co?

— Chyba nas zauważył.

Podniosłem czterdziestkępiątkę z siedzenia i położyłem ją na kolanach. Nagle, idiotycznie, zacząłem się zastanawiać, czy mój colt to rewolwer bez samonapinania, czy może z samonapinaniem. Czy muszę ręcznie odwieść kurek, czy też wystarczy ściągnąć spust? Chryste...

Samochód Latynosów zawrócił ostrożnie w padającym gęsto śniegu i odjechał w kierunku, z którego przybył. Szalejąca zamieć sprawiła, że tylne światła wydawały się różowe. Garrett pozostał przy H3. Obejrzał się za odjeżdżającymi przyjaciółmi. Niemal widać było, o czym myśli. Bez wsparcia nie był już taki pewny siebie. Znow pomyślałem o moim jeepie stojącym przy krawężniku, jeszcze niezasypanym śniegiem tak, jak wszystkie inne stojące przed nim i za nim samochody, zdecydowanie się wyróżniającym. Czy zwrócił uwagę na to, czym jeżdżę? Na jeepa na podjeździe naszego domu?

Szedł ku nam w ciemności, środkiem ulicy, jak rewolwerowiec. Dzieliło nas dwadzieścia metrów. Sięgnął ręką za plecy po coś, co miał za pasem, drugą ręką podniósł do ucha telefon komórkowy. Blask wyświetlacza oświetlił jego przystojną twarz. Pomyślałem, że pewnie zawraca przyjaciół.

Odciągnąłem kurek, cylinder obrócił się, gruby pocisk w komorze tylko czekał. Mierz tam, gdzie jest najszerszy — przypomniałem sobie naukę z polowania na jelenie i łosie w Montanie. Jeśli będziesz musiał, strzelaj raz za razem.

Garrett był już tylko dziesięć metrów od nas. Zwolnił, pochylił się i próbował zajrzeć do wnętrza jeepa.

W tym momencie włączono prąd. Latarnie uliczne zatrzeszczały i zapaliły się, rozbłysły światła na gankach i w domach.

— Jak w Boże Narodzenie — szepnął Brian. Nasze oczy zdążyły przyzwyczać się do ciemności i teraz światło wydawało się nam ostrzejsze, niż było w rzeczywistości.

— Bo dla nas to jest Boże Narodzenie.

Garrett zawrócił, podbiegł do samochodu, wsiadł i odjechał z rykiem silnika. Brian wyprostował się i odetchnął głęboko.

— Użyłbyś go? — spytał, wskazując colta.

— Tak.

— Dobrze, że nie użyłeś. Wcale nie byłem tego taki pewny.

* * *

Wślizgnąłem się do łóżka. Za oknem naszej sypialni nadal padał śnieg. Byłem zmordowany, wyczerpany, a trzy ibuprofeny miały ochronić mnie przed nadchodzącym wielkimi krokami bólem głowy. Brian znikł, gdy tylko wróciliśmy, mówiąc nam na pożegnanie, że ma tylko nadzieję, iż ręce przestaną mu drżeć przynajmniej na tyle, by mógł prowadzić. Cody spał na kanapie w salonie i chrapał. Melissa zdjęła mu buty i marynarkę, a potem przykryła narzutą.

Nie chciałem jej obudzić, ale okazało się, że oczywiście nie śpi.

— Co wyście tam właściwie robili? — spytała. Opowiedziałem jej, nie pomijając niczego.

— Nienawidzę go — prychnęła, kiedy skończyłem, mając na myśli Luisa — ale nikomu nie życzyłabym zamaznięcia na śmierć, chociaż czytałam, że to jak zasypianie. Nie czuje się bólu.

Nie bardzo wiedziałem, jak zareagować.

— Czy Garrett może powiązać Cody'ego z nami? — spytała. — Czy wie, że Cody to nasz przyjaciel? Czy będzie nas winił za to, co zaszło?

— Nie wiem — przyznałem szczerze. — Chyba wszystko zależy od tego, czy powiedział coś, czy po prostu zaczął bić Luisa.

— Jestem pewna, że coś powiedział.

— Spyamy go jutro. Może będzie pamiętał?

— Och, Jack, już było źle, a robi się jeszcze gorzej.

Skinąłem głową, chociaż w ciemności nie mogła mnie widzieć. Melissa przewróciła się na bok pod kołdrą, poczułem na piersi jej ciepłą dłoń.

— Znowu wzięłeś prysznic. Dlaczego? — spytała.

— Chyba czułem się brudny.

— Która godzina?

— Już prawie trzecia.

— Idziesz jutro do pracy?

— Muszę.

Położyła głowę na moim ramieniu. Jej włosy ślicznie pachniały.

— Tak bym chciała, żebyś został w domu. Powiedziałibyśmy, że nas zasypało. Zostalibyśmy sami, tylko my. Rodzina.

— I Cody — przypomniałem jej.

— I Cody — powtórzyła, śmiejąc się cicho. Spojrzałem przez okno. Śnieżyca wyraźnie słabła.

— Zostalibyśmy sami, tylko my. Rodzina — powtórzyła Melissa cicho. Pocałowałem ją w usta. Oddała mi pocałunek, ale zaraz odsunęła głowę.

— Nie tak — powiedziała. — Nie teraz. Teraz chcę tylko, żebyś mnie przytulił.

Przytuliłem ją.

Przez głośnik usłyszeliśmy, że Angelina zaczyna kręcić się w łóżeczku i płakać. Melissa błyskawicznie oprzytomniała, wysunęła mi się z ramion i opuściła bosc nogi na podłogę.

— Co...?

— Ma złe sny — powiedziała, wstając. Włożyła szlafrok. — Ma złe sny od niedzieli, od wizyty Morelandów. Nie wiem, może odbiera, co czuję? Przyniosę ją.

Wyszła z sypialni. Usłyszałem kwilenie Angeliny i ten dźwięk rozdzierał mi serce. Skrzypnęły sprężyny materaca w łóżeczku, Melissa mówiła coś do córki.

— Chyba pozwolę jej spać tutaj, przynajmniej przez pewien czas — szepnęła do mnie, już w sypialni. Przesunąłem się, Melissa położyła Angelinę między nami. Mała spała smacznie. W rozproszonym, padającym z okna świetle wydawała się spokojna i bardzo zadowolona z życia. Niezwykle długie rzęsy rzucały cień na policzki, różane usta się uśmiechały. Oddychała niemal niewidocznie, wydmuchując odrobiny słodkiego powietrza. Grzbietem palców przesunąłem delikatnie po jej pyzaty policzku. Był taki miękki, a ona taka mała.

— Tylko nie przewracaj się z boku na bok, bo ją przygnieciesz — ostrzegła Melissa.

Tego zawsze się bałem, więc przesunąłem się i zrobiłem jej więcej miejsca.

— Mamy trzy tygodnie — powiedziała Melissa — a ty wyjeżdżasz na cały tydzień.

— Nie na cały — sprostowałem. — Wrócę natychmiast po spotkaniu z Malcolmem Harrisem.

— Mimo wszystko...

— To, co znaleźliście z Brianem i o czym dzisiaj mówiliście, sprawiło, że stałem się optymistą. Sędzia i jego synalek nie są aż tak doskonali i tak potężni, jak sądziliśmy.

— Rozmawiałam o tym z Codym, kiedy wyjechaliście.

Może i nie był całkiem sobą, ale to, co powiedział, nie brzmiało zbyt zachęcająco.

— Jak to? — spytałem, zaniepokojony.

— Opowiedziałam mu o wszystkim, a on tylko pokręcił głową i powiedział: „Plotki. Zasłyszane. Nie ostaną się w sądzie”. — Melissa próbowała naśladować jego charakterystyczny kpiący głos.

— Przecież dopiero zaczęliśmy — zaprotestowałem. — Teraz musimy to wszystko udowodnić.

— A jeśli nam się nie uda? Plotki to nic. Wszyscy plotkują. Co innego, kiedy chce się wszystko udowodnić.

— Nie musimy udowadniać, że rodzice i żona Morelanda zginęli w tajemniczych okolicznościach.

— Pomyśl tylko, a zobaczysz, że tak naprawdę to nic nie znaczy. O ile wiemy, sędziego nigdy o nic nie oskarżono, nawet nie podejrzewano! A Garrett to po prostu kapryśny nastolatek. Jest w tym coś dziwnego?

— Cody tak powiedział? — spytałem, już trochę zły.

— Nie. Dużo o tym myślałam. On ma rację, dysponujemy plotkami, niczym więcej. Nie możemy postawić się potężnemu sędziemu i jego synowi, mając do opowiedzenia wyłącznie kilka historyjek. Musimy coś udowodnić. Jakoś.

Mijały minuty. Im więcej o tym myślałem, tym większą miałem pewność, że Melissa się nie myli. Resztki nadziei sprzed kilku godzin wyniosły się po cichu z naszej sypialni, jakby wstydziły się swojej obecności.

— Kochanie — powiedziałem — nie ma sensu szukać prawnika i iść do sądu. Nawet jeśli coś na nich znajdziemy, w tej chwili to Garrett może oskarżyć o usiłowanie zabójstwa nas.

Melissa westchnęła.

— Może Brian znajdzie coś bardziej konkretnego. Obiecał, że pogrzebie głębiej. — Było zupełnie tak, jakby nie usłyszała tego, co jej właśnie powiedziałem. — Mogę nadal drażnić te szkolne sprawy, ale na razie mamy tylko to, co jeden psycholog opowiedział drugiemu psychologowi. Gdybym to ja była sędzią, nie chciałabym nas nawet słuchać.

— Powiniennem zastrzelić sukinsyna.

— Jack, nie waz się nawet mówić takich rzeczy! Gdybyś go zastrzelił, poszedłbyś do więzienia! To dziecko potrzebuje ojca... a ja bardzo potrzebuję męża.

* * *

— Myślałam o różnych dziwnych rzeczach — powiedziała po chwili Melissa. — Luis był przecież czyimś dzieckiem. I Garrett też był dzieckiem, kiedyś.

— To rzeczywiście dziwna myśl — przyznałem.

— Jack, kocham cię.

— Ja też cię kocham.

— Co teraz będzie?

— Nie wiem.

— Musimy bronić dziecka.

— Tak.

— Byłeś dziś bardzo odważny.

Słuchałem Melissy z przyjemnością, ponieważ nigdy nie myślałem o sobie jako o człowieku szczególnie dzielnym. Oczywiście chciałem, żeby uważała mnie za prawdziwego mężczyznę, i przysiągłem so-

bie, że nigdy nie dam jej powodu, by myślała inaczej. Do tej pory nigdy nie rozważałem sytuacji w takich kategoriach, choć chyba każdy mężczyzna zastanawia się, co by zrobił, gdyby musiał wybierać: walczyć czy uciekać.

— Zostawiam was same — powiedziałem, wstając. — Jestem zbyt podminowany, żeby zasnąć. Wrócę i postaram się was nie obudzić.

Melissa już zasypiała, delikatnie tuląc do siebie Angelinę. Zatrzymałem się na progu i obejrzałem przez ramię. Moja żona i moja córka razem, w łóżku, oddychające cicho.

* * *

Nie zapalałem światła w dużym pokoju, tylko włączyłem telewizor. Ponieważ pilot został zniszczony, musiałem wcześniej znaleźć odpowiedni przycisk. Okazało się, że jest nastawiony na CNN. Nic mnie to nie obchodziło i nie chciało mi się zmieniać kanałów bez pilota, więc usiadłem w fotelu. Blask monitora oświetlił Cody'ego śpiącego na kanapie pod narzutą. Od czasu do czasu rzucał się, od chrapania albo dlatego że puścił baka. Czulem zapach przetrawionego bourbona, jakby wydzielał go całym sobą. Uśmiechnąłem się, porównując go z Angeliną. Ciekawe, pomyślałem, kiedy wydzielane przez człowieka zapachy stają się takie obrzydliwe.

Nad ramieniem prezentera widać było napis: POTWÓR Z DESOLATION CANYON i zdjęcie zrobione Coatesowi na posterunku policji, zaraz po aresztowaniu. Cięcie i na ekranie pojawiła się korespondentka, Erin Jakaś tam, stojąca przed budynkiem sądu kilka godzin temu, kiedy śnieg dopiero zaczął padać.

— Oskarżenie Aubreya Coatesa musiało dziś przyjąć potężny cios — mówiła ładna ciemnowłosa dziewczyna — kiedy w procesie prowadzonym przez sędziego Johna Morelanda...

Oglądałem telewizję, nie skupiając uwagi ani na obrazie, ani na słowach. Widziałem wściekłego Cody'ego wychodzącego ciężkim krokiem z sali sądowej i warczącego coś do kamery. Spojrzałem na masywną postać goszczącą w naszym domu.

— Założę się o torebkę pączków — kończyła relację dziennikarka — że jeśli oskarżenie nie wystąpi z czymś równie potężnym, jak niespodziewanym, Aubrey Coates zostanie uniewinniony. To na razie wszystko. Anderson?

— Korespondencję tę nagraliśmy wcześniej — powiedział prowadzący. — Erin, wiesz, torba pączków w polewie będzie w sam raz.

— Skurwysyn... — warknął przez sen Cody, miotając się w niespokojnym śnie.

Piątek, 9 listopada

Pozostało szesnaście dni

8

Minęły trzy dni. Gazety nie wspominały ani słowem o Luisie. Nie miałem pojęcia, czy żyje, czy nie. Nie odwiedziła nas policja, Garrett i jego ojciec nie dawali znaku życia. Jakby tamtej nocy w ogóle nie było. Mógłbym powiedzieć, że z każdym mijającym dniem czułem coraz większą ulgę, ale to wcale nie było tak. Wręcz przeciwnie, żyłem w coraz większym napięciu, oczekując kolejnego ataku i zastanawiając się, czy tym razem kule będą przypadkiem prawdziwe. Ani przez chwilę nie wątpiłem, że zostaniemy zaatakowani.

Ogólnie mówiąc, kobiety znacznie lepiej odbierają uczucia i wyczuwają motywację w kontaktach międzyludzkich niż mężczyźni, ale mężczyźni instynkt nie zawodzi w jednej sprawie: wiedzą, kiedy zaczyna się wojna. Wstrząsnęło mną tylko jedno: to, jak łatwo ześlizgnąłem się z brzegu w główny nurt.

* * *

W piątek pojawiłem się w biurze bardzo wcześnie, by przed wyjazdem uporządkować sprawy. Mimo to nie byłem tam jedynym pracownikiem. Jim Doogan, szef sztabu burmistrza, przeszedł szybko korytarzem, ale przy moich drzwiach zatrzymał się i demonstracyjnie zajrzał do środka. Pomachałem mu na powitanie.

— Muszę napić się kawy — powiedział i poszedł dalej.

Uśmiechnąłem się. Facet nawet się nie przywita, jeśli przedtem nie wypije kawy.

Doogan był dziwnym człowiekiem, przynajmniej pod tym względem, że wyglądał dokładnie tak, jak sugerowało jego nazwisko. Irlandczyk z końca lat pięćdziesiątych, tęgi, krótko ostrzyżony, rudy, ze sporym udziałem siwizny. Toporny, bardzo różnił się od burmistrza: młodego, szczupłego, przystojnego w nieco kobiecy sposób i manifestującego energię tak gwałtowną, że tylko czekało się, aż tryskające z niego iskry podpalą papiery w koszu na śmieci. Ale... był chodzącą koniecznością. Był kimś, kto odstraszał pochlebców i lobbystów, gdy zabierali burmistrzowi za dużo czasu. Był kimś, kto eliminował zakłócenia i naprawiał to, co się popsuło, zawsze z dala od wścibskich oczu mediów i wyborców. Kimś, kogo wysyłało się do kogoś twierdzącego, że Halladay coś mu obiecał, z wyjaśnieniem, że skąd, burmistrz tylko dostrzegł istnienie problemu. Czułem do niego coś w rodzaju sympatii. Nie był śliski, już raczej przypominał mi ludzi z Montany, handlarzy bydłem czy komisarzy hrabstw, którzy, kiedy już cię wykorzystali, obejmowali cię i proponowali postawienie piwa.

Najwyraźniej burmistrz miał dziś poranne spotkanie z prezesem naszego biura, H.R. „Tabem” Jonesem. Nim do nas trafił, Jones był szefem jego kampanii, zarządzał także funduszem wyborczym. Wysoki, hałaśliwy i niewątpliwie śliski, z tego, co wiedziałem, nie był jednak tak nieznośny, jak niektórzy z jego poprzedników. Wywodził się z sektora bankowego, nic nie wiedział o promocji turystyki, ale to go nie powstrzymywało. Na spotkaniach zespołu rzucał popularnymi w biznesie modnymi sloganami: „metryki”,

„zespół umiejętności”, „paradygmat”, „perspektywa światowa”, lecz często używał ich nieprawidłowo. Zachęcał nas, byśmy „przekraczali granice” i „myśleli niestandardowo”. Na półkach za biurkiem trzymał wszystkie najnowsze bestsellery z dziedziny technik biznesu i motywacji. Nienagannie gładkie grzbiety świadczyły o tym, że nawet ich nie otworzył.

Doogan wrócił wreszcie z kubkiem kawy. Wszedł do mojego pokoju i zamknął za sobą drzwi. Wcześniej nigdy ich nie zamykał. Spojrzałem na niego i usiadłem wygodniej. Poczulem intensywny zapach jego płynu po goleniu.

Pokręcił głową i zacisnął wargi, jakby to, co miał mi powiedzieć, bardzo go smuciło.

— Brian Eastman? — spytał i natychmiast dodał: — Kiepski pomysł.

Znikł, nim zdążyłem go zapytać, skąd tak szybko dowiedział się wszystkiego i, co ważniejsze, skąd dowiedział się tego burmistrza.

* * *

Nieco później, po spotkaniu zespołu kierowniczego, zajrzała do mnie Linda.

— Czym, do cholery, udało ci się tak wkurzyć burmistrza? — powiedziała na dzień dobry.

— O co ci właściwie chodzi?

Wyjaśniła, że od Taba Jonesa dowiedziała się, iż burmistrz Halladay pytał go właśnie o mnie.

— Spytał, czy jesteś kompetentny, czy raczej można się po tobie spodziewać najgorszego. Czy nie staniesz się przypadkiem kulą u nogi. Tab przysięga, że bronił ciebie i całego wydziału, ale moim zdaniem jego przysięgi są głównie warte. Moim zdaniem — tu posłużyła się miazdząco doskonałą imitacją charakterystycznej dyrektorskiej manieri Jonesa — wyraził szok i troskę i obiecał, że zbada sprawę. — Wróciła do własnego głosu. — Najprawdopodobniej oznacza to tyle, że twoje dni są policzone. Co przywołuje moje pytanie: czym, do cholery, udało ci się tak wkurzyć burmistrza?

Zrobiło mi się strasznie zimno. Rozpaczliwie potrzebowałem tej pracy.

— Burmistrzowi niczym się nie naraziłem — powiedziałem — ale całkiem możliwe, że John Moreland zasugerował mu to i owo.

Mówiąc to, zadałem sobie pytanie: czy Garrett powiedział ojcu, co się stało w poniedziałek wieczorem? Czy może skłamał, wymyślił jakąś historyjkę o tym, jak to przyjechał do nas zobaczyć Angelinę, no i zaatakował ich wariat, a jego przyjaciela, nieprzytomnego, porzucono przed pustym domem, by powoli zamarzał na śmierć? Czy to nagłe zainteresowanie moją osobą przyniosła moja przyjaźń z Codym, gliniarzem w niełasce, czy z Brianem, który miał układy z burmistrzem, nim został on burmistrzem? Czy Brian trafił pytaniami we wrażliwe miejsce? Czy może wszystkiemu winien jest sędzia Moreland?

Uświadomiłem sobie, że Morelandowie nie potrzebują kul ani markerów do paintballu. Nie muszą atakować w ten sposób. Śniadanie z burmistrzem prowadziło ich do tego samego celu krótszą drogą.

— Nie wychylaj się — poradziła Linda. Przyglądała mi się uważnie i niemal widać było, jak pracowicie myśli, jak w jej głowie obracają się trybiki. — Akurat teraz nie mogę sobie pozwolić na to, by cię stracić. Wcale nie jestem pewna, czy uda się nam znaleźć kogoś na twoje miejsce. Przy tym budżecie... A

nawet gdyby się udało, szukalibyśmy mięsacarni, a nie mamy mięsicy. Sezon targów zbliża się wielkimi krokami.

— Zrobię, co w mojej mocy — obiecałem. — Jak zawsze.

Linda skinęła głową. Wiedziała, że nie kłamię, ale nadal patrzyła na mnie... jak właściciel wyścigowego konia na obiecującego źrebaka, który właśnie okulał.

* * *

Miałem lecieć do Berlina w niedzielę, za dwa dni, i wylądować na Tegal w poniedziałek, pięć po siódmej rano. Spakowałem się. Walizkę miałem przeraźliwie ciężką: laptop, kartki ze szkicami ofert, wizytówki, broszury, sześciopak coorsa dla Malcolma Harrisa, który go uwielbiał. Opuszczałem dom na tydzień, miałem wrócić w sobotę. Muszę przyznać, że myślami byłem już na lotnisku.

Próbowałem przekonać Melissę, że na ten czas powinna przenieść się z Angeliną do swojej matki, do Seattle, ale nie chciała o tym słyszeć. Nadal była zła, że rodzice się rozwiedli, nie lubiła też drugiego męża mamy. Nawet w naszej sytuacji nie chciała zapewnić sobie bezpieczeństwa kosztem oglądania matki, jak to ujęła, „z czapką w rękę”.

* * *

Cody został z nami. W nocy spał na kanapie, w dzień oglądał telewizję i pomagał, gdy nadarzyła się okazja. W odróżnieniu ode mnie był złotą rączką, poza tym miał sporo wolnego czasu. Zreperował zawiasy przekrzywionych drzwi, naprawił toaletę, aż wreszcie przestała cieknąć, pomalował kuchnię. Dowiedziałem się od Melissy, że robi sobie przerwy tylko na transmisje z procesu Coatesa i papierosa, którego wypalał na tarasie. Wyznał jej też, że nie pamięta, co powiedział tamtej nocy Luisowi, ale ma wrażenie, że „odegrał Brudnego Harry'ego na gazie”. Poprosił, żebyśmy pozwolili mu mieszkać, aż obozujący pod drzwiami jego domu dziennikarze „znudzą się i wyniosą”. Zgodziliśmy się oboje. Melissa doceniała jego pomoc i cieszyła się z towarzystwa, a mnie bardzo podobało się, że będzie przy niej ktoś uzbrojony, kto potrafi użyć broni i nie unika przemocy. Na wypadek gdyby Garrett wpadł na pomysł złożenia nam kolejnej wizyty. Z przyjaciółmi.

Sobota, 10 listopada

Pozostało piętnaście dni...

9

Brian pożegnał nas tej nocy, gdy Cody pobił Luisa, i do końca tygodnia nie dał znaku życia. Odwiedził Nowy Jork, Chicago, St. Louis i Bay Area, w interesach. Utrzymywał kontakt z Melissą, wysyłając jej SMS-y z lotnisk, w przerwach między lotami. Melissa zachowała je i kiedy wróciłem do domu, dała mi do przeczytania. Przejrzałem je w sobotę przy porannej kawie.

DOWIADUJĘ SIĘ CORAZ TO NOWYCH RZECZY O SĘDZIM. NIE MOGĘ SIĘ DOCZEKAĆ, KIEDY WAM O WSZYSTKIM OPOWIEM.

A potem:

ROZMAWIAŁEM Z PRZYJACIELEM, KTÓRY PRZESZEDŁ NA CIEMNĄ STRONĘ. POWIEDZIAŁ, ŻE MOGĄ BYĆ RUJNUJĄCE SĘDZIEGO ZDJĘCIA. MOŻE TO TROCHĘ KOSZTOWAĆ.

— Jakie zdjęcia? — powtórzyłem pytanie.

— Sama go o to spytałam SMS-em. Nie odpowiedział. — Westchnęła. — Sam wiesz, jak lubi dramatyczne efekty. Nie chce nam po prostu powiedzieć, chce urządzić przedstawienie.

Cody stanął na progu w pochłapanym farbą podkoszulku. Nie golił się od dobrych trzech dni.

— Jedźmy do miasta — powiedział.

— Nie masz nic przeciwko temu? — spytałem Melissę.

— Nie. Pod warunkiem że przywieziecie obiad i nie przesadzicie z piciem. Pamiętaj, lecisz jutro.

Wczesnym rankiem.

Jakbym mógł o tym zapomnieć.

* * *

Badania federalne wskazują na Denver jako najszczuplejsze miasto w Stanach Zjednoczonych, czyli o najmniejszym procencie otyłych. Denver i Portland. Zdrowie i aktywny odpoczynek są dla nas religią. Wiem o tym doskonale, bo takimi właśnie informacjami handluję za granicą. Cody odwrotnie: zaciągnął się papierosem z rozkoszą narkomana, rozparł na siedzeniu, zamknął oczy i powoli wypuścił dym. Rozkoszował się tym tak wyraźnie, że niemal pożałowałem, iż nie palę.

W dni powszednie na drogach panował ruch. Duży ruch. W takie dni porównywałem naszą uliczkę na przedmieściach na zachodzie do sezonowego potoczku, takiego, jaki płynął przez ranczo w Great Falls, którym ojciec zarządzał przez jakiś czas. Jak strumyk, nasza uliczka wpadała do większego strumienia/ulicy na naszym osiedlu, strumień wpadał do C-470, która z kolei była dopływem wielkiej, bystrej, zmierzającej do centrum rzeki (Interstate 70 do I-25). Gdy tylko stawałem się częścią tej rzeki, żłobiącej dolinę w drodze ku drapaczom chmur, stadionom i w ogóle centrum miasta, zmieniałem się w małe zwie-

rzątko, rybkę bojącą się o własne życie. Zmienne prądy płynęły w poprzek pasów ruchu, coraz szybsze i coraz potężniejsze. Odpływy (zjazdy) zmniejszały ciśnienie, owszem, ale na krótki czas, ponieważ dopływy (wjazdy), więcej niż wyrównywały ubytki. Byłem małą rybką w oceanie pełnym małych rybek. Wieczorami, niczym łosoś i krzak, wracałem pod prąd do mojego małego rodzinnego strumyka, gdzie czekały na mnie Melissa i dziewięciomiesięczna Angelina, i świat znów był dla mnie dobry.

W sobotni rano na pasach międzystanowej 70 prowadzących do miasta było luźno, w odróżnieniu od pasów wiodących w przeciwnym kierunku, na zachód, w góry. Niektóre stacje narciarskie ruszyły już dzięki wcześniejszym opadom śniegu i armatom śnieżnym, a ja, jak długo żyję, nie wiedziałem tyłu volvo, land roverów i subaru outbacków od góry do dołu obładowanych deskami i nartami. Wyobrażałem sobie jadących nimi ludzi, tych przed czterdziestką, słuchających Dave'a Matthews'a, i tych po czterdziestce, słuchających Johna Denvera.

Dojechaliśmy I-25 do zjazdu na Spear Boulevard i odważnie zanurkowaliśmy w odmęty śródmieścia. Minęliśmy uszlachetniające właścicieli adaptowane mieszkania i sąsiadujące z nimi hale Pepsi Center i Coors Field, puste, z wyjątkiem bezdomnych, których królestwem był pasaż handlowy przy Szesnastej Ulicy.

Zaparkowaliśmy na miejscu za pięć dolców w tej części śródmieścia, która ciągle mogła uchodzić za dobrą, ale nie została jeszcze podbita przez deweloperów. Nie, nie Cody za to płacił. Zamiast zapłacić, mijając budkę, tylko błysnął znaczkiem w oczy parkingowego, wytatuowanego, wypiercingowanego i śmierdzącego dymem. Parkingowy cofnął się przed nim, jakby był wampirem postraszonym krucyfiksem. Poszedłem za przyjacielem do Shelby's Bar and Grill na Osiemnastej. Wiedziałem, że to lokal gliniarzy.

Cody chrząknął i ciężko usiadł w ciemnym boksie. Zająłem miejsce naprzeciwko niego.

— Co dla was? — spytała go kelnerka.

— Jameson. Trzy jamesony.

— Trzy? — spytałem Cody'ego.

Kelnerka poszła do baru po whisky. Cody wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów.

— Jest facet, z którym się umówiłem — oznajmił. — Mam nadzieję, że się jednak pokaże, chociaż moje akcje w wydziale stoją tak nisko...

— Skoro już o tym mowa, jak tam proces?

— Już po wszystkim, oprócz sensacji. Obrona zakończyła bez powoływania świadków. Sędziowie przysięgli obradują w odosobnieniu. W poniedziałek wyjrzą na światło dzienne i uwolnią sukinsyna.

Pokręciłem głową.

— Więc nie znaleźli na niego nic więcej? — zdziwiłem się. Cody zapalił papierosa.

— Mieliśmy więcej, niż potrzeba. — Zaciągnął się głęboko, wypuścił kłęb dymu w stronę tabliczki „Zakaz palenia”, wiszącej na ścianie nad naszym boksem. Zakaz palenia w miejscach publicznych obowiązywał w całym stanie. — Tak naprawdę chcesz wiedzieć, czy go wystawiłem?

Nie powiedziałem „tak”, nie powiedziałem „nie”. Cody nie potwierdził ani nie zaprzeczył.

Odezwała się jego komórka i oczywiście musiał odegrać zabawną scenkę: z papierosem zwisającym z ust klepał się po całym ciele, nim wreszcie znalazł ją w kieszeni na piersi.

— Tak, już jesteśmy — powiedział. — Zamówiłem ci coś, więc chodź. — Skończył rozmowę i położył telefon przed sobą na stoliku, żeby go więcej nie szukać. — Jason Torkleson trafił do nas, do dochodzeniówki, w zeszłym tygodniu. Jest chętny, gotowy i pełen energii, jak my wszyscy na początku. Nim ugnie się pod ciężarem spraw albo przekabaci go porucznik, miał na moje polecenie sprawdzić Garretta Morelanda, Luisa i Sur-Trzynaście i poskładać do kupy taki ogólny raport.

Otworzyły się drzwi i mroczne wnętrze baru rozświetliło zachodzące słońce. Do środka wszedł młody mężczyzna o bladej cerze i bardzo rudych włosach. W ręku trzymał dużą wypchaną kopertę. Miał na sobie dres i wyglądał na faceta w doskonałej formie, jakby dosłownie przed chwilą skończył ćwiczyć.

— To on? — spytałem.

Cody uniósł się, wyciągnął szyję i wyjrzał przez wysokie oparcie. Pomachał do Torklesona.

— A jednak ciągle ze mną rozmawiają — wymamrotał pod nosem.

Przywitaliśmy się, przedstawiliśmy sobie, po czym młody policjant usiadł obok mnie, naprzeciwko szefa, któremu mógł w ten sposób patrzeć w oczy i zdać raport. Położył na stole kopertę i wyjął kartki. Kelnerka przyniosła nam drinki. Cody chwycił swoją szklaneczkę, nim zdążyła dotknąć stołu, wypił spory łyk, odetchnął głęboko: „Aaaach...” i ostrożnie odstawił. Ja też się napiłem i poczułem w żołądku miłe ciepło.

— Wcześniej zaczynamy, co? — mruknął Torkleson.

Cody zaśpiewał fragment piosenki Louisa Jordana: *Po co być trzeźwym, jeśli masz zamiar upić się znowu?* Roześmiał się. Ja też się roześmiałem. Śpiewał te kilka słów od dziesięciu lat.

— Ja chyba sobie odpuszczę — zdecydował Torkleson.

Twarz Cody'ego znieruchomiała. Spojrzał na młodego policjanta spod półprzymkniętych powiek.

— A co, dbasz o formę?

— Szczerze mówiąc, tak.

— Dzisiejsi młodzi ludzie za często powtarzają „szczerze mówiąc”, a poza tym używają tego określenia w złym znaczeniu. Wy, młodzi, powtarzacie to tak często, jak „powiedzmy” czy „w zasadzie”. W waszych ustach te słowa nie mają żadnego sensu. „Powiedzmy” i „w zasadzie” także używane są błędnie, przynajmniej jeśli wierzyć nauczycielce angielskiego w gimnazjum w Helenie, pani Lesie Washenfelder. Mam rację, Jack?

Skinąłem z powagą głową. Byłem ciekaw, co jeszcze Cody ma do powiedzenia.

— A teraz wypij tego cholernego drinka — warknął.

Torkleson wyprostował się gwałtownie i spojrzał na niego, jakby dostał w twarz. Nie od razu, ale jednak sięgnął po szklaneczkę. Wypił whisky powoli, niezręcznie, tylko po oczach można było poznać, jak bardzo nie odpowiada mu jej smak.

Raport czekał na swoją kolej.

— Nawet do niego nie zajrzysz? — spytał Torkleson.

— Później. Teraz mów w skrócie, o co chodzi.

Młody policjant obrzucił mnie krótkim spojrzeniem, a potem spojrzał pytająco na zwierzchnika.

— Jest w porządku — zapewnił go mój przyjaciel. — Cokolwiek masz do powiedzenia, może słuchać.

Torkleson postukał palcem w kopertę.

— Chciałbym mieć dla was więcej, ale niewiele jest faktów, do których można dotrzeć. Garrett Moreland jest synem sędziego Johna Morelanda, ale chyba o tym dowiedzieliście się bez mojej pomocy.

— Owszem. — Cody stukał palcami w stół jak gracz w blackjacka, czekający na kolejną kartę krupiera. — Co jeszcze?

— Jego matka...

— Też już wiemy. Dalej.

— W kartotekach nie figuruje i z tego, co zdołałem ustalić, nie był notowany jako nieletni.

— Cholera!

— Jedyne, do czego się dokopałem, to jego nazwisko w aktach innych. Widziano go w towarzystwie kilku członków gangu. I to mnie zastanowiło.

— Mów dalej.

— Sureño Trzynaście. Wydrukowałem wszystko, co o nich mamy. *Sureños* to hiszpańskie słowo oznaczające południowca...

Cody podniósł rękę.

— Jeśli wzięłeś dane z akt, nie ma o czym mówić. O Sur-Trzynaście wiem wszystko. Gang narodził się w kalifornijskim systemie więziennictwa, jest w tej chwili obecny we wszystkich pięćdziesięciu stacjach. Trzynaście odnosi się do trzynastej litery alfabetu, „m”, oznaczającej „Meksykańską Mafię”. Gang identyfikuje się przez kolor niebieski, jego członkowie tatuują sobie trzy kropki na kostkach palców, jako zorganizowana grupa przestępcza kontrolują handel metadonem i heroiną w Kolorado.

Torkleson skinął głową.

— Nas interesuje to, jak dobry uczeń liceum Cherry Creek wpadł w takie towarzystwo i dlaczego.

— Tego to już nie mogę wam powiedzieć. — Torkleson znów postukał palcami w leżące na stole akta. — Mamy kilka jego zdjęć, to znaczy zdjęć Garretta, wchodzącego do klubu Appaloosa przy Zuni Street i wychodzącego zeń w towarzystwie znanych członków Sur-Trzynaście. Wiecie, co to takiego Appaloosa?

Cody skinął głową. Nawet ja wiedziałem, co to takiego Appaloosa. A wiedziałem dlatego, że oprowadzając po mieście dziennikarzy i inne ważne osobistości, tej przecznicy w samym centrum unikaliśmy jak ognia. Jakoś tak się złożyło, że deweloperzy zgubili ten kawałek śródmieścia, a nie zanosilo się na to, by w najbliższym czasie mieli go odnaleźć. Przy ulicy stały nędzne budynki, w których rozpleniły się salony tatuażu, bary, było też kilka sklepów monopolowych, poza nimi zaś, w pustostanach, gnieździł się nar-

komani. Wszystkie okna zasłaniały kraty. A pośrodku tego królestwa mieściła się Appaloosa, łatwa do znalezienia po zachodzie słońca, ponieważ właściciele rozbili większość liter w staroświeckim neonie nad drzwiami, pozostawiając wyłącznie „P-OO”*. Cody powiedział mi kiedyś, że gliniarze z patrolu często objeżdżali ją, bo nie chcieli narażać wozów na obrzucenie cegłami.

* Wulgaryzm oznaczający „gówno”, a w formie czasownikowej „srać”.

— Jest też kilka zrobionych z ukrycia zdjęć waszego chłopca w klubie. Wygląda na to, że czuje się tam swobodnie, nie wyróżnia się z tła jak co bardziej żądne przygód białe dziewczyny szukające kłopotów. Jeśli Garrett jest w Appaloosie mile widzianym gościem, jeśli czuje się tam jak u siebie, to wiem, że wpadł z głową w to towarzystwo.

— To wszystko? — spytał Cody. — Kilka zdjęć?

— Niestety, obawiam się, że tak.

Cody westchnął. Spodziewałem się, że opieprzy młodszego kolegę, ale tego nie zrobił. Chłopak po prostu zebrał wszystkie dostępne wydziałowi informacje i nie jego wina, że niewiele było takich, których nie znaleźliśmy wcześniej.

— Chciałbym mieć coś więcej. — Torkleson prawidłowo ocenił zachowanie Cody'ego. — Do kartoteki nieletnich trudno zajrzeć bez nakazu, nawet jeśli ma się paru przyjaciół w śródmieściu. Mam wrażenie, że po prostu nie było nic do znalezienia. Garrett się nie wychylił. A ten drugi, którego miałem sprawdzić, ten Luis... wszystko, co dotyczy jego, możecie spokojnie wyrzucić do śmieci. Cody zareagował błyskawicznie.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Jeśli interesującą was osobą był Pablo „Luis” Cadena, znany towarzysz Garretta Morelanda i vice versa, no to właśnie „był”. Kilka dni temu jego ciało znaleziono w South Platte. Został pobity i skopany. Koroner stwierdził, że kiedy wrzucano go do rzeki, już nie żył.

Spojrzałem na Cody'ego, marząc o tym, by on spojrzał na mnie. Ale nie spojrzał. Uświadomiłem sobie, że nie chce ujawnić niepokoju przed Torklesonem. Twarz miał nieruchomą jak maska, ale pod stołem trącił mnie stopą, sygnalizując, że bym się na niego nie gapił i trzymał gębę na kłódkę. Co też uczyniłem.

— Podejrzani? — spytał. Torkleson pokręcił głową.

— Nie ma podejrzanych. Kartoteka tego Cadena waży pewnie tyle co ty. Zabójstwo sklasyfikowano jako „powiązane z przestępczością zorganizowaną i przekazane specjalnie powołanemu zespołowi”.

— Nic o tym nie słyszałem.

— Bo nie było cię w pracy. — Torkleson odwrócił wzrok, oszczędzając im obu chwili zażenowania. — A w naszych czasach śmierć w gangsterskich porachunkach nie trafia raczej na pierwsze strony gazet.

Cody dopił whisky i natychmiast zamówił następną. Mogło się wydawać, że nie usłyszał słów młodszego kolegi.

— No dobrze, a co się o mnie ostatnio mówi w wydziale? — spytał.

Torkleson wykorzystał to pytanie jako okazję do pożegnania się i wyjścia.

— Szczerze mówiąc, to właściwie dla szefów już nie żyjesz, przyjacielu.

* * *

Wróciliśmy do jeepa dwie — wypite przez Cody'ego — whisky później, długo po odejściu Torklesona. Cody oznajmił, że pod moją nieobecność będzie osobiście chronił Melissę i Angelinę.

— Dasz radę? — spytałem.

Nie odpowiedział, tylko spojrzał na mnie urażony.

— Nie chodzi mi o picie — tłumaczyłem — ale o to, czy pozwolą ci na to, no... godziny pracy...

— Nie mam żadnej pieprzonej pracy... aż do przesłuchania.

Wsiadliśmy do samochodu i zatrzasnęliśmy drzwi. To, co słyszałem, przytłoczyło mnie, czułem ucisk w piersi.

— Nie włączysz silnika? — spytał Cody.

— Udało nam się — powiedziałem.

Cody patrzył przed siebie.

— Słuchaj... Spojrzał mi w oczy.

— Słyszałem cię. I, Jack, nigdy więcej nie będziemy o tym rozmawiali. Nigdy. Co się stało, to się nie odstanie. A teraz powiedz mi, że nie rozmawiałeś z Melissą o tym, co się zdarzyło.

— Nie wspomniałem jej ani słowem — skłamałem.

— Dobrze. I nie wspominaj. — Cody zamilkł, a po chwili powiedział: — No i po co się oszukujemy? Powiesz jej wszystko, prawda?

— Powiem.

Cody westchnął ciężko.

— Może dobrze byś zrobił, gdybyś to sobie przemyślał — zakończył.

* * *

Jadąc do domu, nie rozmawialiśmy przez dziesięć minut. Cody gotował się ze złości, milczał i palił.

— Ta sprawa z Luisem dużo mi powiedziała — odezwał się nagle. — I tobie też powinna. Bo to, że Garrett zdecydował się pozbyć ciała Luisa tak, by jego śmierć wyglądała na porachunki w gangu, cóż... interesujące, prawda? Zwłaszcza jeśli rozważymy, co mógł zrobić: na przykład wezwać gliniarzy czy zawiadomić media. A teraz już wiem, że nie chciał, by rozeszła się wieść, że jeździ po ulicach z kimś takim.

Pokręciłem głową. Mnie nic to nie mówiło.

— Gdyby Garrett zawiadomił o pobiciu, jako jedno z pierwszych padłoby pytanie: „A ty co tam robiłeś?”. Sprawa Angeliny wyszłaby na światło dzienne, a z nią udział w sprawie sędziego Morelanda. Garrett albo nie chciał włączać taty, albo nie chciał, żeby dowiedział się choćby tego, gdzie był, albo dobry sędzia nie chciał, żeby dowiedziano się, że wie. Więc zamaskowali się tak, jak się zamaskowali.

— Nie rozumiem — przyznałem.

— Ja też. A przynajmniej nie do końca. Ale dowiedzieliśmy się właśnie, że dzieje się więcej, niż nam się do tej pory wydawało. Musi być jakiś powód, a może kilka powodów, dla których podjęli ryzyko pozbycia się ciała, żeby na razie nie zwracać na siebie uwagi. Ciekawe, co chcą ukryć, zwłaszcza w świetle ich twierdzeń, że w sprawie adopcji mają za sobą prawo i w ogóle.

— Może Garrett i Moreland nie rozmawiają z sobą? Może działają niezależnie, bez porozumienia?

Cody pokręcił głową.

— Nie kupuję tego. Założę się o wszystkie pieniądze, że owszem, porozumiewają się i nawet koordynują posunięcia.

Musiałem to sobie przemyśleć. A Cody dodał jeszcze:

— To oznacza, że postanowili operować przy ziemi, poza zasięgiem radaru. Tak jak my, bo my też nie chcemy się przecież wychylić. Z tego wniosek, że wkroczyliśmy na cholernie śliski teren.

Wracaliśmy do domu przez centrum, przejeżdżając po drodze przez dzielnicę starych budynków przemysłowych i magazynów. Wiedziałem, czytałem o tym, że właśnie tu Jack Kerouac i Neal Cassady kręcili się w latach pięćdziesiątych, kiedy Kerouac „zbierał materiały” do przewodnika o bitnikach, z którego powstało *W drodze*. Nie ustawiono jeszcze wówczas dźwigów górujących nad centrum jak modliszki, ale była to tylko kwestia czasu. Stare magazyny z tytoniem, tkaninami wełnianymi i pasmanterią skazano na przemianę w drogie sklepy i eleganckie mieszkania.

Zdobyłem się na to, by wreszcie podziękować Cody'emu.

— Zdaję sobie sprawę z tego, co robisz, i doceniam to — powiedziałem szczerze. — Nigdy nie dowiesz się jak bardzo. Robisz wszystko, co w twojej mocy, a nawet więcej.

— Wiem. — Oczy miał przymknięte. — Ale jesteś moim najlepszym przyjacielem. Kim byłbym, gdybym nie mógł ci pomóc? Ty, ja, Brian... my trzej musimy dbać o siebie nawzajem. Jesteśmy tylko wieśniakami z Montany zagubionymi w wielkim mieście. Briana też to dotyczy, choć próbuje udawać, że gdzie tam, nic z tych rzeczy.

Nie wiedziałem, że Cody tak to odczuwa. Zdziwił mnie, lecz jednocześnie wzruszył.

— Czy to whisky przez ciebie przemawia? — spytałem.

— Częściowo.

— Tak czy inaczej, dziękuję.

Prychnął kpiąco.

— Niech cię diabli, jesteś cholernie cyniczny. Cody zaciągnął się głęboko.

— Nawet nie wiesz jak bardzo — mruknął.

* * *

Po tej wymianie zdań Cody odchylił głowę i oparł ją na zagłówku.

— Jest jeszcze jedna sprawa — powiedział.

— Jaka? — spytałem.

— Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że nie wystąpię przeciw sędziemu? Że nie mogę przeciw niemu wystąpić?

— Pamiętam.

Pstryknął palcami, jakby odrzucał od siebie coś małego, nieważnego.

— No to o tym możesz już zapomnieć. Wszystko zmieniło się wtedy, na sali sądowej. Idę na wojnę. Nagle zasnął. Głowa kiwała mu się w rytm podskoków samochodu. I ten człowiek ma pilnować bezpieczeństwa Melissy i Angeliny, pomyślałem.

* * *

Zatrzymałem się pod domem i Cody ocknął się, pozornie całkowicie trzeźwy, a z pewnością przytomny.

— Zdaje się, że przysnąłem — powiedział wyraźnym, czystym głosem.

— Masz ochotę coś zjeść? — spytałem. Zupełnie zapomniałem, że miałem przywieźć obiad. — Możemy zamówić pizzę.

— Nie, dobrze jest. Powinienem wrócić do siebie i wziąć coś z ubrania.

— Mam powiedzieć Melissie, że będziesz u nas mieszkał przez cały przyszły tydzień?

— Powiedz jej, co chcesz, tylko upewnij się, że nie ma nic przeciwko temu.

— Cody... Machnął ręką.

— Nie przejmuj się — rzucił. Odprowadziłem go do samochodu.

— Wracasz za tydzień, tak? — upewnił się. Potwierdziłem.

— No to kiedy znowu się spotkamy, będę już po rozmowie z wujkiem Jeterem.

Zamarłem.

— Nie ma strachu — uspokoił mnie. — Chcę się tylko upewnić, że znajdę go, jeśli uznam to za konieczne, i że jest gotów mi pomóc.

— Nie znasz nikogo stąd, kto mógłby załatwić sprawę? — spytałem, czując się trochę niewyraźnie, bo uległem, bo pogodziłem się z faktami, wydały mi się nieuniknione. I powiedziałem „załatwić sprawę” jak jakiś drugorzędny mafioso.

— Znam ludzi, ale do czegoś takiego trzeba krewniaka. Tylko jemu możesz zaufać. Nie zaryzykuję kogoś, kto może zacząć gadać, i ty też nie powinienes.

— Jeeezu — westchnąłem. — No, nie wiem...

— Ja tylko sprawdzam możliwości. Nie mam zamiaru posunąć się dalej. Może pogadamy z Jeterem, a może nie. To będzie wyłącznie twoja decyzja.

Skinąłem głową. Cody uśmiechnął się i podał mi rękę.

— Miłej podróży. I o nic się nie martw. Na Boga, przy mnie będzie przecież bezpieczniejsza niż przy tobie.

Wydawało mi się, że to miał być żart.

Późną nocą zadzwonił Brian.

— Obudź Melisę — powiedział bez wstępów. — Ona też powinna tego posłuchać.

— Gdzie jesteś? — spytałem, czekając, aż Melissa przejdzie do drugiego telefonu w sąsiednim pokoju.

— W San Diego. Dwadzieścia dwa stopnie, świątek, piątek i niedziela. Nie wiem, po co im tu prognozy pogody.

Rozległ się trzask i Brian zaczął mówić charakterystycznym, rytmicznym, dobitnym głosem.

— Rozmawiałem z przyjacielem przyjaciela, który chodził do liceum w Asheville z Johnem Morelandem. Według niego nasz sędzia nie należał do najszcześniejszych nastolatków. Najwyraźniej John był niechcianym dzieckiem bardzo rozrywkowej nastoletniej mamusi. Oddała synka starszej siostrze i jej mężowi. Morelandom. Tak po prostu oddała, najwyraźniej w okolicy nie uchodziło to za nic tak znowu nadzwyczajnego. No więc John dorastał w bardzo ograniczonym i bardzo surowym domu z „mamą”, która tak naprawdę była jego ciocią, i „tata”, a w rzeczywistości wujkiem. Nazwisko zmieniono mu sądownie, nie wiem, jakie nosił wcześniej, zresztą nie ma to znaczenia. W każdym razie John nienawidził „rodziców”. Nie rozmawiał o nich z kolegami, ale zdarzało mu się powtarzać, że go „ograniczają”, cokolwiek to miało znaczyć. Przyjaciół przyjaciela uważa, że miało to związek z jego ambicjami. Może nie chcieli podpisać wniosku o stypendium, pomoc finansową czy coś w tym rodzaju. Za to kiedy zginęli w wypadku, nasz chłopiec nie tylko skasował dwie polisy, ale jeszcze otworzył się przed nim raj pomocy finansowej. Dzięki niej wyjechał i poszedł na studia na Uniwersytecie Stanowym Kolorado. Można powiedzieć, że umył ręce, nigdy nie wrócił do krainy dzieciństwa, nie przyjeżdża do Karoliny Północnej na spotkania absolwentów i tak dalej. Moje źródło twierdzi, że nawet nigdy nie odwiedził grobu rodziców. Więc — powiedział na koniec — wynika z tego, że mamy do czynienia z cholernie zimnokrwistym sukinsynem.

— Przecież ma alibi na wieczór wypadku — przypomniałem. — Sam to powiedziałaś.

— Jasne. Zabrał alibi z sobą do Kolorado. A potem się z nim ożenił. A potem ono też zginęło.

Berlin
Poniedziałek, 12 listopada
pozostało trzynaście dni

10

Lotnisko Tegal było takie jak zawsze: za małe, zatłoczone, mylące, metaliczne i okrągłe. Szare światło dnia wpadało przez okna, które wydawały się brudne, choć wcale brudne nie były, to samo światło sprawiało takie wrażenie. Czekałem na bagaż przy dychawicznym, obracającym się skokami taśmociągu, w tłumie tak gęstym, że wręcz nie sposób było nie trącać się i nie przepychać. Nadal odczuwałem aż za dobrze mi znane skutki różnicy czasu, miałem wrażenie, że zagubiłem się w prześwietlonej słabym światłem mgle. Samotny w przepaścistej jaskini czaszki patrzyłem na świat suchymi, przekrwionymi oczami. Moja skóra wydawała mi się szorstka jak pokryta piaskiem. Potrzebowałem miejsca, gdzie mógłbym przegrupować siły, a przede wszystkim wziąć kąpiel.

Wśród przybyłych byli Europejczycy z zachodu i ze wschodu, podróżujący w interesach, mieszkańcy północnej Afryki w powłóczystych szatach, wielkie, rozgałęzione rodziny tureckie, a pomiędzy nimi, w grupach po czterech, czasami pięciu, wyróżniający się niczym żyły zdobnego minerału, stali goście Targów Turystyki, tacy jak ja. Jamajczycy, Tajowie, Argentyńczycy, Kubańczycy. Oni wszyscy trzymali się razem, a czekali nie tylko na bagaż, lecz także na elementy stanowisk, pudła wydrukowanych po niemiecku broszurek i, w przypadku Kubańczyków, urządzenia do ręcznego zwijania cygar, którymi zamierzali częstować przedstawicieli wybranych biur podróży. Cały świat ostrzył sobie zęby na zamożny i zdeteminowany niemiecki rynek. Wszystkim nam potrzebni byli ludzie mający ustawowo zagwarantowane pięć do sześciu tygodni urlopu, uważający możliwość podróżowania za przynależne sobie prawo, a nie przywilej, i w bardzo wielu przypadkach wiedzący o nas, naszej geografii i naszej kulturze więcej niż my sami.

Łatwo było rozpoznać nas, Amerykanów, z naszymi otwartymi, ruchliwymi twarzami, z donośnymi głosami ludzi pewnych, że oprócz nich nikt nie rozumie po angielsku, z nieumyślnie, lecz otwarcie manifestowaną energią, tak dla wielu irytującą. Kontyngent z Las Vegas: opaleni mężczyźni z kruczoczarnymi, przylizanymi, zaczesanymi do tyłu włosami w towarzystwie hostess, bez piór i kostiumów, zbyt wysokich, chudych i bladych, wyglądał wręcz jak mafijna wycieczka nad jezioro Tahoe lub do Atlantic City, której udało się pomylić samoloty.

Spojrzałem na zegarek ciekawy, jak długo czekam na bagaż. Niemal jednocześnie wydało mi się, że słyszę wypowiedziane donośnie moje nazwisko. Podniosłem głowę. Nie dostrzegłem żadnej znajomej twarzy, uznałem więc, że było to tylko jakieś podobne słowo w obcym języku.

— Jack, chłopcze, zgubiłeś się?

Malcolm Harris z American Adventures, ubrany w elegancki garnitur, z przerzuconym przez ramię trendzem, podszedł od tyłu i mocno klepnął mnie w ramię.

— Mało brakowało, a bym cię nie poznał — powiedziałem, próbując się otrząsnąć, jak najszybciej powrócić z odrealnionej krainy marzeń do rzeczywistości. — Ostatnim razem widziałem cię w dzinsach i kowbojskim kapeluszu, siedzącego na koniu.

Dobrze pamiętałem, jak bardzo kocha odgrywać kowboja na farmie dla turystów.

Malcolm Harris był blady, miał cienkie czarne włosy, a jego krzywy uśmiezek ukazywał dwa rzędy kiepsko utrzymanych zębów. Krój garnituru ukrywał okazały brzusek, nos przecinała mapa niebieskich i czerwonych żyłek, oznaka pociągu do alkoholu, a nad górną wargą widać było rząd kropelek potu. Na moje słowa zareagował głośnym śmiechem, odrzucając głowę do tyłu.

— Jakżebym chciał być teraz w Kolorado, a nie w tym przeklętym mieście!

— Ja też — westchnąłem.

— Kiedy przyleciałeś?

Oni zawsze pytają „kiedy przyleciałeś?”, nawet gdy, tak jak teraz, jest więcej niż oczywiste, że za ledwie przed chwilą.

— Mam tylko nadzieję, że bagaż przyleciał ze mną — mruknąłem.

Przypomniałem sobie pierwsze, przynajmniej według Lindy, przykazanie marketingu turystyki: „Chodzi tylko o nich, nigdy o ciebie”.

— Miło cię widzieć. Doskonale wyglądasz — skomplementowałem go. — Masz stoisko na targach?

— Dobrze jest być widzianym — rzucił, jakby na marginesie rozmowy. — Nie, na tych targach nigdy nie otwieram stoiska. Myślisz, że chcę rozmawiać z tymi cholernymi Niemcami? — Ostatnie słowa wyszeptał, ale, jak dla mnie, przesadnie głośno. — Jestem tu, bo to najlepsza okazja, żeby spotkać się z wami i załatwić kilka ważnych spraw. Wszyscy w jednym miejscu, coś wspaniałego, chociaż nie znoszę

Berlina. A skoro o tym mowa, nienawidzę całego tego cholernego Vaterlandu. Ci ludzie w ogóle nie mają poczucia humoru, a to dopiero początek.

Rozejrzałem się szybko, sprawdzając, czy ktoś nas przypadkiem nie podsłuchuje. Na krótką chwilę mój wzrok skrzyżował się z nieruchomym, jakby martwym spojrzeniem policjanta w zielonym mundurze.

— Gdzie się zatrzymasz? — spytał Harris.

— W Savoyu, przy Fassenstrasse. Skinął głową, rozpoznając nazwę.

— Dobry hotel, znam go. Własność Anglików. Nadal mają tam ten świetny bar dla palaczy cygar?

— Chyba tak.

— No to wspaniale. Dlaczego nie mielibyśmy spotkać się tam dziś wieczorem i pójść na kolację? Ty stawiasz. — Znów się roześmiał.

— Doskonale — przytaknąłem z entuzjazmem, myśląc o tym, że już chętniej wpakowałbym sobie kulę w łeb. A najchętniej choć trochę bym się przespał.

— A więc o dziewiętnastej — powiedział Harris, jeszcze raz poklepując mnie po ramieniu. — Miałem wielką nadzieję, że się zobaczymy. Chcę zadać ci mnóstwo pytań, ważnych pytań. Oczywiście chodzi o warunki transakcji?

— Oczywiście — przytaknąłem, jakbym wiedział, o czym mówi.

Tasma zgrzytnęła rozpaczliwie, pojawiły się bagaże. Ludzie zbili się przy niej w ścisku, jakby agresja miała w jakiś sposób pomóc im w odzyskaniu, co do nich należało.

— Wynoszę się z tego piekła. — Harris uśmiechnął się kpiąco i poklepał niewielką torbę, z którą przyleciał z Londynu. — No to do zobaczenia wieczorem.

Wyciągnąłem do niego rękę na pożegnanie, ale zdążył się

Już odwrócić i właśnie przepychał się przez turecką rodzinę. Policjant, przysłuchujący się naszej rozmowie, odprowadził go nieruchomym wzrokiem, który mógłby wypalić dziury w jego eleganckiej marynarce.

* * *

W cieniu między budynkami i wzdłuż Sprewy leżały zasy brudnego śniegu. Obserwowałem je z taksówki, manewrującej w ruchu późnego poranka. Z kremowego mercedesa! Nadal zachwycalo mnie to i podniecało: taksówka mercedes! Niebo miało kolor ołowiu. Między drzewami to ukazywały się, to znikwały dźwigi wyrastające ponad wschodnią częścią miasta, poruszające dziobami w dół i w górę jak wielkie prehistoryczne morskie ptaki.

Znow sprawdziłem godzinę na zegarku. W moim kraju, u mnie, było wpół do trzeciej w nocy. Dużo wysiłku miało mnie kosztować oczekiwanie na odpowiednią porę, by zadzwonić do najbliższych. Wyobraziłem sobie Melissę i Angelinę śpiące w swoich łóżkach, Cody'ego, przewracającego się z boku na bok na kanapie, i — ten obraz pojawił się nagle, bez ostrzeżenia — Garretta Morelanda siedzącego w zaparkowanym kawałek dalej przy tej samej ulicy hummerze, obserwującego majaczący w ciemności dom.

Poprawiłem się na siedzeniu i potrząsnąłem głową, próbując pozbyć się niechcianych owoców wyobraźni. Taksówkarz przyglądał mi się w lusterku, a kiedy odpowiedziałem mu spojrzeniem, szybko odwrócił wzrok.

* * *

Hotel wypełniony był po brzegi uczestnikami targów pochodzącymi ze wszystkich chyba krajów świata. Mój pokój nie był jeszcze gotowy, więc zostawiłem bagaże, wsadziłem ręce w kieszenie i poszedłem, o losie mój nieszczęsny, na spacer Kurfürstendamm, główną ulicą handlową Berlina, zwaną potocznie Ku'Damm. Drogie sklepy, restauracje, pośpiech, bieganina. Nie wierzyłem świadectwu moich oczu: pokątni handlarze nadal sprzedawali szczątki muru, którego autentyczne pozostałości znikły z rynku przed dwudziestu laty, lewe czapki wschodniemieckiej armii i lornetki Stasi wyprodukowane w Azji. Czarnoskórzy Afrykanie handlowali biżuterią i kradzionym towarem z koców, które potrafili zwinąć w dwie sekundy po dostrzeżeniu zbliżającego się ulicą policjanta w zielonym mundurze i błyskawicznie wtopić się w tłum. Wystrojone w futra kobiety niosły torby z zakupami, w wilgotnym powietrzu wisiał zapach papierosowego dymu. O dymie zapomniałem.

Dręczyło mnie coś, czego nie potrafiłem nazwać. O lukę w pamięci obwinałem różnicę czasu, nie przestawała mnie jednak gnębić niczym kamyk w bucie, którego nie sposób znaleźć i wyrzucić.

Berlin nadal roztaczał tę swoją charakterystyczną przedwojenną atmosferę. Człowiek wręcz spodziewał się, że zobaczy na ulicach mężczyzn w kapeluszach i kobiety w płaszczach o szerokich ramionach. Tylko że z roku na rok coraz mniej było tu Niemców, wypieranych przez Afrykanów z północnej Afryki, Turków i Arabów. Doszedłem spacerkiem aż do wielkiego domu towarowego KaDeWu, przeszedłem na drugą stronę ulicy i ruszyłem z powrotem w kierunku hotelu. W odróżnieniu od naszego codziennego życia, w którym od miesiący, praktycznie od dnia adopcji, obracaliśmy w rękę każdy grosz, zanim go wydaliśmy, ten wyjazd fundowało mi biuro. Mój portfel pękał od euro, służbowa karta kredytowa tylko czekała, by nią za coś zapłacić. Nie mogłem sobie pozwolić na szaleństwa, ale na wczesny lunch składający się z białej kielbasy i piwa z widokiem na kościół imienia cesarza Wilhelma, przypominający wyszczerbiony ząb, zbombardowany w czasie drugiej wojny światowej, którego Niemcy postanowili nie odbudowywać, owszem.

Siedziałem sobie wygodnie, jadłem, piłem i starałem się dojść, co mnie niepokoi. Wreszcie, kiedy skończyłem i czekałem na leniwego kelnera, mającego przynieść mi resztę i zniechęcony rachunek, uświadomiłem sobie, że spokoju nie daje mi nie to, co zobaczyłem podczas spaceru, lecz to, czego nie zobaczyłem.

Dzieci. Nie widziałem dzieci. Starsze były oczywiście w szkole, ale choć przeszedłem ładny kawałek drogi, do tej pory nie zobaczyłem ani jednego wózka, ani jednej młodej matki z pociechą przy boku. Było tak, jakby ulice, a właściwie całe miasto, należało wyłącznie do ludzi dorosłych. Pomyślałem o tym, jak nieznośne, jakie straszne byłoby życie w świecie bez dzieci. Aż do tej chwili taka myśl nigdy nie przyszła mi do głowy. Tu, w Berlinie, ktoś podjął jakieś decyzje, wskutek których nie było komu wypełniać dni hałasem i niewinnym bałaganem. Zamiast tego panował wszechobecny cichy, w jakiś sposób antyseptyczny porządek.

Włożyłem rachunek do portfela. Przy okazji wyjąłem zrobione przed kilkoma miesiącami zdjęcie Angeliny. Uśmiechała się na nim, sięgała rączką do aparatu, chciała ugryźć obiektyw bezzębnymi dziąsłami.

Chociaż tylko na zdjęciu, była jedynym dzieckiem w zasięgu wzroku, a oni próbowali nam ją zabrać, zmienić nasz dom i nasze życie w zimny cichy Berlin.

* * *

Mimo iż Linda Van Gear bardzo dobitnie uświadomiła mi, że moja praca wisi na włosku, postanowiłem przebudować lot i wrócić tego samego dnia, po spotkaniu z Harrisem. Bałem się o żonę i córkę, już za nimi tęskniłem. Wiedziałem, że Linda będzie wściekła, ale jeśli przywiozę umowę z AmeriCanem, potrafi opanować gniew.

W hotelu czekała na mnie wiadomość. Malcolm Harris informował, że musi przełożyć wspólną kolację na koniec tygodnia. Coś mu wypadło, jest potrzebny w Londynie, zostanie tam kilka dni.

Zmiałem w rękę kartkę i cisnąłem ją przez całą hotelową recepcję.

11

Przez kolejne cztery dni cierpiałem jak w piekle. Czekanie na powrót Malcolma Harrisa było prawdziwą torturą. Humor mi nie dopisywał. Tak słodcy, że aż klejący się od tej słodczy przedstawiciele biur podróży i dziennikarze denerwowali, do szału doprowadzał europejski zwyczaj witania się cmoknięciem (w jeden policzek lub oba, w oba policzki po razie lub w jeden dwa razy), papierosowy dym i tłumy odwiedzających. Stoisko naszego Kolorado z zewnątrz prezentowało się wspaniale, ale nie rozpadało się wyłącznie dzięki drutowi i taśmie klejącej. W tej chwili całe moje życie wydawało mi się tak tandetne, fałszywe i gotowe lada chwila rozpaść się na kawałki jak ono.

Co wieczór rozmawiałem z Melissą przez telefon. Pozornie nie działo się nic złego, ale napięcie rosło, oboje bowiem byliśmy przekonani, że prędzej czy później coś jednak musi się wydarzyć. Melissa chciała mieć mnie obok siebie, a ja chciałem już być w domu. W każdej chwili można się było spodziewać odwiedzin Garretta. W każdej chwili mogli się pojawić przyjaciele Luisa. Cody mógł w każdej chwili zacząć pić. Moreland mógł w każdej chwili uznać, że trzy tygodnie na pożegnanie to zdecydowanie za długo.

Cierpiałem na przymus częstego spoglądania na zegarek i na targach, i po powrocie do hotelu. Wyobrażałem sobie, co Melissa i Angelina robią te osiem godzin wcześniej. Prawdziwy spokój osiągałem tylko wtedy, kiedy Melissa przekazywała słuchawkę Angelinie. Gdy zaczynałem mówić, odpowiadała mi cisza i, po kilku sekundach, głośne: „Tata!”, za każdym razem tak radosne, tak cudownie zdumione, że sam zaczynałem się głośno śmiać.

* * *

Tego dnia, kiedy miałem się wreszcie spotkać z Harrisem, Melissa nie odebrała telefonu. W Denver minęła właśnie dziesiąta rano i nikogo nie było w domu. Poczułem, jak gardło wypełnia mi kwaśna gorąca żółć. Przełknąłem, powstrzymując ją od wypłynięcia. Za mało wiedziałem, nie miałem powodów do paniki. Jeszcze nie.

Nie nagrałem wiadomości, ale powtórzyłem procedurę połączenia, tym razem z jej komórką. Natychmiast odezwała się poczta głosowa. O co chodzi?

Cody! — pomyślałem. Rozpocząłem wojnę o kolejne połączenie: rozmowy z operatorami, podawanie numeru karty telefonicznej... i po co? On też nie odpowiedział.

Czas mi się kończył, ale mimo to zadzwoniłem do domu. Włączyła się automatyczna sekretarka.

— Kochanie — powiedziałem — co się, do diabła, dzieje? Próbowałem złapać albo ciebie, albo Cody'ego. Zadzwoń do mojego hotelu. Zostaw wiadomość. Mam, niestety, służbową kolację, ale zadzwonię, gdy tylko wrócę do pokoju. Chcę się upewnić, że wszystko jest w porządku. Kocham ciebie i Angelinę. I proszę, nie wyłączaj telefonu.

Kubańskie cygaro paliłem wyłącznie w samoobronie, bo w mrocznym zatłoczonym barze palili wszyscy. Siedziałem w Habana Haus, do którego wchodziło się wprost z hotelowego holu. Czekałem na Harrisa, już spóźnionego pół godziny. Palenie cygara i picie berliner kindle zapewniało mi jakieś zajęcie, towarzyszące niespokojnym myślom. Próbowałem wyobrazić sobie, dlaczego Melissa nie podnosi słuchawki. Najbardziej optymistyczny scenariusz: Melissa i Cody świetnie się bawią, postanowili pójść na zakupy, po zakupach zabrać Angelinę do zoo i oboje po prostu zapomnieli o włączeniu komórek. Inna możliwość: Melissa zabrała Angelinę do pediatry na mocno już spóźnione badania, o których oczywiście mi mówiła, tylko że zapomniałem, i oboje z Codym posłusznie dostosowali się do wiszącego w poczekalni zakazu używania komórek (choć oczywistym nonsensem było przekonanie, że Cody posłusznie dostosował się do czegośkolwiek). Nie można też wykluczyć i takiej sytuacji, że awaria elektryczności uniemożliwiła korzystanie zarówno z telefonów stacjonarnych, jak i komórkowych.

Pora na scenariusze straszniejsze. Cody i Melissa zostali aresztowani przez policję Denver w związku z pobiciem ze skutkiem śmiertelnym niejakiego Luisa Cadeny i moja żona właśnie jest przesłuchiwana. Sędzia Moreland wraz z synem uznali, że miesiąc to przesada, zapukali do naszych drzwi i w asyście gliniarzy próbowali siłą zabrać Angelinę, wywiązała się bójka, wskutek której Cody i Melissa trafili do policyjnego aresztu. Moja żona i najlepszy przyjaciel wyznali sobie tłącą się w ich sercach od lat miłość, wraz z Angeliną wskoczyli na hondę i pojechali do Vegas...

* * *

Pojawienie się Malcolma Harrisa wywołało poruszenie i kiedy odsuwał ciężką kotarę przy wejściu do baru, wszystkie głowy odwróciły się w jego stronę. Nie był postacią anonimową. Na targach turystyki budził pożądanie. Pracownik, mogący po imprezie poszczycić się posiadaniem jego wizytówki, zasługiwał na podziw szefa. To, że zdecydowanym krokiem ruszył w moim kierunku, zaskoczyło kilka starych, zahartowanych w bojach przedstawicieli Florydy. Jedna z nich, o ostrej twarzy, bez wątpienia handlująca kiedyś używanymi samochodami, poderwała się z krzesła ze zręcznością zaprzeczającą jej bez wątpienia imponującej wadze, chwyciła go za rękaw i zaczęła szarpać. Zauważyłem, że Harris zachwiał się lekko, być może dlatego, że zdążył już trochę wypić. Jego twarz znieruchomiała, ale po chwili uśmiechnął się odważnie i przytulił napastniczkę z entuzjazmem dwunastolatka witającego się ze znenawidzoną ciotką. Kobieta spiła z jego ust słowa brzmiące oczywiście: „Więc kiedy przyleciałaś?”.

Odpowiedziała, owszem. Opowiedziała o tym, jaki miała lot, jak zgubiono bagaż, którego do tej pory nie odzyskała, jaki wspaniały apartament kupiła, jak się rozwodziła i to było straszne, ale teraz już czuje się lepiej i nawet schudła osiem kilo.

Pospieszyłem na ratunek. Klepnałem Harrisa w ramię i udając niepokój, postukałem palcem w zegarek. Doskonale udał zdumienie.

— Czyżbyśmy byli spóźnieni? — spytał. — Różni ludzie stawiali mi przez całe popołudnie, no i obawiam się, że straciłem poczucie czasu.

— Obawiam się, że tak — odparłem i zwróciłem się do kobiety z Florydy: — Bardzo mi przykro, ale zaczęli o dziewiętnastej trzydzieści.

Łgałem, oczywiście. Nie miałem pojęcia, kto miał zacząć i co.

Harrisowi udało się wyplątać z jej objęć, niemniej poszła za nim, szturchając go wizytówką, aż wymienił ją na swoją. Przynajmniej to zadziałało: uspokoiła się, odczepiła, wróciła do stolika i pochwaliła się zdobyczą swemu sztabowi, to unosząc, to ściągając brwi.

— Boże, wielkie dzięki — powiedział Harris, kiedy znaleźliśmy się już bezpiecznie na ulicy, w chłodzie i wilgoci, odświeżających po zadymionym, dusznym barze.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odpowiedziałem. Machnąłem ręką, w której ciągle trzymałem cygaro.

— Ach, ta Floryda. — Tylko pokręcił głową. — Obrzydliwi ludzie. Zupełnie jakby nie potrafili wyobrazić sobie, że na świecie istnieje coś poza, rozumiesz, Florydą. Na ich nieszczęście Floryda to przeszłość. Ale, wiesz, niektóre z tych bab zrobią wszystko, żeby złowić trochę angielskiego biznesu. Stąd powiedzenie: „Byłam, załatwiłam, wypieprzyłam przedstawiciela”.

Roześmiałem się posłusznie. Światła Ku'Damm robiły się coraz jaśniejsze.

— Idziemy w dobrym kierunku? — zainteresowałem się. — Pytam, bo nie wiem, gdzie zjemy kolację.

— Ty stawiasz — przypomniał mi Harris. — Owszem, idziemy w dobrym kierunku. Jeszcze jeden drink, a potem coś zjemy.

— Doskonale — powiedziałem, choć wcale tak nie myślałem. Wyrzuciłem cygaro. Niech to się już skończy, żebym mógł wreszcie wrócić do domu, pomyślałem.

* * *

Do restauracji mieliśmy dwadzieścia minut spacerem. Harris był dumny z tego, że to on odkrył ją przed kilku laty. Twierdził, że to tam podają najlepszy schnitzel w Berlinie.

— Przygotowują go w tradycyjny sposób — powiedział, zacierając ręce. — Na sali słysząc, jak w kuchni wałą w mięso tłuczkami, żeby je zmiękczyć. Mocno wałą.

Nazywała się Der Tiefe Brunnen, mieściła przy Rankestrasse, była mroczna i oświetlona świecami. Jej nazwa, „Głęboka studnia”, doskonale pasowała do wyglądu. Ściany zdobiły czarno-białe zdjęcia nieznanymi mi sław. W powietrzu wisiała chmura papierosowego dymu, przez którą siedzący w środku ludzie przyglądali się nam, idącym do zarezerwowanego stolika z przodu, blisko baru. Właściciel, poważny mężczyzna z gęstymi bokobrodami, pozdrowił Harrisa po niemiecku. Harris potrząsnął jego ręką i wskazał mnie, niewątpliwie informując go, że jestem tu nowy i że to ja stawiam. Tacę z kieliszkami sznapsa przyniosła natychmiast kelnerka ubrana tak, by podkreślić ogromne piersi: w przezroczysty biustonosz z lycry pod cienką bluzką. Włosy ufarbowane miała na niemiecką czerwień, karmazynowofioletowe, koloru nie-spotykanego w naturze z wyjątkiem paździenika, kiedy barwę zmieniają liście prusznika. Pochyliła się nad stołem, by postawić na nim kieliszki, a ja przestraszyłem się, że jej piersi mogą uwolnić się z okowów

i wymierzyć mi z dwóch stron dwa przyjemne policzki. Der Tiefe Brunnen wyglądała trochę tak, jakby powstała przed wojną, a co najmniej przed upadkiem muru. Zabytek fatalistycznej wyspiarskiej mentalności berlińczyków sprzed zjednoczenia miasta i kraju.

— Zamówiłem dla nas obu — powiedział Harris, siadając. — Schnitzel Cordon Bleu. No i jeszcze trochę piwa, oczywiście. Tu nie jest tak, jak prawie wszędzie. Trzeba dziesięciu minut, żeby dobrze nalać piwo, i tak powinno być. Posłuchaj tylko — mówił, uśmiechając się. Rzeczywiście, na sali słychać było dobiegający z kuchni za barem łomot. Uderzenia były tak silne, że leżące na stole sztućce i kieliszki aż podskakiwały. — Właśnie tak zmiękcza się cielęcina. Dobra, stara tradycja.

Sposób, w jaki to powiedział, wzbudził we mnie nieokreślony niepokój.

Przeprosił i udał się na poszukiwanie toalety, tak przynajmniej powiedział, ale po drodze zatrzymał się i odbył krótką, lecz ożywioną rozmowę z właścicielem. Nie miałem pojęcia, o czym mówią, ale widziałem, jak się roześmieli i poszli do kantorka za barem. Zamknęli za sobą drzwi. Właściciel wrócił na miejsce barmana, lecz Harris nie pokazywał się przez bardzo długą chwilę. Może korzystał z prywatnej toalety? Po raz kolejny obejrzałem fotografie na ścianach, walczyłem ze zmęczeniem i popijałem piwo. Nie wątpiłem, że gdybym usiadł teraz wygodniej i zamknął oczy, zasnąłbym natychmiast. Nie mogłem sobie jednak na to pozwolić. Spojrzałem na zegarek.

Dwudziesta pierwsza w Berlinie, trzynasta w Denver. Miałem nadzieję, że Melissa i Cody wrócili skądkolwiek, dokąd pojechali, a przynajmniej włączyli telefony.

Harris wreszcie wrócił. Nawet w słabym świetle świec widać było, że twarz ma lekko zaczerwienioną i że nad górną wargą znów pojawiły się krople potu.

— Fritz pozwolił mi sprawdzić pocztę w komputerze — wyjaśnił, upijając wielki łyk piwa. — Chodzi o pilne sprawy w Londynie, te same, które zmusiły mnie do przełożenia naszej kolacji. Można powiedzieć, że mamy mały kryzys. Władze uprzykrzają mi życie, jak mogą.

— Naprawdę? — Miałem tylko nadzieję, że nie powie mi teraz, iż zrezygnował z przeniesienia biznesu. Nie po tym, kiedy tak długo na niego czekałem.

— Nie masz się o co martwić. — Najwyraźniej poznał po oczach, o czym myślę. — To nic takiego, z czym nie mógłbym sobie poradzić. Ale musisz wiedzieć, że tu, w Europie, mamy rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty. Wielki Brat patrzy, a szczególnie chętnie na tych, którzy ośmielają się być inni.

Założyłem, że ma na myśli prywatnych przedsiębiorców.

— Jeszcze piwa, przyjacielu! — zawołał do Fritza. Fritz napełnił kufle i odstawił je, pozwalając pianie osiąść.

Harris pochylił się w moją stronę.

— Właśnie tego nienawidzę w Europie, Jack — powiedział teatralnym szeptem. — Pełzającego fašyzmu politycznej poprawności. Jest wszędzie, prawie cała pochodzi z Brukseli, od Unii Europejskiej z tymi jej edyktami. Próbuje kontrolować wszystko: co jemy i jak to mierzymy, co mówimy i myślimy, jak

żyjemy. Sukinsyny chcą kontrolować całe pieprzone wszystko! A jeśli Bruksela czegoś nie zadekretuje, nasz własny rząd jest więcej niż chętny, żeby naprawić to zaniedbanie.

Denerwował się, mówił coraz głośniejszym głosem. Nie miałem pojęcia, o czym właściwie mówi, ale musiałem udawać zainteresowanie i miałem tylko nadzieję, więcej, modliłem się w duchu, by wreszcie oznajmił, co postanowił w sprawie centrum rezerwacji.

— Naprawdę jest tak źle? — spytałem, zaskoczony jego gwałtownością.

— Oczywiście! W dzisiejszej Anglii najgorzej jest być prawdziwym Anglikiem. Uwierz mi, bo wiem, o czym mówię, Jack. Chciałbym móc powiedzieć, że pod kotłem wrze, że tylko czekać wybuchu, że powstaniemy i odzyskamy kraj dla siebie, ale najsmutniejsze jest zapewne to, że nie wierzę, byśmy mieli jaja. Sądzę, że będziemy siedzieli i skarżyli się na zły świat, a tymczasem rząd spokojnie przejmie całkowitą kontrolę.

Piersiasta kelnerka przyniosła cielecinę. Była miękka, owszem. W rzeczywistości była wspaniała: kawałki mięsa wielkości dłoni, przysmażone na chrupko, z jeszcze skwierzącą skórką, pokryte plasterkami szynki i sera. Nie powinienem być taki głodny, ale byłem. Harris już zaczynał bełkotać. Zapowiadał się długi wieczór.

— Prawdopodobnie słyszałeś, że rozważam przeniesienie firmy — powiedział z pełnymi ustami. — Muszę znaleźć miejsce, w którym można swobodnie oddychać.

No, nareszcie.

— Znalazłem. I skłaniam się ku Kolorado. — Mówiąc to, uważnie obserwował moją reakcję.

— Byłoby fantastycznie. — Odłożyłem widelec, by móc uścisnąć mu dłoń. — O niczym innym nie marzymy.

Pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „Przecież to oczywiste”.

— Kolorado to wspaniałe miejsce — mówiłem dalej. — Słońce świeci przeszło trzysta dni w roku. Mamy góry, narciarstwo i burmistrza naprawdę popierającego międzynarodowy biznes...

— O tym wszystkim wiem — przerwał mi. — Nie musisz mi niczego sprzedawać. Bardzo dobrze znam stan i rządzące nim siły. Z niektórymi jestem w kontakcie, chociaż to na razie nieoficjalne.

Przyniesiono nam kolejne piwa. Wypił wielki łyk. Nie otarł piany z górnej wargi, co mnie rozdrażniło.

— Doskonałe miejsce dla rodziny — powiedziałem spokojnie. — Dobre szkoły, wiele możliwości czynnego odpoczynku. Tylko popatrz...

Sięgnąłem po portfel, bo chciałem pokazać mu zdjęcie Angeliny. Patrzył na mnie tak, jakby oczekiwał czegoś naprawdę interesującego. Większość ludzi tylko udaje ciekawość, on zaś niczego nie udawał. Uśmiechnął się szeroko do zdjęcia naszej córeczki.

— Nowe, co? — powiedział. — Niedawno zrobione?

— Kilka tygodni temu. Już prawie zaczyna chodzić.

— Ciągle wygląda jak aniołek. Imię do niej pasuje.

— Pewnie różni ludzie pokazują ci tyle zdjęć, że łatwo zapomnieć, czyje dziecko jest czyje.

— O czym mówisz? — zdziwił się.

— Nie pamiętam, żebym pokazywał ci kiedyś zdjęcia naszej Angeliny.

— Oczywiście, że pokazywałeś. Pokręciłem głową.

— Więc pewnie zapomniałem.

— Napij się jeszcze. — Harris roześmiał się chrapliwie. Odniosłem wrażenie, że zaczął mnie uważnie obserwować. Kiedy pokazywałem mu zdjęcia? Chciałem wiedzieć, ale w porę przypomniałem sobie, że „nie chodzi o ciebie”.

Tak niezauważalnie, jak tylko mogłem, rozluźniłem się, usiadłem wygodniej i sięgnąłem po piwo. Z niezrozumiałego dla mnie powodu aż gotowałem się ze złości. Nie miałem pojęcia, skąd się ta złość wzięła ani dlaczego jest tak gwałtowna. W końcu całą winą Harrisa było to, że mi zaprzeczył, pokazał, że ma lepszą pamięć, ale, choć mógł sobie być grubą rybą, w tej chwili nic nie byłoby dla mnie łatwiejsze od zdzielenia go w pysk, wytarcia z niego pięścią piwnej piany. Wulkan gniewu wrzał, czał się tuż pod powierzchnią, gotów wybuchnąć z siłą nieproporcjonalną do przyczyny powstania. Przytomniejąc powoli, pomyślałem, że płacę teraz cenę za ostatni tydzień. Za to całe żalosne czekanie ze świadomością, że tysiące kilometrów dzieli mnie od rodziny bardzo potrzebującej pomocy. Że chcę się odegrać na właścicielu biura podróży, Brytyjczyku, któremu moje miasto zawdzięcza odwiedziny tysięcy turystów, zyski liczone w milionach dolarów, i który zapewne zechce przenieść tam swoją firmę.

— Wyglądasz jak ktoś, komu przydałoby się coś takiego jeszcze raz — powiedział Harris, ruchem głowy wskazując stojący przede mną kufel.

— Wszystko w porządku — syknąłem przez zaciśnięte zęby.

— To znaczy, że jednak się przyda. — Wyrażnie się ożywił. — Mnie też. Fritz! — krzyknął. Przyjrzał mi się uważnie. — Na pewno nic ci nie jest? Strasznie zbladłeś.

— To tylko zmęczenie.

— Rozchmurz się, człowieku. Żyjemy w świecie międzynarodowej turystyki. Musisz być twardy. Okaż trochę entuzjazmu!

Miał rację. I byłem mu wdzięczny za to, że jest wystarczająco zalany albo wystarczająco zajęty sobą, albo jedno i drugie, by nie wykorzystać przeciw mnie gniewu, który tak niedawno czułem.

— Wiesz... — powiedział i roześmiał się — ...wy, Amerykanie, sądzą, że rząd odbiera wam wasze prawa obywatelskie, ale tak naprawdę nie wiecie, o czym mówicie. Moi przyjaciele w Kolorado twierdzą, że w porównaniu z tym, do czego przywykłem, będę kuloodporny! Tego właśnie słowa użyli: „kuloodporny”. Zakochałem się w nim.

— Naprawdę? Kto tak twierdzi? — spytałem.

— O nie — powiedział Harris równie fałszywie, jak skromnie i kokieteryjnie. — Nie zdradzam źródeł.

I nagle umilkł. Nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w swój pusty zatłuszczony talerz. Do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo jest pijany i że przekroczył granice, których nie chciał przekraczać.

Restauracja pustoszała, co było dobrym znakiem. Nie chciałem, by Harris — albo ja — wdał się w jakąś rozmowę z kimś obcym, zwłaszcza w jego obecnym wojowniczym nastroju. Poprosiłem o rachunek. Jego przygotowanie zawsze trwało rozpaczliwie długo. Fritz wreszcie go dostarczył. Osobiście. Harris głośno zachwycał się jedzeniem, a ja mu wtórowałem. Fritz pochylił się ku niemu konspiracyjnie.

— Chcesz znowu sprawdzić e-maile? — spytał.

Harris roześmiał się i ścisnął go za ramię.

— Nie, jak na jeden wieczór widziałem wystarczająco dużo.

Pomyślałem, że biorąc pod uwagę czas i okoliczności, to dziwny dobór słów.

* * *

Usiadłem na łóżku. Kręciło mi się w głowie. Telefon pokazywał, że dostałem cztery wiadomości. Miałem kłopoty z bezbłędnym wystukaniem kodów i zrozumieniem wskazówek, przeklinałem telefon, hotel, język niemiecki i Malcolma Harrisa za stan, w jakim się znajdowałem.

Pierwsza wiadomość pochodziła od Melissy:

„Och, Jack, jaka szkoda, że mnie nie złapałeś. Przepraszam. Nie uwierzysz, kogo dziś spotkałam. Kellie Moreland! Zadzwoń natychmiast!”.

Druga i trzecia brzmiały niemal identycznie, a w czwartej wyraźnie przeważał gniew:

„Jack, czy ty w ogóle tam jesteś? Sprawdzasz wiadomości? Wiem, że jest druga w nocy, więc nie dzwoń”. Chwila ciszy, a potem: „Mój Boże, muszę z tobą jak najszybciej porozmawiać. Wpadłam dziś na Kellie Moreland. Brian to załatwił. I wiesz co? Jeśli nie siedzisz, to lepiej usiądź. Ona nic nie wie o Angelinie!”.

Na pokładzie samolotu, Denver, Wyoming
Piątek, 16 listopada,
pozostało dziewięć dni

12

Różnica czasu obowiązuje w obie strony. Podczas lotu powrotnego, choć bezpieczny w przytulnym fotelu i choć przygaszono światła, nie mogłem spać. Martwiła mnie myśl o tym, że Melissa, z pomocą Briana, „wpadła” na Kellie Moreland na zorganizowanej w bibliotece miejskiej zbiórce funduszy i kiedy spytała o Angelinę, w odpowiedzi usłyszała: „Jaką Angelinę?” i zobaczyła nic nierozumiejące spojrzenie. A to mogło oznaczać kilka różnych rzeczy. Albo Kellie jest głupia, a zdaniem Melissy nie jest, albo sędzia Moreland wraz z synem urządzili sobie prywatną zabawę z powodów, które dla nas pozostają nieznanne. Kiedy Melissa spytała o Garretta, Kellie aż się skuliła, jakby samo imię pasierba wywoływało paniczny strach. Melissa szła za nią, próbując nawiązać rozmowę, a ona tylko przyspieszała kroku, aż w końcu zaczęła biec, roztrącając ludzi. W końcu biegły obie, póki pani Moreland nie wezwała ochrony. Dwóch face-tów zatrzymało moją żonę i uprzejmie spytało ją, w czym problem.

— W czym problem? — powtarzała mi tej nocy przez telefon, raz za razem. — Jak miałam im wytłumaczyć, w czym problem?

Brian wrócił już do Denver. Poświęcił naszemu problemowi cały swój czas oraz wszystkie siły. Podobno czekał na zdjęcia, o których wspomniał wcześniej.

— Kiedy je dostanie — powiedziała Melissa — to zdaniem Briana cała sprawa po prostu się rozleci. Według niego będziemy trzymali sędziego i jego synka za jaja.

Ostatnie zdanie wypowiedziała bardzo groźnym głosem, nigdy takiego nie słyszałem. Spotkanie z Kellie na imprezie dobroczynnej w bibliotece naładowało ją energią, przywróciło nadzieję. Bo jeśli żona sędziego nie wie, że jej mąż i syn chcą zyskać prawa opieki nad dzieckiem, to coś tu jest zdecydowanie nie tak — powiedziała. Sędzia coś przed nią ukrywa. A jeśli coś ukrywa, to nie jest aż taki cholernie pewny swojej pozycji i wpływów, jak nam to okazywał.

* * *

Wreszcie wylądowaliśmy. Z trudem doczekałem do odbioru bagażu. Po drugiej stronie ściany z matowego szkła stały żona i córka, a także Cody albo Brian, a może nawet obaj? Kamienna podłoga sali bagażowej lśniła jak nowa. Mimo późnej godziny mnóstwo tu było przestrzeni, światła, no i w ogóle nie czuło się papierosowego dymu. Takie to amerykańskie, takie nieberlińskie. Od razu poczułem się jak w domu.

Melissie towarzyszył Brian. Wyglądał szykownie, ale nie patrzył mi w oczy, więc od razu zrozumiałem, że coś jest nie tak. Twarz Melissy była czerwona, spuchnięta jak od płaczu, z opuszczonymi w kącikach ustami. Siedząca w wózku Angelina na mój widok zaczęła klaskać, nieświadoma tego, co tak przygnębia dorosłych.

Przytulilem Melissę.

— Harry — szepnęła mi do ucha. — Harry nie żyje.

— Harry? — powtórzyłem. Nagle zrobiło mi się zimno.

— Harry! — powtórzyła za mną Angelina, klaszcząc w tłuste rączki. — Piesek Harry!

Brian pociągnął mnie za rękę. Odeszliśmy na bok, tak by panie nie mogły nas słyszeć.

— Gliniarze powiedzieli nam, że ktoś przerzucił na podwórko surowego hamburgera nadzianego trutką na szczury i haczykami na ryby — wyjaśnił. — Znaleźliśmy Harry'ego na tarasie z tyłu, wymiotującego krwią, i natychmiast zawieźliśmy do weterynarza... ale było już za późno. Powiedział, że w gardło wbiło mu się kilkanaście haczyków.

— Kiedy to się stało? — spytałem otepiąły. Brian spojrzął na zegarek.

— Jakies pięć godzin temu. Godzinę temu wyjechaliśmy od weterynarza na lotnisko, ale wtedy było już długo po sprawie. Melissa zgodziła się, żeby go uspić, bo i tak nie miał szans.

— Więc kiedy odchodził mój pies, byłem gdzieś nad Michigan?

— Chyba tak.

Poczułem, jak do oczu napływają mi gorące łzy. Wytarłem je gniewnym ruchem. Niełatwo się wzruszam, zdziwiła mnie własna reakcja, ale ta wiadomość uderzyła mnie jak obuchem.

— Wiemy, kto to zrobił — powiedział Brian. — Pamiętasz, jak Garrett zareagował na twojego psa?

— Harry nigdy nikogo nie skrzywdził. Nie był zdolny do skrzywdzenia kogokolwiek.

— Garrett cię dopadł. I nie sądzę, by to mu wystarczyło.

— Jezu — westchnąłem. — To takie... takie zdeprawowane.

Otarłem oczy. Nie chciałem, by Angelina zobaczyła w nich łzy. Melissa też. Nie potrafiłem uwierzyć, że płaczę, zwłaszcza że nie płakałem przecież po tym wszystkim, co się nam ostatnio przytrafiło. Ale Harry? Przecież Harry nigdy nie zrobił nikomu nic złego! Brian mnie objął.

— Wiem, jakie to dla ciebie trudne — powiedział. — Ale kiedy tylko przyjedziemy do domu, Cody jest gotów jechać do Montany. Wiem, że musisz być zmęczony. Dasz radę?

— Mamy jechać wszyscy? — spytałem.

— Oprócz mnie. Nie mogę ryzykować, kiedy zadzwoni mój kontakt ze zdjęciami, musi mnie złapać w mieście. Może odezwać się w każdej chwili. — Pokazał mi telefon komórkowy. — Poza tym nigdy nie czuliśmy się dobrze w swoim towarzystwie, Jeter Hoyt i ja. — Nazwisko Jetera wymówił szeptem.

— Powiesz mi, co to za zdjęcia? — spytałem go. — Chcę wiedzieć.

Pokręcił głową.

— Sam dobrze nie wiem — przyznał. — Wolę nie zadawać zbyt wielu pytań. Mój kontakt i tak jest roztrzęsiony. Na pewno mogę powiedzieć tyle: przysięga, że te zdjęcia załatwią sędziego, a przynajmniej na zawsze zniechęcą go do kontynuowania tej sprawy z twoją córką.

— Jesteś pewny, że wie, co mówi?

— A czy dzisiaj można być czegoś pewnym? W każdym razie zapowiedziałem, że nie zapłacę, póki nie zobaczę, a on się zgodził. Uwierz, bracie, mówimy o dużych pieniądzach. No i tak... rozumiesz, nie chcę, żeby złapał mnie gdzieś w szczerym polu.

Skinąłem głową.

— To co, jesteś gotowy do drogi? — powtórzył pytanie Brian.

— Teraz? Zaraz?

— Właśnie tak.

— Dobra, jedziemy.

— Nie chcesz pożegnać Harry'ego? Może to przyniosłoby ci ulgę?

— Nienawidzę słowa „ulga” — warknąłem, strząsając z ramienia rękę Briana. — To przecież tak, jakbyśmy odprawiali jakiś rytuał, po którym wszystko jest w porządku. Minęła północ. Mam włamać się do kliniki weterynaryjnej, wylać kilka łez? Poczuc ulgę?

Brian wzruszył ramionami.

— Przepraszam cię, Jack. Ja tylko chciałem pomóc.

— Wiem. Nie chciałem się na tobie wyżywać.

Poczekalem, aż podejdzie do nas Melissa. Spojrzała na mnie pytająco, jakby spodziewała się, że wyjaśnię jej coś, czego nie potrafię wyjaśnić.

— Zdaje się, że jedziemy do Montany — powiedziałem tylko. — Gotowa?

— Od rana pakowałam nasze rzeczy. Przygotowałam wszystko, nim zdarzyło się to nieszczęście z Harrym. Wszystko jest już w samochodzie. Możemy ruszyć w każdej chwili.

Odwróciłem ją do siebie i przytuliłem. Poczulem, jak jej ciało robi się wiotkie. Musiała być wyczerpana. Zanurzyłem twarz w jej włosach. Uwielbiałem ich zapach.

— Boże, jak ja za tobą tęskniłem. — Przykucnąłem obok Angeliny. — I za tobą też — dodałem.

Wychodząc z lotniska, myślałem o Harrym. Pragnąłem zemsty. Pragnąłem krwi.

* * *

Jak duchy pomknęliśmy moim jeepem na północ, w ciemności. O czwartej nad ranem minęliśmy Casper. Prowadził Cody, ja siedziałem obok niego, a Melissa i Angelina w dziecięcym foteliku zajęły tylne siedzenie. Światła miasta znikły, jakby ich nigdy nie było, nikt nie mijał nas przeciwległym pasem. To drzemałem, to budziłem się, a kiedy zasnąłem, spałem mocno i obudziłem się oszołomiony. Pocieszyło mnie, że Cody sprawiał wrażenie całkowicie przytomnego, bardzo poważnego i trzeźwego. Byłem zadowolony, że wreszcie coś robimy.

* * *

Świt rozjaśnił niebo nad górami Bighorn na północ od Sheridan w stanie Wyoming, niedaleko granicy z Montaną, blaskiem tak intensywnym, że Melissa naciągnęła koc na buzię śpiącej Angeliny. Zatrzymaliśmy się w Ranchester, zatankowaliśmy i kupiliśmy kawę. Jej zapach wypełnił jeepa. Poranek był odświeżająco chłodny i czysty. W rogach przedniej szyby pojawiły się pajęczce sieci mrozu.

— Śniadanie moglibyśmy zjeść w Billings — powiedział Cody.

— On mówi! — ucieszyła się Melissa.

— Zamyśliłem się.

— On myśli! — zakpiła.

Cody się nie uśmiechnął. Przekręcił gałkę odmrażania szyby o jeden stopień i siatka mrozu znikła.

— Mamy ile? Dziewięć dni do wyznaczonego przez sędziego terminu? — powiedział. — Za dziewięć dni ma zabrać waszą córkę?

— Tak — odparła Melissa. Pokręcił głową.

— No to niewiele czasu nam zostało — stwierdził.

— Ale przecież to nie ma już żadnego znaczenia — zaprotestowała Melissa. — Lada chwila dostaniemy zdjęcia i... — Gestem wskazała nas, w samochodzie, sygnalizując cel, jaki nam przyświeca.

Cody odchrząknął i powiedział cicho, by nie obudzić Angeliny:

— Chcę tylko, żebyśmy wszyscy mieli jasność. Dokładnie zrozumieli, o co chodzi. Przekroczyliśmy granicę i z każdym kilometrem się od niej oddalamy, a im bardziej się oddalamy, tym bardziej maleją wasze szanse na wykorzystanie legalnej możliwości, takiej jak przyznanie wam prawa do dziecka w sądzie, gdyby doszło do rozprawy. A to dlatego, że nie jesteście już czyści. Opuściliśmy krainę niewinności, by dobrowolnie zejść do podziemia. Rozumiecie to?

Spojrzałem na Melisę. Odpowiedziała mi spojrzeniem. Spodziewałem się, że dostrzegę w jej oczach strach lub choćby cień strachu, ale nie, nie było go ani śladu.

— Rozumiemy — powiedziałem za nas oboje.

— W porządku. A więc to, co próbujemy zrobić, jest w gruncie rzeczy proste. Chcemy dobrać się do sędziego przez jego syna. Przestraszyć go tak, żeby podpisał zrzeczenie się praw.

— Owszem — przyznałem po chwili zastanowienia. Cody skinął głową.

— Rozumiecie, że kiedy próbuje się zastraszeniem zmusić kogoś, żeby coś zrobił, zawsze może stać się coś nieoczekiwanego. — Odetchnął głęboko. — Popelnianie przestępstw to nie jest nauka ścisła.

— Cody! — zaprotestowała z tylnego siedzenia Melissa.

— Chcę tylko mieć pewność, że się rozumiemy. A do tego trzeba używać prostego języka.

— Przecież nie jesteśmy kryminalistami! — Melissa nie mogła się uspokoić. — Nie my odbieramy rodzicom dzieci.

— Prawo jest po jego stronie — tłumaczył cierpliwie Cody. — Nie zgadzam się z tym.

Bardzo często zdarza mi się nie zgadzać z prawem. Chociażby z tym, że Aubrey Coates chodzi sobie spokojnie po naszych ulicach. Ale prawo jest po stronie sędziego Morelanda.

— Jego żona nic nie wie o Angelinie, więc coś z całą pewnością jest tu nie w porządku. Jego syn, Garrett, zabił naszego psa, że nie wspomnę o tym, co wraz z kolegą zrobił Jackowi. I co się stało u nas w domu.

Cody rozmawiał z Melisą, przemawiając do lusterka wstecznego.

— Postaraj się zrozumieć, że jego żona może o niczym nie wiedzieć i to nie jest przestępstwo. Dziwna sprawa, tak, ale z całą pewnością nie przestępstwo. I owszem, wydaje nam się, że wiemy, kto zabił Harry'ego, ale niczego nie udowodniliśmy.

— A co z Luisem? — spytałem.

Cody uśmiechnął się gorzko.

— To ja załatwiłem Luisa odmownie... I za co? Za to, że jeździł sobie uliczkami twojego osiedla. Kto w tym przypadku jest przestępcą?

— Garrett pozbył się ciała, a to przestępstwo.

— A skąd mamy wiedzieć, że się go pozbył? Skąd wiemy, że Luis nie pozbył się go sam? Bo przecież Garrett może zawsze powiedzieć, że Luis chciał wysiąść z samochodu, a on nie wiedział, jak bardzo jego kumpel jest poszkodowany, że powtarzał tylko, iż nie chce jechać do szpitala. No więc odszedł sam, potknął się i wpadł do South Platte. Nikt nie ponosi za to odpowiedzialności.

Nie miałem nic do powiedzenia.

— Dlaczego nam to robisz? — spytała Melissa. Miała łzy w oczach.

— Chcę mieć pewność, że wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, co właśnie robimy. Tylko tyle.

— Zdajemy sobie sprawę z tego, co robimy — zapewniłem.

— Doprawdy?

— Być może wszystko skończy się, gdy tylko Brian dostanie te zdjęcia — powiedziała Melissa. — Być może nie będziemy musieli posuwać się dalej.

— Aż tak ufasz Brianowi i jego zdjęciom? — W głosie Cody'ego brzmiał sarkazm... z nutą litości. — Przemyśl to sobie. Czego się po nich spodziewasz? Sędziego Morelanda w łóżku z dziewczyną? Z chłopcem? A jeśli to fotomontaż? A jeśli sędzia uzna, że są tym, czym mogą być: amatorską próbą szantażu? W jakiej znajdziecie się sytuacji? W jakiej sytuacji znajdzie się Brian? Gdzie wtedy będzie? Spodziewam się, że wypadnie mu akurat jedna z tych jego długich podróży w interesach. Ale ja tylko tak gadam... spekuluję. My, gliniarze, już tacy jesteśmy.

— Nie podoba mi się twój stosunek do Briana — powiedziała Melissa.

Cody tylko wzruszył ramionami.

— Jezu. Pewnie dlatego musieli mnie zawiesić w robocie. Nie umiem trzymać niewyparzonej gęby na kłódkę.

— Dlaczego nam to robisz? — powtórzyła Melissa. Sięgnąłem do tyłu, chcąc ująć jej dłoń, ale cofnęła ręce i skrzyżowała je na piersiach.

— Dlatego że kiedy spuścimy ze smyczy Jetera Hoyta, wszystko może się zdarzyć.

Poprosiłem Cody'ego, żeby zjechał na pobocze, a kiedy spełnił moją prośbę, usiadłem z tyłu. Melissa przez chwilę się opierała, ale w końcu pozwoliła się przytulić.

— Robimy to, co należy — szepnąłem. — Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

— Chcę zadać wam jeszcze jedno pytanie — odezwał się Cody. Uznał nasze milczenie za zgodę. — Gdybyście mogli zacząć teraz od początku, czy znowu byście adoptowali?

— Tak — odpowiedzieliśmy razem.

— To dobrze. To dobrze o was świadczy. — Cody mówił coraz ciszej. — Dzieci chcą być potrzebne...

Nadal tuliłem Melissę. Zobaczyłem, że ręka wysunęła się jej spod koca. Z całej siły ścisnęła fotelik Angeliny. Palce miała białe.

Montana

Sobota, 17 listopada, pozostało osiem dni

13

Lincoln w Montanie, liczące sobie tysiąc stu mieszkańców, jest wioską leżącą w Leśnym Parku Narodowym Heleny, na brzegu rzeki Blackfoot. W latach dziewięćdziesiątych zrobiło się o nim głośno za sprawą Theodore'a Kaczynskiego, zwanego Unabomberem, którego aresztowano właśnie tu, w ruderze udającej chatę. Przetransportowano ją później w całości przez przełęcz Stemple do stołecznej Heleny, dziewięćdziesiąt pięć kilometrów na południowy wschód. Wioska, sprawiająca wrażenie topornej i nieco niechlujnej, wyglądała tak, jakby zrzucono ją pomiędzy drzewa z helikoptera i niektórym budynkom nie udało się miękko wylądować.

Właśnie tu mieszkał Jeter Hoyt.

Przyjechaliśmy na miejsce w sobotę o piętnastej. Czternaście godzin. W tym czasie przejechalibyśmy przez większość Europy Zachodniej, ale tu zaledwie przekroczyliśmy granicę stanów. Raz.

Cody zaparkował przed barem. Najwyraźniej jego komórka się wylądowała, próbując złapać połączenie z siecią przez ostatnie siedem, może osiem godzin, więc musiał skorzystać z automatu. Wysiadłem razem z nim.

— Potraktowałeś nas dość szorstko — zauważyłem. Zapalił papierosa.

— Już taki jestem, kiedy nie palę albo nie piję — wyjaśnił. — Kiedy zostaje tylko rzeczywistość, wpatrująca się w ten mój parszywy pysk.

— Dziękuję za to, że zdecydowałeś się prowadzić.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

— Co będzie, jeśli nie zastaniemy twojego wuja?

— Zawsze istnieje taka możliwość — przyznał. — Sezon łowiecki właśnie się kończy. Pamiętasz, co to takiego sezon łowiecki? — spytał z nostalgią.

— Pamiętam. Przecież niedawno z nim rozmawiałeś?

Cody skinął głową.

— Powiedziałem mu, że być może przyjedziemy. Nie powiedział, czy będzie na nas czekał, czy nie.

Wszedł do baru, a ja oparłem się o mojego cherokee, z rękami głęboko w kieszeniach. Śnieg leżał na szczytach gór na południu, pokrywał wyższe partie Parku Narodowego Scapegoat na północy. Widziałem pasma śniegu w cieniu między rosnącymi nad barem sosnami. Dwie pory roku czynią wiochy takie jak ta szczególnie nieatrakcyjnymi. Jesień, kiedy śniegu jest akurat tyle, by zmienić ziemię pod nogami w błoto, lecz za mało, by je pokryć i zamarznąć, i wiosna, kiedy topi się i spływa z rozrzuconych wszędzie śmieci. A jednak, jakby dla równowagi, obdarzają je wówczas wspaniałym zapachem: sosen, poszycia i dymu z płonącego drewna. Odetchnąłem głęboko, myśląc o domu... gdziekolwiek ten dom jest.

Odwróciłem się. Angelina już nie spała, przyglądała mi się przez okno, uśmiechnięta. Melissa mocno ją tuliła. Ten uśmiech nappełnił mnie radością tak szaloną, że od razu pozbyłem się wątpliwości. Postępujemy właściwie. Zapukałem w okno. Otworzyła je.

— Odetchnijcie głęboko — powiedziałem.

— Pachnie... no, pachnie lasem — stwierdziła Melissa.

— Gdyby tylko w takich miejscach mieli pracę dla specjalistów od turystyki międzynarodowej... — westchnąłem i wsunąłem rękę do samochodu, żeby Angelina mogła złapać mnie za palec. — Co za wspaniałe miejsce! Mieszkać tu, wychowywać dzieci...

— ...mieć za sąsiada Unabombera — dodała Melissa. Oboje roześmieliśmy się wesoło. Angelina zaczęła piszczeć radośnie tylko dlatego, że jej rodzice się śmieją. Za rzadko to ostatnio robiliśmy, pomyślałem i postanowiłem poprawę.

Cody wyszedł z baru z puszką coorsa light w ręku i papierosem.

— Spotkałem kilku kumpli ze szkoły — oznajmił. — Pamiętasz braci Browning? Chada Kerra? Wypytywali mnie o ciebie i Briana.

— Naprawdę?

— Naprawdę. To tyle, jeśli chodzi o nasz przyjazd incognito, nie? Zapomniałem, że w Montanie wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich.

— A co z wujkiem Jeterem?

— Czeka na nas u siebie. Powiedział, że rozbroi pole minowe przed domem, więc możemy od razu wjeżdżać na podwórko.

— Co!?

— Przecież żartuję. — Cody cisnął papierosa w błoto.

* * *

Chata wujka Jetera stała w oddalonym od wsi zakątku, wśród sosen i osik. Jechało się do niej stromo wspinającą się gruntową drogą, wyznaczoną dwiema koleinami i pełną dziur wypełnionych po brzegi wodą w kolorze kawy z mlekiem.

— Mam nadzieję, że ciągle pamiętam, jak tam dojechać — westchnął Cody.

Przejechaliśmy pod starym, uginającym się łukiem z bali drewna sosny wydmowej, ciemnoszarej od wilgoci, pokrytej jaskrawozielonymi porostami. Na jednej z podpór wisiał wypalony w drewnie znak z napisem: *Hoyt. Sprzęt i usługi turystyczne*, na drugiej zardzewiały metalowy: *Dla twardzielu* Stojąca za łukiem chata wujka Jetera, przygięta do ziemi, na pół zrujnowana, wyglądała jak zabytek z lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku, z wyjątkiem zamontowanej na słupie anteny satelitarnej, wymierzonej w skrawek czystego nieba na południu. Dwa samochody z napędem na cztery koła: dodge power wagon z lat sześćdziesiątych i względnie nowy, ale bardzo wysłużony ford pick-up, stały zaparkowane tyłem w otwartym garażu. Na poprzecznej belce opartej o gałęzie wysoko, między drzewami, wisiał łoś i coś, co wyglądało jak muskularny mężczyzna. Już miałem pokazać go palcem, kiedy Cody powiedział:

— Niedźwiedź. Obdarty ze skóry niedźwiedź wygląda trochę tak, jakbyś powiesił wspomagającego*. Zawsze mnie to przerażało. Melisso, na twoim miejscu dopilnowałbym, żeby Angelina tego nie widziała.

— Na szczęście — powiedziała idąca za nami Melissa — wyglądała z drugiej strony. Spodobały jej się konie.

* Wspomagający (ang. *linebacker*) — pozycja zawodnika formacji obrony w drużynie futbolu amerykańskiego.

Z zagrody przyglądały nam się ciekawie trzy konie, dwa muły i kilka kóz.

— Piękne miejsce — powiedziała Melissa śmiertelnie poważnie.

— To mniej więcej to, czego się spodziewałem — odparłem.

Wujek Jeter przywitał nas na progu tacą serów: kilkunastoma wielkimi kawałkami velveety pociętymi najwyraźniej w pośpiechu, podanymi na obtłuczonym półmisku w towarzystwie kilku kolumn krakersów i kolorowych wykałaczek związanych gumką recepturką. Wydało mi się miłe, choć najzupełniej niezgodne z jego charakterem, że po telefonie zapowiadającym gości pierwsze, co zrobił, to pokroił ser myśliwskim nożem, by mieć czym ich poczęstować.

Był wysoki, ale nie tak wysoki, jakim go zapamiętałem, szeroki w ramionach, ale nie tak szeroki, jak mi się kiedyś wydawało. Szczerze mówiąc, wyglądał rozpaczliwie normalnie, może z wyjątkiem długiej siwiejącej brody i kucyka sięgającego do połowy pleców. Ale jego oczy pozostały takie same, jasne, niebieskoszare, przenikliwe, otoczone kręgami czerwieni. I nos, wielki, wygięty, pokryty siecią cienkich jak włos niebieskich żyłek. Wielkie łapska wyglądały jak baseballowe rękawice. Ubrany był w koszulę z grubej flaneli, skórzaną kamizelkę tak starą, że wyświeconą do połysku, obcisłe wranglery i sznurowane ciężkie buty z podeszwami przystosowanymi do jazdy konnej.

W chacie było ciemno. Na ścianach wisiały wyprawione skóry niedźwiedzi i łośi. Poroża łośi oraz jeleni służyły jako wieszaki na długie karabiny i strzelby. Pachniało dymem i tłuszczem z dodatkiem rozpuszczalnika do czyszczenia broni. Melissa, Angelina i ja usiedliśmy na starej kanapie wyposażonej w

trzyćwierciowe koła wozu, zastępujące podłokietniki. Melissa miała poważny kłopot z utrzymaniem na miejscu naszej córeczki, która koniecznie chciała pobawić się na podłodze. Jeter ustawił tacę serów na niskim stoliku, koło sześciopaka piwa Molson.

— Bardzo przepraszam — przywitał nas chropawym, poważnym głosem. — To nie miejsce dla damy i dziecka.

— Wszystko w porządku. — Melissa uśmiechnęła się, ale wargi miała zaciśnięte.

— Nie. Nie jest w porządku. Może mała czegoś potrzebuje? Mleka albo czegoś takiego?

Melissa wskazała gestem wypchaną torbę z rzeczami dziecka.

— Nie ma potrzeby. Przyjechaliśmy przygotowani.

Ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu Angelina próbowała oczarować Jetera. Obdarzyła go głupiutkim, fałszywie skromnym uśmiechem, zamrugała i zakryła buzię rączkami. Za chwilę miała rozstawić pałuszki, przyjrzeć mu się zalotnie i zachichotać. Zauważyłem, że Jeter z trudem skupia się na tym, co Cody ma mu do powiedzenia o naszych problemach. Wbrew wyrażonym w samochodzie wątpliwościom opowiadał o Garrecie i Luisie beczeszczących nasz dom, o strzelaniu farbą i o słowach Garretta, że teraz „nas ma”, wypowiedzianych z przerażającą pewnością siebie. Zauważyłem, że kiedy doszedł do śmierci Harry'ego, oczy Jetera znieruchomiały. Doczekał jednak spokojnie do końca relacji, po czym rozczesał brodę palcami.

— Więc... — powiedział — jest chłopak, którego chcecie przestraszyć. Przyjechaliście z tym do mnie. Dlaczego?

Cody spojrzał na mnie, oczekując, że odpowiem.

— Bo potrafiłeś przestraszyć nas — odparłem.

— To było dwadzieścia lat temu, Jack.

Cody pochylił się, podał wujowi kopertę z informacjami i zdjęciami, które zgromadził dla nas Torcleson. Jeter zaczął przerzucać zdjęcia, a tymczasem Cody mówił:

— Bo w Denver nikt cię nie zna, wujku. Niczym się nie wykazałeś. Wiem, jak to jest z policją, czego szukają, jeśli już coś się zdarzy. Lincoln w Montanie nawet nie przyjdzie im do głowy, chyba że zrobisz coś głupiego, na przykład zgubisz portfel.

Albo przesłuchają braci Browningów czy Chada Kerra, pomyślałem.

Jeter Hoyt obdarzył Cody'ego takim spojrzeniem, że zaczęłam się o niego martwić.

— Nie twierdzą przecież, że coś podobnego musi się zdarzyć — wycofał się szybko Cody. — Nie twierdzą nawet, że Garrett koniecznie musi pójść na policję. Cała sprawa polega na tym, żeby nie poszedł na policję. Polega na tym, żebyś go przekonał do zrzeczenia się praw od razu, na miejscu.

Hoyt znów przeczesał palcami brodę, jakby rozważał szanse.

— Przez ostatnie parę lat nie bawiłem się w tego typu rzeczy — przyznał. — Być może trochę zarzewiałem. Ale... mówiłeś, że ten Garrett lubi trzymać z Meksykanami. Że dzięki nim czuje się ważniejszy?

Cody skinął głową.

— Z Meksykanami, tak. Dokładniej: z gangiem nazywającym się Sur-Trzynaście.

Wujek Jeter spojrział na Melissę.

— Bardzo przepraszam, proszę pani, ale może mała dama chciałaby przez kilka minut pooglądać konie? Mam kilka koni, dwa muły i kozę. To dobra koza. Nie ugryzie. Nie sądzi pani, że ten mały aniołek chciałby się z nimi zaprzyjaźnić?

Melissa spojrzała na mnie pytająco. Skinąłem głową. Jeter zaczął mówić, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi.

— Mam problem z tą nielegalną imigracją. Mam wielki problem z tym, że Meksykanie kradną nam miasta, wymachują swoją meksykańską flagą i w ogóle. Wielki problem, rozumiecie?

Cody pokiwał głową.

— Parę tygodni temu zadzwoniłem do mojego banku w Helenie, bo gdzieś zapodziała się wpłata od klienta, z którym polowałem. Oni już naprawdę nie wiedzą, co robić z gotówką, tylko wytrzeszczają oczy. No więc zadzwoniłem i w słuchawce usłyszałem taką nagraną informację: „Język angielski, wciśnij jeden, *español*, wciśnij dwa”. I to się działo w Helenie, w Montanie, chłopcy! No więc wkurzyłem się jak cholera, pojechałem do nich i zlikwidowałem konto, a kiedy kierownik spytał mnie dlaczego, powiedziałem: „Język angielski, wciśnij jeden, *español*, wciśnij dwa, ty mały kutasie”. Wyjeżdżając z miasta, mijalem szpital. Widziałem Meksykanów stojących w kolejce przed izbą przyjęć, wyobrażacie sobie? Izbą przyjęć! Mieli z sobą te swoje chore dzieciaki, czekali w kolejce, bo lekarze chyba muszą ich leczyć niezależnie od wszystkiego, nie? Pomyślałem sobie, że czyj to jest w końcu kraj? Co się dzieje z naszymi tak zwanymi przyjaciółmi, że siedzą na tyłku, kiedy nas dosłownie najeżdżają tak zwani sąsiedzi z południa? A teraz słyszę, że jakiś kiepski naśladowca Meksykańców i jego meksykańscy kumple z gangu chcą tego tu małego aniołka.

— Spojrział na nas gniewnie i wymierzył palcem w drzwi. — To nie jest w porządku!

Wuj Jeter był w tym momencie tak przerażający, że nie ośmieliłem się powiedzieć mu, w czym tkwi problem: w sędzim.

— Załatwienie kilku pieprzonych Meksykańców nie spędzi mi snu z powiek — mówił. — Zmuszenie tego lewego Meksykańca, żeby się podpisał na kawałku papieru, brzmi jak najłatwiejsza rzecz na świecie.

Żeby zademonstrować, jak łatwa jest to rzecz, poderwał się z miejsca znacznie szybciej, niż byłem skłonny do tej pory przypuszczać, unieruchomił głowę wyobrazonego Garretta, ułożył palce drugiej ręki w kształt pistoletu i udał, że odciąga kurek.

— Pamiętacie tę scenę z *Ojca chrestnego*? — spytał. — Na umowie znajdzie się albo pański podpis, *señor* — powiedział z udawanym meksykańskim akcentem — albo pański mózg.

Przemawiał do wyobrazonego Garretta. Grał tak naturalnie i przekonująco, jakby rzeczywiście trzymał go w garści.

— A jeśli myślisz, że możesz podpisać papier, a potem pobiec na skargę do tatusia albo gliniarzy, to lepiej pomyśl jeszcze raz, mały *señor*. Bo jeśli to zrobisz, wrócę i nakarmię kozy twoimi małymi orzeszkami. To tak na początek, rozumiesz? — Spojrzał na nas. — Jak myślicie, to załatwi sprawę?

— Może lepiej byłoby trochę subtelniej? — zasugerował Cody.

Wujek skinął głową, pozwolił upaść na ziemię „Garrettowi” i odetchnął głęboko, by się choć trochę uspokoić.

— Wynagrodzenie? — spytał.

— To kwestia do omówienia z Brianem Eastmanem — powiedziałem. — On zajmuje się sprawami finansowymi.

— Brian Eastman? — zdziwił się wujek, gładząc gęstą brodę. — Wasz stary przyjaciel? Syn pastora?

— Tak.

— Jest homo, tak? Westchnąłem ciężko.

— Tak — przyznałem. — I pomaga nam finansowo. Doskonale poradził sobie w Denver.

— Jasne, że sobie poradził. — Wujek uśmiechnął się szyderczo. — Cóż, pedalska forsa jest równie dobra jak każda inna, nie?

Ugryzłem się w język. Spojrzałem na Cody'ego. Przewrócił oczami i pokręcił głową, zawstydzony.

— Dajcie mi dzień czy dwa, żebym mógł się zebrać do kupy. Na początku przyszłego tygodnia ma być cholerna zamieć, więc wygląda na to, że muszę się pospieszyć. Mogę być w Denver we wtorek, najpóźniej w środę. Nie widziałem miasta od lat. Słyszałem, że strasznie się rozrosło.

— To prawda — przyznał Cody.

— A ty? Żałujesz, że opuściłeś Montanę dla tego zwariowanego miejsca?

— Owszem. — Cody pokiwał głową. — Ostatnio nawet bardzo.

Jeter również skinął głową.

— Jasne. Ja tam w ogóle nie pojmuję, jak można chcieć wyjechać z naszej Montany. Dla mnie to bez sensu. Z mojego doświadczenia wynika, że wszystkie te pieprzone miasta są jednakowe. Pełno w nich niepożądanych cudzoziemców.

Klepnąłem się w kolano i wstałem.

— Cody, moglibyśmy porozmawiać na zewnątrz? Zamknęliśmy za sobą drzwi i Cody spytał:

— Zaczynasz się zastanawiać, co?

— Owszem. Jest starszy i bardziej szalony, niż go zapamiętałem. Nie sądzę, żebyśmy mogli go kontrolować, i lepiej nie liczymy na to, że jak już zacznie, będzie umiał przestać.

Cody skinął z namysłem głową.

— Masz rację. To nie ten człowiek, którego pamiętamy.

— Słuchaj, możesz mu powiedzieć, że to ja się przestraszyłem w ostatniej chwili? Powiedz mu to i więcej w diabły.

Podeszła do nas Melissa z Angeliną na rękę. Słyszała, o czym rozmawiamy.

— Rzeczywiście, wydaje się niezrównoważony — przyznała.

Cody się roześmiał. Krótko i niewesoło.

— On zawsze był niezrównoważony. W naszych czasach trudno byłoby znaleźć zrównoważonego płatnego zabójcę. Ale owszem, pogorszyło mu się, bez dwóch zdań. Chyba nie zdawałem sobie sprawy z tego, jaki jest cholernie stary. — Objął nas za ramiona. — Słuchajcie, idźcie do samochodu, dobrze? Ja pójdę i powiem mu, że zmieniłeś zdanie.

* * *

— Jak to przyjął? — spytałem, kiedy jechaliśmy już przez Lincoln.

— Piekielnie trudno go rozgryźć. Moim zdaniem był rozczarowany. Cholernie napalił się na tę robotę.

— Podjęliśmy dobrą decyzję — powiedziała Melissa siedząca z tyłu. — Tylko szkoda, że nie wiemy, co teraz. Może Brian coś dla nas ma? Trzeba go spytać.

Cody prychnął i powiedział:

— Tylko szkoda, że stary piernik nie oddał mi akt.

14

Usłyszałem jej niepewny głos, w końcu kto dzwoni w sobotę wieczorem oprócz telemarketerów albo sąsiadów skarżących się, że krowy wyszły na drogę?

— Halo?

— Cześć, mamó.

— Jack! — Ucieszyła się, ale była też zaniepokojona. Wiedziałem, co myśli. Odzywam się tak rzadko, że kiedy już zadzwonię, to musi być zła wiadomość. Udało jej się wyprowadzić mnie z równowagi, przypomniałem sobie stare czasy.

— Przejeżdżamy przez Helenę, jest ze mną Melissa i twoja wnuczka. Po drodze mamy Townsend, więc pomyślałem, że moglibyśmy się spotkać.

— Ojej! Dlaczego nie uprzedziliście, że przyjeżdżacie?

— Przepraszam. Nie martw się o obiad ani nic, mówię poważnie. Pomyśleliśmy tylko, że może chciałabyś zobaczyć wnuczkę. Tata jest gdzieś pod ręką?

— Ojej! Tak, na podwórku, majstruje przy traktorze. A ja właśnie przygotowuję obiad, ojej, tak mnie zaskoczyliście. Nie wiem, co powiedzieć. Dlaczego nie zawiadomiłeś nas wcześniej?

Poczułem, że się czerwienię.

— To długa historia. Słuchaj, jeśli sprawiamy kłopot... — Czułem ciężar spojrzenia siedzącej z tyłu Melissy. Jak to możliwe, że po siedemnastu latach w wielkim świecie, po tym, jak opuściłem ranczo na

zawsze, gdy tylko się z nimi kontaktuję, natychmiast wracam do mojego licealnego ponurego ja? Ile czasu upłynie, nim zdecyduję, że nie warto, i pojedziemy dalej?

— Nie, nie! Musicie przyjechać. Po prostu twój telefon mnie zaskoczył. Otwierałam pudełko steków, zadzwonił telefon i to byłeś ty. Przyjedźcie koniecznie. Kiedy będziecie?

— Za jakieś czterdzieści pięć minut.

— Ojej!

— Mamo, posłuchaj...

— Ojej! Otworzę drugie pudełko steków. Przyjedziesz z Melissą i dzieckiem?

— Jest też z nami Cody.

— Cody! Cody Hoyt?

— Tak.

— Ojej! Pójdę powiedzieć ojcu. Czterdzieści pięć minut, teraz to już raczej czterdzieści...

— Mamo, możemy zjeść coś po drodze. Możemy was zabrać na obiad. Nie musisz przejmować się gotowaniem. Naprawdę!

— Nie bądź śmieszny. — Mamę rozzłościło, że ośmieliłem się coś takiego choćby zasugerować.

Skończyłem rozmowę i obejrzałem się do tyłu na Melissę.

— Nie jesteś zadowolony, że zadzwoniłeś? — spytała z uśmiechem.

— Nie jestem pewny. Mama jest rozdygotana.

— Przyda nam się takie alibi, bo przecież o tym, że tu jesteśmy, wiedzą już wszyscy i ich psy też — zauważył Cody. — Jeśli zajdzie taka konieczność, zawsze możemy powiedzieć, że postanowiłeś odwiedzić rodzinę, po raz ostatni z Angeliną. To ma sens. A ja prowadziłem, bo nie miałem nic lepszego do roboty.

— Cody przerwał i po chwili dodał kwaśno: — Mam tylko nadzieję, że twój stary nie każe mi naprawiać ogrodzenia albo coś.

* * *

W drodze do Townsend przejechaliśmy przez wschodnią część Heleny. Po lewej zobaczyłem jezioro Canyon Ferry, kilka nowych domów na brzegu, ale tylko kilka, i nagle uświadomiłem sobie, że przecież znam ten widok.

— Niewiele się tu zmieniło — powiedział Cody, jakby czytał mi w myślach.

— Niewiele — przyznałem.

— W Denver jest inaczej. Człowiek ma wrażenie, że co kilka dni powstaje nowe osiedle. Tutaj czas się zatrzymał. Kiedyś mi się to nie podobało, ale teraz tak.

Denerwowałem się coraz bardziej, bardziej niż wtedy, kiedy jechaliśmy na spotkanie z wujkiem Jeterem.

— Może powinniśmy zjeść coś na szybko w Helenie? — zasugerowałem.

— Twoja matka dostałaby szału — oburzyła się Melissa. — Pojawić się u niej w domu i nic nie zjeść? Co ci strzeliło do głowy!

— Sobotnie popołudnie to steki, jeśli dobrze pamiętam — wtrącił się Cody. — Steki i pieczone ziemniaki. W każdą sobotę. Ciekawe, czy to się zmieniło.

— O ile wiem, nie — odparłem. — Mama powiedziała, że otworzy drugie pudełko steków.

— Dobre były, nie powiem — westchnął Cody. — Nadal pamiętam, jak to szło. Schabowy z kością w poniedziałek, spaghetti we wtorek, hamburgery w środę, gołąbki w czwartek, wołowina w jarzynach w piątek, steki w sobotę, pieczony kurczak w niedzielę. Kiwałem głową.

— I tak zawsze? — zdziwiła się Melissa.

— Zawsze. Gdyby mama spróbowała coś zmienić, tata siedziałby przy stole i gapił się w talerz z obrażoną miną.

— Bardzo lubiłem gołąbki. — Cody się uśmiechnął. — Może następnym razem przyjedziemy wynająć zabójcę w czwartek?

— Cody! — oburzyła się Melissa. — Przestań. Co będzie, jeśli Angelina zacznie używać takiego języka?

Cody uśmiechnął się, zwolnił i włączył migacz. Zjechaliśmy na żwirową drogę prowadzącą na rancho.

* * *

Nasz dom na rancho wyglądał prawie dokładnie tak, jak wtedy, gdy wyjeżdżałem. Było trochę zmian: większy zbiornik gazu, większa szopa z blachy falistej, ale w zasadzie budynki były tymi, które pamiętałem, i stały tak, jak zapamiętałem. Łąki pokrywało kilka centymetrów śniegu, na wschodzie wznosiły się góry Big Belt, ciemnognatowe, także ośnieżone. Zbocza łagodnych wzgórz między ranchem a pasmem górskim lśniły jasnym złotym światłem zmierzchu, takim, które zmienia śnieg w płonącą lawę. Małe stadko mulaków pasło się między młynem a poidłem, kilkaset sztuk angusów z łysymi pyskami, stłoczonych na wschodnim pastwisku, czekało niewątpliwie na transport.

Wjechaliśmy na podwórko. Przez szybę od strony kierowcy widziałem przez chwilę tatę pracującego przy świetle przenośnej lampy wśród rozrzuconych dookoła części traktora i narzędzi, a przed sobą niecierpliwie oczekującą nas mamę w oprawie kuchennego okna. Na nasz widok znikła i chwilę później stanęła w drzwiach, przepasana tym samym fartuchem w niebieskie kaczki, który nosiła osiemnaście lat temu.

— Melisso! — krzyknęła. — Przyrowadź tu mój najdroższy skarb!

— Ma na myśli Angelinę, nie ciebie — zakpił Cody z kamienną twarzą.

Mama obdarzyła mnie krótkim pocałunkiem, lekko, żartobliwie uderzyła Cody'ego po ramieniu, ale tak naprawdę byliśmy tylko przeszkodami na jej drodze do Angeliny. Porwała ją w ramiona. Angelina zapiszczała z radości. Mama ruszyła do domu, a Melissa poszła za nią z torbą pieluch w rękę. Obejrzała się, uśmiechnęła do mnie rozbawiona i weszła do środka.

Ja i Cody poszliśmy do szopy. Na łące porykiwały krowy, poza tym panowała cisza. Tej ciszy nie pamiętałem.

Rodzice byli na naszym weselu, przyjechali do Denver zobaczyć Angelinę, kiedy przywieźliśmy ją do domu, ale ja do nich nie wróciłem. Nie chciałem wrócić, nie chciałem czuć tego, co czułem teraz. Nie wiedziałem, czego mogę się spodziewać, ale serce mi waliło i miałem zimne ręce.

Tata zrobił krok w naszą stronę, wytarł ręce ścierką, na której prawie nie było białych plam. Czekał, aż do niego podejdziemy. Twarz trochę mu się zaokrągliła, szkła okularów były tak grube, że powiększały oczy. Wyglądał staro i to mną wstrząsnęło.

— Nie daliście sobie rady w wielkim mieście, co? — spytał. — I wróciliście prosić, żebym dał wam pracę, jak dawniej?

Poczułem, jak ściska mi się żołądek, ale Cody poznał się na żarcie.

— Nie, Walt. Chcemy zarobić, to jasne, ale nie mamy zamiaru się przepracowywać.

— No to pod tym względem nic się nie zmieniło — powiedział tata i uśmiechnął się szeroko. — Miło cię widzieć, Jack — zwrócił się do mnie, wyciągając ręce. Boże, pomyślałem, czyżby chciał mnie pocałować? I rzeczywiście, pocałował. Przyciągnął do siebie niezdarnie, jedną ręką, cmoknął w policzek i natychmiast puścił, pozostawiając mi na pamiętkę podrapany bokobrodami policzek i zapach oleju samochodowego. — Pomożecie mi zrobić porządek w narzędziach, chłopcy? A potem coś zjemy.

— A nie mówiłem? — zażartował Cody.

— Pospieszcie się — ponaglił nas ojciec. — Chcę już wrócić do domu, zobaczyć moją śliczną synową, a przede wszystkim wnuczkę!

— Jakbyś jej jeszcze nie widział — powiedziałem, zbierając rozrzucone na ziemi klucze, znane mi tak dobrze jak palce własnych rąk.

— Widziałem, oczywiście, kiedy dopiero przywieźliście ją do domu. Była wtedy małym różowym czymś. Nie widziałem jej, odkąd stała się osobą.

— Przepraszam, że zjawiliśmy się bez uprzedzenia — powiedziałem. — Zdecydowaliśmy się na podróż dosłownie w ostatniej chwili.

Ojciec wzruszył ramionami.

— Po prostu cieszę się, że przyjechaliście. A poza tym po obiedzie trzeba jeszcze naprawić kilka dziur w ogrodzeniu.

I znów pomyślałem, że mówi poważnie, a on znów żartował. Co mu się stało?

— Jesteś pewny, że nie sprawiamy wam kłopotu?

— Póki nie zabraknie nam steków, wszystko będzie dobrze. — Pokazał gestem setki ryczących na pastwisku krów. — A nie wydaje mi się, żeby miało ich zabraknąć.

Obiad był przyjemny. Nie, więcej, znacznie więcej, był radosny. Tak jak wcześniej, u Jetera Hoyta, Angelina spędziła większość czasu, starając się skupić na sobie uwagę taty. Tata z kolei okazywał jej wręcz uwielbienie, karmił ją, robił miny, rozśmieszał wnuczkę najlepiej, jak potrafił. Spojrzałem na Melissę. Pokręciła głową, równie zdumiona nieoczekiwanym zachowaniem obojga jak ja.

Cody nie przyjął piwa. Wyjaśnił, że prowadzi. Uznałem to za godne podziwu, bo wiedziałem, że chętnie by się napił.

Przeżuwając stek, tata poinformował nas, że ranczo zostało sprzedane w ramach majątkowego układu rozwodowego dotychczasowego właściciela i niemal natychmiast kupione przez zarządzającego funduszem hedgingowym z Nowego Jorku.

— Co do tego nowego, to nic nie wiem — powiedział, wymachując widelcem. — Nie wiem, czy będziemy mogli patrzeć sobie w oczy.

— Daj mu szansę, Walterze — poprosiła mama. — Spędziliśmy tu dużo czasu. Nie jestem pewna, czy mam ochotę znowu się przeprowadzać.

— Do diabła, jasne, że dam mu szansę — burknął tata. — Jeśli znowu nie usłyszę od niego słowa „bizon”, to może jakoś nam się ułoży. Już i tak za wiele jest bawołów w Montanie. I za wielu Tedów Turnerów.

Po raz pierwszy pomyślałem o tym, co zrobią moi rodzice, kiedy przyjdzie im wreszcie opuścić ranczo. Oszczędzali na emeryturę? Płacili ubezpieczenie medyczne? W mojej obecności nigdy się o tych sprawach nie rozmawiało. Gdzie będą mieszkali? Pomyślałem o ich małżeństwie, może i niedoskonałym, ale trwającym już czterdzieści lat. Było ich dwoje tu, przeszło trzydzieści kilometrów od najbliższego miasta, otoczonych przestrzenią tak ogromną i surową, że wręcz mogącą ich pochłonać. Boże, pomyślałem, ale są twardzi.

W rozmowie pojawił się temat sędziego Morelanda i Garretta. Melissa opowiedziała, o co chodzi, pomijając najbardziej drastyczne i najmniej przyjemne szczegóły. Mimo to mama nie potrafiła do końca zrozumieć, o co chodzi, więc po prostu pokręciła głową, jakby mówiła, że to kolejne z tych miastowych dziwactw nie do pojęcia.

— Powiedz im, żeby się pieprzyli. To jest dobre powiedzenie, bardzo mi się podoba. — Ojciec wyciągnął rękę i zmierzwił włosy Angeliny, wywołując tym gestem wybuch głębokiego, zaraźliwego śmiechu. — Zatrzymajcie ją.

Jakby w ten sposób można było zakończyć temat.

Angelina postanowiła go naśladować i wyciągnęła rękę. Zdumiewające, ale pochylił się tak, żeby mogła sięgnąć jego siwej głowy.

— Jasne — powiedział, prostując się wśród ogólnego śmiechu. — To trofeum możesz zatrzymać.

* * *

— Jesteście pewni, że nie możecie zostać? — spytała mama błagalnie. — Jack, Melisso, moglibyście spać w dawnym pokoju Jacka, a Cody w gościnnym, chyba że wolałby barak dla pracowników. Stara kołyska Jacka czeka na strychu, byłaby w sam raz dla Angeliny.

Pominałem milczeniem fakt, że przez tyle lat trzymali moją kołyskę, i wyjaśniłem, że w poniedziałek idę do pracy, że właśnie wróciłem z zagranicy, zaledwie wczoraj wieczorem, i muszę jeszcze uporządkować materiały z wyjazdu.

— Nigdy nie rozumiałem, jak zarabiasz na życie — wyznał tata. — Bo co, jedziesz do jakiegoś kraju i rozdajesz mapy? I za to ci płacą?

Prawdę mówiąc, przez te wszystkie lata miałem okazję wyjaśnić mu, co robię, ze trzy lub cztery razy. Ale zawsze tylko patrzył na mnie tępo.

— Dlaczego nie możecie zostać? — znów spytała mama.

— Na litość boską — prychnął ojciec — jestem pewny, że obeszliby się bez ciebie ten jeden dzień.

— Bardzo mi przykro.

Twarz ojca nabiegła krwią. Przygotowałem się na „jasne, że ci przykro” albo coś równie nieprzyjemnego, raniącego. Walter McGuane nie zginął, nadal gdzieś tam był, ale nie, opanował się i powiedział tylko:

— Szkoda, że zabieracie mi małą. — Połaskotał Angelinę, wywołując kolejny wybuch śmiechu.

— Zdaje się, że zapowiadają nadchodzącą z północy wielką śnieżycę — powiedziała Melissa. W krytycznej chwili można było na niej polegać, zawsze mówiła coś rozsądnego. — Z pewnością nie chcielibyście, żeby nas tu zasypało.

— O do diabła — mruknął tata — nie miałbym nic przeciwko temu.

* * *

Mama i Melissa zmywały po obiedzie, a tata podszedł do mnie i powiedział, że chciałby pokazać mi coś w stodole. Ale nie o to chodziło. Na dworze było zimno. Szliśmy powoli w gasnącym świetle zmierzchu.

— Po tym, jak wyjechałeś, zdałem sobie z czegoś sprawę, Jack — powiedział, nie patrząc na mnie. — Byłem dla ciebie zbyt surowy. Chyba nie wiedziałem, co to znaczy być ojcem. Mój stary był sukinsynem, a to przecież on powinien mnie wszystkiego nauczyć.

— Doskonale sobie radziłeś — powiedziałem ze ściśniętym gardłem.

Dziadka pamiętałem jako wysokiego mężczyznę z czarną brodą pachnącą papierosowym dymem i oczami, które nie były łagodne.

— Nie. Ale nic nie zwalnia cię z obowiązku bycia dobrym synem. Dzwon częściej do mamy. Cholera, zaprosz ją do Denver. Oprócz twojej małej nie ma wnuków. Potrafię sobie bez niej poradzić, w końcu wiem, jak usmażyć stek.

Byliśmy już blisko szopy. Żwir chrząścił nam pod butami. Mieliśmy sobie tyle do powiedzenia.

— Zrobię, jak mówisz, tato. Ale... nie słyszałeś, co Melissa mówiła o Angelinie?

— Słyszałem.

— Mogą ją nam odebrać.

— Gówno tam. Walczcie.

— Walczymy.

— I dobrze. A jeśli wymagająca praca rozdawania map Denver zostawi ci kiedyś wolny dzień czy dwa, przyjeźdź. Trzeba naprawić ogrodzenia.

Roześmiałem się.

— Jestem dumny z tego, jak sam sobie poradziłeś — dodał tata. — Zaledwie wczoraj rano opowiadałem o tobie handlarzowi, który kupował od nas bydło. Wydawał się bardzo zainteresowany, ale wiesz, nie oplaca się wierzyć sukinsynom. W każdym razie jestem z ciebie bardzo dumny.

* * *

Siedzieliśmy w samochodzie. Światła Bozeman wyglądały jak ostatni bastion cywilizacji w absolutnej czerni chmurnej, bezksiężycowej nocy.

— Nigdy ich nie zrozumiemy, Jack — powiedział nagle Cody. — Są, jacy są. Mój stary to pijak. Spadłem niedaleko tej pieprzonej jabłoni. To dobre miejsce, Montana. Mam nadzieję, że kiedyś tu wrócę.

— To dobre miejsce — powtórzyłem. — A może tylko takie nam się wydaje, bo akurat teraz nie jest Denver?

— Mów za siebie. Mam tylko nadzieję, że kiedyś znajdę jakiś sposób, żeby tu wrócić.

Dlaczego powiedział to tak, jakby wiedział, że nigdy tego sposobu nie znajdzie?

* * *

Zasnąłem. Obudził mnie sygnał telefonu komórkowego Melissy. Spojrzała na wyświetlacz.

— To Brian.

Słuchała, powtarzając tylko: „To wspaniale” i „Uważaj na siebie”, a potem schowała telefon i powiedziała:

— Brian spotyka się z facetem od zdjęć dziś, gdzieś w śródmieściu. Dostaniemy je od razu, gdy tylko wrócimy do miasta.

— A więc wszystko jest w porządku. — Odetchnąłem. — Dobrze zrobiliśmy, odwołując Jetera.

— To się jeszcze zobaczy — mruknął Cody. — Brian może równie dobrze ścigać senne mary. To akurat jest bardzo do niego podobne.

* * *

O drugiej rano, kiedy zbliżaliśmy się do Casper, telefon Melissy znowu zadzwonił.

— To znów Brian — powiedziała. Po kilku sekundach odetchnęła gwałtownie i spytała: — Kto mówi?

— Daj mi telefon! — Oddała mi go szybko, jakby chciała się go pozbyć tak bardzo, jak ja chciałem go wziąć. Usłyszałem odgłosy miasta, w tle ktoś się śmiał.

— Kim jesteś? — spytałem. — Dlaczego korzystasz z telefonu Briana?

— Brian? — powiedział młody męski głos z latynoskim akcentem. — Brian? Nakopaliśmy mu w dupę.

Znów rozległ się śmiech i słowa, które już kiedyś słyszałem. Zrobiło mi się bardzo zimno. „Jesteś nasz, pierdolcu”.

— Brian — powiedział głos — to wasz martwy pedzio. Połączenie zostało przerwane.

— Nie! — jęknąłem. — Ktoś zadzwonił do nas z telefonu Briana. Jestem prawie pewny, że w tle słyszałem Garretta.

— O cholera! — Cody mocniej wcisnął pedał gazu.

Denver

Niedziela, 18 listopada, pozostało siedem dni

15

Pędziliśmy I-25 z prędkością dochodzącą do stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Cody rzucał nazwiska detektywów, z którymi pracował, ja znajdowałem je w książce telefonicznej jego komórki, wybierałem numer i oddawałem mu ją, jeśli ktoś odbierał. Obudziliśmy mnóstwo detektywów. Większość była bardzo zaspana. Za każdy razem Cody pytał, czy człowiek, z którym rozmawia, wie coś o morderstwie lub próbie morderstwa w centrum miasta.

— W porządku, dziękuję, stary — powtórzył trzy razy z rzędu. — Przepraszam, że cię obudziłem. — Oddał mi telefon. Miałem znaleźć kolejny numer.

— Nic? — spytałem. — Może tylko żartowali? Może to taki ich sposób, żeby nam dopieprzyć?

— Dzwonili z telefonu Briana — przypomniała Melissa. — Skąd go mieli?

— Ona ma rację — powiedział Cody. — Cholera, kto miał dzisiaj służbę?! Dyżurny nic mi nie powie! Muszę znaleźć ludzi, którzy nad tym pracowali, porozmawiać z nimi osobiście. Jack, sprawdź numery. Jest jeszcze dwóch facetów, z którymi mógłbym ewentualnie pogadać.

Znalazłem ich obu. Zadzwoiłem. Włączyłem głośnik, żeby Cody mógł jednocześnie rozmawiać i prowadzić. Kiedy trzymał telefon przy uchu, przerażał mnie, ponieważ podczas rozmowy musiał gestykować. Pierwszy detektyw w ogóle nie odebrał, drugi spytał, czy Cody jest zalany, że dzwoni o tej porze.

— Nie jestem zalany! Muszę wiedzieć, kto miał dziś służbę.

— Pieprzony nowy gość. Kto inny odwalalby nocną zmianę?

— Torkleson?

Zadrzałem. Znałem to nazwisko.

— Jasne.

— Masz numer jego komórki?

— Jest pieprzona czwarta rano, Cody! Nic nie mam, nic nie wiem, chcę tylko wrócić do łóżka. Facet jest nowy. Nie pamiętam, czy zapisałem jego numer.

— Dan, proszę, ja muszę wiedzieć.

— Co ty, pracujesz? Przecież jesteś zawieszony.

— Jestem.

— Więc o co ci, do cholery, chodzi?

— O przyjaciela.

Dan westchnął i burknął: „Czekaj”.

Bąłem się, że stracimy zasięg, nim znowu się odezwie. Wyoming jest znane z tego, że całe połączenie stanu nie mają pokrycia. Na szczęście znane jest także z tego, że stanowa policja nie lubi patroli na autostradach. Tak czy inaczej, dostaliśmy numer Torklesona.

— Mogę już iść spać? — spytał Dan.

— Jasne. Dzięki. Dobranoc — powiedział Cody z wdzięcznością, a nas spytał: „Zapisaliście?”.

— Ja zapisałam — powiedziała Melissa i wyrwała formularz czeku, którego użyła jako notesu.

Wybrałem numer, nie wyłączając głośnika.

— Tak? — odezwał się nieufny głos człowieka niemającego pojęcia, kto dzwoni o tej godzinie i dlaczego.

— Jason, mówi Cody Hoyt.

— O cholera, nie rozpoznałem numeru. Ale przecież jest czwarta rano. Co mogę dla ciebie zrobić?

— Muszę wiedzieć, czy dziś w nocy pracowałeś przy pewnej sprawie. Chodzi o mojego przyjaciela. Brian Eastman, wysoki, szczupły, biały, trzydzieści kilka lat. Jeśli coś się zdarzyło, to najprawdopodobniej w śródmieściu.

W słuchawce zapadła cisza. Torkleson przerwał ją pytaniem:

— I to twój przyjaciel?

— Tak.

— Och, człowieku, przykro mi, naprawdę strasznie mi przykro. Wezwanie dostaliśmy przed godziną. Jakiś pijak znalazł ciało w alejce. Dosłownie przed chwilą ofiara odjechała do Denver General.

Melissa jęknęła i ukryła twarz w dłoniach.

— Źle z nim? — spytał krótko Cody.

— Kurewsko źle.

— Co się stało?

— Cóż, wygląda to tak, jakby ktoś próbował pozbawić go twarzy butami. Ratownicy z karetki w pierwszej chwili uznali, że nie żyje. Widziałem już w życiu paru pobitych, ale ten wyglądał bardzo, bardzo źle. Przykro mi to mówić o twoim przyjacielu i w ogóle.

— A mnie przykro to słyszeć — powiedział Cody cicho. Melissa się rozplakała.

— Hej, kto jest z tobą? — zainteresował się Torkleson.

— Przyjaciółka — powiedział Cody na odczepnego, najwyraźniej nie w głowie mu było wyjaśnienie okoliczności rozmowy.

— Słuchaj, nie jestem pewny, czy twoja dziewczyna powinna nas słuchać.

— Tym się nie przejmuj. Powiedz, czy coś przy nim znaleźliście?

Torkleson wyczuł, że coś tu nie gra.

— Na przykład? — spytał ostrożnie. Cody chodził jak po rozpalonych węglach.

— No, wiesz... portfel, klucze, telefon, dokumenty... cokolwiek.

— Pytasz, czy były powody, żeby podejrzewać rabunek?

— Jasne. Właśnie o to mi chodzi.

— Owszem. Miał przy sobie dowód tożsamości. Telefon komórkowy znaleźliśmy w alejce. Nic takiego znowu niezwykłego. O jakich dokumentach mówisz?

— Jakichkolwiek. Fotografie, pomyślałem.

— Nic z tych rzeczy. Stracił całą gotówkę, sprawcy wyrzucili portfel. Nie wiadomo, ile mu zabrali. Tysiące, pomyślałem. Tysiące, którymi miał zapłacić za zdjęcia.

— Powiedziałeś: Denver General?

— Tak. Ja nadal jestem na miejscu zdarzenia. Mamy tu fotografa i ekipę dochodzeniową, badają alejkę. Kiedy skończą, pojedę do szpitala sprawdzić, czy ofiara może złożyć zeznania. Ale z tego, co widziałem...

— Żadnych świadków?

— Żadnych, o których byśmy coś wiedzieli, co wcale nie jest takie zaskakujące. Jesteśmy w tej gorszej części miasta. Tu ludzie nie lubią gadać.

— A więc do napadu doszło w alejce. Jakieś oświetlenie? — spytał Cody. — Co z oknami wychodzącymi na tę stronę?

Po głosie Torklesona łatwo było poznać, jak bardzo nie podoba mu się to, że Cody najwyraźniej zaczyna wtykać nos w jego dochodzenie.

— Owszem, jest oświetlenie z góry, ale w lampach nie ma żarówek. Wszystkie stłuczono. I owszem, parę okien wychodzi na właściwą stronę, ale mieszkania są puste.

— Brzmi to jak okolice Zuni Street.

Poczułem, jak jeżą mi się włoski na karku. Okolice Zuni Street. A więc i Appaloosy.

— Słusznie. — Torkleson nagle zmienił temat: — Słuchaj, mam do ciebie pytanie. Skąd wiesz, że coś się stało? Jakoś nie wierzę, żebyś siedział w domu z dziewczyną i o czwartej rano podsłuchiwał policję.

Cody prychnął kpiąco.

— Na to nie licz.

— No więc skąd wiesz?

— Sprawca zadzwonił do nas z telefonu Briana.

— Co!?

— Spotkamy się w szpitalu, detektywie. Dopilnuj, by zabezpieczono znaleziony telefon. Znajdź kogoś kompetentnego do przegrania rejestru rozmów i rejestru tekstowego. Natychmiast! I mam nadzieję, że poszukaliście na nim odcisków palców, bo ktokolwiek przespacerował się po Brianie, trzymał go w swojej pieprzonej rączce.

— Cody, mogę zadać ci jeszcze jedno pytanie? Nie jesteś przypadkiem zawieszony? Czy my powinniśmy w ogóle prowadzić tę rozmowę?

Cody skreślił zrećnie, omijając przebiegającego przez autostradę widłoroga. Melissa westchnęła: „O Boże, blisko było”, ale on rozmawiał jak gdyby nigdy nic.

— Torkleson — powiedział spokojnie — tu chodzi o mojego przyjaciela. Zaprzyjaźniliśmy się w szkole podstawowej w Montanie. Chcę znaleźć tego, kto to zrobił, a ty możesz albo pracować ze mną, albo przeciwko mnie. Naprawdę chcesz, żebym się tym zajął jako prywatny obywatel? Patrzył ci na ręce?

— Nie.

— Więc do zobaczenia w szpitalu. I miej przy sobie zawartość tej komórki.

* * *

Odwieźliśmy Melissę i Angelinę do domu i pod Denver General podjechaliśmy o dziewiątej rano. Nie żeby Melissa nie chciała pojechać z nami, wręcz przeciwnie, bardzo chciała, ale po dwudziestu ośmiu godzinach w samochodzie dziecka nie powinno się raczej fundować kolejnej przejażdżki. Angelina zaczęła kapryścić, wyraźnie brakowało jej snu, ale w sumie okazała się wspaniałym podróżnikiem.

Szliśmy sterylnymi korytarzami, wśród ściszonych szpitalnych odgłosów. Wiedziałem, że jestem w szoku. Mnie też brakowało snu, poza tym wizyta u rodziców i to, co przydarzyło się Brianowi, zdecydowanie zepchnęły mnie z torów. W rejestracji Cody spytał o niego, a surowa Murzynka poinformowała go, że pacjent leży na OIOM-ie. Żadnych odwiedzin, powiedziała, z wyjątkiem najbliższej rodziny.

— Cholera! — zaklął, sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął odznakę i błysnął nią w powietrzu. — Musimy go zobaczyć, i to teraz, natychmiast!

Murzynka wytrzeszczyła na nas oczy.

— Ależ proszę bardzo — powiedziała grzecznie. — Oddział intensywnej opieki medycznej mieści się na szóstym piętrze. Jeden z waszych ludzi już tam jest.

Cody skinął głową. Schował odznakę. Gdy zamknęły się za nami drzwi windy, powiedziałem:

— A mnie się wydawało, że ci ją zabrali. Skinął głową.

— Prawdziwą zabrali, owszem, ale każdy normalny gliniarz zawsze ma kilka zapasowych. Można je kupić z policyjnego katalogu. Nikt nigdy nie czyta, co tam jest napisane. Wystarczy ten błysk.

Na szóstym piętrze zobaczyliśmy nie Torklesona, lecz mundurowego wyznaczonego do ochrony. Siedział na metalowym składanym krześle przed dwuskrzydłowymi drzwiami z napisem: „Wstęp tylko dla personelu OIOM”.

— Co z nim? — spytał go Cody. Gliniarz, młody, chłopięcy, z zaledwie cieniem wąsika, odpowiedział:

— Nic mi nie powiedzieli.

— Detektyw Torkleson kazał ci go pilnować?

— Tak.

— Jestem detektyw Hoyt. — Cody błysnął odznaką i schował ją zrećnie. Pomyślałem, że nie brakuje mu praktyki, skoro potrafi oszukać nawet policjanta. Przemówił władczo, nie pozostawiając żadnych wątpliwości co do tego, czy ma prawo rozkazywać. — Musimy wejść do środka i porozmawiać z ofiarą.

Jest ze mną Jack McGuane, jego najbliższy przyjaciel. Bardzo prawdopodobne, że Brian tylko z nim chce rozmawiać.

Mundurowy wzruszył ramionami.

— Z tego, co wiem, faceta przerobili na hamburgera. Nie sędzę, żebyście coś z niego wyciągnęli.

— Proszę nas wpuścić do środka.

Chłopak jeszcze raz wzruszył ramionami, westchnął teatralnie i połączył się interkomem z kimś na oddziale. Rozległo się brzęczenie i drzwi stanęły otworem.

— Pan Eastman? — spytał pielęgniarkę dyżurną Cody.

— Pokój siedemset trzydzieści osiem. Słuchajcie, ten chory lada chwila ma mieć operację. Nie jestem pewna...

Poszedłem za Codym. Przygotowałem się na najgorsze, ale okazało się, że wcale nie byłem przygotowany na to, co zobaczyłem po wejściu do pokoju.

— O kurwa — powiedział cicho mój przyjaciel.

Briana nie można było rozpoznać. Był ciałem przykrytym prześcieradłem, podłączonym, jak się wydawało, do kilkunastu szumiących i świergocących maszyn oraz wiszących obok torebek z płynami. Białe rurki, łączące ciało z torebkami, wyglądały jak wyciągnięte z ziemi, splątane korzenie. Twarz owinięta była bandażami, nos, z dwoma krwawymi dziurami tam, gdzie powinny być nozdrza, pokrywała cienka gaza, na którą założono sięgającą poniżej ust zaparowaną maskę tlenową. Ukryta pod bandażami głowa była wyraźnie zniekształcona, wklęsła z jednej strony, wybrzuszona z drugiej. Nie dotarło do mnie, nie do końca, że na tym szpitalnym łóżku leży właśnie Brian. Bez gadania, ten długi worek pokruszonych kości i zbitego na miazgę mięsa nie mógł być nim. Na pół spodziewałem się, że to właśnie on lada chwila pojawi się w korytarzu, wejdzie, rzuci jakąś złośliwą uwagę, zakpi po swoim.

Gdyby nie wyglądająca spod prześcieradła naga kostka i w nogach łóżka kupka ubrań, które rozpoznałem, nie wiedziałbym, że to Brian. Bo skąd?

Poczułem, jak zaciska mi się gardło. W ustach miałem gorzki posmak. Nie mogłem wykrztusić słowa.

Cody podszedł do łóżka. Pod prześcieradłami znalazł dłoń przyjaciela, kulę wielkości rękawicy do baseballu.

— Nawet palce mu połamali, sukinsyny — syknął. Pochylił się i zbliżył twarz do twarzy Briana.

— Brianie? Słyszysz mnie? To ja, Cody. Słyszysz, co do ciebie mówię?

Brian nie zareagował. Podszedłem i dotknąłem nagiej kostki, jedyne fragmentu jego ciała, którego nie obandażowano.

— Brianie, dasz radę — powiedziałem. — Potrafisz. Czy to był Garrett?

Ciało nawet nie drgnęło.

I nagle pokój wypełnili pielęgniarze pod dowództwem złej jak osa siostry.

— Wy dwaj, macie natychmiast stąd wyjść! Przewozimy go do sali operacyjnej. Dwaj chirurdzy urazowi już na niego czekają. Jak w ogóle się tu dostaliście?

Jej Cody nie pokazał odznaki.

— To nasz przyjaciel — powiedziałem.

— Najlepsze, co obaj możecie zrobić dla pańskiego przyjaciela, to zejść nam z drogi.

Wypełniliśmy polecenie, a kiedy zostaliśmy sami, zwymiotowałem w ciemnej łazience.

* * *

— Ktoś go wystawił — stwierdził Cody. Chodziliśmy tam i z powrotem po poczekalni OIOM-u. — Nie potrafię powiedzieć, czy to Garrett albo jego ojciec zaczęli tę sprawę ze zdjęciami, czy wkroczyli później, ale zwabiono go do tej alejki i tam załatwiono.

— Możemy udowodnić, że to Garrett? — spytałem.

— Nie mam pojęcia. Możemy spróbować. — Cody zatrzymał się, zniżył głos. — Jack, znalazłeś się w samym środku policyjnego dochodzenia. Oglądasz je od wewnątrz i wydaje ci się cholernie popieprzone, mam rację? Właśnie tak postępujemy, kiedy nie mamy naoczego świadka albo przyznania się do winy. Okoliczności bardzo rzadko są czarno-białe. Obaj jesteśmy pewni, że winni są Garrett i jego *compadres*, bo wydaje ci się, że podczas rozmowy telefonicznej mogłeś słyszeć w tle głos Garretta. Chodzi o rozmowę i całe to gówno między wami. Ale my niczego nie możemy ujawnić, prawda? Na przykład tego, dlaczego odebraliśmy telefon w drodze powrotnej z Montany.

Pokręciłem głową. Nie umiałem jakoś sobie tego wszystkiego poukładać. Spytałem o coś innego:

— Kiedy pokazywałeś odznakę i kłamałeś tym ludziom... łatwo ci to przyszło, prawda?

Cody spojrzał na mnie gniewnie.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Przełknąłem z wysiłkiem ślinę.

— Nie jestem pewny, czy mnie kłamstwo przyszłoby równie łatwo jak tobie — wyznałem.

— Rozczarowujesz mnie, Jack. Nadal nie rozumiesz. Przecież próbowałem ci to przed chwilą wytłumaczyć: okoliczności bardzo rzadko są czarno-białe! Próbujemy dotrzeć do prawdy absolutnej, ale bardzo rzadko nam się to udaje. To znaczy, wiemy, co wiemy, ale czasami nie potrafimy udowodnić tego wszystkim, bo poprzeczka została umieszczona zbyt wysoko. Dobry gliniarz robi wszystko, by załatwić tych złych facetów. Czasami potrzebuje pomocy. Od partnerów — w tej chwili miał na myśli mnie — od sędziego.

Najwyraźniej nie mógł zapomnieć o sprawie Aubreya Coatesa. Podszedł do mnie, złapał mnie za koszulę i przyciągnął do siebie.

— Pamiętaj, co powiedziała kiedyś Margaret Thatcher, i nie zacznij teraz trząść portkami. Pamiętaj, że to wszystko dla ciebie.

Oczy mu płonęły, skrzywił się, kąciki jego ust opadły. Nigdy się go nie bałem. Walczyliśmy kiedyś, jeszcze w szkole, nieźle mu wtedy dołożyłem, ale to było, zanim został gliną i nauczył się różnych sztuczek.

— Myślę, że to był Garrett — powiedziałem.

— Myślisz czy wiesz?

— To był Garrett. Puścił mnie wreszcie.

— To właśnie chciałem od ciebie usłyszeć. Odrobinę pieprzonej prawdy!

— Ale przecież mnóstwo rzeczy wydaje się kompletnie bez sensu — zaprotestowałem. — Im więcej o nich myślę, tym bardziej wydają się bezsensowne. Dlaczego sędzia chce nam odebrać naszą dziewczynkę? Czy weszli w to razem, on i Garrett, czy też każdy z nich działa na własną rękę? Jak to możliwe, że żona sędziego nie ma pojęcia, co się dzieje? Jakim cudem? Może okłamała Melissę?

Cody pokręcił głową i wzruszył ramionami.

— Jeśli myślisz, że nie próbowałem znaleźć odpowiedzi na te pytania, że nie zastanawiam się nad nimi każdego dnia od chwili, kiedy to się zaczęło, to bardzo się mylisz. Wiem, że jest jakaś nić, która to wszystko łączy, ale na razie nie mam pojęcia jaka.

— Czy w ogóle są jakieś zdjęcia? Czy kiedykolwiek się tego dowiemy?

— Możemy tylko mieć nadzieję, że Brian odzyska przytomność. Jeśli będzie w stanie powiedzieć nam, że Garrett tam był, to koniec problemów. Wygraliśmy. Zeznaje przed sądem, a żaden sędzia nie da prawa opieki nad dzieckiem członkowi gangu skazanemu za ciężkie pobicie niewinnego człowieka. Nie będziemy potrzebowali żadnych zdjęć. Nie ma sprawy. Myśl pozytywnie. Zdumiewające, czego może dokonać współczesna medycyna. — Cody przysunął się bliżej. — Ale tak naprawdę najważniejsze jest, żeby Brian z tego wyszedł. Nawet jeśli nie wie, kto mu to zrobił, niczego nie pamięta, to przecież nie szkodzi. Wiesz, co mam na myśli? Jeśli pierwsi z nim porozmawiamy, zasugerujemy, że to Garrett, to jest wystarczająco bystry, by zrozumieć, o co nam chodzi, i popłynąć z prądem.

Najpierw nie wiedziałem, o czym Cody mówi, ale potem zrozumiałem. Powinienem poczuć coś, jakieś fizyczne objawy poczucia winy.

— Rozumiem — powiedziałem tylko.

— O to chodzi! — Cody trącił mnie w ramię. — O to chodzi. Brian tego by właśnie chciał, nie uważasz?

* * *

Rozmawiałem przez komórkę z Melissą, informując ją, że Brian jest właśnie operowany i że lekarze na razie nic nam nie powiedzieli, kiedy w korytarzu zobaczyłem Torklesona i usłyszałem, jak Cody mówi: „Nareszcie”.

Skończyłem rozmowę i szybko do nich podszedłem. Torkleson wyglądał na zmęczonego, ubranie miał wygniecione i był nieogolony. Pracował kilkanaście godzin, przez całą noc i pół niedzieli. W rękę trzymał plik papierów.

— Wyślijcie samochód do domu sędziego Morelanda — polecił Cody. — Zgarnijcie Garretta i przywieźcie go na przesłuchanie. Jako podejrzanego o współudział w usiłowaniu morderstwa lub biernego świadka. Prawdopodobnie to on zwabił Briana w alejkę.

— Spokojnie, kowboju — powstrzymał go Torkleson. — Najpierw muszę mieć coś łączącego go z przestępstwem, potem będę wysyłał radiowóz. Wiem, że masz tego chłopaka na celowniku, ale on wcale nie musi z nami rozmawiać. Potrzebny mi jest przypuszczalny powód. Przypuszczalny powód twardy jak skała. Jego stary jest sędzią, nie zapominaj o tym.

Jakbym mógł zapomnieć.

— Co tam masz? — spytał go Cody. Torkleson pomachał papierami.

— Spis połączeń z telefonu ofiary. Wedle rozkazu. Miałeś dobry pomysł. — Znów nimi potrząsał. — Jedno mogę ci powiedzieć: twój przyjaciel spędził mnóstwo czasu na rozmowach. Wydrukowanie spisu telefonów to była ta łatwa część, ta trudna to jego analiza, dokładna analiza. Bez niej nie pošemy mundurów, żeby zaczęli zgarniać ludzi.

— Co z odciskami palców na telefonie? Torkleson się skrzywił. Bezradnie rozłożył ręce.

— Pracujemy nad tym.

— A co to niby ma znaczyć? — warknął Cody.

— Można powiedzieć, że spieprzyliśmy sprawę, Cody. Ten telefon przeszedł przez ręce kilku gli-niarzy, w dodatku bezdomnych z alejki, którzy też z niego korzystali. Odciski są zamazane. W którymś momencie ktoś schował go chyba do kieszeni czy coś w tym rodzaju. Nie mamy nic czystego. Nasi technicy szukają odcisków częściowych, ale nie wygląda to szczególnie obiecująco.

— Cholera! — Cody odebrał od niego papiery i zmrużył oczy, próbując odczytać drobny druk. — Jak daleko sięgnęliście?

— Do początku miesiąca. Powiedziałem przecież, że on dużo rozmawiał.

— Jezu, co za gaduła! — Cody przejrzał szybko ostatnią stronę. Puknął palcem w ostatni wydru-kowany na niej numer. — To Melissy — powiedział do mnie. — Ładnych kilka dni będziecie się przez to przegryzali, nim dowiecie się, jak Garrett go wystawił.

— I znów posuwasz się za daleko. — Torkleson spojrzał na mnie, a potem na mojego przyjaciela. — Jest jeszcze jedna sprawa, nad którą powinniśmy się zastanowić, nim wsadzimy wszystkie nasze jajka do koszyka Garretta. Twój przyjaciel Brian Eastman był bardzo aktywny w społeczności gejowskiej. Za-kładam, że o tym wiedzieliście?

— Oczywiście!

— No cóż, w okolicy jest kilka gejowskich barów. Z tego, czego zdążyliśmy się dowiedzieć, żaden nie był mu obcy. Wystarczy zerknąć na plan miasta, żeby zorientować się, że alejka, w której go znaleźli-smy, to najkrótsza, nieprowadząca regularną ulicą droga między dwoma z nich. Kilku ludzi już sprawdza, czy odwiedził któryś przed pobiciem, ale trudno jest znaleźć barmanów i klientów w niedzielę rano. Oczywiście w końcu ich dopadniemy, jednak będzie to wymagało kilku dni solidnej policyjnej roboty. Tylko że mundurowi już zaczęli między sobą gadać. Uważają, że to mógł być przypadek. Może wasz przy-jaciel szedł po prostu z baru do baru i nadział się na jakiś gang? Był wymarzoną celem, rozumiecie, w

tym stroju idealnego yuppie. Oczywiście nie chcą upublicznić teorii, bo zrobiłaby z tego morderstwo na tle społecznym, a burmistrz, gdyby się o tym dowiedział, dostałby szalu.

Cody spojrzął prosto w oczy Torklesona.

— Większość morderstw ma tło społeczne — wycedził.

— Wiesz, o czym mówię. Zaraz pojawi się kwestia polityki...

— Pieprzyć politykę — przerwał mu. — Polityka tu nie pasuje. Nie twierdzę, że Brian nie znał tych barów i skrótu między nimi, bo prawdopodobnie znał. Ale kiedy zadzwonił do nas późnym wieczorem, powiedział, że ktoś zadzwonił i zamierza się z nim spotkać. Może ten ktoś, kto dzwonił, wybrał znane miejsce, tego nie wiem. Bo może wybrał miejsce blisko Appaloosy, żeby gangsterzy mogli tam wrócić i załatwić sobie alibi. Z całą pewnością można jednak powiedzieć, że Brian nie spędzał miłego wieczoru w barach. To po prostu wiemy.

Do Torklesona nie od razu dotarło, co Cody powiedział. Potrzebował czasu.

— Zaraz, chwileczkę, on do was dzwonił? Kiedy to było?

— Trudno powiedzieć dokładnie. Mniej więcej o północy.

— A po co miał się spotkać z tym kimś, z kim miał się spotkać?

Cody zawahał się na moment, a mnie wzdłuż kręgosłupa przebiegł dreszcz. Wpadliśmy?

— Informacje — powiedział Cody.

— Jakiego rodzaju informacje? — Torkleson odsunął się o pół kroku, nieświadomie dystansując się od sprawy.

— Nie wiem. Robił z tego wielką tajemnicę. Powiedział, że ma się dziś spotkać z kimś, kto może udzielić informacji pomocnych w naszej sprawie przeciwko Garrettowi i sędziemu Morelandowi. To dlatego był w śródmieściu o tak późnej godzinie.

Pomyślałem, że Cody balansuje na linie zawieszanej bardzo wysoko i że jeśli spadnie, to nie na siatkę, bo jej nie ma.

— To dlatego od razu spytałeś o dokumenty? Cody skinął głową.

— Czego jeszcze mi nie powiedziałeś?

— Teraz wiesz wszystko.

Torkleson odwrócił głowę i spojrzął na mnie oczami bez wyrazu.

— A ty, McGuane?

Wiedziałem, że wyglądam na winnego. Twarz mi płonęła.

— Co ja? — spytałem, starając się nie patrzeć na Cody'ego.

— Słyszałeś. Westchnąłem ciężko.

— Informacja, o której mówimy, to zdjęcia. Zdjęcia sędziego Morelanda. Kompromitujące tak bardzo, że musiałby się wycofać.

— Aha. — Policjant skinął głową. — A więc wy dwaj na boku zabawiacie się szantażem?

— Nie ma mowy o szantażu — zapewnił Cody. — Nie możesz nikogo szantażować, nie mając nic, czym mógłbyś go szantażować.

— Rozumiem. I tak mi się zdaje, że na razie nie chcę słyszeć nic więcej. Ale kiedyś, później, będziecie musieli wszystko mi opowiedzieć.

— Dziękuję, bracie — powiedział Cody z uczuciem i szybko zmienił temat, wracając do listy połączeń telefonicznych. — Założę się, że są tu gdzieś rozmowy przychodzące od Garretta. Musimy sprawdzić wszystkie jego telefony: dom, komórka, numer Appaloosy, numery kumpli z gangu, i poszukać ich na tej liście.

— Właśnie o tym myślę — przytaknął Torkleson. — Nie mieliśmy czasu, by sprawdzić choćby jedną z rozmów wychodzących i przychodzących. Moi ludzie potrzebują czasu na określenie, kto kiedy rozmawiał i z kim.

Uświadomiłem sobie, że burza jednak się nie rozpętała, i powoli wypuściłem powietrze.

— Tylko co będzie, jeśli Garrett używa jednego z tych cholernych telefonów na kartę, który każdy może kupić w Wal-Marcie? Jego numer nie będzie nic znaczył, bo nie połączymy z nim człowieka!

Torkleson wzruszył ramionami.

— Chyba że zdołamy dowieść, że to on go kupił. Transakcja kartą kredytową, coś tym rodzaju. Wiesz, jak jest.

Moje serce zamarło. Przez kilka chwil myślałem, że jeszcze parę godzin i wszystko będzie jasne, a teraz okazało się, że może nigdy nie będzie.

— Wyślijcie samochód po chłopaka — powtórzył Cody z naciskiem. — Teraz, zaraz. Musimy go przesłuchać. Wiemy, że był na miejscu zdarzenia.

— A niby skąd mamy to wiedzieć?

— Podczas rozmowy Jack słyszał w tle jego głos. Słyszałeś, prawda, Jack?

— Mam wrażenie, że tak.

Torkleson przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, a potem spytał:

— Jesteś pewny?

— Nie mogę mieć całkowitej pewności, ale wydaje mi się, że to właśnie jego głos słyszałem.

— I tak właśnie zeznasz? Przełknąłem z wysiłkiem ślinę.

— Tak — powiedziałem głośno. Torkleson spojrzał na Cody'ego.

— Coś mi tu nie pasuje. Powiedziałeś, że rozmawiałeś, będąc w towarzystwie kobiety imieniem Melissa, a teraz twierdzisz, że ten człowiek był z tobą i to on rozmawiał?

Cody poruszył brwiami w górę i w dół, w stylu Groucho Marksa.

— Byliśmy we trójkę... no, wiesz, jak to jest...

Torkleson przyglądał mu się podejrzliwie. Pospieszyłem mu z pomocą:

— On żartuje. Melissa to moja żona. Byliśmy razem, kiedy zadzwonił jej telefon. Rozpoznała numer Briana, ale usłyszała obcy głos, więc oddała aparat mnie. Przysięgam nu Boga.

— Posłuchaj — powiedział Cody — jeśli przywieziecie Garretta na posterunek i zaczniecie go przesłuchiwać, nim zdąży dopracować swoją historyjkę, może powie nam parę kłamstw, które będzie można sprawdzić.

— Nam? Chcesz powiedzieć, że będziesz uczestniczył w przesłuchaniu?

— Mogę obserwować was z zewnątrz. Podsuwać ci właściwe pytania.

— I w ten sposób spieprzyć sprawę! Zawieszony glina biorący aktywny udział w przesłuchaniu! Po prostu wspaniale.

— W porządku — poddał się Cody. — Będę się trzymał z boku. Ale zabieram wykaz rozmów. Kopię dla siebie zgrasz bez problemu.

Torkleson się pocił. Otarł czoło i szturchnął mnie palcem w pierś.

— Jedynym powodem, dla którego mogę wysłać wóz do Morelandów i zażądać przesłuchania gówniarza, jest twoje zeznanie. Jeśli okaże się, że cały wieczór spędził w łóżku albo grał w karty ze swoim sędziowskim tatusiem, to po mnie. A jak po mnie, to po tobie.

— Rozumiem.

Przyglądał mi się jeszcze przez parę chwil, po czym spojrzał na Cody'ego.

— Zrób to — powiedział Cody.

Torkleson odszedł na bok, po drodze wyjmując z kieszeni telefon komórkowy. W tej chwili miałem ochotę go ucałować! Usłyszałem, jak instruuje mundurowych, by byli uprzejmi, okazywali szacunek i jasno wytłumaczyli Garrettowi, że powodem zaproszenia na posterunek jest moje stanowcze twierdzenie, a nie jakiegokolwiek dowody rzeczowe. Słuchając go, pomyślałem, że podane powody brzmią nieprzekonująco nawet dla mnie.

— Nigdy nie wiadomo, co powie, a czego nie powie — szepnął do mnie Cody — kiedy znajdzie się w małym pokoiku naprzeciwko włączonego magnetofonu. Może kilka kłamstw, które uda nam się sprawdzić? A jeśli słyszałeś jego głos, słyszałeś jego głos, i tyle. A tak przy okazji, gratuluję naprawdę dobrej roboty — dodał jeszcze ciszej. — Powiedziałaś, co trzeba, i ani słowa więcej. Mówiłeś wiarygodnie. Kupił to. Całkiem możliwe, że byłby z ciebie dobry gliniarz.

— Nie — powiedziałem. — Nie sędzę.

* * *

Przez następną godzinę siedzieliśmy w poczekalni, nie czytając czasopism. Podnosiliśmy głowy, wszyscy trzej, gdy tylko pojawiała się jakaś pielęgniarka lub lekarz. Melissa dzwoniła trzy razy. Zmuszony byłem trzy razy powtarzać jej, że o stanie Briana na razie nic nie wiemy.

Sygnal telefonu obudził drzemiącego Torklesona i zmusił do gorączkowego klepania się po kieszeniach w niezamierzonej parodii Cody'ego. Przedstawił się i nie powiedział nic więcej, słuchał, a jego twarz stawała się coraz bardziej czerwona. Obrzucił nas obu, Cody'ego i mnie, morderczym spojrzeniem. Sprawy nie układały się najlepiej.

— Tak jest — powiedział w końcu. — Przyjadę jak najszybciej, gdy tylko poznam stan ofiary. Tak, przepraszę osobiście.

Zamknął telefon z trzaskiem tak donośnym, że należało wątpić, czy kiedyś jeszcze zadziała.

— Załatwiliście mnie — powiedział. — Przez was wpadłem w kurewskie gówno.

— Co się stało? — spytał Cody tak spokojnie, jakby wściekłość kolegi w ogóle nie robiła na nim wrażenia.

— Moi ludzie pojechali do Morelanda. Sędzia był wściekły. Zadzwoił do burmistrza, burmistrz zadzwonił do szefa, a szef do mnie. Garrett spędził z nim wieczór w domu. Nie zamierza zeznawać. Pan McGuane nęka go z powodów prawnych, a Cody Hoyt to zawieszony w obowiązkach glina, który wyrwał się spod kontroli. Szef pytał mnie, co ja w ogóle robię w twoim towarzystwie. Cody wzruszył ramionami.

— Pieprzcie się! — Torkleson wstał. — Mam żonę, małą córeczkę i kupę lat pracy przed sobą. Nie pozwolę wam tego spieprzyć.

— Ja też mam żonę i małą córeczkę — przypomniałem. — Chodzi o to, żebyśmy mogli zostać razem.

Chciał się na mnie rzucić, ale Cody położył mu dłoń na ramieniu.

— To nam coś mówi, prawda? — spytał i odpowiedział sam sobie: — Mówi nam bardzo wiele. Już wiemy, że sędzia wie, co zrobił Garrett. Zastanawialiśmy się, czy działają w porozumieniu, czy osobno. Teraz nie musimy już się zastanawiać. Uzyskaliśmy informację, choć sprawy ułożyły się jak najgorzej dla nas.

Torkleson strącił z ramienia dłoń Cody'ego. Twarz nadal miał jaskrawoczerwoną. Zastanawiałem się nad tym, co właśnie usłyszałem, ale jednocześnie zrobiło mi się go żal.

— Panowie, czy to wy jesteście przyjaciółmi Briana Eastmana?

Żaden z nas nie zauważył chirurga idącego ku nam korytarzem kończącym się podwójnymi drzwiami. Był niski, chudy, miał na sobie zachlapaną krwią fartuch.

— Przykro mi — powiedział, nie patrząc nam w oczy. — Pan Eastman zmarł.

— Nie żyje? — spytał Torkleson.

— Z pewnego punktu widzenia to nawet lepiej dla niego. Z tymi uszkodzeniami mózgu już nigdy nie funkcjonowałby normalnie.

Usiadłem i ukryłem twarz w dłoniach.

Straciliśmy przyjaciela. Straciliśmy przewodnika. Straciliśmy przyjaciela! Cody płakał, łzy płynęły mu po policzku. — Człowieku — powiedział do mnie — tak cholernie mi przykro, że bywałem dla niego twardy. Nie zasłużył na to.

Wtorek, 20 listopada Pozostało pięć dni

16

W biurze coś się działo. Nie, nie czułem atmosfery milczącego spisku jak wtedy, gdy wszyscy oprócz ofiary wiedzą, co ma się zdarzyć. Chodzi tylko o to, że zamknięte zebranie kierownictwa, rozpoczęte wcześniej, przed przyjściem pracowników, i nadal się ciągnące, choć było już po dziewiątej, zwiastuje nieuchronne kłopoty. Na korytarzach, w biurach i w boksach panowała cisza. Nikt z nikim nie rozmawiał, nikt się nie śmiał. Wszyscy walili w klawisze komputerów. Dostrzegłem Pete'a Maxfielda, naszego człowieka od kontaktów z mediami, zmierzającego do pokoju wypoczynkowego i rozpinającego po drodze kołnierzyk, jakby w biurze włączono ogrzewanie. Wyglądał na zawstydzonego. Idąc po kawę, zajrzałem do biura Lindy Van Gear. Chciałem ją zapytać, co jest grane. Zawsze wiedziała... ale tym razem nie było jej przy biurku. Spytałem Cissy, recepcjonistkę, kiedy wróci.

— Och, jest w pracy, ale na zebraniu z panem Jonesem.

— Ona i kto jeszcze? — spytałem.

— Pan Doogan z biura burmistrza. Zaszło mi w ustach.

Pogrzeb Briana miał się odbyć w piątek. Denver znało go doskonale, więc o morderstwie prasa pisała na pierwszych stronach. Burmistrz Halladay wyszedł na stopnie ratusza i oznajmił, że jest jednocześnie pogrążony w żalu i gniewny, społeczność straciła bowiem wielkiego człowieka. Dziennikarz Kanału 9 zapytał go, czy było to morderstwo spowodowane uprzedzeniami, skoro pan Eastman nie ukrywał swojej orientacji seksualnej, na co Halladay wybuchł jak granat. Oznajmił, że jeśli okaże się to prawdą, osobiście dopilnuje, by winni zostali ukarani „z całą surowością prawa”, ponieważ „Denver nie będzie tolerowało uprzedzeń”. Po nim przemówił szef policji miejskiej. Powiedział, że jego wydział bada wszystkie ślady i nie wątpi, iż aresztowanie nastąpi do końca tygodnia. Od Cody'ego dowiedziałem się, że Torkleson i w ogóle gliniarze nie dokopali się od wczoraj do niczego nowego i że do sprawy oddelegowani zostali kolejni detektywi, przesłuchujący wszystkich, którzy tego dnia byli w okolicy i mogli widzieć Briana lub napastnika.

Melissa była wstrząśnięta niemal do nieprzytomności. Miała przyjaciela, najlepszego przyjaciela, i ten przyjaciel po prostu odszedł. „Oddał za nas życie” — powiedziała przez łzy. Nie miałem pojęcia, co powinienem powiedzieć, więc tylko ją przytuliłem. I spojrzałem na Angelinę opartą o chodzik, cudownie obojętną na to, co się wokół niej dzieje. Już nigdy nie miała zobaczyć wujka Briana, ale nie było sposobu, żeby jej to wytłumaczyć.

Cody dzielił czas między swój i nasz dom. Dziennikarze, do tej pory kocujący na jego ulicy, nagle znikli. Najprawdopodobniej zajęli się sprawą Eastmana. Ilekroć spotykałem Cody'ego, wydawał mi się przedziwnie spokojny, nieobecny duchem. Nie potrafiłbym powiedzieć, czy to morderstwo Briana odebra-

ło mu głos, czy pograżył się głęboko w myślach, układając jakiś plan, a może jedno i drugie? Wiedziałem, że sprawdza numery z pamięci telefonu Briana, dokładnie, jeden po drugim. Korzystał z naszego komputera, żeby analizować możliwe związki między nimi, stale uzupełniał listę nazwisk.

Bałem się, że Jeter Hoyt może jednak zjawić się w Denver, przecież zatrzymał akta, więc z radością wysłuchałem informacji o strasznej burzy, która nawiedziła Montanę, pokrywając ją niemal półmetrową warstwą śniegu.

Cissy zajrzała do mojego pokoju. Wyszeptała coś, czego nie zrozumiałem.

— Przepraszam, nie dosłyszałem.

— Pan Jones zaprasza pana do siebie.

Odetchnąłem głęboko, włożyłem marynarkę, poprawiłem krawat i poszedłem odebrać wymówienie z pracy.

— Siadaj, Jack — powiedział dyrektor H.R. „Tab” Jones. Siedząca w jego gabinecie Linda powitała mnie smutnym uśmiechem potwierdzającym wszystkie moje podejrzenia. — Znasz Jima Doogana?

Skinąłem głową. Cissy wyszła cichutko, zamykając za sobą drzwi. Doogan uścisnął mi rękę. Był prawie miły. Mimo wszystko sympatia, którą darzyłem tego faceta, jakoś nie mijała.

— Lindo — powiedział Jones — może zechcesz poinformować Jacka o tym, czego dowiedzieliśmy się dziś rano?

Oczekiwałem, że powie: „Jack, policja twierdzi, że jesteś zamieszany w morderstwo niejakiego Pabla »Luisa« Cadeny, a także, że w ostatni weekend odwiedziłeś Montanę celem wynajęcia zbira mającego zastraszyć osiemnastolatka...”, ale myliłem się.

— Malcolm Harris został dziś rano aresztowany na lotnisku Heathrow w Londynie, tuż przed wejściem na pokład samolotu lecącego do Denver bez międzylądowania.

— Co? — To była dla mnie prawdziwa niespodzianka.

Linda spojrzała na Doogana. To on miał kontynuować opowieść.

— Twój kolega Malcolm Harris jest podejrzany o odgrywanie bardzo znaczącej roli w międzynarodowej siatce pedofilów. Najwyraźniej Scotland Yard pracował nad tą sprawą od kilku lat w porozumieniu z Interpolem i dziś przeprowadził akcję, dokonując w Europie szeregu aresztowań. Harris uważany jest za szefa tych zbrojeńców. Mówi się o rzeczach naprawdę poważnych, Jack, handlu nie tylko pornografią, ale i dziećmi, wycieczkami po grupowy seks do Azji. Gorzej już nie może być.

Przypomniały mi się wyprawy Harrisa do mieszczącego się za barem „biura” i to, jak wracał zaczerwieniony. Czyżby Fritz, sam niewątpliwie pedofil, miał w komputerze zdjęcia dzieci? Może wręcz trzymał tam dziecko? Boże! Aż mnie zemdlilo.

— Nic ci nie jest? — spytał Doogan.

— Rzeczywiście, wydawał mi się nieco dziwny — przyznałem. — Nie wiedziałem, czemu to przypisać. No i raptem poczułem ochotę, żeby dać mu w pysk. Pojawiła się znikąd.

— Nieco dziwny? — Jones uniósł brwi.

— Daj mu spokój, Tab — zirytowała się Linda. — Znałam Malcolma na długo przedtem, nim przyszedł do nas Jack. Uważałam, że jest dziwny, owszem, ale do głowy mi nie przyszło podejrzewać go o coś takiego. — Roześmiała się cienko. — W naszym zawodzie nie brakuje dziwnych ludzi.

Pomyślałem o tym, jak patrzył na zdjęcie Angeliny i był pewny, że widział je wcześniej. Wtedy nie wiedziałem, co o tym sądzić, ale teraz zrozumiałem, że widział dużo zdjęć małych dziewczynek i po prostu mu się myliły. Sukinsyn.

Powracała pamięć o tym, co mówił i robił podczas kolacji.

„Pełzający faszyzm politycznej poprawności”.

„Biurokraci zagląający ci przez ramię, kontrolujący, jak żyjesz, dyktujący ci, co masz mówić, myśleć i z kim się przyjaźnić... odbierający wolność”.

Widziałem wystarczająco dużo.

I to, jak cieszyło go ubijanie mięsa w restauracji...

Jones przyglądał mi się uważnie.

— Zaraz, chwileczkę... chyba nie sądzicie, że coś wiedziałem...

— A wiedziałeś? — Znów ta sztuczka z brwiami.

— Na litość boską, nie! — Znów mnie zemdliło. — Mam dziewięciomiesięczną córkę, Tab! — Jakie to żalosne, musieć bronić się przed atakiem czterdziestosiedmioletniego mężczyzny, na którego wołają Tab. Nigdy cię o to nie podejrzewałem — zapewnił Doogan — ale mamy problem.

Pokręciłem głową, nie rozumiałem, o co chodzi.

— Zabiegaliśmy... ty zabiegałeś... o względy tego faceta. Burmistrz osobiście obwieścił, że do miasta wkracza nowy biznes. Kanał Dziewiąty, który nie jest bynajmniej przyjacielem tej administracji, o czym zresztą doskonale wiesz, wielkim głosem woła o komentarz. Zajmują się tylko tym, niczym innym. To nie w porządku, ale i my nie toczymy tu wojny na poduszki. Wyobraź sobie taki nagłówek: *Burmistrz Halladay wraz z Biurem Konwencji i Turystyki zabiegali o względy międzynarodowego pedofila.*

— Jack — mówił Jones — restrukturyzujemy biuro. Te międzynarodowe sprawy są w tej chwili zbyt niebezpieczne. Wrogowie burmistrza i prasa nie od dziś uważają je za ekstrawagancję, na którą nas nie stać, a teraz jeszcze to. Zwołaliśmy zebranie właśnie w tym celu. Linda przechodzi do konwencji. Prawem starszeństwa.

— To znaczy, że wylatuję? — spytałem. Jones zacisnął wargi i raz, krótko, skinął głową.

— Najlepszym sposobem zneutralizowania takiej sprawy jest ucieczka do przodu — wyjaśnił Doogan. — Jeśli Kanał Dziewiąty nadal będzie naciskał, powiemy, że zmieniliśmy cele strategiczne i zwolniliśmy część pracowników, by uniknąć podobnych nieprzyjemnych sytuacji w przyszłości. Twoje nazwisko najprawdopodobniej nie zostanie w ogóle wymienione.

— Przykro mi, że nie mogę zabrać cię z sobą — powiedziała Linda. — Może kiedyś zwolni się jakieś miejsce...

Siedziałem nieruchomo. Działo się zbyt dużo i zbyt szybko.

— Przykro mi, że tak to się ułożyło — dodał Doogan.

— Nawet nie wiecie, jak bardzo potrzebuję tej pracy. Nie macie pojęcia.

— Odejdiesz za porozumieniem. Dostaniesz najlepsze referencje i hojną odprawę. Doliczymy niewykorzystany urlop i zwolnienia z powodu choroby.

Patrzyli na mnie z napięciem i sympatią. Szczególnie Linda.

* * *

Cissy uznała, że ma zaległości w pracy, i przekroczywszy próg gabinetu, zobaczyłem ją siedzącą za biurkiem z opuszczoną głową, pogrążoną w papierach. Pete, który ani na chwilę nie opuścił pokoju rekreacyjnego, nieudolnie próbował ukryć ulgę.

Poszedłem do siebie. Oparłem się o biurko. Ledwo trzymałem się na nogach. I co ja powiem Melis-sie?

* * *

W korytarzu pojawił się Doogan.

— Jim! — zawołałem. Podszedł do mnie, a ja zaprosiłem go do środka i poprosiłem, żeby zamknął drzwi. Po raz pierwszy widziałem go zażenowanego. — Powiedz mi, w jakim stopniu za moje zwolnienie odpowiada Malcolm Harris, a w jakim sędzia Moreland? Wie, że to moje zeznanie spowodowało, iż wtedy, w nocy, policja chciała porozmawiać z jego synem o sprawie zamordowania Briana Eastmana. Zastanawiam się, czy afera Harrisa nie dała mu okazji, na którą czekał i którą natychmiast wykorzystał.

Doogan wzruszył ramionami, raczej nieprzekonująco.

— Nie masz mi nic do powiedzenia? — spytałem. Spojrzał w sufit, potem na moje biurko, a potem na buty.

Patrzył wszędzie, tylko nie na mnie.

— Czasami — powiedział w końcu — robię takie rzeczy, po których nie mogę zasnąć. Wtedy próbuję sobie tłumaczyć, że rządzenie wielkim miastem jest jak taplanie się w błocie, że czasami trzeba poświęcić mniejsze dobro dla większego, że to wcale nie musi być ani ładne, ani sprawiedliwe.

— Mam wrażenie, że właśnie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Muszę lecieć...

— Jeszcze jedno. Otóż chcę cię poinformować, że masz jeszcze jeden problem, znacznie większy niż moja skromna osoba. Myślałem o tym, co usłyszałem od Harrisa. On ma tu powiązania, Jim. Dlatego tak bardzo chciał się przenieść. W którymś momencie powiedział mi, że będzie „kuloodporny”. „Kuloodporny”, rozumiesz? Jak myślisz, dlaczego ujął to właśnie tak? Jakieś pomysły?

Doogan sprawiał wrażenie szczerze zdziwionego.

— Nie mam zielonego pojęcia.

— Burmistrz może mieć znacznie większy problem niż moja skromna osoba.

Wzruszył ramionami.

— Więc poradzimy z nim sobie, kiedy się pojawi.

Zabrane z gabinetu moje rzeczy osobiste, spakowane do kartonowego pudła, leżały na tylnym siedzeniu jeeпа. Z rykiem silnika wyprysnąłem z ciemnego garażu na zalaną słońcem, choć zimną ulicę. Powinienem być zrozpaczony, ale jakoś nie byłem, za to czułem się tak, jakby z barków zdjęto mi kolejny ciężar. Wypełniał mnie ładunek wielkiej, niebezpiecznej energii, paliła gorączka.

Zadzwoniłem do Melissy i powiedziałem jej, co się stało. Próbowwała mnie pocieszyć.

— Och, Jack, nie martw się, znajdziesz pracę. Jesteś dobry w tym, co robisz.

— Oczywiście — odparłem z sarkazmem. — Specjaliści od zarządzania turystyką międzynarodową są po prostu rozrywani. Nic tylko sięgnąć po najlepszą ofertę...

— Poradzimy sobie. Przecież mogę wrócić do pracy po...

— Tego mi nie mów — przerwałem jej.

— Dlaczego właśnie my, Jack? — spytała łamiącym się głosem.

— Nie wiem. To tak, jakby poddano nas próbie. A ja mam takich prób powyżej uszu.

— Czy to znaczy, że wrócisz do domu na lunch?

Roześmieliśmy się oboje wymuszonym śmiechem, jak z kiepskiego dowcipu typu: „A poza tym, jak się panu podobała sztuka, panie Lincoln?”.

— Więc wrócisz czy nie? — powtórzyła pytanie Melissa.

— Najpierw muszę zobaczyć się z sędzią Morelandem — powiedziałem. — Powinniśmy pogadać.

— A czy... czy to naprawdę dobry pomysł?

— Przecież nic nie ryzykuję. Bo co, burmistrz dowie się i wywali mnie z roboty?

* * *

Czułem się winny, że nie czuję się winny. Tylko że, w jakiś sposób, droga przede mną została jednak oczyszczona z przeszkód.

Zaparkowałem przy krawężniku naprzeciwko budynku sądu federalnego. Wbiegłem na schody, przeskakując po dwa stopnie naraz. Przebiłbym się przez hol jak pocisk armatni, gdyby nie strażnik każący mi stanąć, opróżnić kieszenie i statecznie przejść przez bramkę wykrywacza metalu.

— Proszę napisać nazwisko, żebym mógł je sprawdzić na naszej liście — powiedział, wręczając mi podkładkę z przypiętą kartką.

Napisałem i powiedziałem: „sędzia Moreland”.

Odebrał mi podkładkę i spytał, czy sędzia mnie oczekuje.

— Nie widzę pańskiego nazwiska na liście gości.

— Proszę mu powiedzieć, że chce się z nim zobaczyć Jack McGuane — odparłem.

Czekałem niecierpliwie, podczas gdy strażnik zadzwonił na górę. Po chwili odłożył słuchawkę i pokręcił głową.

— Powiedzieli mi, że się pana nie spodziewają — oznajmił.

— Muszę zobaczyć się z sędzią.

Obejrzał mnie dokładnie podejrzliwie zmrużonymi oczami, ale była to jedna z tych sytuacji, kiedy marynarka i krawat pomagają.

— Jest pan prawnikiem?

— Nie. Sędzia Moreland chce mi zabrać dziecko. Te słowa sprawiły, że zrobił się ostrożny.

— Bardzo mi przykro... ale teraz musi pan wyjść.

Powoli wkładałem klucze i drobne do kieszeni. Podniosłem wzrok akurat w chwili, gdy sędzia John Moreland wchodził do budynku przez specjalnie strzeżone wejście z bocznej uliczki. Miał na sobie garnitur, niósł teczkę, a przez ramię przerzucił długi płaszcz z wielbłądziej wełny. Odgradzała nas ściana z grubego szkła.

— Właśnie wszedł — powiedziałem.

Strażnik sięgnął po krótkofalówkę, by wezwać pomoc na wypadek, gdybym nie chciał wyjść z sądu, a jednocześnie sędzia podniósł głowę. Mój widok wyraźnie go zaskoczył. Nasze oczy się spotkały. Wskazałem gestem najpierw jego, potem siebie, samym ruchem warg wypowiedziałem słowa: „Musimy porozmawiać”.

Sędzia odwrócił się plecami do mnie jednym płynnym, jakże płynnym ruchem. Stał przed prywatną windą i czekał, aż zabierze go do gabinetu.

— Proszę pana — powiedział strażnik, wstając i obchodząc ladę. Winda dla gości po mojej stronie szklanej ściany otworzyła się i wysiadło z niej jeszcze dwóch strażników. Otoczyli mnie, wszyscy trzej.

— Wychodzę — powiedziałem. Mówiłem z trudem.

* * *

Wyszedłem na ulicę. Gotowałem się z gniewu. Podeszedłem do jeepa, odwróciłem się i spojrzałem na budynek sądu. Trzej strażnicy obserwowali mnie zza dwuskrzydłowych drzwi. Z góry, z okna na siódmym piętrze, patrzył na mnie również Moreland. Ręce oparł na biodrach, a jego twarz nie wyrażała niczego.

* * *

Trzy przecznice od sądu znalazłem wolne miejsce parkingowe i natychmiast je zająłem. Drżącymi z gniewu rękami wyjąłem z kieszeni telefon. Informacja podała mi numer Sądu Stanów Zjednoczonych imienia Alfreda A. Arraja. Zadzwoiłem.

— Biuro sędziego Morelanda — powiedział kobiecy głos.

— Mówi Jim Doogan z biura burmistrza — przedstawiłem się. — Chciałbym rozmawiać z sędzią.

— Jedną chwileczkę...

Po niespełna trzydziestu sekundach usłyszałem śpiewny głos Morelanda.

— Jak się masz, Jim.

— Dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać? — spytałem.

Moreland milczał przez chwilę, zdezorientowany, a potem się roześmiał.

— Podał pan fałszywe nazwisko, by zwabić mnie do telefonu? To niesportowe, panie McGuane. Do widzenia.

— Nie odkładaj słuchawki! Musisz posłuchać, co mam ci do powiedzenia.

Nie przerwał połączenia.

— Ma pan trzy minuty — powiedział głosem spokojnym i bardzo rzeczowym. — Mam wyznaczony proces.

— Twój syn powinien podpisać zrzeczenie się praw. Ta sytuacja nie może trwać w nieskończoność. Sprawy po obu stronach zaszły za daleko.

— Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Czy chodzi panu o to, że policja próbowała wtargnąć do mojego domu i przesłuchać syna na okoliczność tych morderstw? To było naprawdę głupie. Rozpaczliwie głupie. Boże, jakim cudem może być w takiej chwili tak racjonalny!

— Garrett brał w tym udział. Słyszałem go.

— Niech pan da spokój. Był w domu z Kellie i ze mną.

— Słyszałem jego głos. Wiem, że to był on. I wiem, że ty o tym wiesz.

— Pan myśli, że pan wie, panie McGuane. Niestety, muszę kończyć.

— Przed chwilą straciłem pracę — powiedziałem.

— Przykro mi, ale to chyba nie moja sprawa.

— A jednak twoja. Teraz moją pracą będzie tropienie cię. Moreland zachichotał.

— Jak to możliwe, że twoja żona nic nie słyszała o Angelinie? — spytałem. — Jak to jest? W co ty pogrywasz?

— Kellie? — spytał i w jego głosie brzmiało szczere zdziwienie. — Kellie wie wszystko o naszej wnuczce. Już od miesiąca przygotowuje pokój dziecienny.

— Znowu kłamiesz. Melissa miała okazję ją spotkać, no i okazało się, że nie wiedziała, o czym moja żona mówi.

Moreland westchnął ciężko.

— Panie McGuane, wiem, że to dla pana trudne, ale nie musi przecież być aż tak trudne. Podtrzymuję moją ofertę. Jestem więcej niż chętny pomóc wam w adopcji innego dziecka. Prawdę mówiąc, dziwi mnie, że pan i żona zwlekacie tak długo. Im wcześniej rozpoczniemy procedury, tym szybciej będziecie mieli nowe dziecko.

— W co ty grasz, człowieku!? — Podniosłem głos, prawie krzyczałem. — W co ty grasz?

— Nie ma mowy o jakiegokolwiek grze. Wszystko wam wyjaśniłem. Mój syn powinien być odpowiedzialnym człowiekiem. To takie proste.

— Moim zdaniem wiesz wszystko o tym, w co wplątany jest twój syn. Zawarliście jakieś brudne porozumienie.

— Nie, proszę! — Moreland był już autentycznie rozgniewany. — Zaczynam myśleć, że popełniłem błąd, dając panu i żonie tyle czasu. Mieliście kilka tygodni, by poczuć się męczennikami, no i zaczęliście wszędzie wietrzyć spiski. Szczerze mówiąc, wyżej was ceniłem.

— Próbujesz ukraść nam córkę! — krzyczałem. — Jezu, naprawdę wierzyłeś, że ci na to tak po prostu pozwolimy?

— Mówi pan o córce Garretta i mojej wnuczce. Rozmawialiśmy o tym i obawiam się, że ten temat jest już zamknięty.

— Zamierzasz mi powiedzieć, że nie wiesz o związkach twojego syna z latynoskim gangiem? Z Sur-Trzynaście?

— Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, panie McGuane.

— Zaprzeczenia, zaprzeczenia, zaprzeczenia. Jak to się ma do prawdy? Czy ty w ogóle zadajesz sobie to pytanie? A może tak długo wydajesz wyroki, których nikt nie kwestionuje, że zacząłeś uważać się za Boga? Że cokolwiek powiesz, to się staje?

— Kompromituje się pan, panie McGuane. To, co pan mówi, jest żalosne.

Milczałem. Trząsałem się cały. Po głosie poznałem, że sędzia lada chwila się rozłączy. Żałowałem, że nie jestem bardziej opanowany.

— Niech twój syn podpisze papiery — powiedziałem. — Niech nie zdarzy się już nic więcej.

Głos sędziego doprowadzał mnie do szaleństwa niewzruszonym rozsądkiem i spokojem.

— Proszę, niech pan pomyśli o tym, co pan mówi. Czy mam to uznać za groźbę? Czy naprawdę grozi pan urzędującemu sędziemu federalnemu? Sądzę, że obaj powinniśmy uznać, iż słowa te nigdy nie padły, bo gdybyśmy postanowili inaczej, byłby pan winny przestępstwa federalnego, panie McGuane. Nie żebym teraz ja panu groził, skądże, ja tylko udzielam informacji. Nie wie pan, co mówi. Uznaję, że wynika to z braku doświadczenia i z tego, że emocje wzięły górę nad rozsądkiem.

— Co ty ukrywasz? — spytałem.

— Obawiam się, że ta rozmowa właśnie dobiegła końca.

— Co ukrywasz!?

— Do widzenia, panie McGuane.

— Słuchaj — powiedziałem — może i jestem tylko ćwokiem z Montany, dla którego te sprawy są o wiele za trudne, ale Melissa to najcudowniejsza kobieta pod słońcem. Jest fantastyczną matką i kocha Angelinę tak, jak jeszcze żadna matka nie kochała swojego dziecka. Nie możesz nam zabrać córki. Ja na to nie pozwolę.

— Ma pan pięć dni, panie McGuane. Niech pan z nich mądrze skorzysta. A teraz przepraszam, ale muszę wracać do pracy.

— Nie odkładaj słuchawki!

— Do widzenia.

Pojechałem do Shelby's przy Osiemnastej, tego baru, do którego zabrał mnie Cody. Położyłem pięćdziesiątkę na mokrej ludzie.

— Lej — powiedziałem do barmana — i nie przerywaj, póki nie wydam całej forsy... albo się wykończę.

* * *

Cody znalazł mnie mniej więcej wtedy, kiedy bar zaczął zapełniać się gliniarzami mającymi służbę od ósmej do szesnastej. Uderzył mnie w ramię tak mocno, że omal nie spadłem ze stołka.

— Pieprzony idiota — powiedział. — Melissa zamartwia się na śmierć. Coś ty zrobił, wyłączyłeś telefon?

— Zostawiłem w samochodzie — powiedziałem, ale to, co usłyszałem, brzmiało jak „zzzoiwisam”.

— Odwiozę cię do domu. Po twojego jeepa możemy przyjechać jutro. — Wyprowadził mnie z baru.

— Dobry z ciebie kumpel. — „Doobrykumplll”.

— Zamknij się. Po drodze kupimy ci kawę.

— Bourbona...

— Na to nie licz.

— Głowa mi pęka. — „Goowpek...”.

Nie ujechaliśmy daleko, gdy zadławiłem się i beknałem.

— Nie w moim samochodzie, baranie. — Cody skrzył w najbliższy zjazd z autostrady i wcisnął hamulec. Wystawiłem głowę przez okno i zwymiotowałem. Miałem wrażenie, że rzygam kwasem. Zdaje się, że nie do końca udało mi się ominąć drzwi.

— Znam to — powiedział Cody, kiedy już zwałem się bezwładnie na siedzenie. — Znam ten nasz specjalny kąć piekła. Jeśli ktoś ci powie, że kryć się tam to nie żarty, nie wierz mu. Bo do pewnego momentu to dobry żart. Teraz... wytrzymaj usta.

* * *

— Miałem dobry dzień — oznajmił Cody.

Otworzyłem oczy. Zdawało mi się, że spałem kilka godzin, lecz w rzeczywistości zaledwie wyjechaliśmy ze śródmieścia.

— Co?

— Powiedziałem, że miałem dziś dobry dzień. Wyjątkowo dobry. Chodzi o rejestr rozmów telefonicznych Briana. Chyba do czegoś dochodzę.

Nie od razu pojąłem, o czym mówi.

— Powinieneś przestać się nad sobą użalać. Przez te kilka następnych dni musisz być przytomny i silny. Dla Melissy. Mam nadzieję, że odreagowałeś i nie będziesz próbował po raz drugi.

Skinąłem głową. Bałem się, że cokolwiek powiem, zabrzmiał głupio.

— Rozumiem, że to oznacza zgodę. A teraz słuchaj, co mam ci do powiedzenia. Znikam. Być może na parę dni, nie wiem jeszcze na jak długo. W rejestrze rozmów Briana jest coś, co muszę koniecznie sprawdzić. Więc jeśli oboje z Melissą nie będziecie mogli mnie znaleźć, nie rozpaczajcie. Wrócę.

Próbowałem coś powiedzieć, ale nie mogłem.

— Tak, wiem, że zaczyna nam brakować czasu — rzekł Cody.

* * *

— Poznaj swojego nowego przyjaciela — powiedział Cody.

Wyjrzałem przez okno. Przed moim domem stały trzy policyjne radiowozy, jeden na drugim. Trzy? Zamknąłem i otworzyłem oczy. Tak, był tylko jeden.

— Pilnuje, żebyście nie zabrali Angeliny i nie próbowali uciec. Siedzi tu całe popołudnie. Zrobiłeś dzisiaj coś, co mogłoby wkurzyć sędziego?

— Zrobiłem...

— Tak właśnie myślałem. I teraz szeryf s płaca jakiś dług.

* * *

Melissa czekała na mnie w drzwiach. Czuli bym się lepiej, gdyby miała pretensje, gdyby od razu zrobiła mi awanturę. Bóg wie, że na nią zasłużyłem.

Pomogła mi się rozebrać, zaprowadziła do łóżka. Sufit zawirował. Pobiegłem do łazienki. Niewiele zostało do zwymiotowania. Wziąłem prysznic, który nieco rozjaśnił mi w głowie, umyłem zęby, przepłukałem usta.

Leżałem już, kiedy Melissa przyniosła Angelinę, żeby dała mi całusa na dobranoc.

— Przepraszam was — powiedziałem do nich obu. — Bardzo was przepraszam.

— Prześpij się. — Melissa zabrała Angelinę do sypialni.

* * *

Tej nocy miałem sen. Sen alkoholowy i bardzo filmowy.

W ciemności garażu rozbłyskują światła reflektorów. W ich blasku tańczą setki wielkich ciem. Nie, to nie są ćmy, lecz płatki śniegu. Rozlega się niski ryk silnika i starego typu pick-up, którego przednia atrapa wygląda jak gęba pełna wyszczerzonych zębów, rusza gwałtownie, przebijając półmetrową zaspę, pierwszą, a potem następne. Jedzie szybko, ale bezpiecznie, tylko tak szybko, by nie ugrzęznąć w grubej warstwie ciężkiego śniegu.

Wyjeżdża na czarną, dwupasmową drogę, której nawierzchnia lśni od lodu. Księżyc w pełni oświetla śnieg na pastwiskach, odbija się w warstwie leżącego na drodze lodu, ale pick-up nie zwalnia. Odmrażanie przedniej szyby działa, mogę już rozpoznać kierowcę. Siedzi pochylony do przodu, prawie leżąc na kierownicy. Oczy ma nieruchome, martwe i lśniące jak dwa kamyki, ale cały czas się uśmiecha. Na siedzeniu wiezie prawdziwy arsenał: karabiny, strzelby, paralizator, kanistry gazu pieprzowego, kastety, skórzane pałki, broń krótką i powtarzalną.

Dwupasmowa droga lokalna prowadzi do międzystanowej, skręcającej na południe. Międzystanowa nie jest zaladzona i pick-up przyspiesza. Mknie, zalany światłem księżyca. Jest sam. Kawałki lodu odłamują się od karoserii, ślizgają po poboczu, wzbijając chmury śniegu przypominające ogon komety.

Włączone na maksimum ogrzewanie działa doskonale, radio ryczy: stary country and western z twardą, bogatą gitarą akustyczną i, na przemian, kaznodzieja z Południa, czarujący głosem, zachęcany przez kongregację głodną jego słów. W kabinie króluje zapach benzyny, potu i oliwy do czyszczenia broni.

Sądząc z częstotliwości, z jaką od karoserii odbija się śnieg i lód, Jeter Hoyt ocenia, że zanim dojedzie do Denver, śnieżycy dawno się skończy.

Środa, 21 listopada Pozostały cztery dni

18

To był straszny dzień. Obudziłem się z potwornym bólem głowy i potwornym niesmakiem w ustach. Myjąc zęby, spojrzałem na swoje odbicie w łazienkowym lustrze i bardzo nie spodobało mi się to, co zobaczyłem: czerwone, przekrwione oczy w ciemnogrnatowych obwódkach. Wyglądałem na dziesięć lat starszego niż w rzeczywistości, a czułem się starszy o pół wieku. Żal, którego jakoś wczoraj nie czułem, dopadł mnie teraz. Nie miałem pojęcia, dlaczego przesiedziałem całkiem sympatyczne popołudnie w barze, użalając się nad sobą, zamiast być w domu z żoną i córką i robić coś pożytecznego.

Nim dobudziłem się i ubrałem, minęła dziesiąta. Nigdzie mi się nie spieszyło.

Melissa bawiła się z Angeliną w salonie, doprowadzając małą do wybuchów śmiechu. Przyglądałem się im, siedzącym na podłodze, i myślałem o tym, ile straciłem przez ostatni rok, co dzień jeżdżąc do pracy. To tu działy się ważne rzeczy, nie w biurze.

— Tata! — krzyknęła rozanielona Angelina. Wziąłem ją na ręce i pocałowałem w miękki policzek. Kurczę, jak pięknie pachną takie małe dzieci. Ciekawe, pomyślałem nie po raz pierwszy, kiedy przestają pachnieć tak słodko. I pomyślałem jeszcze, że może nigdy się tego nie dowiem.

— Uznałam, że najlepiej będzie pozwolić ci się wyspać — powiedziała Melissa, odbierając mi Angelinę. — Byłeś wykończony.

— Przepraszam...

— Tylko raz obudziłeś się, usiadłeś w łóżku i krzyknąłeś: „Już jedzie!”. Nie powiem, to było ciekawe.

— Śniło mi się, że Jeter Hoyt jedzie do Denver.

— Miejmy nadzieję, że to nie był proroczy sen. — Melissa pokręciła głową i wróciła do zabawy z córką.

Podszedłem do okna i rozsunąłem zasłony.

— Ciągłe tam jest — powiedziała Melissa, i rzeczywiście był: czarno-biały radiowóz biura szeryfa. Pamiętałem go z wczorajszego wieczoru, choć niezbyt dokładnie. — I drugi za rogiem, w alejce.

— Żartujesz.

— Wolałabym, żeby to był żart. Widziałam go dziś rano, kiedy wynosiłam śmiecie. Miły chłopak ten Morales.

— Hmm...

— Tak sobie myślałam... skoro przez pewien czas będziesz w domu, może poproszę cię, żebyś to ty wynosił śmiecie?

— Jasne.

— Może znajdę dla ciebie jakieś inne zajęcia? Wiem, że nie czujesz się dobrze, mając za dużo wolnego czasu.

— To prawda.

— I nie chcę, żebyś stał mi nad głową i doprowadzał mnie do szaleństwa.

— Jeszcze nigdy nie byłem bezrobotny i chyba nie wiem, co powinienem robić.

— Na przykład zacząć szukać pracy. Zostawiłam ci strony z ogłoszeniami. Kto wie, jak szybko coś znajdziesz? Chyba nie muszę ci mówić, że to powinno być szybko.

— Kto wie? — powtórzyłem.

— Jeśli będziemy musieli się przeprowadzić, to się przeprowadzimy. — Melissa podrzucała Angelinę na kolanie, Angelina śmiała się wesoło. Patrzyłem na nie i czułem, że łzy napływają mi do oczu. Odwróciłem się.

* * *

Jadłem płatki, nie spuszczając wzroku z Melissy i Angeliny. Nietrudno było zorientować się, że Melissa nie poczyniła żadnych widocznych przygotowań do oddania naszej córeczki, choć zostały nam tylko cztery dni. Nie pakowała pudeł, nie opróżniała szuflad. Zachowywała się tak, jakby nieprzyjmowanie faktów do wiadomości mogło je w jakiś sposób zmienić. Musiałem przyznać, że zachowuję się równie nieracjonalnie.

Radiowozy biura szeryfa... jeden przed domem, drugi przecnicę dalej, przy wjeździe w ślepą uliczkę. Nawet gdybyśmy chcieli, nie udałoby nam się przemknąć niezauważenie. Zresztą dokąd mogliśmy pojechać? Przyszłoby nam żyć z dzieckiem w samochodzie, bez przerwy oglądać się za siebie.

Oczywiście moglibyśmy pojechać albo na ranczo moich rodziców, albo do jej rodziców: matki w Seattle lub ojca w Phoenix. Ale było to tak oczywiste, że władze szukałyby nas przede wszystkim tam. A nie potrafiłem wymyślić nic innego. Gdybyśmy próbowali przenosić się z miejsca na miejsce, pieniądze skończyłyby się, nim zdążylibyśmy się zorientować, że się kończą. Odprawę i wyrównanie za niewykorzystany urlop i zwolnienia lekarskie miałem dostać za kilka tygodni. Szeryfowi wystarczyłoby pójść śladem czeku i znalazłby nas, gdziekolwiek byśmy się ukryli. Osiągnięcie limitu na kartach kredytowych to kwestia kilku dni. I nie mieliśmy żadnego źródła dochodów.

Sprzedanie domu i wycofanie tej niewielkiej sumy, która była naszym udziałem, nie wchodziło w grę. Przy tym stanie rynku w Denver mogło to zająć nawet kilka miesięcy. Jeep wart był parę tysięcy, samochód Melissy też, ale gdybyśmy je sprzedali, czym byśmy uciekli? Każde rozwiązanie wydawało się beznadziejnie złe. Miałem ochotę wsiąść do samochodu, pojechać do baru gliniarzy, położyć przed sympatycznym barmanem kolejną pięćdziesiątkę i zacząć od nowa. Resztę dnia spędziłem, porządkując garaż i strych i w ogóle próbując trzymać się z dala od Melissy. Przy okazji sprawdzałem, co moglibyśmy sprzedać, gdybyśmy musieli. Pilnowałem śpiącej Angeliny, kiedy Melissa pojechała na zakupy do King Soopers. Po powrocie powiedziała, że rozmawiała z szeryfem z końca ulicy, podobno bardzo sympatycznym facetem, i spytała go, czy pojedzie za nią. Powiedział, że nie i że mają rozkaz śledzić nas, tylko jeśli wybieremy się gdzieś w trójkę, jeśli będzie to wyglądało tak, jakbyśmy próbowali z Angeliną uciec.

— Proszę, proszę — mruknąłem, kręcąc głową.

* * *

Po obiedzie zadzwonił telefon. Odebrałem ja, bo w salonie Melissa zmieniała Angelinie pieluchę.

— Mówi wujek Jeter. Zabrało mi trochę czasu znalezienie tego klubu Appaloosa.

Przeszył mnie dreszcz, od stóp do głów. Miałem wrażenie, że skręcają mi się palce u nóg.

— Przyjechałeś?

— Koło południa. Nawet znalazłem sobie pokój. I uciałem drzemkę. Jest ciemno, więc chcę się brać do roboty. Niech to diabli, ale Denver cholernie urosło, a przecież kiedyś był to bydlęcy targ z pretensjami. Człowiek może zabłądzić. Ilu ludzi tu teraz mieszka?

— Dwa miliony czterysta tysięcy.

— Cholera. — Jeter milczał przez chwilę. — Przecież to dwa razy więcej niż w całej Montanie!

— Owszem.

— Skąd oni się tu wzięli?

— Zewsząd — powiedziałem. — Gdzie jesteś?

— W jakimś podłym hoteliku przy West Colfax. Przynajmniej tu jest prawie tak jak kiedyś. Są kurwy... ale do tej pory nie spotkałem żadnego białego. To jak jakaś pieprzona uliczka w Tijuanie.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

— Zadzwoniłem do Cody'ego, ale nie odebrał telefonu, no więc dzwonię do ciebie. Wieczorem pójde do tego klubu.

— Jeter, proszę, nie.

— Co, boisz się, że nie będziesz miał jak mi zapłacić teraz, kiedy Brian nie żyje? Spokojnie. To będzie mój prezent dla was, chłopcy. I dla twojej dziewczynki.

— Poczekaj, nic nie rób, póki nie przyjadę. Jeter odłożył słuchawkę.

Wyciągnąłem kurtkę z szafy. Zaciekawiona Melissa spytała, dokąd się wybieram.

— Nie chcesz wiedzieć — powiedziałem. — Przed chwilą dzwonił Jeter Hoyt.

Zrozumiała. Odwróciła się. Ciekawe, czy w tej chwili poczuła się tak brudna i tak przestraszona jak ja.

Wsiadłem do jeepa. Policjant z radiowozu po drugiej stronie ulicy włączył silnik. Zamknąłem oczy, przez chwilę siedziałem nieruchomo, nie domykając drzwi. Jeśli pojedzie za mną aż na Zuni...

Zatrzasnąłem drzwi i ruszyłem w jego kierunku. Ten zastępca był młody, cerę miał świeżą, brązowe włosy i lekko spłaszczony nos. Patrzył na mnie wyćwiczonym martwym spojrzeniem gliniarza. Pokazałem mu gestem, żeby otworzył okno. Powiedział coś przez radio, prawdopodobnie informując partnera, że wyszedłem z domu. Szyba od strony kierowcy opuściła się do połowy.

— Dzień dobry, szeryfie.

— Proszę nie podchodzić bliżej — ostrzegł. Zatrzymałem się, pokazałem mu puste ręce.

— Jestem nieszkodliwy. Skinął głową.

— Jak się pan nazywa?

— Sanders. Billy Sanders.

— Pana kolega to Morales, prawda? Równie dobrze możemy poznać się i zaprzyjaźnić, skoro mamy spędzić w swoim towarzystwie sporo czasu.

Uśmiechnął się.

— Pańska żona poznała już Gary'ego Moralesa.

— Słuchaj, jadę do miasta na piwo. Jak wczoraj. Pomyślałem, że może zechcesz pojechać ze mną?

— Co?

— Będziesz tak siedział całą noc? Możesz jechać ze mną. Będziesz mnie pilnował i wypijesz parę piw. Towarzystwo dobrze mi robi, picie do lustra jest gównem warte. Co ty na to?

Chłopak uśmiechnął się, całkiem przyjaźnie.

— Brzmi nieźle, ale jestem na służbie, póki nie zjawi się mój zmiennik.

— Zdamy wrócić — obiecałem. Zastanawiał się przez chwilę.

— Nie. To się nie da zrobić — zdecydował.

— Jesteś pewien? Ja stawiam. Pokręcił głową.

— No to może jutro?

— Może — powiedział i się roześmiał.

— Jadę do Shelby's. Wiesz, gdzie to jest?

— W porządku. Dziękuję, że mi powiedziałaś.

— To na Osiemnastej.

— Już powiedziałem, że wiem, gdzie to jest.

— Może jednak się spotkamy? Jeśli wypiję za dużo, podrzucisz mnie z powrotem?

To go rozbawiło.

— Nie powiem, żeby miał wielkie doświadczenie w obserwacji, ale nie spotkałem jeszcze nikogo tak miłego jak wy dwoje. Szczerze mówiąc, to aż podejrzane.

— Och, przepraszam. Szyba podjechała do góry.

Wsiadłem do jeepa i wyjechałem powoli z podjazdu. Patrzyłem w lusterko wsteczne. Gdyby pojechał za mną, spotkalibyśmy się w Shelby's, a o Jeterze przeczytałbym jutro rano w „Rocky Mountain News”. Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że Sanders jednak za mną pojedzie. Ale stało się, jak przewidywałem, i radiowóz biura szeryfa nie ruszył z miejsca. Sanders nie marzył o tym, żeby siedzieć w śródmieściu po końcu zmiany, mając w perspektywie odwożenie mnie do domu, a wiedział doskonale, że bez Melissy i Angeliny nigdzie nie ucieknę.

19

Wjechałem na Zuni i natychmiast zauważyłem dwie rzeczy: uliczne latarnie nie świeciły, a światła mojego jeepa wydobyły z ciemności należącego do Garretta hummera H3 i brudnego pick-upa 4x4 z tablicami rejestracyjnymi Montany.

— Tu jest — powiedziałem głośno.

Klub Appaloosa wyróżniał się w ciemności dzięki neonowym reklamom piwa w zakratowanych oknach i temu, że otaczały go albo wybebeszone, pozabijane deskami resztki budynków, albo tanie, zamknięte na noc biznesiki w domach, do których dostawało się dopłaty czynszowe. Światła miasta wyglądały jak rozlana na niebie śmietanka, ale nie sięgały tej mrocznej dziury w ziemi.

Oprócz hummera i pick-upu, który zapewne należał do Jetera, widziałem jeszcze dwa, trzy samochody, klasyczne buicki i cadillaki z lat siedemdziesiątych, wielkie, lśniące chromem, z futrzanymi kostkami do gry przyczepionymi do lusterek wstecznych. Na jednej z tablic rejestracyjnych widniała liczba 1313 na tle zielonych gór Kolorado. Trzynastą literą alfabetu jest „m”. „MM” — Meksykańska Mafia.

Podjechałem do krawężnika, wyłączyłem światła i H3 rozpląnął się w ciemności. Siedziałem przez chwilę w otaczającej mnie ciszy, walcząc z paniką. Jeter z pewnością już jest w środku. Słyszałem dobiegający z Appaloosy łomot basów. Oczy przyzwyczyły mi się do ciemności i mogłem już rozpoznać kształt klubu. Był mały, przysadzisty, pudełkowaty, reklamy piwa Pacifico, Corona i Negra Modelo wydawały się na jego tle jaskrawsze niż w rzeczywistości. Pomyślałem, że mogę przecież wrócić do domu. — Nie! — krzyknąłem.

Wyskoczyłem z jeepa niemal dokładnie w chwili, gdy na ścianie rozbłysła czworokątna plama światła — otwierające się drzwi — i na tym tle pojawiło się odwrócone „V”: Jeter Hoyt, szeroki w ramionach, w długim kowbojskim płaszczu. Blask ściemniał i znikł, Jeter zamknął za sobą drzwi. Jeszcze przed chwilą sprawdzał okolicę, dopiero teraz wszedł do klubu.

W jeepie zawsze wożę zimowy zestaw ratunkowy. Otworzyłem tylne drzwi, rozpiąłem torbę i wyciągnąłem z niej ciepłą wełnianą czapkę. Pomyślałem, że jeśli naciągnę ją głęboko na oczy, to może... może... Garrett nie zwróci na mnie uwagi. Chciałem wejść za Jeterem i wyciągnąć go stamtąd, nim zdarzy się

coś strasznego. Uznałem, że nie powinienem rzucać się w oczy. Muszę siedzieć cicho i jeśli zajdzie taka potrzeba, wiać z nim tak szybko, żeby Garrett nie zdążył go zauważyć albo rozpoznać mnie.

Idąc do drzwi klubu, zdążyłem jeszcze wcisnąć wybieranie numeru Cody'ego. Nie zamierzałem uciąć sobie pogawędki, wystarczyłby mi sam kontakt. Ścisnąłem telefon w garści. Myślałem, że jeśli w środku rozpęta się piekło, to niech przynajmniej odsłucha sobie później nagranie z poczty głosowej, pojedzie do nas i dotrzyma towarzystwa Melissie.

Powoli otworzyłem drzwi. Wślizgnąłem się do środka. Potężny, rytmiczny łomot muzyki. Nie znałem ani tego kawałka, ani wykonawcy, ale była prymitywna, surowa, uderzyła mnie w twarz z siłą ciosu, przyspieszyła bicie serca.

Klub Appaloosa był mniejszy, niż mogło się wydawać z zewnątrz, a także ciemniejszy i mniej załoczony, niż sobie wyobrażałem. Przy krótkim barze od frontu siedziało paru ponurych Latynosów w strojach motocyklistów. Za barem stał otyły barman w podkoszulku bez rękawów. Potężne nagie ramiona i plecy całe pokryte miał tatuażami, a pod dolną wargą kosmyk długi, wypięszczony i spleciony w warkoczyk. Celował pilotem w mały, obdrapany, podwieszony pod sufitem telewizor. Klub dysponował także niewielkim, pokrytym spękaniem linoleum miejscem do tańca, pustym, i kilkoma łóżkami pod przeciwległą ścianą. Również od tyłu, pod lampą ultrafioletową, przy okrągłym stole siedziało pięcioro ludzi, a nad nimi wisiała wielka chmura dymu.

Jeter stał przy barze między dwoma motocyklistami, bezskutecznie starając się zwrócić na siebie uwagę barmana z pilotem. Płaszcz sięgał mu kolan, wisiał ciężko pod pachami. Coś się tam kryło... i to coś bynajmniej nie lekkiego. Znów zawołał na barmana i znów został zignorowany, bo tłścioch zmieniał kanały tak szybko, że wyglądało to jak przegląd slajdów. Nie zatrzymał się na żadnym do chwili, aż nagle błysnęło nagie kobiece ciało, a jeden z motocyklistów krzyknął: „To tu!”. Wówczas, już powoli, wrócił do płatnego kanału kablowego.

Nie chciałem stać przy Jeterze, zwracać na siebie uwagi bardziej, niż to konieczne. Usiadłem na stołku trzy metry dalej. Głowę ciągle miałem opuszczoną, obserwowałem go kątem oka, widziałem, jak wkurza się na traktowanie, które uznał za pogardliwe. Ale barman wreszcie odłożył pilota na półkę pod starym czarno-białym plakatem, przedstawiającym Anthony'ego Quinna w *Viva Zapata!* i odwrócił się do nowego klienta powoli, z manifestacyjnym lekceważeniem. Zacząłem się o niego martwić.

Nie odwróciłem się, by obejrzeć ludzi siedzących przy okrągłym stole, przyglądałem im się tylko w mętym, wiszącym za barem lustrze. Było ich pięcioro: trzech mężczyzn i dwie zdirowate białe dziewczyny. Wyprodukowana przez nich chmura dymu oraz brudna powierzchnia lustra zniekształcały obraz. Na stole stało kilkanaście pustych szklanek oraz popielniczka, z której pety dosłownie się wysypywały. Świecąca za ich plecami lampa ultrafioletowa uwydatniała tandetną krzykliwość tej sceny, wydobywając ślady brudnych palców na szklankach, podkreślając szminkę na ustach dziewcząt i jaskrawą biel podkoszulków dwóch Latynosów. Chłopcy i dziewczyny siedzieli na przemian. Zajmujący środkowe miejsce ciemnoskóry, ciemnowłosy mężczyzna uśmiechał się głupio, kiwając głową w rytm muzyki, a blondynka obok niego

gapiła się z napięciem na jego ucho, unosiła się i opadała. Uświadomiłem sobie nagle, że robi mu laskę pod stołem. Druga dziewczyna, o czarnych jak smoła nastroszonych włosach, bawiła się srebrną obrączką w dolnej wardze i od czasu do czasu zerkała z zainteresowaniem na to, co dzieje się obok niej. Garrett siedział najbardziej po lewej, przed nim zaś, na stoliku, stał kubek, przez którego krawędź przewieszony był cienki sznureczek z wiszącą na nim tekturką z nazwą herbaty. Z jakiegoś powodu znudzony wyraz jego twarzy i to, że pił herbatę, wstrząsnęły mną najbardziej, bo w ten sposób demonstrował wręcz bezczelną pewność siebie. Przez sekundę niemal go podziwiałem... Ale tylko przez sekundę. Po raz kolejny zadałem sobie pytanie, co takiego łączy go z tymi gangsterami i dlaczego w ogóle z nimi trzyma.

Pocieszyła mnie nieco obserwacja wskazująca, że nikt z tej piątki nie zwrócił uwagi na rozrabiającego przy barze Jetera.

Zajęci swoimi sprawami, nawet nie spojrzeli w jego stronę, nie miałem jednak wątpliwości, że lada chwila może się to zmienić. Jetera nie sposób było przeoczyć. Nie w tym płaszczu.

Ale nie potrafiłem jakoś sprawić, żeby spojrzął na mnie. A bardzo tego chciałem, chciałem gestem polecić mu, żeby wyniósł się stąd jak najszybciej. Wystarczyło, żeby zauważył moje istnienie. Przecież to nie takie trudne. Nie tu!

— Szukam gówniarza, który nazywa się Garrett Moreland — powiedział do barmana wystarczająco głośno, bym usłyszał, co mówi. Zdumiała mnie jego bezczelność. — Jest tutaj?

Barman niczym nie zdradził, że go słyszy. Spojrzałem w lustro. Garrett też nie usłyszał.

— Jeter — syknąłem. — Idziemy.

Bliższy z dwóch motocyklistów podniósł wzrok znad piwa, spojrzął na mnie i się skrzywił. Jeter pozostał obojętny.

— Powiedziałem, Garrett Moreland — warknął. — Jest gdzieś tu w tym sraczu czy nie?

Barman demonstracyjnie go zignorował. Przeszedł wzdłuż baru, spytał motocyklistów, czy im coś nalać, mnie minął, jakbym nie istniał. Zdumiała mnie mnogość i mizoginizm jego tatuaży: czaszki przebite szpikulcami, kobiety wbite jak na pale na ozdoby masek chryslerów z końca lat siedemdziesiątych i penisy przypominające sztylety, amerykańska flaga, z której krew sączyła się w usta karykatury wiceprezydenta Dicka Cheney'a.

— Jeter, niech cię cholera! — wrzasnąłem, starając się przekrzyczeć muzykę. — Pora uciekać.

Motocyklista po mojej prawej zażyczył sobie kolejne piwo. Gruby barman potoczył się z powrotem do miejsca, z którego wyruszył z jego pustą szklanką. Mnie znów nie zaszczylił spojrzeniem. Napełniał ją z beczki tuż przed nosem Hoyta. Ku swemu niekłamanemu przerażeniu zauważyłem, że stary się uśmiecha.

— Albo powiesz mi, który to Garrett pieprzony Moreland, ty góro sadła, albo zaraz obejrzysz sobie całkiem szczególne piekło.

Nagle zapadła cisza. Skończyła się piosenka. Barman napełnił szklankę. Odwracając się, niemal niezauważalnie skinął głową w stronę stolika z tyłu.

— Jestem zobowiązany.

Jeter odwrócił się, wciąż trzymając jedną rękę na barze. Widziałem, jak mruży oczy, uważnie przygląda się postaciom oświetlonym czarnym światłem.

— Jeter...

Skoncentrowałem uwagę na nim, nie patrzyłem na barmana, który szukał czegoś pod barem. Ruchem zwodniczo szybkim otyły facet, od lat polegający wyłącznie na sprawności ramion, odchylił się, uniósł nad głowę czarny kij baseballowy i zmiażdżył nim dłoń Jetera; słyszałem, jak kości pękają z trzaskiem niemal dokładnie takim, jak suche gałązki, kiedy się na nie nadeptnie.

Zamarłem. Nie mogłem się poruszyć.

Jeter nie krzyknął, nawet nie cofnął zmiażdżonej dłoni, tylko spojrzął na barmana, jakby chciał mu powiedzieć: „Nie wierzę, że mogłeś mi to zrobić”. Barman, zdumiony, że Angol w kretyńskim płaszczu nie upadł na kolana, zamierzył się pałąką i uderzył po raz drugi, zapewne miażdżąc i te kości, które jakimś cudem nie zostały zmiażdżone za pierwszym razem. Nie zapomnę dźwięku, jaki się przy tym rozległ, zupełnie jakby walnął w torebkę śniadaniową pełną precli.

Nie wiem, dlaczego to zrobił. Nigdy się tego nie dowiem, nigdy nie zrozumiem. Mogę się tylko domyślać, że poczuł się obrażony i że tak samo reagował wcześniej, w analogicznych sytuacjach, kiedy musiał wyrzucać ludzi z klubu. Ale, jak moje życie przez ostatnie dwa i pół tygodnia, to, co nastąpiło, wymykało się jakiegokolwiek analizie.

Wszyscy znamy powiedzenie: „odstrzelił mu łeb”, ale ja chcę powiedzieć, że to nie do końca tak. Wiem, co mówię, bo kiedy Jeter sięgnął prawą ręką pod płaszcz, kiedy wyjął dwulufową obciętą śrutówkę z rodzaju tych, które nazywano kiedyś „strzelbą woźnicy”, ponieważ chętnie używali ich woźnice dyliżansów, kiedy przycisnął lufy do czoła barmana, kiedy odwiódł oba kurki i wystrzelił z obu luf, wcale nie odstrzelił ofierze łba. Górna prawa ćwiartka łba zwyczajnie znikła, a na lustro poleciały krew, mózg, odłamki kości, strzępy skóry i kępki włosów. Barman upadł na podłogę jak marionetka, której przecięto sznurki, ściągając na siebie całą półkę szklanek do piwa.

Huk był ogłuszający. Dzwoniło mi w uszach. Dwaj motocykliści ześlizgnęli się ze stołków, minęli mnie i popędzili do drzwi. Przyglądałem im się obojętnie, jakby z wielkiej odległości. W tej chwili nie miałem duszy i żadnego rozeznania w rzeczywistości.

Jeter był wściekły jak diabli. Gapił się na zmiażdżoną dłoń, powtarzając: „Po cholere mu to było”, ale szybko oprzytomniał. Sprawną prawą ręką złamał śrutówkę. Dwa wielkie, wystrzelone naboje przeleciały, dymiąc po obu stronach jego głowy. Przełożył ją pod lewą pachę, z kieszeni płaszcza wygrzebał dwa nowe naboje, załadował i zatrzasnął broń, gwałtownym gestem szarpnąwszy lufy w górę. Odwrócił się w stronę stołu. Odwiódł oba kurki. Jego lewa ręka wisiała bezwładnie.

— Który z was, gówniarze, to Garrett Moreland?

Przeraźliwy pisk, przewiercający mi głowę na wylot, okazał się wrzaskiem jednej z dziewczyn.

Gangster siedzący po prawej, najdalej od Garretta, odsunął się tak gwałtownie, że przewrócił krzesło. Stał przy stole. Ciemnoskóry chłopak ze środka, którego obsługiwała blondynka, gapił się przed siebie z otwartą gębą i nie wiadomo dlaczego rozpaczliwie starał się dopiąć rozporek. Blondynka wrzeszczała, przyłożywszy dłonie do policzków. Garrett nie ruszył się z miejsca. Nadal obejmował stojący przed nim kubek, był nieprawdopodobnie spokojny, patrzył na podchodzącego do niego mężczyznę ze śrutówką, jakby sądził, że może rozpoznać faceta, może domyślić się, dlaczego woła go po nazwisku.

— Ty jesteś ten gówniarz Garrett? — spytał Jeter.

Ale nie zauważył, że chłopak, który przewrócił krzesło, pochylił się teraz lekko i sięgnął ręką do tyłu, jakby tam spodziewał się znaleźć coś w spodniach.

Jeter opuścił lufy śrutówki.

— Ty jesteś Garrett Moreland?

Pochylony gangster znalazł to, czego szukał. Strzelił cztery razy z powtarzalnego pistoletu trzymanego w wyprostowanym ręku i obróconego do poziomu. Płaszcz starego zafalował, on sam cofnął się o krok, obrócił lekko, śrutówka wypaliła, a lufy podskoczyły aż nad jego głowę. Na piersi niefortunnego strzelca rozkwitła wielka plama czerwieni. Upadł na plecy, jakby potknął się o krzesło, które sam wcześniej przewrócił.

Tymczasem wujek Jeter spokojnie i bez pośpiechu wsunął śrutówkę w pętlę pod płaszczem. Tym samym gestem wyciągnął stalową powtarzalną czterdziestkępiątkę. Ciemnego chłopaka ze środka niemal z przyłożenia postrzelił w szyję, nim ten zdążył wyciągnąć z kabury pistolet, którego rozpaczliwie próbował się domacać. Pistolet prześlizgnął się po blacie stołu i spadł na brudną wykładzinę.

— Uciekajcie, panie — powiedział Jeter. — Ja mam sprawę do załatwienia z młodym panem Morelandem.

Blondynka uciekła, nie przestając wrzeszczeć i przyciskać dłoni do twarzy. Nasze oczy spotkały się na krótką chwilę, a potem znikła za drzwiami, a ja musiałem się zastanowić, czy byłaby w stanie mnie rozpoznać.

Jeter usunął się z drogi jej koleżance z nastroszonymi włosami. Nie spodziewał się, że przystanie, wsadzi mu lufę pistoletu pod pachę i trzykrotnie naciśnie spust. Strzały były stłumione, ciche, prawie niesłyszalne. Jęknął krótko, co bardzo przypominało skomlenie, opuścił rękę, w której trzymał pistolet, zrobił kilka krótkich, szybkich kroków bokiem, w lewo, i upadł.

— A niech to cholera! — wrzasnął wściekły, chyba bardziej na siebie niż na nią. Wił się, utrudniając celowanie dziewczynie o nastroszonych włosach, próbującej w niego wymierzyć, strasznie niezdarnie. Przetoczył się na brzuch, wyciągnął rękę trzymającą czterdziestkępiątkę i zdjął ją trzema strzałami.

Powoli, niezdarnie, pochrzając niczym mały niedźwiadek, stanął na czworakach, a po chwili nawet się wyprostował. Drugi z postrzelonych przez niego gangsterów ciągle siedział za stołem, przyciskając rękę do szyi. Spomiędzy palców rytmicznie tryskała krew tętnicza. Podszedł do niego. I przyłożył czterdziestkępiątkę do jego czoła.

— Podpisz papiery tym swoim głupim nazwiskiem — powiedział ze znanym mi już absurdalnym meksykańskim akcentem — albo zginiesz, *señor*.

Oszołomiony i ogłupiały, przedzierając się przez chmurę gryzącego dymu, podszedłem do Jetera i położyłem mu dłoń na ramieniu. Podłogę zaścielały patrony ze śrutówki i łuski.

— Jeter, to nie on! — krzyknąłem. — Garrett uciekł tylnym wyjściem, kiedy leżałeś na podłodze.

Byłem prawie pewny, że mnie nie rozpoznał.

Wujek znieruchomiał, jakby próbował pojąć, o czym mówię. Słyszałem, jak na podłogę kapie wyciekająca spod płaszcza krew.

— Dla mnie oni wszyscy wyglądają tak samo — powiedział i roześmiał się ochryple. Pociągnął za spust. Latynos upadł na plecy. W jego szeroko otwartych oczach zamarł wyraz zdumienia, a w czole ziała dymiąca dziura.

* * *

Jeter się chwiał. Powoli schował czterdziestkępiątkę. Twarz miał bladą, ściągniętą, oczy bez wyrazu.

— Jezu! — powiedział. — Ale spieprzyłem robotę. Skinąłem głową.

— Powinienem być inaczej to rozegrać. Do głowy mi nie przyszło, że ta dziewczyna może mieć broń. Co za pieprzone niebezpieczne miejsce.

Nie wiedziałem, co robić. Spróbować wsadzić go do jeepa? Zabrać do szpitala? Zostawić tu? Czekać na policję? Jeszcze nie słyszałem syren.

— Nie chcę tu umrzeć — jęknął Jeter. — Chcę umrzeć w Montanie, nie w Denver. Nie w tym sra-czu, wśród tych pierdolców.

Próbował zrobić krok w stronę drzwi, ale nogi nie chciały go chyba słuchać. Z płaszcza ściekała krew i rozlewała się kałużą na podłodze baru.

— Nieźle oberwałem — jęknął słabo. — Jakby wszystko ciepłe ze mnie wyciekało. Robi mi się strasznie zimno. Pomóż mi, Jack.

— Dokąd chcesz jechać? Ten uśmiech...

— Do Montany.

— Nie możemy...

— Słyszę Cody'ego — przerwał mi nagle. — W głowie. Tylko nie rozumiem, co mówi.

— Cody'ego?

— Tak, to jego głos.

Przypomniałem sobie, że w dłoni nadal ściskam komórkę. Spojrzałem na nią. Połączenie trwało już pięć minut. Przyłożyłem ją do ucha.

— Cody?

— Jack, cały jesteś? Jezu... słyszałem tylko strzały...

— Ze mną wszystko w porządku, ale twój wuj...

— Słyszałem. Już jestem na miejscu. Nie ruszajcie się przez pięć minut.

Przerwał połączenie. Jeter wskazał brodą bar.

— Zobacz, może uda ci się znaleźć jakąś inną muzykę, Jack. Dobre stare country, przy którym mógłbym umrzeć. Hank Snow, Little Jimmy Dickens, Hank Williams, Bob Wills... coś naprawdę dobrego. Nie zniosę dłużej gówna, które tu grają.

Pochylił się do przodu i upadł jak ścięte drzewo. Walnął głową w podłogę tak mocno, że spokojnie mógł go zabić sam upadek.

* * *

Kiedy przyjechał Cody, stałem oparty o bar. Odłączyłem wszystkie reklamy piwa w oknach, zgasiłem światła, oprócz lampy ultrafioletowej za stołem. Klub Appaloosa wyglądał z zewnątrz, jakby był zamknięty, dzięki czemu nie przyciągał nowych klientów. Znów czułem się tak, jakbym znalazł się poza własnym ciałem i jakby tak naprawdę wcale mnie tu nie było.

Cody przede wszystkim założył gumowe rękawiczki.

— Pomóż mi przenieść go do bagażnika — powiedział. — Jeśli go tu zostawimy, policja w końcu dojdzie po nim i do mnie.

— Dokąd chcesz go zabrać? Pokręcił głową.

— W góry. Mam na myśli takie jedno miejsce...

— Chciał jechać do Montany — przypomniałem tępo.

— To go tam zawiozę któregoś dnia. — Cody chwycił Jetera za kołnierz i pociągnął po podłodze. — Jezu, ile żelastwa zmieścił pod tym cholernym płaszczem!

— Nigdy czegoś takiego nie widziałem — powiedziałem, idąc obok niego. — To było straszne, Cody. Rzeźnia, prawdziwa rzeźnia. Barman zmiażdżył Jeterowi dłoń kijem baseballowym i Jeter zaczął strzelać. Garrett uciekł.

— Słyszałem. Zadzwoiłeś do mnie, pamiętasz?

— Pójdziemy do więzienia.

— Bo ja wiem? — Cody rozejrzał się po Appaloosie. — Mnie to wygląda na porachunki gangsterkie. Może na spór o terytorium? Kto gdzie sprzedaje metadon?

— Naprawdę myślisz, że policja tak to oceni? Cody spojrzał na mnie. Był wściekły.

— No i co? Masz zamiar mi pomóc czy nie?

* * *

— Tylko nie przekraczaj dozwolonej prędkości — ostrzegł Cody, kiedy już umieściliśmy ciało Jetera w wyłożonym folią bagażniku jego samochodu i go zamknęliśmy. — Jedź powoli, bez nerwów. Ostatnie, czego ci trzeba, to zatrzymanie za złamanie przepisów. Po oczach widzę, że od razu przyznasz się do morderstwa.

Skinąłem głową.

— Wracaj do domu. Później pogadamy. — Klepnął mnie po przyjacielsku w ramię. — Prawdopodobnie nie powinniśmy wciągać w to wujka Jetera. Nie był już młody, ta sprawa go przerosła. A uprzedzenia przeszkadzały mu jasno myśleć.

— Powinieneś widzieć go w tym klubie. Do końca życia będę miał koszmary.

Cody się rozejrzał. Ulica była ciemna i pusta.

— Wynośmy się stąd — rzucił. Odwróciłem się i zrobiłem krok w stronę jeepa.

— Jack!

Zatrzymałem się, spojrzałem na niego przez ramię.

— Jack. I aż do tej chwili... wiesz, to był całkiem dobry dzień.

* * *

Jechałem I-70 na zachód, do domu. Radio miałem nastawione na stację KOA, ale nie słyszałem ani słowa. Co kilka minut patrzyłem w lusterko wsteczne, spodziewając się w każdej chwili zobaczyć radiowóz z kogutem na dachu. W jednej chwili jechałem sześćdziesiąt na godzinę, a w następnej sto trzydzieści. Ustawiłem tempomat na setkę i mogłem wreszcie przestać się martwić przynajmniej tym.

Czułem się tak, jakbym był pusty w środku. Nie potrafiłem jasno myśleć. Dopiero teraz przypomniałem sobie, że na do widzenia Cody wspomniał coś o dobrym dniu. Co właściwie miał na myśli? Rejestr rozmów Briana?

Ciągle miałem przed oczami sceny z Appaloosy, jakby pamięć odtwarzała nagranie, które się zapełniło. Czy Garrett mnie widział? Czy wiedział, że ten facet to Jeter? Pójdzie na policję i opowie o wszystkim czy rozegra sprawę tak samo, jak przy śmierci Luisa, i będzie milczał? Czy blondynka może mnie zidentyfikować? A co z tymi dwoma motocyklistami? Przyjrżeli mi się, zapamiętali mnie?

Czy policja zatrzyma Cody'ego, wiozącego w góry ciało martwego wuja? Zamknięte w bagażniku samochodu? Boże!

Zorientowałem się, że zjeżdżam na pobocze. Skontrowałem tak mocno, że o mało nie zderzyłem się z pick-upem jadącym w przeciwnym kierunku.

Potrząsnąłem głową. Spróbowałem się skupić na prowadzeniu.

Nie usłyszałem pierwszych zdań wiadomości zapewne dlatego, że lata za kierownicą nauczyły mnie odsiewać większość tego, co się słyszy w radiu. Następne przykuły jednak moją uwagę.

„Rzecznik policji powiedział, że w lokalu przy Zuni Street znaleziono cztery ciała... morderstwa były zapewne wynikiem walki gangów...”.

Walka gangów.

* * *

Pomachałem zastępcy szeryfa z drugiej zmiany, siedzącemu w radiowozie po przeciwnej stronie ulicy. Zastępca pomachał do mnie.

Wszedłem do domu. Melissa zbiegła po schodach, miała na sobie nocną koszulę.

— Dlaczego nie zadzwoniłeś? Pokręciłem głową.

— Kochanie, dobrze się czujesz?

— Nie. Nie czuję się dobrze.

— Czy Garrett podpisał papiery?

Czwartek, 22 listopada Pozostały trzy dni

20

Około czwartej zapadłem w sen jak w studnię, a kiedy się obudziłem, Melissa stała nade mną. W oczach miała łzy. Byłem pewny, że powie: „Jest tu policja”.

— Jack, dziś jest Święto Dziękczynienia — powiedziała. — Dziś jest Święto Dziękczynienia, a ja o tym zapomniałam! Potrafisz w to uwierzyć?

— Potrafię. — Przetarłem oczy. — Bo ja też zapomniałem.

— Jak można zapomnieć o Święcie Dziękczynienia? — I Melissa się rozplakała.

Wstałem i przytuliłem ją mocno. Miałem wrażenie, że rozpływa się w moich objęciach, na ramieniu czułem jej gorące łzy. Wiedziałem, że nie płacze dlatego, iż zapomniała o Święcie Dziękczynienia.

* * *

Dzień był zimny, pochmurny. Szczyty gór znikły, pasma mlecznej mgły wdzierające się w doliny wyglądały jak zimne palce martwych dłoni. Pomyślałem, że zima wygrała kolejną bitwę i właśnie odzyskuje utracone terytorium. Wyżej, w górach, musi nieźle śnieżyć. Pomyślałem o Codym, który pojechał właśnie tam. Miałem nadzieję, że przynajmniej wróci bezpiecznie.

Idąc do stojącego naprzeciwko naszego domu radiowozu, chuchałem w zmarznięte dłonie. Billy Sanders wrócił na służbę. Włączył silnik i uruchomił ogrzewanie. Tym razem nie ostrzegł mnie, żebym nie podchodził zbyt blisko.

Opuścił szybę. Pochyliłem się, poczułem powiew ciepłego powietrza i sztuczny zapach serowych chipsów. Na kolanach trzymał całą ich torbę, na podłodze wały się pogniecione puszki po napojach, a na siedzeniu pasażera leżał „Denver Post”. Tytuł na pierwszej stronie kłuł w oczy wielkimi literami:

MASAKRA W PÓŁNOCNEJ CZĘŚCI MIASTA.

Jezus Maria!

— Nic ci nie jest? — spytał Sanders. — Nie wyglądasz najlepiej. — Przymknął oko i spojrzał na mnie podejrzliwie. — Mój zmiennik twierdził, że nie wróciłeś aż tak późno.

— Niezbyt — odpowiedziałem wymijająco. — A ty co, musisz pracować w święto?

Skinął głową. Nad górną wargą miał wąską pomarańczową linię od chipsów i pomarańczowe czubki palców.

— Cóż, trzeba. Niezbyt to przyjemne, ale... taka praca.

— Jadę do King Soopers po zakupy — powiedziałem. — Żona proponuje, żebyście wpadli do nas na świąteczny obiad. Nie będzie indyka i tak dalej, bo oboje zapomnieliśmy, jaki dziś dzień, ale jeśli chodzi o inne rzeczy, to ich nie zabraknie. Myślałem o tym, żeby przywieźć trochę pieczonych kurczaków. Muszę wiedzieć, ile będzie osób przy stole. Co ty na to?

Przez krótką chwilę Sanders przyglądał mi się podejrzliwie.

— Twoja żona naprawdę chce mnie zaprosić? — spytał w końcu.

— Sama mnie tu przysłała.

Melissa zaskoczyła mnie tą propozycją.

— Święto Dziękczynienia nie jest Świętem Dziękczynienia, jeśli się go z kimś nie dzieli. Cała nasza rodzina mieszka poza stanem, więc zaprosimy naszych stróżów.

— Co z Moralesem? — spytał Sanders.

— Właśnie w tej chwili moja żona rozmawia z nim. Pokręcił głową. Był naprawdę wzruszony.

— Słuchaj, to by było wspaniale. Myślałem, że będę siedział tutaj cały dzień, użalając się nad sobą, a przecież formalnie pozostaniemy na służbie, bo cały czas będziemy mieli na was oko. Może nawet zapomnimy na chwilę o zasadzie, że nie pije się w godzinach pracy? Możemy się dorzucić do tego obiadu?

— Jasne. Jeśli chcecie. Pogadaj z Moralesem, może pojedziemy do sklepu we trzech?

Roześmiał się i sięgnął po mikrofon. Pogadał z partnerem, połączył się z centralą i poprosił o przysłanie trzeciego radiowozu do obserwacji domu, bo on i Morales muszą „pojechać za podejrzanym”. Dostał potwierdzenie, skończył rozmowę, spojrzął na mnie i powiedział:

— Przepraszam, ale nie możemy ryzykować, że twoja żona i córka wykorzystają sytuację i uciekną.

* * *

Trzech facetów: dwaj zastępcy szeryfa i ja, ganiało po supermarkecie z zapalem chłopaków planujących wyjazd pod namiot. Ja pchałem wózek, a oni wypełniali go wszystkim, co tylko strześliło im do głowy: żurawina w puszcze, słodkie ziemniaki, paczkowane ziemniaki purée, słoiki śmietany i sosu mięsnego, słoik dipu serowego (Sanders!), dwa sześciopaki piwa, jeszcze kilka sześciopaków piwa. Sklep był praktycznie pusty, tylko kilku zdesperowanych klientów zdecydowało się na zakupy w ostatniej chwili. Z nich najbardziej zdesperowani byliśmy my, ponieważ żaden z nas nigdy nie planował świątecznego obiadu i nigdy nie załatwiał zakupów na świąteczny obiad, zwłaszcza tego samego dnia. W części delikatesowej kupiliśmy ostatnie cztery pieczone kurczaki. Nie zapytałem, kiedy je pieczono.

— Lepiej mieć za dużo niż za mało — uznałem. Billy Sanders roześmiał się głośno.

— Dobrze powiedziane. Co sądzisz o tych chrupiących bułkach? Wyglądają nieźle.

— No to do wózka z nimi.

— Naprawdę fajni z was ludzie — powiedział Morales już przy kasie. — Nikt z obserwowanych jeszcze nigdy nie zaprosił mnie na obiad.

Pomyślałem, że kiedyś byliśmy nie tylko fajni, ale i dobrzy.

Gliniarze radzili sobie w kuchni równie źle jak ja, więc z ulgą daliśmy się Melissie wyrzucić do salonu, gdzie mogliśmy pić piwo i oglądać futbol. Morales obiecał głośno: „Tylko jedno”. Sanders mu zawtórował, ale na jednym się bynajmniej nie skończyło. Melissie najwyraźniej nie przeszkadzało, że wszystko musi robić sama. Słyszałem, jak nuci wesoło. Angelina pełzała między nami trzema i podawała nam zabawki, które powinniśmy przed nią chować. Znów była uwodzicielska, nasi gliniarze chichotali do niej i robili miny. Ja siedziałem w milczeniu, przyglądałem się im i próbowałem zapomnieć o wydarzeniach wczorajszego wieczoru. Usłyszałem sygnał komórki i aż podskoczyłem. Dzwonił Cody.

Przeprosiłem gości, niezwracających zresztą na mnie najmniejszej uwagi. Poszedłem do kuchni. Udało mi się zaskoczyć Melissę, która szybko schowała coś za mikrofalówką.

— Cześć — powiedziałem do telefonu.

Usłyszałem pytanie zadane bardzo ponurym głosem.

— U ciebie w porządku?

— Mniej więcej tak, jak należało się spodziewać.

— Pytam, czy teraz u ciebie w porządku. Stoję na twojej ulicy i widzę dwa radiowozy.

— Ach, o to ci chodzi? — Odetchnąłem z ulgą. — Zaprosiliśmy zastępców na obiad, w końcu dziś Święto Dziękczynienia. Może i ty wpadniesz?

Wiedziałem, że Cody nie ma dokąd pójść, najwyżej do baru, gdzie zawsze przygotowywano przyjęcie dla gliniarzy samotnych, rozwiedzionych i pozostających na służbie.

— Kpisz sobie?

— Nie. Przyjdz, jedzenia nie zabraknie. — Spojrzałem na Melissę i ruchem warg wypowiedziałem: „Cody”. Entuzjastycznie pokiwała głową. Zdaje się, że świetnie się bawiła. Popijała ze szklanki coś, co wyglądało jak sok pomarańczowy.

— Mogę przyjść z kimś? — spytał Cody nieśmiało.

— Jasne. Ładna?

— Gdyby o to chodziło... Mam spotkać się z Torklesonem, mogę go do was zabrać? Zdaje się, że jego żona i córka są w Kalifornii.

— Im nas więcej, tym weselej. Melissa uwielbia gotować dla bandy gliniarzy... Uwielbiasz to, kochanie, prawda?

— Oczywiście — powiedziała głośno, tak, żeby Cody mógł ją usłyszeć.

— To dajcie mi pół godziny.

Schowałem telefon. Poszedłem do piekarnika i przyjrzałem się zawartości kilku garnków.

— Pachnie nieźle — przyznałem.

— Biorąc pod uwagę, coście przynieśli do domu, nikt nie poradziłby sobie lepiej ode mnie.

Sięgnąłem za mikrofalówkę i wyjąłem do połowy pustą butelkę wódki.

— Od kiedy trzymamy to pod ręką? — spytałem. Melissa należała do kobiet, dla których akceptowalnym sposobem picia alkoholu był kieliszek wina do obiadu. Kiedy ostatni raz widziałem ją ze szklanką w rękę, oboje byliśmy studentami... a już wtedy wcale jej się to nie podobało. A teraz wyglądała na zrozpaczoną, jakbym odkrył jej wstydlivy sekret.

— Wszystko w porządku — uspokoiłem ją. — Po prostu trochę zaskoczył mnie fakt, że uważałaś za wskazane schować butelkę.

— Chyba żartujesz! — oburzyła się. — Za nic nie zostawiłabym jej na wierzchu. Co by ludzie pomyśleli!

— Pewnie to, że mamy za sobą cholernie ciężki miesiąc.

— Kiedy ty zasypiasz, ja czasami schodzę do kuchni. Wypijam szklaneczkę, może dwie, próbuję zrozumieć, dlaczego nas to spotkało. Czasami zabieram drinka na górę, siadam przy kołysce Angeliny, patrzę na nią i płaczę. Czasami stoję na progu sypialni i patrzę na ciebie. Tylko jedno przychodzi mi do głowy: że jesteśmy przekłęci.

— Nie. Przechodzimy próbę.

— Więc chyba ja jej nie przejdę.

— Wręcz przeciwnie. — Przesunąłem palcami po jej policzku.

— Czy my się rozpadamy? — spytała. Na to pytanie nie znałem odpowiedzi.

* * *

Nie od razu wróciłem do salonu. Przez rozsunięte listwy rolety na kuchennych drzwiach przyglądałem się Sandersowi i Moralesowi. Obaj siedzieli tyłem do mnie, obu interesowała tylko zabawa z Angeliną i oglądanie meczu.

Pomyślałem: mógłbym zakraść się od tyłu, dać w łeb najpierw jednemu, potem drugiemu, następnie wskoczylibyśmy do jeepa i po prostu odjechali.

W kuchni mnóstwo było ciężkich przedmiotów, jakby proszących się o to, by ich użyć: żeliwne patelnie i garnki, gdzieś poniewierał się wałek, no i ten cholernie wielki mikser. Przez kilka chwil wyobrażałem sobie, jak też by to wyglądało, a serce biło mi coraz szybciej. Sanders będzie pierwszy, siedzi bliżej. Moralesa dopadnę, nim zdąży wstać i wyjąć broń. Ale... pozbawić ich obu przytomności? Skrzywiłem się. To łatwe... w telewizji, na filmie. A jeśli moje uderzenia tylko ich zranią? Jeśli choć jeden nie straci przytomności?

Nie, pomyślałem. Jeśli chcę mieć pewność, że ucieczka się uda, muszę ich zabić. Obejrzałem się przez ramię. Na kuchennym blacie stał stojak z kompletem noży. Ten do ryby i warzyw, na przykład, jest ostry, ciężki i ma osiemnastocentymetrowe ostrze. Mógłbym poderznąć nim gardło Sandersowi, ugodzić Moralesa w kark, albo, gdyby okazało się to konieczne, zadać nim cios w skroń lub serce. Pomyślałem, że w sumie to całkiem prawdopodobny scenariusz. Tylko... czy byłbym w stanie zrobić to na oczach Angeliny? Przecież zacznie krzyczeć, będzie w szoku i to zaciąży na całym jej życiu!

Dokładnie w tej chwili Sanders wziął Angelinę na kolana, a Melissa powiedziała:

— Jack, mógłbyś rozsunąć stół?

* * *

Cody pojawił się z Torklesonem, pieczoną szynką i skrzynką piwa.

— Potrafisz sobie wyobrazić — spytałem Melissę w kuchni — miejsce bezpieczniejsze dla współwinnego poczwórnego zabójstwa niż własna jadalnia i towarzystwo bandy policjantów na obiedzie?

— Nie wydaje mi się to zabawne — ucięła Melissa.

* * *

Melissa przygotowywała obiad z ogromnym oddaniem. Szklanka wódki z sokiem pomarańczowym, przez cały czas pełna, mogła przynajmniej częściowo wytłumaczyć jej ożywienie i dobry humor. Znów wyraziła żartobliwą dezaprobatę dla dokonanego przez nas egzotycznego wyboru konserw i tego, że piwa wystarczyłoby nam na upicie batalionu żołnierzy. Cody i Torkleson szybko dogadali się z oboma zastępcami szeryfa. Rozmawiali o pracy, coraz głośniejszą, w miarę opróżniania kolejnych butelek. Zawstydzilem się moich morderczych myśli i przez pewien czas z trudem przychodziło mi spojrzeć w oczy Moralesowi i Sandersowi.

Melissa oznajmiła wreszcie, że obiad gotowy. Usiedliśmy przy stole. Odmówiła modlitwę. Gliniarze opuścili głowy, a jeśli chodzi o mnie, to w tej chwili nie byłem w dobrych stosunkach z Bogiem.

* * *

Rozmowa szybko zesłała na wczorajsze poczwórne morderstwo w klubie Appaloosa, czemu chyba nie należało się dziwić. Serce biło mi mocno, ale udawałem grzeczne, obojętne zainteresowanie i pilnowałem się, żeby nie podnieść głowy. Raz ją jednak podniosłem i zerknąłem na Cody'ego. Wymieniliśmy szybkie spojrzenia.

— Gdybym nie zamienił się z McCoyem i Scruggsem — powiedział Torkleson — to by była moja sprawa. Biedacy. Burmistrz już nas pilnuje z powodu morderstwa Eastmana, a teraz jeszcze to. Wyobrażacie sobie te naciski?

— Dowiedzieliście się czegoś o możliwych sprawcach? — spytał Morales.

Torkleson wzruszył ramionami.

— Jest taka blondynka twierdząca, że tam była. Powiedziała Scruggsowi, że strzelał jeden facet: wielki, zarośnięty, brodaty, w długim płaszczu.

Co oznaczało, że Garrett Moreland nie zgłosił się na policję, dokładnie tak, jak za pierwszym razem. Albo się bał, albo miał coś poważnego do ukrycia. Pamiętałem, jak siedział sobie spokojnie przy stole, obejmując dłońmi kubek z herbatką, choć Jeter był coraz bliżej i wołał go po nazwisku.

— Gówno prawda! — zaprotestował Sanders i spojrzał na Angelinę siedzącą obok niego na wysokim krzeselku, a potem na Melissę. — Bardzo przepraszam — powiedział skruszony.

Torkleson był tego samego zdania.

— Jasne, wiem, co masz na myśli. Żeby jeden facet miał tego dokonać? Nie do wiary. Nie wiem, czy tej blondynce w ogóle można wierzyć. Twierdzi, że wielki włochaty facet wyjął śrutówkę spod płaszcza i zaczął strzelać.

— Wielki włochaty facet pozwolił jej tak po prostu odejść? Jej i nikomu innemu? Wolne żarty... — prychnął Morales.

— Twierdzi, że była pewna, iż przyjaciel wyszedł z klubu tuż za nią — tłumaczył Torkleson. — Ale okazało się, że ten przyjaciel jest jedną z ofiar. Dostał trzy razy w pierś.

— Wielki włochaty facet? — powtórzył Sanders. — Dziewczyna naoglądała się filmów. Słowo „gang” samo się nasuwa.

— Jasne — przytaknął Cody, kiwając głową.

— Tak nam się właśnie wydaje — dodał Torkleson. — Wśród ofiar są dwaj miejscowi przywódcy Sur-Trzynaście. Zupełnie jakby ktoś starał się obciąć głowę bestii. Zapewne trzydziesty drugi Crips lub Varios, możliwe, że mafia Crenshaw, czyli gang Bloodsów, słyszeliśmy, że ruszyli się z tej swojej południowej Kalifornii. Nie ma mowy, żeby było to przypadkowe morderstwo. Musiało chodzić o władzę. I jeszcze jedno, jeden z zabójców używał śrutówki dziesiątki, a to już poważna sprawa. Zawsze myślałem, że ci chłopcy trzymają się dziewiątek, czasami AK-czterdzieści siedem...

Ale nie dostali Garretta, pomyślałem. I sam siebie spytałem, jak bliskie były jego związki z gangiem. Przecież on też może być przywódcą, stwierdziłem. To mogło być spotkanie szefów. Spojrzałem na Garretta innym okiem.

— Jezu — westchnął Morales — dziesiątka. Założę się, że to była jatka.

— Sądząc po zdjęciach, które widziałem... — Torkleson spojrzał na Melissę słuchającą w napięciu, bardzo bladą. Nie mówiłem jej, co naprawdę wydarzyło się w Appaloosie, wiedziała tylko, że sprawy poszły bardzo źle i Garrett zdołał uciec. Patrzyła na mnie, próbowała odczytać coś z mojej twarzy. — No, powiedzmy... że było dużo krwi.

— Przykro mi — powiedział Sanders — ale jakoś nie mogę się popłakać na myśl o tym, że paru dużych chłopców z Sureños Trzynaście dostało za swoje.

Morales skinął głową.

— Tylko że mamy też dwie przypadkowe ofiary — mówił dalej Torkleson. — Przyjaciel blondynki miał kilka wyroków, ale nic naprawdę poważnego. Barman siedział, pewnie był członkiem Sur-trzynaście, ale jestem przekonany, że nie o niego chodziło. Oberwał, bo po prostu tam był.

— Nikt niczego nie widział ani nie słyszał? — spytał niewinnie Cody.

Torkleson pokręcił głową.

— Na razie nie mamy nikogo oprócz tej blondynki. Sam wiesz, co to za okolica, w nocy nie ma tam żywej duszy, nawet policjantów, choć powinni być. I z tego, co wiem, strzały w ciemnościach nie są tam niczym wyjątkowym. — No to kto wezwał policję?

— Zwykły człowiek. Twierdzi, że poszedł do klubu, bo chciał się napić, ale było zamknięte i to mu się wydało dziwne. Zajrzał przez okno. Zobaczył ciała.

— Coś jeszcze? — przyciskał Cody. Miałem nadzieję, że nie przyciska za mocno, nie ściąga na siebie niepotrzebnie uwagi, ale z drugiej strony trzeba przecież przyjąć, że po prostu jest, jaki jest. Nieustępliwy policjant.

— Jeszcze jedna rzecz, ale pewnie nic nie znaczy. Zgłosił się kierowca, dostarczający towar do magazynu. Twierdzi, że czasami jeździ tą ulicą, na skrót. I że widział jasnego jeepa zaparkowanego przed Appaloosą mniej więcej w ustalonym przez nas czasie, ale to wszystko, co mamy.

— Hej! — Morales pomachał na mnie łyżką. — Przecież pan McGuane ma jasnego jeepa. I wczoraj wieczorem wyjechał na parę godzin.

— No właśnie — przytaknął Sanders.

Poczułem, jak ściska mi się żołądek. Melissa wycierała buzię Angeliny umazaną słodkim ziemniakiem. Znieruchomiła.

— Słuchaj, może po drodze do baru przystanąłeś przy Appaloosie i zabiłeś cztery osoby? — spytał Sanders.

— Może? — powiedziałem.

— Wygląda na to, że rozwiązaliśmy sprawę — powiedział Morales, odrywając się na chwilę od ziemniaków purée.

— Dostaniemy awans, podwyżkę i wystąpimy w telewizji razem z burmistrzem — rozmarzył się Sanders. — Mogę poprosić o szynkę?

Odetchnąłem. Spojrzałem na Cody'ego. Puścił do mnie oko.

Melissa wstała. Zachwiała się, ale miałem wrażenie, że tylko ja to zauważyłem.

— Kto ma ochotę na deser? — spytała. Widząc, jak podchodzi do kuchennego blatu, pomyślałem, że korzysta z okazji, żeby znów napełnić sobie szklanke.

* * *

Wróciliśmy do salonu. Zrobiło się ciemno. Drobne, twarde okruchy śniegu uderzały w okna od zachodu, topiły się i spływały po szkle strumykami wody, pozostawiając ślady jak po przejściu ślimaka. Zaczęła się czwarta kwarta drugiego meczu Święta Dziękczynienia, Dallas prowadziło dwudziestoma punktami, John Madden* wychwalał zalety indyka nadziewanego kaczka nadziewaną kurczakiem i ośmionogich indyków. Szczerze dziwiło mnie, że obaj zastępcy i Torkleson zdecydowali się zostać z nami tak długo. I najwyraźniej nigdzie się im nie spieszyło. Mieliśmy jeszcze sporo piwa, a w dodatku Cody otworzył butelkę Jima Beama z czarną nalepką.

* John Madden, sprawozdawca sportowy, wylansował nowoorleańskie danie Turducken oraz zwyczaj przyznawania indyka najlepszemu zawodnikowi meczu. Jeśli wytypował więcej niż jednego zawodnika, przyznawał czteronogiego indyka dla dwóch, sześcionogiego indyka dla trzech, ośmionogiego indyka dla czterech itd.

Zastanawiałem się, kiedy wreszcie sobie pójdą — gdy skończy się mecz czy gdy skończy się alkohol, i założyłem raczej, że chodzi o alkohol. Angelina czuła się doskonale w towarzystwie, ale powoli zaczynała szaleć, ponieważ wcześniej odmówiła drzemki. I co tu się dziwić, po co komu drzemka, kiedy czterej mężczyźni robią wszystko, by cię zabawić. Melissa poszła do kuchni. Sprzątała i, najprawdopodobniej, podtrzymywała przyjaźń z butelką wódki. Nie potrafiłem odpędzić obrazu, który mi opisała: jak siedzi ze szklanką w ręku na brzegu łóżka i przygląda się nam, śpiącym: mnie i Angelinie.

Kocham Melisę, a teraz dowiedziałem się, że głębia jej uczuć jest niezmierna. Kiedy — jeśli! — będziemy jednak musieli oddać Angelinę, z pewnością się załamię, a ja razem z nią. Powiedziała, że się rozpadamy. Utrata córki odbierze jej resztki równowagi umysłowej. Wcale nie byłem pewny, czy nadal jest moją, dobrze znaną Melissą, co więcej, nie wiedziałem, czy jeszcze jestem sobą i co uczyni ze mnie tak niewyobrażalna strata. Cokolwiek sobie wyobrażałem, było straszne.

Czytałem, że utrata dziecka to najstraszniejsza rzecz, jaka może się przytrafić rodzicom. Wierzę w to bez zastrzeżeń, ale może tamten autor miał na myśli śmierć albo wypadek. Nikt nie badał, jak to jest, kiedy trzeba oddać dziecko z powodu komplikacji prawnych. Oddać je ludziom, którzy mogą okazać się potworami.

* * *

— A ten angielski zboczeniec? — zwrócił się Torkleson do Cody'ego i zastępców szeryfa. — Wiecie o nim coś nowego?

To natychmiast wyrwało mnie z zamyślenia.

— Jak się nazywał ten dupek... no, wiecie, ten, który miał się tu przenieść z biznesem. Mówili o nim w wiadomościach na Kanale Dziewiątym.

— Malcolm Harris — powiedziałem.

Torkleson był już pijany. Mówił niewyraźnie i zdecydowanie za głośno. Podobnie Sanders i Morales. Od pół godziny praktycznie wrzeszczeli na siebie, snuli zawodowe opowieści, porównywali sprawy i informacje o sprawach. Gliniarze, jak ranczerzy i handlarze sprzętu turystycznego, których poznałem w młodości, są przeważnie ludźmi zgorzkniałymi i podejrzliwymi, chyba że znajdują się we własnym towarzystwie. Wtedy zaczynają gadać i mogą tak gadać bez końca. Właściwie nie poświęcałem im uwagi, przede wszystkim martwiłem się o Melisę i próbowałem powstrzymać Angelinę przed doprawdy przesadnymi szaleństwami. Miałem nadzieję, że Melissa skończy robić w kuchni to, co w tej chwili robi, zabierze małą na górę, uspokoi i położy do łóżka, ale kiedy usłyszałem nazwisko Harrisa, natychmiast zacząłem słuchać.

— No, co z nim? — spytał Cody. Dziwne, ale wydawał się najbardziej trzeźwy z całej czwórki. Zauważyłem, że chociaż pije, nie wlewa w siebie alkoholu jak zwykle... i jak to robili koledzy. Źródłem jego wstrzemięźliwości były zapewne te „dobre dni”, o których mi wspomniał. Cody pił, kiedy się nudził, a nudził się prawie zawsze, lecz gdy miał ciekawą sprawę albo jakiś wymagający projekt, umiał się powstrzymać.

— O kim on mówi? — spytał Moralesa Sanders.

— No, o tym facecie! Nie oglądasz telewizji? Nie czytasz biuletynów?

— Pieprzyć je! — Sanders jakby dopiero teraz dostrzegł siedzącą na moich kolanach Angelinę. — Ooops, znów muszę przeprosić.

Całe szczęście, że w tym momencie pojawiła się Melissa, zabrała mi Angelinę, powiedziała wszystkim „dobranoc” i odebrała podziękowania wraz z komplementami, którymi zarzucono ją wręcz w nadmiarze. Oczy jej zwilgotniały, ostatnio łatwo się wzruszała. Zniosła Angelinę do sypialni. Podziękowałem losowi za to, że się nie zatacza i w ogóle nie sprawia wrażenia pijanej. Postanowiłem przy pierwszej okazji sprawdzić poziom wódki w butelce za mikrofalówką.

— No więc ten facet — podjął Morales — ten Anglik, chciał tu przenieść firmę czy coś. Mnie wezwali na lotnisko na wypadek, gdyby przyleciał. Gdyby przyleciał, mieliśmy go aresztować, ale Angole chyba dostali go, zanim wsiadł do samolotu. To był jakiś zboczeniec, pedofil. Dużej klasy. Sanders pokręcił głową.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— W każdym razie... — jak ja, Torkleson też miał dość ciągłego przerywania — ...okazało się, że ma tu kontakty.

To wyraźnie zainteresowało Cody'ego. Mnie zresztą też.

— Z Aubreyem Coatesem — powiedział Torkleson. — Adres e-mailowy Coatesa i numer jego telefonu były dosłownie wszędzie. Scotland Yard twierdzi, że nasz człowiek był łańcuchem w sieci produkcji i sprzedaży dziecięcej pornografii, założonej przez tego faceta. Nie do wiary.

— Szkoda, że nie przyleciał — znów wtrącił się do rozmowy Sanders. — Bo tu ktoś mógłby załatwić sukinsyna. Nienawidzę takich drani.

— Ja bym go załatwił — oznajmił Morales. Nie wątpię, że mówi szczerze.

— Chwileczkę — powiedziałem, czując, że kręci mi się w głowie. — Malcolm Harris ma związki z Aubreyem Coatesem?

Przypomniała mi się nasza rozmowa.

„Moi przyjaciele w Kolorado twierdzą, że w porównaniu z tym, do czego przywykłem, będę kuloodporny! Tego właśnie słowa użyli: »kuloodporny«. Zakochałem się w nim”.

„Naprawdę? Kto tak twierdzi?” — spytałem.

„O nie — powiedział Harris równie fałszywie, jak skromnie i kokieteryjnie. — Nie zdradzam źródeł”.

A więc jego źródłem był Aubrey Coates. O czym właściwie mówił? Jakim cudem mógł uznać się za „kuloodpornego”?

Spojrzałem na Cody'ego, spodziewając się, że coś mi wyjaśni, ale wyglądał na równie zaskoczonego jak ja.

— Ale słyszałem — odezwał się Torkleson — że pieprzony prokurator federalny nie pozwala ruszyć Coatesa. Nie po tym, jak raz udało mu się uniknąć kary... — Umilkł i spojrzał na Cody'ego. Dopiero teraz uświadomił sobie, co mówi i do kogo. — Przepraszam cię, stary.

Cody patrzył na niego tak wściekle, jakby chciał go zamordować.

— O co chodzi? Co się, kurwa, dzieje? — spytał Sanders.

Morales poruszył się na kanapie, spojrzał najpierw na jednego, potem na drugiego.

— Spokojnie, panowie — powiedział cicho.

— Co? — Sanders nadal nie miał zielonego pojęcia, o co chodzi.

— Nie pomyślałem — przyznał Torkleson. — Szybciej gadam, niż myślę.

— Szczera, kurwa, prawda.

— Spokojnie, panowie — powtórzył Morales rozjemca. Wstał i stanął między przeciwnikami. — Przecież nic się nie dzieje. W tym domu są kobiety. I dzieci.

Sanders nerwowo postukał stopą w podłogę.

— Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, co się tu, kurwa, dzieje? Morales odwrócił się do swojego partnera.

— Dzieje się, kurwa, to, że zjedliśmy wspaniały świąteczny obiad, ale pora lecieć. Nasi zmiennicy zjawią się za dwadzieścia minut. Czas się żegnać.

Melissa, Bogu niech będą dzięki za Melissę, rozładowała sytuację, przynosząc Angelinę przebraną w ciepłą piżamkę. Mimo iż wyczerpana i śpiąca, miała rozpromieniła się na widok policjantów, którzy przed chwilą o mało nie skoczyli sobie do gardeł.

— Chce wam powiedzieć „dobranoc” — wyjaśniła Melissa.

Sanders, Torkleson i Morales wstali. Jeszcze raz podziękowali Melissie, jeszcze raz potrząsnęli tłusciutką, małą łapką Angeliny. Pisnęła radośnie do każdego z nich, powodując wybuchy śmiechu.

— Jest taka zmęczona, że zaczyna głupieć. Tak jak wy — mruknęła Melissa.

Pocałowałem na dobranoc córkę tak zajęta mężczyznami, których oczarowała, że właściwie nie zwróciła na mnie uwagi.

— Dołączę do ciebie za kilka minut — powiedziałem do Melissy.

Kiedy wchodziła po schodach, Angelina przekreśliła się w jej objęciach, wyjrzała znad jej ramienia, machała policjantom na do widzenia i śmiała się wesoło. Podbiła ich serca na zawsze.

Sanders wiedział, dlaczego przydzielono ich do pilnowania mojego domu.

— To po prostu nie jest w porządku — powiedział. Morales pokręcił głową.

— A tak — przyznał. — Nie jest.

Torkleson uściśnął mi rękę, podziękował za obiad i znikł w śnieżycy. Cody cały czas gapił się na niego wściekle. Sanders i Morales wyszli zaraz potem. Pełniłem obowiązki gospodarza do końca, ale potrafiłem myśleć tylko o tym, co Coates powiedział Harrisowi... i dlaczego mu to powiedział.

— Co za dupek — syknął wściekle Cody. — Tak mnie wystawić.

— On tylko gadał — próbowałem go uspokoić. — Nie myślał, a gadał.

— To problem całego pieprzonego wydziału. Nikt nie myśli.

— Wypijesz strzemienego? Cody pokręcił głową.

— Nie. Na dziś wystarczy.

— Związek między Malcolmem Harrisem i Aubreyem Coatesem... — zacząłem. — Tu się dzieje coś, czego nie potrafię zrozumieć. Coś wielkiego i okropnego.

Cody patrzył gdzieś ponad moją głowę.

— Czasami żałuję, że nie mam licencji na zabijanie. Ofiar byłoby sporo, ale świat od razu stałby się lepszym miejscem. Zacząłbym od Aubreya Coatesa i Malcolma Harrisa, potem przyszlaby kolej na Garretta... i Johna Morelanda. A później na jeszcze z pięćdziesiąt osób.

— Cody...

— Co Cody? Co Cody?

— Jutro jest pogrzeb Briana. Pójdiesz z nami? — spytałem.

— Już jutro?

— Tak.

— Jezu! Ciągle nie potrafię uwierzyć, że Briana nie ma wśród nas. Jeszcze to do mnie nie dotarło.

— Doskonale cię rozumiem. Cody spojrzał mi w oczy.

— Nie przyjdę na pogrzeb — powiedział. To mnie zaniepokoiło.

— Nie, nie chodzi o Briana. — Cody podniósł rękę, zbliżył palec wskazujący i kciuk tak, że pozostała między nimi tylko wąska szczelinka. — Jestem tak blisko rozwiązania sprawy!

Cofnąłem się o krok.

— Żartujesz!

Cody spojrzał na mnie, oczy mu płonęły.

— Nie żartuję. Chyba już wszystko wiem.

Potrzebowałem tylko czasu, żeby przedrzeć się przez rejestr, a potem odwalić odrobinę policyjnej roboty. Praktycznie to chyba już rozwiązałem sprawę.

— Mów!

Uśmiechnął się i uśmiech ten, niestety, bardzo upodobił go do wujka Jetera.

— Powiem ci, kiedy będę miał wszystko. Nie chcę budzić w was fałszywych nadziei ani wpuszczać was oboje w maliny.

To powiedziawszy, wziął kurtkę z kanapy, na którą rzucił ją, wchodząc. Pokazał palcem sypialnię na piętrze.

— Ten cały Sanders to głupek jak się patrzy — stwierdził — ale przypadkiem miał rację. To nie w porządku.

Zatrzymał się w otwartych drzwiach. Wiatr wiewał do środka kłęby śniegu.

— Coates jeszcze chodzi po świecie, ale praktycznie już nie żyje, tylko o tym nie wie. Jednak chodzi nie tylko o to. Zgadzam się z tobą, chodzi o coś więcej, ale jeszcze nie wiemy o co. Ta sprawa z Malcolmem Harrisem nie pasuje mi do całości, a moim zdaniem powinna. Uważam, że wszystko się łączy. Pytanie: jak?

— Kiedy znowu się spotkamy? — spytałem. — Zostały jeszcze trzy dni.

— Nie tak szybko. Jadę do Nowego Meksyku.

— Po co?

— Później. — Cody zbył mnie machnięciem ręki. — Pilnuj, żeby Melissa nie przesadzała z piciem — powiedział na pożegnanie. — Martwię się o nią.

Piątek, 23 listopada **Pozostały dwa dni**

21

Uroczystość pogrzebowa Briana odbyła się na Capitol Hill, w największej kaplicy, jaką w życiu widziałem, wypełnionej żałobnikami, których nie zaliśmy, udekorowanej równie skromnie jak sterylnie: jasna sosna, proste linie. Aha, oczywiście na przedniej ścianie, w rogu, wisiał na łańcuszku mały stylizowany krzyż, jakby dodany przez dekoratora w ostatniej chwili.

— Kościół w stylu IKEA — szepnąłem do Melissy.

Próbowałem sprawić, żeby się uśmiechnęła. Nie zdołałem.

Gdyby to Brian urządzał własny pogrzeb — choć można powiedzieć z dużym prawdopodobieństwem, że tak było — to urządziłby go właśnie w ten sposób. Był to pogrzeb bardzo uroczysty i bardzo, bardzo pochlebny. Pieśni żałobne grał zespół rocka alternatywnego, zrobiony w PowerPointcie pokaz slajdów prezentował zmarłego jeżdżącego na nartach, pływającego, przemawiającego na podium, bawiącego się, tańczącego, przebranego, a to za Johna Elwaya, a to za Spidermana. Jego popioły, zamknięte w nieco kanciastej urnie, spoczywały na pokrytym aksamitem podium. Partner Briana, Barry, opowiedział o lojalności przyjaciela, jego twórczym myśleniu, głębokiej uczuciowości i zdolności „rozświetlania każdego pokoju, do którego wchodził”. On sam wydawał się spokojnym, zrównoważonym przeciwieństwem zmarłego. Nie dziwiło mnie, że tworzyli dobraną parę.

Po Barrym wystąpił burmistrz Halladay. W swoim przemówieniu nie tylko uczcił Briana pięknymi słowami, lecz także przysiągł przed wszystkimi tu obecnymi, że osobiście dopilnuje schwytania zbrodniarza i oddania go w ręce sprawiedliwości. Stłumione brawa powitały jego oświadczenie, że Denver to nie miasto, w którym dochodzi do przestępstw wynikających z uprzedzeń, i że śmierć Briana zostanie zapamiętana na zawsze jako wypadek, pomagający stworzyć „strefę wolną od uprzedzeń”. To, że zakładał, iż

Brian mógł zostać zamordowany, bo postanowił znaleźć sobie tej nocy partnera w którymś z barów, niedobrze świadczyło o jego inteligencji, a jeszcze gorzej o postępkach w śledztwie.

Burmistrz mówił i mówił, a ja rozglądałem się i przyglądałem żałobnikom. Wiele z tych twarzy widziałem w rubryce towarzyskiej „Denver Post” i „Rocky Mountain News”, kilka nawet w wiadomościach telewizyjnych. Brian lubił powtarzać, że w tym mieście zna każdego, kto jest kimś. Mieliśmy teraz przed oczami dowód, że nie przesadzał. Byłem dumny z tego, że zyskał tu tak wielkie wpływy, nie przestając być chłopakiem ze wsi i naszym przyjacielem ze szkolnych czasów.

Siedzieliśmy z tyłu w zasadzie tylko dlatego, że kiedy przyszliśmy, kaplica była już prawie pełna. Sanders i Morales towarzyszyli nam, oczywiście, ale na szczęście w cywilnych ubraniach. Usiedli tuż za nami. Słyszałem, jak Sanders mówi cicho do przyjaciela: „Kolekcja luksusowych pedałów się tu zebrała”.

Melissa szepnęła mi do ucha:

— Wiesz, jedno mnie martwi. Jest tak, jakbym wcale nie znała Briana. Kim są ci wszyscy ludzie? Przecież mówił nam tylko o Barrym. Zupełnie jakby prowadził drugie, sekretne życie.

— My byliśmy jego sekretnym życiem — odrzekłem. — A tu, dookoła nas, jest to prawdziwe.

Burmistrz skończył pleść i zszedł z mównicy. Zespół, nieco nieoczekiwanie, zagrał *Losing My Religion* grupy R.E.M.

— Boże — nie wytrzymała Melissa — czy oni nie wiedzą, że są w kościele?

Choć Cody zapowiedział, że nie będzie go na pogrzebie, i tak go wypatrywałem. Dał mi nadzieję, a oprócz tej odrobiny nadziei nie miałem nic.

Zespół wypełnił swój obowiązek. Zastąpił go uderzająco modny pastor z długimi włosami i stylową hiszpańską bródką, w rozpiętej pod szyją koszuli. Pouczył nas, że nie przyszliśmy tu opłakiwać śmierci, lecz radować się perspektywą nowego życia „wspaniałego człowieka”. Zaczął opowiadać anegdotki o Brianie, wszystkie z Denver, gdzie stał się osobą publiczną, żadnej z Montany, zebrane zapewne przez Barry'ego i przyjaciół. Niektóre były całkiem zabawne, ale i zaskakujące dla mnie i Melissy, bo nigdy nie słyszeliśmy ani jednej z tych historyjek z życia przyjaciela, którego znaleźmy z zupełnie innej strony. Wkrótce Melissa zaczęła na przemian śmiać się i płakać, a zaraz po niej rozplakała się Angelina.

— Wyjdę z nią — powiedziałem.

Melissa chętnie mi ją oddała. Sanders poszedł za nami.

Szczyty gór nadal kryły się za gęstymi, niosącymi śnieg chmurami. Z tego, co słyszałem w radiu, ośrodki narciarskie już były obłożone. Specjaliści od reklamy i kontaktów z mediami przekrzykiwali jedni drugich, wychwalając ilość spadłego w nocy „szampańskiego puchu”. Większość tych ludzi znałem osobiście z pracy w turystyce i wiedziałem, że w rzeczywistości śnieg wcale ich tak nie cieszy. Po prostu udają.

Angelina zawsze wolala bawić się na dworze niż w domu, dzisiaj też. Zaczęła mi się wrywać, gdy tylko przekroczyliśmy próg kaplicy, chciała, żeby postawić ją na ziemi. Nie mogłem jej na to pozwolić, bo Melissa ubrała ją w aksamitną sukienkę, różowe rajstopy i ciepły płaszcz. Walczyłem z nią dzielnie, a kiedy w pewnej chwili podniosłem oczy, zobaczyłem wprost przed sobą Jima Doogana, opartego o pień

beźlistnego drzewa i palącego papierosa. Doogan zmierzył spojrzeniem stojącego kilka kroków za mną Sandersa. Nie powiedział mu, kim jest. Najwyraźniej nie musiał. Właściwie to wydał mu polecenie.

— Daj nam parę minut, dobrze?

Sanders wrócił do kaplicy i rozparł się na ławce.

— Burmistrz już skończył? — spytał, zwracając się do mnie.

— Zdaje się, że tak.

— Dobry był? Wzruszyłem ramionami.

— Akurat taki dobry, jak można się było spodziewać. Nie powiedział o Brianie nic złego.

Doogan się roześmiał.

— Przez tego Eastmana wielu ludzi u nas cierpiało na chroniczny ból głowy. Potrafił doprowadzić burmistrza do szaleństwa, bo dobrze wiedział, jak wykorzystywać system i jego samego. Zawsze mi się wydawało, że jest w tym coś osobistego.

— Brian był twardy — przyznałem.

— Był. Jest coś, co chcę ci powiedzieć. I niech to zostanie między nami.

— Jasne. Ludzie, którzy wywalają mnie z roboty, zawsze chętnie mi się zwierniają. Normalka.

Doogan parsknął śmiechem.

— Przecież wiesz, że jestem co najwyżej posłańcem. Burmistrz i sędzia trzymają z sobą. Żona sędziego daje sporo na kampanię, więc burmistrz czuje się zobowiązany... jeśli wiesz, co mam na myśli.

— Wiem. — Przytuliłem mocniej wijącą się w moich ramionach Angelinę. — Ale mamy tu coś znacznie większego.

— O co ci chodzi?

— Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o Malcolmie Harrisie? Doogan skinął głową.

— Wiesz, kto był jego kontaktem tu, w Kolorado? Tym razem zaprzeczył gestem ręki.

— Aubrey Coates. Potwór z Desolation Canyon. Doogan właśnie podnosił do ust papierosa. Zamarł.

— Więc jest dokładnie tak, jak ci wtedy powiedziałem: burmistrz może mieć znacznie większy problem, niż mu się wydaje. Jeśli okaże się, że w swoim mieście, pod samym nosem, ma centrum międzynarodowej szajki pedofilów, to nie przyda mu to popularności, a jeszcze jego dobrego kumpla sędziego można obwinić za zwolnienie Coatesa. Jak myślisz, jak to będzie wyglądać w wiadomościach?

— Nie, to nie tak — zaprotestował Doogan. — Nie chodzi o sędziego, ale o to, że policja spaprała sprawę. Tego nie da się powiązać z burmistrzem. W żaden sposób. Po prostu rzucasz gównem.

Fakt, rzucałem gównem, ale coś z tego gówna zawsze do człowieka przyłgnie. Na własne oczy widziałem, że Dooganowi lekko kręci się w głowie. Już myślał, jak załagodzić sytuację.

— Chwytasz się brzytwy — uznał. — Byle jakoś odegrać się na sędzim.

Milczałem.

— Słyszałem, że całkiem niedawno próbowałaś wdrzeć się do sądu, żeby z nim pogadać. Nie wpuścili cię, więc zadzwoniłaś, posłużyłaś się moim nazwiskiem i powiedziałaś mu coś, co można uznać za nieokreślone groźby. Burmistrz kazał mi się temu przyjrzeć, ale do tej pory nie miałem jakoś czasu.

— Dzięki.

— Proponuję, żeby ci to nie weszło w nałóg.

Zwrócił uwagę na Angelinę, która ciągle się szarpała i nawet zdołała przekrzywić mi czapkę.

— To twoja mała? — spytał.

— Owszem.

— I właśnie ją...

— Tak.

Odwrócił wzrok. Wydawał się szczerze poruszony.

— Tak — powtórzyłem. — To właśnie ją chce nam odebrać w niedzielę dobry przyjaciel burmistrza, sędziego John Moreland.

Doogan zaciągnął się papierosem i wypuścił wielką chmurę dymu.

— Sędzia Moreland... ooo, to zupełnie inna sprawa. To okaz, Jack. Bardzo rzadki okaz. Codziennie widuję tego rodzaju ludzi, ale on jest prawdziwym okazem.

Nie przerywałem mu przemowy.

— Patrzysz na rzeczy od złej strony, Jack. Przyjmujesz złe założenia. W moim zawodzie jest tak, że politykierzy, którzy rzeczywiście chcą daleko zajść, nie zajmują się tym, co jest tu i teraz. Ci dobrzy, a Moreland właśnie do takich należy, myślą długoterminowo. Skupiają się na ostatecznej nagrodzie. I przez to czasami niełatwo jest zrozumieć, co robią, nawet jeśli patrzy się na to własnymi oczami. Jeśli chcesz ich zrozumieć, też musisz myśleć długoterminowo, nie tak jak ty.

— A na czym on się skupia?

— Na Sądzie Najwyższym.

Pokręciłem głową.

— Jak odebranie komuś małej dziewczynki może pomóc zostać sędzią Sądu Najwyższego?

— Nie mam pojęcia, Jack. Sam musisz do tego dojść. Ja tylko wiem, że on tego właśnie chce.

* * *

Zostawiłem Doogana przy tym jego drzewie. Sanders znów pojawił się obok mnie, kilka kroków z tyłu. Przeszliśmy na parking. Usłyszałem niski ryk potężnego silnika i natychmiast go rozpoznałem. Był jak przyłożona mi do gardła brzytwa.

Żółty H3 Garretta wycofał się z miejsca parkingowego. Miał przyciemniane szyby, więc nie było widać, kto siedzi w środku, ale wydawało mi się, że rozpoznałem profile dwóch osób, Garretta i jego ojca.

— Co? Wiesz, kto to jest? — spytał Sanders, widząc moją reakcję.

A więc Garrett przyjechał na pogrzeb człowieka, którego skopał na śmierć? Po co? Żeby rozkoszować się triumfem? I dlaczego towarzyszył mu ojciec? Co chcieli tak naprawdę zobaczyć? Angelina znów zaczęła się wić, ale tym razem zainteresowała ją schodząca z drzewa wiewiórka.

— Kot! — pisnęła. — Kot!

Zacząłem się śmiać i nagle poczułem coś jak uderzenie, tak silne, że ugięły się pode mną kolana. Spojrzałem na córkę, na odjeżdżającego H3 i znów na córkę. Pomyślałem: Przyjechał, bo spodziewał się, że ją tu zobaczy.

W ten sposób wróciłem do samego początku, do prostego pytania, ciągle pozostającego bez odpowiedzi: Dlaczego jej chcą?

I nagle wszystko nabrało strasznego, oczywistego sensu.

Kuloodporny. Któż może być bardziej kuloodporny od pedofila, którego partnerem w przestępstwie jest sędzia? Ten sędzia, który zwalnia Potwora z Desolation Canyon, kolejnego członka międzynarodowej siatki?

Angelina krzyknęła, uświadamiając mi, że zbyt mocno ją przytulałam. Rozluźniłem uścisk i dokładniej przyjrzałem się córeczce. Była piękna, bez wątplenia, z błyszczącymi ciemnymi oczami, uśmiechem, zachowaniem. Nie, nie przemawiała przeze mnie wyłącznie ojcowska duma.

Miałem kłopoty z oddychaniem.

Trzymając ją w ramionach, poszedłem na parking za kaplicą. Wcześniej widziałem tam kilka radiowozów i nierzucającą się w oczy crown victorię Torklesona. Gliniarze pofatygowali się na pogrzeb niewątpliwie dlatego, że sprawa zabójstwa pozostawała otwarta. Torkleson, oparty o samochód, rozmawiał z którymś z funkcjonariuszy. Rzucali się w oczy jako gliniarze, nawet na pogrzebie, gdzie nie brakowało ludzi w marynarkach i krawatach, było nawet kilku w mundurach.

Torkleson musiał dostrzec coś w mojej twarzy, bo przeprosił kolegę i wyszedł mi na spotkanie na chodnik.

— Cześć, Jack — przywitał mnie.

— Powiedziałeś, że Malcolm Harris ma powiązania z Aubreyem Coatesem. Jak do tego doszliście? Wzruszył ramionami.

— Nagrania rozmów telefonicznych, e-maile, przesyłanie i ściąganie plików. Mnóstwo technicznych dowodów, ISP, serwery proxy i coś tam jeszcze, tak naprawdę nie mam pojęcia co. Nie znam się na tym. Z tego, co mi powiedziano, wynika, że Coates przesyłał z tej swojej przyczepy za granicę duże pliki i obrazy. Angole wysłedzili to, zaczynając od komputera Harrisa. Niestety, jak wiesz, nie mamy już oryginalnych plików. — Spojrzał ponad moim ramieniem, zapewne szukając kryjącego się gdzieś w pobliżu, gotowego go zaatakować Cody'ego.

— Nie wiem, gdzie on się podziewa — uspokoilem go. — Możesz się nie martwić.

— A właściwie dlaczego mnie o to pytasz?

— Bo jestem pewny, że jeśli pogrzebiecie głębiej w dowodach oskarżenia, znajdziecie dowody na to, że Harris i Coates kontaktowali się jeszcze z kimś w mieście.

Torkleson spojrział na mnie uważnie.

— Do tej sprawy mamy specjalny zespół — powiedział. — Współpracuje z Angolami i Interpolem. Wyłapują zbrodzców na całym świecie, jednego po drugim. Masz na myśli kogoś konkretnego?

— Sędziego Morelanda lub jego syna Garretta. Albo ich obu.

Torkleson zamknął oczy. Odetchnął głęboko.

— No nie, znowu? — jęknął. — Przecież wiesz, co się stało, kiedy posłałem do nich ludzi, opierając się na tych twoich „informacjach”.

— Teraz jest inaczej. Malcolm Harris mógł się przenieść wszędzie, ale wybrał Denver. Powiedział, że tu będzie kuloodporny. Ktoś go zapewnił, że u nas będzie miał święty spokój. Czy można sobie wyobrazić lepszy dowód na to, że tak rzeczywiście będzie, niż uniewinnienie handlarza dziecięcej pornografii i faceta naprawdę molestującego dzieci? W majestacie prawa? Przez sędziego Morelanda?

Torkleson chciał coś powiedzieć, ale nie powiedział. Widziałem, że intensywnie myśli i że wszystko zaczyna mu się układać, tak jak ułożyło się mnie.

— Skąd znasz Harrisa? — spytał.

— Spotkałem się z nim służbowo, kiedy jeszcze pracowałem w Biurze Konwencji i Turystyki. Nim wyszło na jaw, kim naprawdę jest.

— Jezu Chryste — szepnął.

— Masz dostęp do dowodów przeciw Harrisowi? Skinął głową.

— Będę musiał poprosić któregoś z naszych techników, żeby zinterpretował wyniki, ale, jak mi się zdaje, mamy całą zebraną dokumentację. To tylko kwestia przesledzenia związków między numerami telefonów, adresami poczty elektronicznej, numerami IP... a przynajmniej tak mi się wydaje.

— Spróbujesz?

Torkleson obejrzał się przez ramię i upewnił się, że w zasięgu głosu nie ma żadnego z jego kolegów.

— Spróbuję — powiedział cicho.

— Dzięki! — W tej chwili miałem ochotę go ucałować. Położył mi rękę na ramieniu.

— Nie wierzę, że to wypali — powiedział. — Gdyby istniały jakieś elektroniczne tropy prowadzące od Coatesa i Harrisa do któregoś z Morelandów, już byśmy o tym wiedzieli. Kupa ludzi pracuje nad tą sprawą od bardzo, bardzo dawna.

— Rozumiem. Ale chyba łatwiej jest szukać czegoś konkretnego, telefonów i komputerów sędziego i jego syna, niż sprawdzać wszystko przez wszystko w całym mieście?

— Może. Nie jestem pewny.

Angelina zdążyła już stracić resztkę cierpliwości. Oswobodziła rączki i zaczęła uderzać małymi piąstkami w klapy mojego płaszcza.

— Postawić! — piszczała. — Postawić!

— Nie!

Mój głos ją uciszył. Rozpłakała się. Zawstydyła mnie, nie powinienem na nią krzyżeć.

* * *

Tej nocy przewróciłem się z boku na bok, otworzyłem oczy i zobaczyłem Melissę siedzącą na brzegu łóżka ze szklanką w ręku i przyglądającą mi się w ciemności. Z pewnością zastanawiała się, jak mogła poślubić mężczyznę niezdolnego powstrzymać rozpadu rodziny.

Sobota, 24 listopada Pozostał jeden dzień

22

Telefon zadzwonił o wpół do ósmej rano. Odwróciłem się, złapałem słuchawkę i przetarłem oczy. Miałem nadzieję, że dzwoni Cody, a może Torkleson, i że któryś z nich ma dla mnie jakieś informacje. Po tym, jak zobaczyłem siedzącą na łóżku Melissę, długo przewracałem się z boku na bok i zasnąłem dosłownie przed chwilą.

— Czy jesteście gotowi na jutro? — spytał sędziego John Moreland.

Nie odpowiedziałem.

— Wiem, że to trudne. Ale nie utrudniajcie sytuacji nam wszystkim bardziej niż to absolutnie konieczne.

— Już prawie cię mam — syknąłem. Nie zareagował od razu.

— Co? — spytał po chwili.

— Słyszałeś. Trafisz do więzienia i już nigdy więcej nie tkniesz małej dziewczynki choćby palcem. Pewnie wiesz, co robią w więzieniu z takimi jak ty.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz. — Po głosie łatwo było poznać, że Moreland jest zniecierpliwiony i zły. A miałem nadzieję, że poczuje się winny, w jakiś sposób się zdradzi. Okazał się jednak dobrym aktorem.

— Naprawdę? — spytałem.

— Sądzę, że straciłeś nad sobą panowanie. Nie kontrolujesz emocji. Przykro mi to mówić, ale im szybciej zabierze się dziecko z takiego... otoczenia, tym lepiej dla niego.

— Dadzą ci kombinezon i buty bez sznurówek. Cały czas będziesz oglądał się przez ramię, próbując zgadnąć, kto cię zaatakuje i kiedy.

Moreland westchnął ciężko.

— Zrobiłem wszystko, by okazać wam współczucie. Nie musiałem dawać wam czasu na pożegnanie, a jednak dałem. Obiecałem pomóc wam, tobie i twojej żonie, w uzyskaniu kolejnej adopcji. Odrzucili-

ście moją uprzejmą ofertę. Stać cię tylko na pogroźki i paranoiczne brednie. Mojego syna oskarżasz o morderstwo, a mnie o zbrodnie, których nie chcę nawet głośno nazwać. Miałem nadzieję, że ten nieprzyjemny, nawet bolesny proces przeprowadzimy wspólnie, jak ludzie dorośli, mający na względzie przede wszystkim dobro dziecka, ale, niestety, z wami okazało się to niemożliwe.

Boże, tym tekstem niemal mnie przekonał. Jest cholernie dobry, musiałem mu to przyznać.

— Już prawie cię mam — powtórzyłem.

— Na litość boską...

Przerwałem rozmowę. Podniosłem wzrok i zobaczyłem stojącą w progu Melissę. Trzymała Angelinę w ramionach.

— To był on? — spytała.

— Tak.

— I czego chciał?

— Upewnić się, że jesteśmy gotowi.

— To bardzo uprzejmie z jego strony — powiedziała z sarkazmem zrodzonym z braku nadziei. Zamknęła oczy.

Wstałem, byłem gotów podtrzymać ją, gdyby ugięły się pod nią nogi. Angelina wyciągnęła do mnie rączki z radosnym okrzykiem: „Tatuś!”.

* * *

Nie zdołałem zjeść nawet tej jednej grzanki, którą sobie zrobiłem, piłem tylko kawę, kubek za kubkiem. Przechodziłem z pokoju do pokoju, czułem się tak, jakbym oglądał dom po raz pierwszy od dłuższego czasu. Przez rolety i zasłony przedzierało się zimowe światło. Było to inne światło niż jesienią czy latem, bardziej mętne i o łagodnym odcieniu. Na dworze musiało być zimno, bo piec włączał się z trzaskiem i regularnie wpuszczał do środka ciepłe powietrze. Pomyślałem, że może tak jest zawsze, tylko nigdy wcześniej tego nie zauważyłem. Próbowałem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz sprawdzałem piec w piwnicy, i nie mogłem.

Sanders i Morales siedzieli tam, gdzie zawsze. Silniki ich samochodów pracowały, w powietrzu unosiły się kłęby dymu z rury wydechowej, niemal natychmiast rozwiewane przez wiatr.

Nie powiedziałem Melissie, o co podejrzewam sędziego Morelanda. Nie powiedziałem jej o rozmowie z Torklesonem. Zapewne powinienem, ale liczyłem na to, że Torkleson wkrótce zadzwoni, potwierdzi związki Morelanda z gangiem pedofilów i wszystko wreszcie się skończy.

* * *

Melissa uznała, że w domu czegoś brakuje, i postanowiła upiec chleb. Już wkrótce jego zapach rozniósł się po całym domu. Uspokajał. Pomyślałem, że to był świetny pomysł.

W pokoju Angeliny pod jedną ścianą stały pudła podpisane: „LETNIE UBRANIA”, „ZIMOWE UBRANIA”, „ZABAWKI I PREZENTY”.

A więc to prawda.

Po raz czwarty, licząc od rana, wyjąłem telefon komórkowy, wcisnąłem przycisk wybierania numeru Cody'ego i usłyszałem: „Abonent jest czasowo niedostępny. Proszę zostawić wiadomość...”.

Odebraliśmy sporo telefonów, ale ani Cody, ani Torkleson nie zadzwonili. Za to zadzwonili rodzice Melissy, każde z innego miejsca. Z każdym rozmawiała dłużej niż kiedykolwiek przedtem, o ile pamięć mnie nie myliła. Podczas rozmowy z ojcem na jej twarzy pojawiły się rumieńce. Nie miałem najmniejszych wątpliwości: zaczynała się złościć.

— Mieliśmy prawnika — powiedziała głośno, z naciskiem. — To nie tak, że nie mieliśmy prawnika, tato. On po prostu nie potrafił nam pomóc.

Słuchała ojca skrzywiona, a kiedy zobaczyła, że jej się przyglądam, przewróciła oczami.

— Rany, tato — powiedziała do słuchawki — to naprawdę cudowne, że nagle zacząłeś tak się o nas martwić, wszystko wiesz najlepiej i w ogóle. Tylko... gdzie byłeś trzy tygodnie temu, kiedy chętnie skorzystalibyśmy z odrobiny twojej mądrości?

Moi rodzice zadzwonili wkrótce potem, jeszcze zanim Melissa zdążyła się uspokoić. Rozmawiała z nimi krótko, powiedziała, że sytuacja się nie zmieniła, po czym oddała mi słuchawkę.

— Mama jest tak rozstrojona, że już nie może rozmawiać — wyjaśnił tata.

— Rozumiem.

— Takie rzeczy chyba muszą się zdarzać teraz, kiedy oddaliśmy całą władzę rządowi i prawnikom. Społeczeństwo jako całość uchyla się od osobistej odpowiedzialności, no i dzieje się, co się dzieje.

Wiele razy słyszałem tę teorię. Dobrze było przedtem, w czasach pionierów, kiedy ludzie załatwiali sprawy uczciwie i otwarcie, a gwarancją danego słowa była reputacja człowieka lub umiejętność posługiwania się bronią i nikt nie prosił o wsparcie prawników albo polityków.

— Tato, nie mogę przecież usiąść na progu ze strzelbą na kolanach i powstrzymać ich, robiąc z niej użytek!

— Wiem. Cholerna szkoda, że nie możesz. Pomyślałem o colcie .45 dziadka. Leżał na piętrze, w szafie.

— A tak, szkoda — westchnąłem.

— Żartowałem z matką, że powinniśmy może posłać do was kogoś w rodzaju Jetera Hoyta, żeby zrobił z tym porządek raz na zawsze. To by nauczyło miastowych, czym jest sprawiedliwość pogranicza, prawda?

Uśmiechnąłem się gorzko. Pomyślałem, że sprawiedliwość pogranicza nie całkiem pasuje do Sur-13.

— Szkoda, że to niemożliwe.

* * *

Chodziłem po mieszkaniu, nie byłem w stanie usiedzieć na miejscu. Raz za razem dzwoniłem do Cody'ego, coraz bardziej wściekły, że nie odbiera. Z Torklesonem też nie sposób było się skontaktować. Zadzwoniłem do biura detektywów, ale telefonistka powiedziała, że nie ma go i nie wiadomo, kiedy bę-

dzie. Spytała uprzejmie, czy może życzyć sobie pomocy kogoś innego, ale powiedziałem, że nie, że nie chcę rozmawiać z nikim innym.

Trzymałem się z dala od Melissy i Angeliny, nie chciałem, żeby mój rosnący gniew i frustracja miały na nie zły wpływ. Poszedłem na piętro, sprawdziłem naboje w magazynku czterdziestkiątki, zszedłem do piwnicy, przyjrzałem się piecowi i stwierdziłem, że za cholere nie wiem, jak działa.

W tym, co powiedział ojciec, było dla odmiany sporo sensu. Dlaczego nie wolno mi usiąść na progu ze strzelbą na kolanach i samemu bronić rodziny przed złym światem?

Nie mogłem wytrzymać w domu, ale nie mogłem też zostawić Melissy i Angeliny samym sobie, więc włożyłem kurtkę z kapturem i wyszedłem na dwór. Podszedłem do Sandersa, ale nim się do niego zbliżyłem, otworzył okno i wystawił przez nie rękę, otwartą dłonią w moją stronę.

— Nie podchodź bliżej, Jack — powiedział.

— Dlaczego?

— Szeryfowi nie spodobał się nasz wspólny świąteczny obiad. Zabronił nam obu kolegować się z tobą i twoją rodziną. Przecież wiesz, co będzie jutro.

— Co takiego? — spytałem gniewnie.

— Jack, proszę, po prostu się nie zbliżaj.

Odwróciłem się na pięcie i poszedłem do domu. Po drodze wyciągnąłem komórkę. Zadzwoiłem do Cody'ego. Abonent nadal był niedostępny.

Zadzwoiłem do biura detektywów. Telefonistka powiedziała, że zostawiła na biurku Torklesona kartkę z informacją, iż próbuję się z nim skontaktować. Na stosie innych kartek.

* * *

Podczas popołudniowej drzemki Angeliny poszedłem do kuchni. Melissa wyjmowała z piekarnika kolejne bochenki chleba. Układała je na blacie, żeby wystygły. Nie byłem w stanie policzyć, ile ich upiekła, może dwadzieścia pięć, może więcej? W kuchni królowały zapachy drożdży, mąki i chrupkiej złotej skórki. Na stole czekało surowe ciasto. Było oczywiste, że Melissa będzie piekła, póki nie zabraknie jej składników. Zajrzałem w kilka kątów mogących służyć za kryjówkę, ale nie znalazłem butelki.

— Nie musisz szukać — powiedziała. — Nie piję.

* * *

— Jack, dzwoni detektyw Torkleson!

Melissa potrząsała mnie za ramię. Zasnąłem w fotelu w salonie, tak bardzo byłem zmęczony, i dopiero po sekundzie czy dwóch zrozumiałem, o co chodzi. A potem serce zaczęło mi bić, jakby ktoś wcisnął gaz w samochodzie wyścigowym. Chwyciłem komórkę, pobiegłem na piętro i zamknąłem się w sypialni.

— Od naszej rozmowy cały czas jestem na nogach — oznajmił Torkleson. — Porwałem naszego najlepszego technika, dziewczyna była ze mną przez cały czas w piwnicy, przy tych swoich komputerach. Pracowaliśmy na dowodach przesłanych przez Scotland Yard. I Interpol...

Próbowałem przełknąć ślinę, ale miałem sucho w ustach.

— Jack, nie znaleźliśmy żadnych związków ani między Harrisem i Morelandem, ani między Coatesem i Morelandem. Nic ich nie łączy.

O mało nie zemdlałem. Musiałem chwycić się zagłówka łóżka, żeby nie upaść.

— Możecie szukać dalej? — spytałem słabym głosem. Wszystko postawiłem na to, że coś jednak znajdą. — Może Garrett ma drugi komputer? Może wiedzą, jak maskować numery telefonów i adresy IP? Cholera, sam nie wiem. Ale wiem, że jakiś związek musi być.

Torkleson westchnął ciężko.

— Jack, nie powiedziałem, że nie ma takiej możliwości. Skąd mam to wiedzieć? Ale elektroniczny ślad między Coatesem a Harrisem jest jak autostrada. Z sędzim już nie, to nie jest nawet bydlęca ścieżka, jeśli wiesz, co mam na myśli. Owszem, jest kilka adresów IP, których moja dziewczyna nie potrafi wyodrębnić, ale to nic konkretnego, nic, z czym moglibyśmy pójść do prokuratora okręgowego. Sucha studnia, Jack.

— Tam musi coś być — upierałem się.

— Słuchaj, zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Miałaś interesującą teorię, bardzo pomocną w twojej sytuacji, ale my nie znaleźliśmy niczego, co by miało jakiś kształt, jakąś formę. Może kiedyś, później, Harris poda nazwisko sędziego, obciąży go, wiesz, dla złagodzenia kary. Zawsze jest jakaś szansa.

— Wtedy będzie za późno — powiedziałem.

— Wiem.

Patrzyłem przez okno na radiowóz Sandersa. Zapadał zmrok, robiło się coraz chłodniej. Z rury wydechowej unosiły się kłęby dymu.

— Kiedy tracisz resztę nadziei, co ci zostaje? — spytałem.

— Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, Jack.

— Ja też.

Podziękowałem Torklesonowi i się rozłączyłem.

* * *

— Czyżbyśmy popełniali błędy od samego początku? — spytałem. Słońce już zaszło.

Melissa spojrzała na mnie, dziwnie mrugając.

— O co ci chodzi? Pokręciłem głową.

— Być może od samego początku popełnialiśmy błędy... bo popatrz, gdzie teraz jesteśmy. Jutro odbiorą nam Angelinę. Może powinniśmy wziąć nowego prawnika, pójść do sądu, choćby po to, by zyskać na czasie? Wiem, wszyscy mówili, że w końcu przegramy, ale nawet te kilka dni się liczy. Ale nie, postanowiliśmy skłonić Garretta do podpisania papierów, a on ich nie podpisał.

Nie chciałem nawet myśleć o tym wszystkim, co zrobiliśmy, i o tym, co poszło nie tak.

— Mogliśmy tak zrobić — ciągnąłem — ale mogliśmy też od razu ruszyć w drogę, pójść na dno, strzelając ze wszystkich dział. Mogliśmy urządzać medialny spektakl, przeciągnąć na naszą stronę ludzi, media. Może to odstraszyłoby sędziego i Garretta.

Melissa westchnęła ciężko.

— Rozważaliśmy każdą możliwość, Jack. Uwierz mi, ani na chwilę nie przestałam myśleć o tym, co mogliśmy zrobić. Nic z tego by nie zadziało i sądzę, że dobrze o tym wiesz.

Wcale nie byłem tego taki pewny.

— Mogliśmy przynajmniej spróbować — powiedziałem.

— Przecież próbowaliśmy. — Oczy Melissy zaszyły łzami. — Próbowaliśmy wszystkiego, z pomocą naszych najlepszych przyjaciół. Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Chcę, żebyś w tej chwili przestał o tym myśleć. Jedyne, co mi pozostało, to przekonanie, że zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy zrobić.

Usiadłem ciężko przy stole. Podeszła do mnie i położyła mi ręce na ramionach, zostawiając ślady mąki.

— I nadal nie wiemy, dlaczego chcą ją mieć.

Miałem swoje podejrzenia, ale tak straszne, że nie zamierzałem się nimi dzielić, mimo tego, czego dowiedziałem się od Torklesona. Lecz kiedy spojrzałem na żonę, kiedy zobaczyłem pustkę w jej oczach i bladą twarz, pomyślałem, że ona też coś podejrzewa.

Niedziela, 25 listopada

Ten dzień

23

I wszystko się skończyło.

Nawet teraz wydarzenia tego ranka pamiętam jak przez mgłę. Są bolesne i ciągle fragmentaryczne. Nie zapomniałem żadnego, ale nie potrafię ich połączyć. Wspominam, a serce zaczyna mi mocno bić, odycham gwałtownie, płytko, i szukam oparcia, żeby się nie przewrócić.

Dzwonek przy drzwiach rozległ się wczesnym rankiem, to pamiętam dobrze. Słońce nie przedarło się jeszcze przez chmury, na ziemi leżało kilka centymetrów świeżego śniegu, świat wydawał się niebieski, zaklęty w lodzie. Pamiętam, że obudziłem się natychmiast. Otworzyłem oczy i pomyślałem: „To oni”.

* * *

Otworzyłem frontowe drzwi, do domu wdarło się lodowate powietrze. Na progu stali Sanders, Morales, szeryf z wielkim brzuchem i wąsami rewolwerowca oraz jego zastępczyni, kobieta, której nigdy wcześniej nie widziałem. Zajęli cały ganek, wszyscy w identycznych ciemnych, służbowych kurtkach. Wydobywająca się z ust para unosiła się ponad ich głowami. Byli jak niesamowita armia z piekła rodem. Przytupywali, strząsając śnieg z butów. Po kolei weszli do pokoju.

A na podjeździe, w samochodzie z pracującym silnikiem, siedzieli sędzia Moreland i Garrett. Czekali.

Melissa zeszła ze schodów, niosąc Angelinę. Na widok policji jęknęła: „O mój Boże”.

Zastępczyni szeryfa się przedstawiła. We własnym przekonaniu mówiła pewnie i uspokajająco. Nie zrozumiałem ani słowa.

Nie pamiętam, kiedy straciłem nad sobą panowanie. Czy wtedy, kiedy wyciągnęła ręce po naszą córkę, czy wtedy, kiedy szeryf powiedział, że Morelandowie „chcą tylko dziecka, jego rzeczy ich nie interesują”. W mojej głowie zapłonął gorący biały płomień. Rzuciłem się na nich, bijąc, kopiąc, drapiąc, próbowałem przebić się przez nich do drzwi, wyskoczyć na dwór, wyciągnąć ojca i syna z samochodu na śnieg, zabić ich gołymi rękami. Sanders upadł, pociągając za sobą szeryfa. Na twarzy miał głupkowaty wyraz zaskoczenia. Zastępczyni krzyknęła, wyciągnęła zza pasa pojemnik z gazem łzawiącym i wymierzyła go we mnie. Od Sandersa — a może to był szeryf? — dostałem pięścią w twarz, trzasnęły zderzające się zęby, cios zadarł mi głowę do góry, przez chwilę patrzyłem w sufit. Potem ktoś przycisnął mi ręce do boków, uniósł w powietrze, rzucił twarzą w dół na kanapę. To był Morales. Przez chwilę widziałem wyłącznie srebrne gwiazdy. Morales wcisnął mi kolano w krzyż, wykręcił ręce, coś trzasnęło, na moich przegubach zamknęły się plastikowe kajdanki.

Usłyszałem stłumiony, jak przez mgłę, głos Melissy:

— Nie mogę ci jej oddać. Nie mogę tego zrobić!

— W porządku — powiedziała policjantka. — Rozumiem. Proszę włożyć małą do nosidelka. Ja ją wezmę. Nie musi pani podawać mi jej w ten sposób.

— Nie mogę. Nie mogę!

— Proszę. Nie chcemy pani krępować, żeby odebrać dziecko. Niech pani pomyśli o dziewczynce, którą trzyma pani w ramionach. Nie chcemy ryzykować, że coś się komuś stanie.

Melissa spełniła polecenie.

Usłyszałem zwierzęcy ryk. To był mój głos.

Zastępcy się odwrócili. Mieli łzy w oczach.

Zastępczyni otuliła Angelinę kocem. Cofnęła się do drzwi, osłaniana przez Moralesa i Sandersa.

Szeryf wydawał rozkazy. Tuż przed oczami miałem dolny brzeg jego kurtki, czułem bijący od niej chłód.

Angelina uświadomiła sobie, że ją zabierają. Krzyknęła, wyrwała spod koca tłuste rączki i wyciągnęła je do Melissy. Policjantka szybko je zakryła.

Melissa krzyczała. Padła na kolana.

Drzwi zamknęły się za obcą kobietą niosącą naszą córkę.

— Wezwij karetkę — rozkazał Sandersowi szeryf, a do mnie powiedział: — Mogę mieć pewność, że kiedy pana rozkuję, pomoże pan żonie?

— Tak.

Melissa wstała. Pomagał jej Morales, płaczący i wcale się z tym niekryjący.

Szeryf wyglądał przez okno. Morelandowie musieli przejąć Angelinę, bo w pewnym momencie powiedział ponuro: „No to załatwione”.

Zdjęto mi kajdanki. Stoczyłem się z kanapy na podłogę i dźwignąłem na czworaki. Melissa objęła się ciasno ramionami, oczy miała dzikie, a twarz śmiertelnie bladą. Pospieszyłem jej na pomoc.

Padła mi w ramiona. Przytuliłem ją mocno, podtrzymałem, by nie osunęła się na podłogę, i tak przytuloną podprowadziłem do kanapy.

Niektórzy twierdzą, że kiedy człowiek umiera, kiedy odchodzi jego dusza, ciało nagle robi się lżejsze. Że można to zmierzyć. Melissa nie umarła, ale pamiętam, jak pomyślałem, że jej dusza odeszła, bo nagle zrobiła się bardzo lekka.

Pochyliłem się i położyłem na kanapie także jej nogi. Usłyszałem trzask opon rozjeżdżających śnieg. Samochód Morelandów wycofał się z podjazdu i odjechał.

Chwilę później przyjechała karetka, świecąc wszystkimi światłami. Niewątpliwie czekała na wezwanie nieco dalej przy naszej ulicy. W domu znów zaroiło się od ludzi w ciemnych kurtkach. Pomogli Melissie wspiąć się po schodach, odprowadzili do sypialni i położyli do łóżka. Ja zostałem na półpiętrze. Byłem w szoku. Oczy mi płonęły, bolała mnie szczeka.

Między Moralesem, Sandersem i szeryfem toczyła się gwałtowna dyskusja. Zastępcy oznajmili szefowi, że odmawiają aresztowania mnie za napad, a jeśli się upiera, proszę bardzo, może sam dokonać aresztowania i odebrać ich rezygnację. Szeryf się ugiął.

— Jezu, ludzie, w porządku, w porządku. Traktujecie tę sprawę zbyt osobiście. — Mówiąc to, poruszał językiem obluźniony ząb, z którego sączyła się krew.

— A żebyś, kurwa, wiedział, że masz rację — warknął Sanders.

Poszedłem do sypialni. Melissa dostała środki uspokajające. Jej powieki zadrżały, uścisk dłoni na mojej dłoni osłabł, palce się rozluźniły. Powiedziałem sanitariuszom, że niczego od nich nie potrzebuję i nie chcę.

Zszedłem na dół. Szeryfa już nie było. Morales i Sanders stali ze spuszczoneymi głowami i wzrokiem wbitym we własne buty.

— Nienawidzę swojej pracy — powiedział Sanders. Morales spojrzał na mnie.

— Możemy zostawić cię samego? — spytał. — Nie zrobisz nic głupiego, tak? Nie skrzywdzisz ani siebie, ani nikogo innego?

Pokręciłem głową, ale „nie” oznaczało „tak”. I to wszystko.

* * *

Tego wieczoru, kiedy zachodzące słońce rozświetliło wiszące sople śniegu i lodu zimnym ogniem, a temperatura spadła do minus dziesięciu stopni, najpierw zajrzałem do sypialni. Melissa spała. Sanitariu-sze uprzedzili mnie, że prawdopodobnie prześpi całą noc. Mimo to na nocnym stoliku zostawiłem jej liścik napisany charakterem pisma, którego sam nie potrafiłem rozpoznać:

Idę po Angelinę.

Jeśli nie wrócę, chcę, żebyś wiedziała, że kocham Cię z całego serca. Całuję,

Jack

Wsunąłem colta czterdziestkępiątkę do prawej kieszeni kurtki. Był ciężki. Dla równowagi do lewej kieszeni wsypałem naboje z pudełka.

* * *

Mróz uderzył mnie w twarz. Odetchnąłem i poczułem, jak okruchy lodu krystalizują mi się w nosie. Śnieg skrzypiał w rytm moich kroków. Ten przeraźliwy dźwięk sprawił, że zacisnąłem zęby. Czułem, jak jeżą mi się włoski na karku. Zapomniałem rękawiczek, metalowa klamka drzwi jeepa sparzyła mnie w dłoń.

— A ty dokąd, Jack?

Zamarłem. Cody!

Po chwili się odwróciłem. Cody szedł do mnie przez trawnik. Zaparkował samochód naprzeciwko domu, a ja nawet go nie zauważyłem.

— Zabić sędziego Morelanda — powiedziałem.

— Więc to już? Zabrali ją?

— Gdzie ty się podziewałeś? Próbuję cię złapać od dobrych kilku dni.

— Rozwaliłem ten głupi telefon na głowie jednego faceta.

— Idę.

— On pewnie zasługuje na śmierć — powiedział Cody. — Ale nie teraz. I nie z twojej ręki.

— Zejdź mi z drogi, Cody.

Złapał mnie za rękaw kurtki. Nie chciałem mieć z nim nic wspólnego, nie marzyłem o rozmowie. Nie było go, gdy był nam potrzebny, więc musiałem wszystko zrobić sam.

— Chcę tylko powiedzieć, że nie musisz jechać do niego akurat teraz. Zresztą nie masz szans. Sze-ryf zostawił przed domem Morelanda posterunki, na wypadek gdyby strzeliło ci do głowy spróbować czegoś, czego właśnie chcesz spróbować. Wygrasz tyle, że pójdziesz siedzieć.

— Nic mnie to nie obchodzi.

— A powinno. Bo udało mi się rozwiązać tę pieprzoną sprawę. Możemy dorwać sukinsyna Morelanda i odzyskać twoją córkę.

Patrzyłem na niego, mrugając szybko.

— Dobrze słyszałeś — powiedział.

— Ale jak?

— Jest ze mną ktoś, kogo chętnie poznasz.

Znów spojrzałem na samochód Cody'ego. Był pusty, ale zauważyłem coś, na co w pierwszej chwili nie zwróciłem uwagi. Drżał lekko i kołysał się z boku na bok.

— W bagażniku — potwierdził moje podejrzenia Cody. — Chodź, wyciągniemy go i utniemy sobie miłą pogawędkę.

— Przedstaw się panu McGuane'owi — powiedział Cody do niechlujnego małego człowieczka, którego przepchnął brutalnie przez frontowe drzwi. Człowieczek wybełkotał coś, co brzmiało jak „My...jak”.

— Gdzie Melissa? — spytał Cody. Podbródkiem wskazałem schody.

— W sypialni. Dostała środki nasenne. Cody pokręcił głową.

— Sukinsyny. Nic jej nie jest?

— Jak mogłoby nie być?

— Sukinsyny!

— Przyszli rano. Szeryf i trójka zastępców. Garrett i sędzia nie pofatygowali się, żeby wejść do domu. Cały czas siedzieli w samochodzie.

„My...jak” stał nieruchomo i tylko obracał głowę w stronę tego z nas, który akurat mówił. Wyglądało to trochę tak, jakby obserwował mecz tenisowy. Tępy wyraz twarzy nie pozostawiał wątpliwości, że nie ma pojęcia, o czym mówimy.

— Siadaj — powiedział Cody, wskazując mu kanapę. „My...jak” podszedł do niej na sztywnych nogach i posłusznie usiadł. Zorientowałem się już, dlaczego nie może wyraźnie mówić i z trudem się porusza: zmarzył na kamień. Twarz miał siną, szczekał zębami tak głośno, że przypominało to dźwięk pękającej prażonej kukurydzy. Był chudy, zgarbiony, zastraszonej, taka szara myszka. Na oko miał jakieś metr sześćdziesiąt pięć, ważył pewnie niecałe sześćdziesiąt kilogramów. Miał źle ostrzyżone kasztanowate włosy, okulary w rogowej oprawie, które zasłaniały biegające niespokojnie oczka, wpadnięty podbródek, wielkie jabłko Adama i twarz jak księżyc, kraterami pokrytą bliznami po ospie. Irytował zachowaniem, a jednocześnie wydawał się słaby. Współczułem mu, lecz mimo to miałem wielką ochotę spuścić mu lanie. Ubrany był w koszulę w czerwoną kratę, workowate dzinsy i plastikowe kolorowe pantofle. Siadając, wyciągnął przed siebie rękę i mankiet koszuli odsonił przegub. Ku swemu zaskoczeniu stwierdziłem, że na tym przegubie ma masywnego złotego roleksa. Jakoś do niego nie pasował. Wyglądał, jakby ważył z kilogram.

Dostrzegłem też, że „My...jak” ma nieprzyjemnie wyglądającego sińca niemal dokładnie pośrodku niewielkiej łysiny na potylicy. Cody zauważył, czemu się przyglądam.

— Właśnie tak rozwaliłem mój cholerny telefon — wyjaśnił.

Przyniósł z kuchni dwa krzesła. Jedno odwrócił, usiadł na nim okrakiem i położył ramiona na oparciu. Oczy mu płonęły, na ustach miał ironiczny, kpiący uśmiech.

— Przedstaw się panu McGuane'owi — powtórzył, a do mnie powiedział: — Siadaj, Jack.

Mały facecik spojrział na swoje plastikowe kolorowe buty. Nogi mu drżały.

— Gadaj, kurwa — szczeknął Cody i uderzył facecika otwartą ręką w twarz. Spojrzałem na niego ostro, ale mnie zignorował.

— Wyatt — powiedział facecik.

— Wyatt i co?

— Wyatt Henkel.

— Skąd jesteś, Wyatcie Henkelu?

— Skąd teraz... czy chodzi o to, gdzie się urodziłem? Drugie uderzenie.

— Jezu, Cody — jęknąłem. Wreszcie na mnie spojrział.

— Kiedy usłyszysz, co ma do powiedzenia, danie mu w pysk przestanie ci wystarczać.

— Mimo wszystko...

— Urodziłem się w Greeley, w Kolorado — powiedział Henkel. Mówił z trudem, głośno szczekał zębami. — Mieszkam w Las Cruces, w Nowym Meksyku.

— Doskonale — pochwalił go Cody. — A teraz powiedz panu McGuane'owi, dlaczego tu jesteś. Dlaczego numer twojego telefonu figuruje na liście połączeń z jego komórki.

Wyatt odwrócił wzrok i zapatrzył się na gazowy kominek. Wyłączyłem go kilka minut przed wyjściem z domu.

— Przemarzałem do szpiku kości — poskarżył się. — Osiem godzin leżałem w bagażniku.

— Najwyżej siedem — sprostował Cody. — Nie jojcz. Wstałem. Podszedłem do kominka i chciałem go włączyć.

— Nie włączaj — polecił mi Cody.

— Tylko na niego popatrz.

— Pieprzyć go! Włączysz ogrzewanie, kiedy zaczniesz gadać. — Spojrział na Henkela. — Pieprz się, zrozumiałeś?

Henkel odwrócił wzrok. Unikał jego spojrzenia.

— Coś ci obciąża kieszeń — zwrócił się do mnie Cody. — Masz broń?

— Tak.

— To świetnie. Wyjmij ją. To rewolwer dziadka, tak? Colt peacemaker czterdzieści pięć?

Wyciągnąłem colta. Był ciężki, zimny i w moim ręku wyglądał brutalnie.

— Odciągnij kurek. Przyłóż lufę do czoła naszego przyjaciela. Jeśli skłamię, powiem ci, że masz naciskać spust. Nie obawiaj się, że jego mózg popłami ścianę, założę się, że on po prostu nie ma mózgu. O ciało też możesz się nie martwić. Pogrzebię je tam, gdzie wujka Jetera. To doskonałe miejsce, nikt nawet nie zacznie szukać. Może kojoty odkopią kości w dwa tysiące dwudziestym piątym, ale wtedy nikogo to nie obejdzie.

Jednocześnie Cody uspokoił mnie, puszczając ledwie dostrzegalne oko. Dzięki temu udało mi się nie okazać strachu, a Henkel niczego nie widział, bo nadal siedział wpatrzony w podłogę. Skinąłem głową. „W porządku. Już wszystko rozumiem”.

Henkel powoli podniósł głowę. Był przerażony.

Ociągnąłem kurek. Magazynek się obrócił. Przyłożyłem lufę do jego czoła.

Cody poprawił się na krześle. Wyjął służbowego powtarzalnego glocka .40. Trzymał go niedbale, nie celując w nic szczególnego.

— To na wypadek gdyby on spudłował — wyjaśnił. I zaraz przeszedł do rzeczy: — Zaczynamy od nowa. Zawód?

— Jestem woźnym. — Henkel mówił wysokim, piskliwym głosem. — Woźnym w liceum w Las Cruces.

— Woźny, co?

— No... tak, proszę pana.

— Jasne, oczywiście. Bardzo mi się to podoba. Mów tak do mnie dalej „proszę pana”. I do pana McGuane'a też. A teraz powiedz mi, od jak dawna wykonujesz tę pracę.

— Od siedmiu lat. — Ile zarabiasz?

— Dwadzieścia sześć tysięcy dolarów rocznie. To nie jest pełny etat.

— Interesujące. — Cody się zamyślił. — Zarabiasz dwadzieścia sześć tysiąków, ale mieszkasz na dwóch hektarach i masz dwa nowe samochody. A może się mylę?

Henkel próbował przełknąć ślinę, jego grdyka powędrowała w górę i w dół.

— Nie myli się pan, proszę pana.

— Inosisz na rękę ten kawał złota. To podróbka? Tanie tajwańskie gówno?

— Oryginał, proszę pana.

— A ten twój cadillac escalade? Kradziony?

— Nie, proszę pana.

— To nieźle ci się żyje... jak na szkolnego woźnego, co, Wyatt?

— Nie tak dobrze jak innym, ale jakoś sobie radzę. — Henkel powoli odzyskiwał pewność siebie.

Rozgrzewał się, dosłownie i w przenośni. Cody'emu się to nie spodobało.

— Zastrzel go — polecił.

Przycisnąłem lufę do czoła naszego woźnego.

— Nie! — wrzasnął. Jego oczy zrobiły się wielkie i okrągłe.

— Więc odpowiadaj normalnie. — Ton głosu Cody'ego przeraził nawet mnie.

— Jasne, proszę pana.

— Nie zawsze byłeś woźnym, prawda?

— Prawda, proszę pana.

— Co jeszcze robiłeś?

— Często zmieniałem pracę. Chyba nie jestem zbyt bystry. — Choć to Cody zadawał pytania, Henkel adresował odpowiedzi do mnie. Prawdopodobnie Cody'ego bał się bardziej, choć to ja mierzyłem mu w łeb. — Robiłem, co mogłem, ale ludzie jakoś mnie nie lubią. Chyba nikt nigdy tak naprawdę mnie nie lubił.

— Dlaczego mnie to nie dziwi? Pytam jeszcze raz: gdzie pracowałeś?

Henkel przewrócił oczami, jakby próbował sobie przypomnieć.

— Głównie w handlu, proszę pana. Wal-Mart, Target, Pier One. Dużo podróżowałem między Kolorado i Nowym Meksykiem.

— Nie wspomniałeś o tym punkcie wywoływania zdjęć w godzinę. No, wiesz, tym w Canon City w Kolorado.

— Och, tam! — Henkel zbladł jeszcze bardziej. Cody musiał trafić w czuły punkt.

— Powiedz panu McGuane'owi, kiedy tam pracowałeś.

— W dwa tysiące pierwszym, proszę pana — powiedział po krótkiej chwili zastanowienia.

— Nim rozpowszechniły się cyfrowki. Pod sam koniec epoki wywoływania filmów.

— Tak, proszę pana. Nie sądzę, by ten kiosk jeszcze istniał.

— Royal Gorge to zaraz przy Canon City?

— Tak.

— Bardzo malownicze miejsce, prawda? Przyjeżdża tam mnóstwo ludzi popatrzeć, przespacerować się mostem nad rzeką Arkansas. Jest tam nawet park stanowy, prawda?

Próbowałem nie patrzeć na Cody'ego, nie pytać go, o co mu, do cholery, chodzi.

Henkel milczał przez chwilę, a potem powiedział „tak”.

— W dwa tysiące pierwszym pewien dozorca w parku stanowym przyniósł ci kilka zdjęć do wywołania. Pamiętasz go?

Znów spróbował przełknąć ślinę i znów mu się nie udało.

— Mógłbym dostać szklankę wody? — spytał mnie nieśmiało.

— Możesz dostać kulę w łeb — odpowiedział za mnie Cody. — Pytam jeszcze raz: czy pamiętasz, kiedy dozorca w parku stanowym przyniósł ci zdjęcia do wywołania?

— Tak.

— Przynosił ci mnóstwo filmów, prawda?

— Tak.

— Nie powinieneś oglądać odbitek, prawda? Sam proces jest tak ustawiony, że wcale nie musisz. Jest automatyczny. Bierzesz odbitki do ręki dopiero wtedy, kiedy pakujesz je do koperty, dla klienta. Mam rację?

— Takie są zasady.

— Ale w tym przypadku obejrzałeś odbitki, prawda?

— Obejrzałem — przytaknął Wyatt chrapliwym głosem. Jego oczy biegały od Cody'ego do mnie i z powrotem do Cody'ego.

— I co na nich zobaczyłeś?

— Głównie, no, wie pan, przyrodę. Ale też dzieciaki, mnóstwo dzieciaków z rodzinami. Na kempingu albo na szlaku.

— I zdjęcia dzieci to było właściwie wszystko?

— Tak, proszę pana.

Cody rzucił mi szybkie spojrzenie. Nadal nie wiedziałem, do czego zmierza.

— To dlaczego zrobiłeś drugi komplet odbitek? Dla siebie?

Henkel zamknął oczy.

— Wyatt?

— Były tam cztery zdjęcia, które chciałem zatrzymać.

Cody odchylił się na krześle. Wolną ręką wyjął z kieszeni kurtki dużą kopertę.

— To są te cztery zdjęcia, które zatrzymałeś, Wyatt?

— Przecież pan wie, że tak, proszę pana. Podał mi kopertę.

— Kto ma oryginały i negatywy?

— Klient.

Cody uśmiechnął się sarkastycznie.

— A kim jest ten klient, Wyatt?

— Aubrey Coates. Był wtedy parkowym dozorcą.

Poczułem się tak, jakby przez moją pierś przepuszczono ładunek elektryczny. O mało nie ściągnąłem spustu. Nagle wydało mi się, że przez ostatnie trzy tygodnie dosłownie wszędzie dookoła mnie fruwały dziesiątki arkuszy przezroczystego plastiku, każdy maźnięty kolorem, zabazgrany tu i tam. Żaden z tych arkuszy sam w sobie nie miał sensu, ale kiedy ułożyło się je jeden na drugim, pojawiał się obraz. Ni z tego, ni z owego wszystko, co przez ten czas robiliśmy i czego się dowiedzieliśmy, nabrało przeraźliwego sensu.

Opuściłem rewolwer. Otworzyłem kopertę, wiedząc, co w niej znajdę.

Brian miał rację. Zdjęcia istniały.

Pierwsze przedstawiało troje młodych ludzi, rodzinę idącą wąskim szlakiem. W tle wznosiła się skalna ściana, a więc musieli znajdować się w kanionie Royal Gorge. Fotografia była ziarnista, w dolnym rogu widać było sosnową gałąź, co według mnie oznaczało, że zrobiono ją z dużej odległości, a fotograf ukrywał się wśród drzew. Kobieta, nieładna, tęga, niewątpliwie w zaawansowanej ciąży, szła pierwsza, dwunasto- lub trzynastoletni chłopiec na końcu. Nie od razu rozpoznałem w nim Garretta. I nie od razu rozpoznałem sędziego Morelanda, idącego między żoną i synem.

Na drugim, choć nieco zamazanym, nietrudno było dostrzec, jak Moreland ciągnie żonę za rękę i jak kobieta rozpaczliwie próbuje utrzymać równowagę. Doskonale widoczny Garrett przyglądał się zdarzeniom z niewątpliwym zainteresowaniem.

Na trzecim Dorrie Pence Moreland, ultrareligijna katoliczka, nieatrakcyjna gospodyni domowa, mogąca tylko przeszkodzić mężowi we wspinaczce na kolejne szczeble kariery towarzyskiej i politycznej, a w dodatku gotowa wydać na świat dziecko, mające w sposób naturalny konkurować z jej monomaniakalnym, psychopatycznym, pierworodnym synem, leciała na tle nieba, z długimi czarnymi włosami ciągnącymi się za nią jak płomień.

Na czwartym Garrett szykował się do wymierzenia matce, której strzaskane ciało spoczywało u jego stóp, ciosu łaski wielkim, trzymanym nad głową kamieniem. Ojciec przyglądał się temu z wyraźną aprobatą.

Obejrzałem fotografie drugi raz. I trzeci.

— Boże — szepnąłem. — Więc Coates ma sędziego w kieszeni.

— To twierdzenie jest niewątpliwie prawdziwe — przyznał Cody.

— I dlatego jest kuloodporny.

— Trafiony, zatopiony.

— Szantażował go przez wszystkie te lata...

Cody skinął głową. Podniósł glocka i wymierzył go w głowę Wyatta Henkela.

— W pewnym sensie. Opowiedz mu wszystko, Wyatt.

Choć wydawało się to niemożliwe, żaloszny mały człowieczek stał się nagle znacznie mniejszy i znacznie bardziej żaloszny.

— To ja szantażowałem sędziego. Powiedziałem mu, że mam zdjęcia. Skopiowałem je i wysłałem odbitki. Miał dowód, że mówię prawdę, więc płacił mi przez lata.

— Stąd te samochody, kawał ziemi, rolex. Ale okłamałeś sędziego, prawda? Powiedziałeś mu, że masz też negatywy. — Henkel skinął głową. Cody mówił dalej: — Więc kiedy Brian Eastman puścił przez znajomych wiadomość, że w całym kraju szuka kogoś, kto ma cokolwiek, co można użyć przeciwko Morelandowi, znowu się z nim skontaktowałeś?

— Tak.

— Powiedziałeś mu, że cena wzrosła, a jeśli mu się to nie podoba, masz do kogo pójść?

— No... tak.

Dziwne, ale te wyznania rozgrzały naszego woźnego. Było oczywiste, że jest z siebie dumny. Miałem szczerą ochotę go zastrzelić, ale nie przedtem, nim dowiem się wszystkiego.

— Mogę się tylko domyślać — powiedział do mnie Cody. — Ale moje domysły mają dobre uzasadnienie w tym, jaką rolę odegrał nasz gość. Kiedy prowadziłem sprawę Coatesa, zastanowiło mnie, dlaczego pięć lat temu rzucił pracę w parkach stanowych i ograniczył się wyłącznie do kempingów na terenach federalnych. Niby drobiazg, ale bił w oczy i wydawało się, że nie ma najmniejszego sensu. Teraz już ma. Coates postanowił zmienić pracodawcę ze stanowego na państwowego dokładnie wtedy, kiedy Moreland został mianowany sędzią federalnym. Nasz przyjaciel Wyatt miał zdjęcia i chciał za nie pieniądze. Sędzia zapłacił. Ale Coates nie chciał pieniędzy. Chciał gwarancji bezpieczeństwa. Wiedział, że któregoś pięknego dnia wpadnie, więc skontaktował się z Morelandem i odkrył przed nim kartę. Zależało mu na pewności, że stanie przed sądem federalnym, bo wiedział, kto będzie go sądził. I jeszcze jedno: mamy dziewięciu sędziów sądów okręgowych. Coates musiał jakoś dać do zrozumienia Morelandowi, że pewnego dnia może stanąć przed sądem i wtedy będzie potrzebował przysługi. Jak Moreland mógł sprawić, że bezimienny szantażysta stanie właśnie przed nim? Wykorzystał system od wewnątrz, dopilnował, by po-

ważne przestępstwa dokonywane na terenie federalnym przekazywano tylko jemu. W swoim własnym dobrze pojętym interesie chciał mieć pełną kontrolę nad sytuacją, na wypadek gdyby drugi szantażysta potrzebował kiedyś przysługi. To dlatego Coates był kuloodporny.

— O kurwa! Ale... chwileczkę. — Coś mi przyszło do głowy. — Dlaczego Coates podjął takie ryzyko? Dlaczego oddał film do wywołania Henkelowi? Nie bał się, że on... lub ktokolwiek inny... zobaczy scenę morderstwa?

— Ja mogę odpowiedzieć na to pytanie — oznajmił Henkel usłużnie. — Nie sędzę, by od razu zorientował się, czym dysponuje. Te zdjęcia to powiększenia, dlatego są takie ziarniste. Na normalnych odbitkach ci ludzie wyglądają jak mrówki na tle skalnej ściany. Być może wiedział, że robi zdjęcie spadającej kobiety, ale moim zdaniem nie mógł wiedzieć, że to sędzia ją popchnął. Sędzę, że wrócił do domu, obejrzał odbitki i dopiero wtedy uświadomił sobie, co na nich tak naprawdę jest.

— I nie próbował cię dorwać? — zdziwiłem się.

Wyatt się uśmiechnął. Dopiero teraz. Z jego przednich zębów pozostały tylko żółte pieńki.

— Może i próbował, ale mnie już nie było i odbitek też. Miałem je przy sobie, kiedy przeprowadzałem się z miejsca na miejsce, zmieniałem pracę. Pewnie próbował mnie znaleźć raz i drugi. Pewnego dnia w moim sklepie w Salidzie pojawił się człowiek, który o mnie pytał. Byłem wtedy w sąsiednim pokoju, wyszedłem bocznym wyjściem, nawet się za siebie nie obejrzałem. Innym razem, w Drango, wróciłem z pracy do domu. Zobaczyłem samochód zaparkowany po drugiej stronie ulicy i gówniarzy wyglądających na meksykańskich gangsterów w środku. Odjechałem i zatrzymałem się dopiero w Nowym Meksyku.

Cody skinął głową, jakby kolejny fragment układanki właśnie znalazł się na właściwym miejscu.

— No tak. I kiedy rozpuściłeś wiadomość o Brianie Eastmanie, sędzia się z tobą skontaktował?

— Nie. Nie sędzia, ale jego syn, Garrett. Ten chłopiec ze zdjęcia trzymający kamień.

— Aha. I co powiedział?

— Zabijecie mnie, prawda? Cody skrzywił się przeraźliwie.

— Na dziewięćdziesiąt procent. Ale o dziesięć procent też warto walczyć. Musisz mi dowieść, że jesteś wart tych dziesięciu procent, a jedyny sposób, to mówić prawdę.

Widać było, jak Henkel myśli, jak rozważa argumenty. Wreszcie podjął decyzję.

— Garrett powiedział, że zapłacą mi więcej, ale pod jednym warunkiem: że zadzwonię do Eastmana i powiem mu, iż mam zdjęcia. Rozmawiałem z nim. Zgodził się na spotkanie tu, w Denver. Od Garretta dowiedziałem się, gdzie ma nastąpić spotkanie, ale zabronił mi na nie przyjść. Pewnie to on przyszedł.

Ściągnąłem spust.

Huk strzału był wręcz ogłuszający. Nie wiem, jakim cudem nie obudził Melissy, ale pozostaje faktem, że jej nie obudził. Henkel wił się na kanapie, ściskając ramię, w które trafiła kula, rozsmarowując jaskrawoczerwoną krew po całym obiciu.

Cody wyrwał mi colta, nim zdołałem znów odciągnąć kurek i zakończyć sprawę.

— Na litość boską, Jack! — krzyknął. — Jeszcze z nim nie skończyliśmy.

— Ja skończyłem. — Ale to, co zrobiłem, sprawiło, że byłem w szoku.

Henkel jęczał. Cody złapał go za włosy, posadził i przytrzymał.

— Mów szybko — polecił — to może uda ci się jeszcze ocalić życie.

— Boooli. — Henkel wyszczerzył zęby.

— I będzie bolało jeszcze bardziej.

— Wykrwawię się na śmierć.

— Być może. — Cody pochylił się, aż ich twarze dzieliły zaledwie centymetry. — O ile wiem, Coates skontaktował się z sędzią dopiero niedawno?

— O ile wiem, tak.

Cody spojrzał na mnie i pokiwał głową.

— Kiedy Coates zorientował się, że już prawie go mam, zadzwonił do sędziego i przypomniał mu, czym dysponował przez te wszystkie lata. Wyobraź sobie, jak zaskoczony musiał być Moreland, kiedy dowiedział się, że jeden z dwóch ludzi, którzy wiedzą, że zamordował Dorrie, jest pedofilem. To dlatego w porę zniszczył wszystkie dowody i dopilnował, żeby Coatesa wypuszczono.

W głowie miałem zamęt, przelatowały przez nią miliony myśli. Próbowałem jakoś je uporządkować.

— Ale... słuchaj, przecież Coatesa wypuszczono przez ciebie!

I natychmiast pożałowałem tego, co powiedziałem. W oczach mojego przyjaciela zabłysła mordercza furia.

— Przepraszam... ale...

— Aż do tej chwili — Cody mówił bardzo spokojnie — było w procesie coś, co mnie niepokoiło i czego nie rozumiałem. Skąd Ludik znał każdy mój ruch po aresztowaniu Coatesa? Dobra, owszem, facet jest cwany, ale nie aż tak.

Ktoś przekazywał mu informacje i moim zdaniem był to właśnie Moreland. Nie, nie dzwonił, jestem pewny, że nie ryzykowałby niczego aż tak oczywistego. Pewnie uciekł się, wiesz, do sądowych ploteczek. „Mam tylko nadzieję, że to pewna sprawa, bo zdaje się, że są jakieś problemy z łańcuchem dowodowym”. Coś w tym rodzaju. O mnie mógł mu powiedzieć ktoś z biura prokuratora okręgowego lub choćby gadatliwy gliniarz. Tak to załatwił, że do Ludika dotarło coś z drugiej ręki, no i poszedł tym tropem. Nie twierdę, że nie spieprzyłem sprawy, Jack, bo spieprzyłem, ale to Moreland uruchomił lawinę gówna, od uprzedzenia Coatesa o szykującym się przeszukaniu aż po skłonienie obrońcy, by dokładniej przyjrzał się dowodom. Rzeczywiście, to miało sens.

Cody odwrócił się i podetknął lufę glocka pod nos Henkela po czym powiedział głosem bez wyrazu:

— Kiedy podjechałem pod twój dom w Nowym Meksyku, pakowałeś samochód. Dokąd się wybieralesz?

— Mieliśmy dokonać wymiany...

— Co? O czym ty gadasz?

— Mieliśmy dokonać wymiany. Każdy z nas miał dostać to, czego chciał.

Cody znów uderzył go w twarz. Henkel się skrzywił. Poduszki na kanapie pociemniały od krwi. Czulem jej zapach, ostry, metaliczny. Dławił mnie. Ranny powoli tracił przytomność, oczy mu się zamykały.

— Jakiej wymiany!?! — ryknął Cody.

— Sędzia chciał mieć wszystkie zdjęcia, odbitki i negatywy ode mnie i od Coatesa. Ja chciałem dostać forszę, wielką forszę. Umówiliśmy się u Coatesa w górach, na jutro rano.

— A czego chciał Coates?

Henkel zakasłał i o mało nie stracił przytomności.

— Tego... — wykrztusił — ...tego, o czym zawsze marzył. Własnej małej dziewczynki.

W tym momencie uświadomiłem sobie, kto wysłał zdjęcie Angeliny współnikowi z Londynu: Aubrey Coates. Przypomniałem sobie Morelanda, robiącego jej zdjęcie w sypialni tego ranka, kiedy odwiedził nas z Garrettem. To dlatego tak bardzo chciał zobaczyć Angelinę, to dlatego poprosił Melisę, żeby ją odwróciła, żeby mógł dokładnie ją sobie obejrzeć.

Poniedziałek, 26 listopada

Dzień po

25

Była noc. Jechaliśmy I-70 w stronę Desolation Canyon. Śnieg zaczął padać około północy i od tej chwili padał coraz gęściej. Jedynymi pojazdami, jakie napotkała w ciągu dwóch godzin jazdy z Denver nasza kolumna czterech samochodów, były pługi z migającymi na dachach kabin żółtymi ostrzegawczymi światłami i od czasu do czasu pick-upy z napędem na cztery koła. Nerwy miałem w strzępach, mój żołądek z trudem tolerował wypitą kawę.

Po podrzuceniu Henkela pod izbę przyjęć szpitala Denver General Cody zadzwonił do trzech osób: Sandersa, Moralesa i Torklesona. Torkleson stawiał się w towarzystwie technika, specjalisty od badania miejsca przestępstwa, oraz czterech funkcjonariuszy SWAT w czarnych kombinezonach. Morales i Sanders przyjechali pick-upem Moralesa, wyposażonym w specjalne terenowe zawieszenie, pojawiła się też jego żona, której zadaniem było zaopiekowanie się Melisą.

Torkleson prowadził pierwszy wóz kolumny, Cody siedział obok niego, a ja z tyłu.

W głowie błysnęła mi paniczna myśl: Co będzie, jeśli nie zechcą dokonać wymiany bez Henkela? Jezu, pomyślałem, nie powinienem był postrzelić tego faceta.

— Dobry pomysł — powiedział Torkleson i zdjął mikrofon z uchwytu na desce rozdzielczej.

— Przechodzę na kanał szyfrowany — oznajmił.

Wezwał patrol drogówki, zlokalizował gliniarza, którego znał, i przekonał go, by przekazał fałszywy meldunek o groźnym wypadku niedaleko granicy z Nowym Meksykiem i zidentyfikowaniu jednej z ofiar jako Wyatta Henkela. Do Cody'ego i do mnie powiedział:

— Wiemy, że Coates podsłuchuje kanały policyjne. Jeśli usłyszał raport, z pewnością przekaże wiadomość sędziemu. Będą wiedzieli, dlaczego się nie zjawił.

— Masz łeb — przyznał Cody. — Obaj, Coates i sędzia, cholernie się ucieszą na myśl o tym, że Henkel usmażył się na węgiel wraz ze swoimi zdjęciami.

* * *

Próbowałem jakoś uporządkować to, czego się dowiedzieliśmy. Cody najwyraźniej robił to samo.

— Skąd Coates dowiedział się o Angelinie? — myślałem głośno. — Spadła mu jak z nieba. Miał o co przycisnąć sędziego.

— Sam się nad tym zastanawiałem. Ale przed procesem sprawdziłem akta z więzienia federalnego i odkryłem, że przez dwa tygodnie Coates siedział w jednej celi z pewnym ciemnym typem, niejakim José Medina, skazanym za handel narkotykami. Medina jest ważnym członkiem Sur-Trzynaście, a także, co nie jest tajemnicą, kumplem Garretta. Garrett prawdopodobnie powiedział mu, że łączy za nim agencja adopcyjna, cholera, pewnie się tym chwalił, Medina o tym wspomniiał, a Coates to usłyszał. To była dla niego dobra nowina, bo przecież miał ważną umowę z ojcem chłopaka. Podwoił więc wymagania. Mógł sobie na to pozwolić, bo Moreland nie miał w ręku żadnego atutu. Negatywy, odbitki i dziewczynka na własność w zamian za uniewinnienie.

— Rzygać się chce — jęknąłem.

— Owszem. A jeszcze bardziej chce się rzygać na myśl o tym, że sędzia przystał na ten układ. W każdym razie na to wychodzi.

— Dlaczego Morelandowie zabili Dorrie? — spytałem, choć domyślałem się odpowiedzi.

— Zapewne w życiu się do tego nie przyznają, ale moim zdaniem Dorrie nie potrafiła dłużej żyć z poczuciem winy, że dostarczyła Johnowi alibi na tę noc, kiedy jego rodzice zginęli „w wypadku”. Im lepiej go poznawała, tym głębiej była przekonana, że to jego dzieło. Musiała strasznie się tym gryźć. Coraz częściej chodziła do kościoła, nie? Modliła się do Boga o przebaczenie za to, że poślubiła mężczyznę, który zabił swoich rodziców, a w dodatku pomogła mu wykręcić się od kary. Może spytała Johna wprost, czy to zrobił, czy nie, a może sędzia domyślił się, że żona ma ochotę z kimś o tym pogadać. W każdym razie uznał, że musi się jej pozbyć. No i pewnie już wtedy smalił cholewki do Kellie. Jeśli więc jesteś Johnem Morelandem, masz w domu beznadziejną żonę w typie gosposi, w dodatku przeżartą poczuciem winy, a w perspektywie blondynkę marzeń z wielką kasą, to właściwie nie masz wyboru.

— Tylko dlaczego dobił ją Garrett?

— Bo Garrett to psychicznie chory, popaprany, obrzydliwy mały fiut. W jego przypadku instynkt cię nie mylił. Poza tym sam fakt, że pomógł tatusiowi, dawał mu do ręki mocny argument przetargowy, z czego doskonale zdawał sobie sprawę. W pewnym sensie zabójstwo Dorrie uczyniło go wolnym.

— Ojciec wiedział, do czego zdolny jest jego synek. Wiedział o tym od jego najwcześniejszego dzieciństwa — powiedziałem. — Wyobraź sobie, jak musi czuć się ktoś, kto to wie. Jak to jest mieszkać w jednym domu z takim Garrettem, kryć go, gdy to konieczne... a sędzia musiał go kryć, bo Garrett mógł w każdej chwili go sypnąć. Wiesz — ciągnąłem — na pogrzebie Briana Jim Doogan powiedział mi coś o ludziach takich jak Moreland. Powiedział, że kiedy tacy ludzie wyznaczą sobie cel, w tym przypadku celem był Sąd Najwyższy, to wszystko, dosłownie wszystko, co robią, prowadzi wprost do osiągnięcia tego celu. Wtedy tego nie rozumiałem i on pewnie nie rozumiał sam siebie, ale... jeśli jesteś Johnem Morelandem, chcesz zostać sędzią Sądu Najwyższego, jak radzisz sobie ze świadomością, że twój syn jest gangsterem?

— Dobrze pytanie — przyznał Cody. — Więc jak sobie radzisz?

— Próbujesz załagodzić sytuację. Bierzesz do domu nieślubne dziecko syna i wychowujesz je jak własne. Demonstrujesz światu, że owszem, syn nie jest za bardzo odpowiedzialny, ale ty tak. Kryjesz grzechy jego młodości. Udajesz, że zło da się zmienić w dobro. No i wiesz, że to tylko kwestia czasu, że pewnego dnia twoja zwariowana latorośl przegnie i nie będziesz już musiał się o nią martwić. Problem o mało nie załatwił się sam w Appaloosie, ale kiedyś się załatwi, a wtedy odetchniesz z ulgą, i tyle.

Cody odwrócił się do mnie z uśmiechem. Jego zęby błysnęły w ciemności.

— A jednak byłby z ciebie niezły glina, Jack. Chociaż ta twoja teoria ma pewne braki.

— Jakie na przykład?

— Jak John mógł sobie pozwolić na oddanie dziecka znanemu pedofilowi? Ludzie w końcu by się o tym dowiedzieli.

Myślałem przez chwilę i znalazłem odpowiedź. Uderzyła mnie z siłą ciosu.

— Moreland jest cwany — powiedziałem. — Wystarczająco cwany, by załatwić zniknięcie Angeliny, zaaranżować je przekonująco, może nawet zrobić z tego porwanie? Już go widzę, jak wstawia łzawy kit w telewizji, jak apeluje do porywaczy, jak robi z Angeliny syna Lindbergha, którego przecież nigdy nie odnaleziono! Wzbudziłby wielką sympatię. A gdyby pewnego dnia znalazł się jakiś członek senackiej komisji prawnej z jajami, gdyby go spytał, jak czuł się przed laty, zabierając dziecko z naszego domu, odpowiedziałby, że czuł się okropnie, że zrobił wszystko, by pomóc tym wspaniałym młodym ludziom adoptować inne, ale o wiele okropniejsza jest dla niego świadomość, że dziewczynkę porwano, jej los pozostaje nieznanym i w ogóle jak pan śmie zadawać mi takie pytania! Facet wyjdzie na pieprzonego tragicznego świętego!

Torkleson gwizdnął i mruknął:

— No, niech mnie diabli.

— I widzisz, Jack — zwrócił się do mnie Cody — teraz myślisz jak Moreland. Planujesz na dzień kroków naprzód.

* * *

Cody znał kanion, jego kształt i układ, bo kilka miesięcy temu to on zaplanował nalot na Coatesa, ale teraz skarżył się, że po ciemku i pod śniegiem wszystko wygląda inaczej. Kiedy oznajmił, że do przyczepy możemy dotrzeć wyłącznie piechotą, od tyłu, bo na kemping prowadzi tylko jedna droga, a nie chcemy przecież, żeby Coates zorientował się, że coś jest nie tak, rozległ się chór barwnie wyrażonych protestów.

Zaparkowaliśmy na poboczu zwirowej drogi, po drugiej stronie góry, i weszliśmy do lasu. Rozpoczęła się wspinaczka.

Zapadaliśmy się po kolana w lekkim śniegu, właściwie puchu. Nie było wiatru, na igłach sosen niemal dziesięciocentymetrowa warstwa śniegu wyglądała jak piana na kuflu piwa. Nie sposób było nie potrącić gałęzi, z których natychmiast sypało się nam za kołnierze. Wszyscy bez wyjątku mieliśmy na nogach wysokie zimowe buty. Promienie światła z czołówek, które założyliśmy na głowy, migąły tu i tam. Wywoływały halucynacje, więc w końcu tylko patrzyłem na ziemię kilka metrów przed sobą. Gliniarze ze SWAT mieli broń automatyczną z celownikami noktowizyjnymi, Morales i Sanders uzbroili się w myśliwskie strzelby, ja miałem w kieszeni dziadkowego colta.

Nim dotarliśmy na szczyt, zdążyłem spocić się jak ruda mysz, ale myśl o Angelinie, o Melissie, o Coatesie i Morelandzie dodawała mi sił. Przestałem wymiotować, dopiero kiedy całkowicie opróżniłem żołądek.

Stękaliśmy i klęliśmy, schodząc z przeciwległego zbocza ku kempingowi Desolation Canyon, a tymczasem niebo na wschodzie pojaśniało, nabierając szarozółtej barwy. Wątpiłem, czy zobaczymy słońce.

Wreszcie zrobiło się wystarczająco jasno, by zgasić czołówki. Cody zatrzymał nas i zgromadził wokół siebie. Z miejsca, w którym stałem, widziałem rozciągającą się poniżej wielką polaną: pusty kemping. Na stołach piknikowych leżały góry śniegu, obok widać było ruszty na stalowych słupkach. Na drodze dojazdowej z autostrady i drogach prowadzących z i do miejsc kempingowych widać było wyłącznie ślady mulaków. Nagie skalne ściany otaczające kemping ze wszystkich stron sprawiały, że w środku było ciemniej, niż powinno być o siódmej rano.

Staliśmy wśród drzew, oddychając ciężko, zaczerwienieniem i spoceniem po wspinaczce i zejściu po zboczu. Z naszych ust wydobywały się wielkie chmury pary. Padający śnieg miał przynajmniej tę dobrą stronę, że tłumiał dźwięki.

Cody pochylił się i wskazał przyczepę Coatesa. Stała wśród drzew prawie kilometr od nas, ledwo widzieliśmy jej dach. Było tak, jak słyszałem na sali sądowej: aluminiowy dach najeżony antenami, zarówno telewizyjnymi, jak i satelitarnego dostępu do Internetu.

Cody i Torkleson dyskutowali o sposobie podejścia. Uznali, że najlepiej będzie podzielić siły, dwaj policjanci ze SWAT mieli podejść z dwóch stron. Torkleson powiedział swoim ludziom, żeby zostali między drzewami tam, gdzie będą mieli czyste pole ostrzału. Cody przypomniał wszystkim, że przyczepa ma tylne drzwi.

Sanders i Morales zgodzili się pójść jeden z jedną parą policjantów, drugi z drugą. Torkleson, Cody, technik z kamerą wideo i ja mieliśmy zejść na wprost, między drzewami, kierując się na tył przyczepy. Następnie Torkleson miał znaleźć sobie stanowisko i stamtąd dowodzić akcją.

— Ściszcie radiostacje, wsadźcie słuchawki głęboko w uszy — rozkazał. — Pozostawajcie w stałym kontakcie. Raportujcie o wszystkim, co widzicie, musimy wiedzieć, gdzie jest i co robi w każdej chwili każdy z was. Wymiana ma nastąpić o dziewiątej. Za półtorej godziny.

— Półtorej godziny na zamrożenie na śmierć — burknął któryś z policjantów.

— Za półtorej godziny uratujemy małą dziewczynkę i załatwimy na zawsze trzy potwory w ludzkiej skórze — poprawił go Cody.

Przed sformowaniem zespołów policjanci sprawdzili broń i wyposażenie. Skorzystałem z okazji i podziękowałem każdemu z nich za okazaną chęć pomocy, uściskałem ich dłonie. Objąłem i przytuliłem Moralesa oraz Sandersa. Odpowiedzieli mi uściskiem.

— Cieszymy się, że możemy wziąć w tym udział — powiedział Sanders. — Trzeba naprawiać błędy.

— Wyciągniemy ją — obiecał Morales. Oczy mu płonęły.

* * *

Znaleźliśmy małą polanę jakieś sto pięćdziesiąt metrów od przyczepy Coatesa. Udeptaliśmy śnieg. Przynajmniej mieliśmy co robić i trochę się rozgrzaliśmy. Staliśmy na stromym zboczu wzgórza, ponad dachem przyczepy widzieliśmy park i drogę dojazdową. Między nami i przyczepą rosło kilka półtorametrowych jałowców, tworząc literę „U”, więc mieliśmy gdzie się ukryć. Co kilka minut Cody podnosił do oczu lornetkę, obserwował przyczepę i wypatrywał ruchu.

— Żałuję, że nie możemy po prostu zejść i przytknąć faceta — szepnął do mnie. — Ale musimy załatwić to w inny sposób. — Rozejrzał się, sprawdził, czy Torkleson jest wystarczająco daleko, by nie mógł nas usłyszeć. — Ty i ja jesteśmy ubabrani po szyję, Jack. Musieliśmy wziąć chłopaków, pozwolić im dokonać aresztowania, poprowadzić sprawę. Moje nazwisko nie może się w niej pojawić... i twoje też. Henkel załatwi ją jednym zeznaniem. Szkoda, że go postrzeliłeś.

— Ja też bardzo tego żałuję. Coś we mnie pękło.

— To się zdarza — powiedział Cody z uśmiechem. Zauważyłem szron na jego brwiach i trzydniowy zarost na policzkach.

* * *

O ósmej czterdzieści pięć na drodze dojazdowej do parku rozblęły światła reflektorów. Nie słyszałem, co mówią do Torklesona chłopcy ze SWAT, ale jego głos słyszałem wyraźnie.

— Tak, widzimy. Ktoś rozpoznaje samochód. Słuchał przez chwilę, skinął głową i spojrzał na nas.

— Żółty hummer H3.

— Samochód Garretta — potwierdziłem.

— No to zaczynamy — powiedział Cody.

* * *

Hummer jechał bardzo powoli, nie z powodu pokrywającego ziemię śniegu, lecz raczej ostrożności kierowcy. Wziąłem od Cody'ego lornetkę i próbowałem dostrzec, kto jest w środku. Przydymione szkło praktycznie to uniemożliwiało, ale miałem wrażenie, że widzę cienie dwóch głów.

— Ciągle nie potrafię zrozumieć Garretta — powiedziałem do Cody'ego. — O co mu chodzi? Co z nim jest nie tak?

— To psychopata. Może nigdy go nie zrozumiemy? Chłopak rozwalił matce głowę kamieniem, a jego tatuś spokojnie się temu przyglądał. Te geny nie mają prawa mieć przed sobą żadnej przyszłości. — Uświadomił sobie, co mówi. — Jack, nie miałem na myśli Angeliny. Na litość boską.

Pokręciłem głową.

— To nasza córka. Nie ma nic wspólnego z Garrettem.

Ale nie potrafiłem kłamać i udawać, że to, co powiedział, nie wstrząsnęło mną do głębi.

* * *

SUV Garretta zwolnił i zatrzymał się obok przyczepy. Był tak blisko, że usłyszałem zgrzyt zaciąganego hamulca ręcznego. Nadal nie widziałem, kto jest w środku. Silnik pracował, kierowca nie wyłączył świateł. Jeśli Coates był w przyczepie, musiał już wiedzieć, że goście przyjechali.

Otworzyły się drzwi od strony pasażera i w kabinie rozbłysło światło. Podniosłem lornetkę do oczu. Prowadził Garrett, ojciec siedział obok niego, a pomiędzy nimi, owinięta kocykiem, w foteliku na tylnym siedzeniu siedziała Angelina.

Serce podeszło mi do gardła.

— Pieprzyć to! Musimy ją ratować!

Cody położył mi na ramieniu ciężką dłoń w rękawicy.

— Jeszcze nie teraz, Jack. W tej chwili ciągle mogą wymyślić jakieś łgarstwo, przekonująco tłumaczące ich obecność tutaj. Pamiętaj, z kim mamy do czynienia. Z sędzią z powiązaniami i ze znanym pedofilem, któremu udało się uniknąć więzienia. Obaj wiedzą, jak grać systemem, by czerpać z tego korzyści. Poczekamy, aż będziemy ich mieli na widelcu.

Technik rozstawił statyw i spojrzał przez obiektyw kamery.

— Masz ich? — spytał Torkleson.

— Lepiej nie można.

Torkleson przekrzywił głowę. Słuchał informacji przekazywanej przez radio.

— Coates właśnie otworzył drzwi przyczepy — szepnął. Sędzia wysiadł z samochodu.

— Mierzą się wzrokiem.

Nie widzieliśmy Coatesa, ponieważ ciągle zasłaniała go przyczepa, ale mogłem śledzić jego ruchy, obserwując przez lornetkę oczy sędziego. Widziałem, jak wykonuje gest w stronę przyczepy, a potem wskazuje samochód.

Coatesa zobaczyliśmy dopiero, kiedy podszedł do hummera. Miał na sobie coś w rodzaju lekkiego jednoczęściowego kombinezonu, a na głowie futrzaną czapę. Pochylił się i zajrzał na tylne siedzenie. Widziałem, jak zaciera ręce, słyszałem, jak wykrzykuje coś radosnym, piskliwym, nieludzkim głosem. Głosem, który wywołał u mnie dreszcz grozy przebiegający wzdłuż kręgosłupa, sięgający podstawy czaszki. Wyciągnął ręce, ale Moreland zastąpił mu drogę.

— Zabijcie ich — wychrypiałem.

— Czekaj — znów powstrzymał mnie Cody. — Nadal nie robią nic złego.

Podniosłem głos:

— Człowieku, tam jest moja córka!

Torkleson patrzył przed siebie nieruchomym wzrokiem, koncentrując się na przekazywanych przez radio informacjach.

— Negocjują warunki wymiany — powiedział. — Sędzia nie chce przekazać dziecka, póki nie dostanie zdjęć i negatywów.

Widziałem, jak Moreland gwałtownie gestykułuje. Coates skrzyżował ramiona na piersi. Pokręcił głową. Robiło się coraz goręcej, słyszałem krzyki, ale nie mogłem rozróżnić poszczególnych słów.

W końcu Moreland krótko skinął głową na znak zgody, odwrócił się w stronę samochodu i powiedział coś do Garretta, nadal siedzącego za kierownicą. Garrett otworzył drzwi i wyskoczył na śnieg. Obszedł hummera, otworzył tylne drzwi. Pochylił się, by rozpiąć pasy.

— Nie dotykaj Angeliny, pierdolcu — syknąłem.

— Nie mogę uwierzyć, że ją przywieźli — szepnął Cody.

Garrett odpiął fotelik, rozłożył rączkę, podniósł go jedną ręką i postawił na śniegu między ojcem i Coatesem. Podniosłem lornetkę do oczu tak gwałtownie, że uderzyłem się nią w głowę. Przyglądałem się fotelikowi. Angelina przykryta była tym samym kocykiem, który przywiozła do nas do domu zastępczyni szeryfa. Nie widziałem jej buzi. Wyobrażałem sobie, jak łzy napływają do ciemnych oczu, jak wykrzywiają się jej usta, jak zaczyna płakać. Nie wie przecież, gdzie jest, co się dzieje...

— Uwaga, wymiana — ostrzegł Cody.

Coates sięgnął pod ubranie i wyjął kopertę. Przykucnął i wsunął ją w śnieg obok fotelika.

— Czekajcie! — Poczulem przyptyw paniki. — Coś tu jest nie tak! Ten fotelik... — Poczulem na sobie zdziwione spojrzenia Cody'ego i Torklesona. — Słuchajcie, pomagałem Angelinie wsiadać do samochodu i wysiadać z samochodu tyle razy, że wiem, iż już dawno wyrosła z takiego fotelika!

Przesunąłem lornetkę na Garretta. Wrócił do samochodu, oparł się o maskę i stał, obserwując starszych, pogardliwie uśmiechnięty, jakby bawiła go ich głupota i cała ta konieczność uzgadniania warunków.

Sędzia wziął kopertę. Rozdarł ją, przejrzał zawartość raz, potem drugi. Coates próbował wziąć fotelik, lecz Moreland powstrzymał go ostrym słowem. Po kilku minutach, najwyraźniej usatysfakcjonowany, skinął głową. Coates zrobił krok do przodu. Sędzia powiedział „nie”, poznałem to po ruchu warg.

Pochylił się i podniósł fotelik jedną ręką, a drugą otulił Angelinę kocem. Nagle, gwałtownie, niemal rzucił nim w wyciągającą rękę Coatesa, ciągle trzymając jedną rękę pod kocem. Plecy fotelika rozdarły się, a my usłyszeliśmy ostry trzask. Z tysiąca sosen rosnących na zboczach kanionu śnieg posypał się gęstą białą chmurą.

Coates upadł z rozłożonymi rękami. Torkleson wyrwał z uszu słuchawki i wrzasnął do mikrofonu:

— Który z was, skurwiele...!

— Nie ja! — odkrzyknął Morales. — I to chyba nie był żaden z nas!

Obaj z Codym wyskoczyliśmy z krzaków, w których kryliśmy się do tej pory. Biegliśmy w stronę przyczepy. Gałąź sosny uderzyła mnie w twarz, zerwała z głowy kask. Grzęźliśmy w śniegu, przewracaliśmy się, pędziliśmy w dół. Dostrzegłem dwóch policjantów. Wyłonili się zza drzew po prawej, krzyczeli głośno: „Stać!”.

Pędziłem przed siebie, upadałem, usta miałem pełne śniegu i sosnowych igieł, podrywałem się i biegłem dalej. Cody ciągle mnie wyprzedzał. W rękę trzymał broń.

Zewsząd dobiegały mnie krzyki.

Okrażyliśmy przyczepę. Gliniarze byli na miejscu przed nami, Morales i Sanders także. Ci dwaj ściskali w rękach myśliwskie strzelby. Hummer, sędzia i jego syn zostali otoczeni.

Moreland spojrział na policjantów. Uniósł fotelik i zasłonił się nim. Gdyby ktoś chciał do niego strzelić, musiałby najpierw przestrzelić fotelik. Nie sprawiał wrażenia ani przestraszonego, ani nawet szczególnie rozgniewanego. Kalkulował.

— Dzięki Bogu, że tu jesteście, panowie policjanci — powiedział głosem, którego używał, przemawiając w sądzie. — Ja i mój syn mamy pozwolenie, przyjechaliśmy tu, szukając ładnej choinki na święta, ale zabłądziliśmy i kiedy zorientowałem się, że spotkaliśmy Aubreya Coatesa... — Zobaczył nas, Cody'ego i mnie, wyłaniających się zza przyczepy, stracił wątek i przestał się idiotycznie usprawiedliwiać. Umilkł.

Wyciągnąłem z kieszeni colta i odciągnąłem kurek.

— Oddaj fotelik, bo zabiję cię tysiąc razy — wychrypiałem. Z wyrazu jego twarzy poznałem, że rozważa możliwość używania go nadal jak tarczy.

— Proszę odłożyć fotelik, rzucić broń i oddać negatywy, sędzio. — Cody był spokojny, pistolet trzymał swobodnie opuszczony wzdłuż nogi. — Mamy Wyatta Henkela. Śpiewa jak skowronek. Nagraliśmy całą wymianę. Załatwiliśmy cię, więc albo współpracujesz, albo giniesz.

— Być może nie zrozumiałeś, co powiedziałem. — Moreland patrzył gniewnie na mnie i na Cody'ego, przemawiał z przekonaniem urodzonego łgarza. — Przyjechaliśmy z synem ściąć choinkę...

Cody się roześmiał.

— Pan nic nie rozumie, sędzio. Wyłączyliśmy kamerę. Cokolwiek się teraz stanie, to będzie pańskie słowo przeciwko słowu ośmiu policjantów i ojca, któremu zabrał pan dziecko.

W tym momencie Coates jęknął i zaczął się rzucać na śniegu. Cody szybko się odwrócił.

— A to sukinsyn! Byłem pewny, że nie żyje.

Podniósł glocka i wystrzelił cztery razy niemal z przyłożenia. Coates znieruchomiał. Wszyscy znieruchomieliśmy, a on wyjął z kieszeni kurtki niczym się niewyróżniający rewolwer i rzucił go na trupa.

— Właśnie dlatego zawsze noszę przy sobie broń do rzucenia — powiedział do Morelanda.

Moreland spojrzął na Torklesona, który, ciężko dysząc, wybiegł właśnie zza przyczepy.

— Nie ma pan zamiaru go aresztować? — spytał. — Nie widzieliście, co zrobił?

Nie doczekał się odpowiedzi i po chwili odłożył na śnieg dymiący fotelik. Koc opadł, ukazując siedzącą w nim lalkę naturalnej wielkości i leżący w poprzek jej nóg duży rewolwer.

Cody wyprostował się i spojrzął mu w oczy.

— Kto następny? — spytał. — Ty czy... — popatrzył na Garretta — ...owoc twych lędźwi?

Kątem oka dostrzegłem, jak Garrett skacze w stronę ojca. Nim któryś z policjantów zdążył go zatrzymać, wymierzyłem i strzeliłem. Mierzyłem w pierś, ale trafiłem w brzuch. Garrett skulił się i padł, przyciskając ręce do żołądka.

— Stój, bo strzelam! — krzyknąłem.

— Kolejność ci się pomyliła — poprawił mnie Cody.

— Nie jestem gliniarzem.

Garrett patrzył na mnie płonącymi oczami, jego spojrzenie wręcz paliło.

— Hej, człowieku, przecież ty wcale jej nie chcesz — powiedział. — Ona jest jego, a przez niego moja. Brakuje jej tego, czego i mnie. Zobaczysz.

Strzeliłem mu w głowę. Upadł na wznak. Z rany trysnęła krew, wsiąkając w zaplamiony śnieg. W ten sposób, symbolicznie, przerwałem więź mogącą istnieć między Garrettem Morelandem a moją Angeli-
ną.

Torkleson wkroczył między sędziego i mnie.

— Pora kończyć, panowie — powiedział, wyjął mi colta z ręki i wsunął go do kieszeni kurtki. Z drugiej kieszeni wyjął niklowany półautomatyczny pistolet i rzucił go na ciało Garretta. Zwrócił się do sędziego: — Jaka szkoda. Taki obiecujący chłopiec. Mógł zostać wielkim gangsterem.

A potem spojrzął na swoich ludzi.

— Wszyscy widzieliśmy to samo, prawda, panowie? Coates i chłopak wyciągnęli broń. Zginęli. Czy tak zeznamy? Zgodnie?

Policjanci potwierdzili, jeden po drugim. Morales rozplakał się z radości i padł na kolana. Sanders podszedł i położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

— Przecież to nieprawda! — krzyknął sędzia. — Zabiłem znanego pedofila! W samoobronie! Widzieliście to na własne oczy.

— Ha! — Cody wziął pistolet leżący na siedzeniu hummera i wsadził go sobie za pasek. — Tak się zastanawiałem, gdzie zginął, i proszę. Tu jest.

Canon City, Kolorado Wtorek, 18 listopada, rok później

26

Udowodniono mi napad z bronią w rękę i postrzelenie Wyatta Henkela. Wyrok brzmiał: rok do trzech lat w więzieniu stanowym Kolorado, mieszczącym się, żeby było śmieszniej, w Canon City. Oryginalne oskarżenie, o przestępstwo drugiego stopnia, groziło wyrokiem osiem do dwudziestu czterech, ale prokurator okręgowy okazał się miłym człowiekiem i zgodził się na piąty stopień. Sędzia, także bardzo miły, przyjął to bez sprzeciwu. Po ogłoszeniu wyroku powiedziałem tylko: „Dziękuję, Wysoki Sądzie”, ale nie dlatego, że zmniejszono mi karę. Dziękowałem za to, że posłano mnie do więzienia za to, co zrobiłem, bo przecież zasłużyłem na karę i nie mógłbym żyć w zgodzie z sobą, gdybym jej nie poniósł. A także za to, że prokurator nie poznał najgorszych moich uczynków.

Sędzia obiecał, że osobiście napisze do komisji zwolnień warunkowych, prosząc o wcześniejsze zwolnienie, ale powinienem być przygotowany na odsiedzenie roku. Jak można się na coś takiego przygotować?

No i teraz noszę pomarańczowy kombinezon, buty bez sznurowadeł, a każda sztuka posiadanej przeze mnie odzieży ma wyszyte słowa: „Wydział Karny Stanu Kolorado”. WKSC.

Jedzenie jest znośne, za to widok za murami, kiedy mam szansę go oglądać, wspaniały. Moje Góry Skaliste są tam, gdzie zawsze były, chociaż to ich wersja z południowego Kolorado i szczytów nie przykrywa śnieg. Niemniej zawsze są ze mną, na zachodzie. To oprawa moich dni i nocy.

Ciągną się aż do Montany.

Jestem członkiem populacji więźniów. Strażnicy chronią mnie, bo jak prokurator okręgowy i sędzia są miłymi ludźmi. Ani razu nie poprosiłem ich o przysługę, a jednak wyświadczają mi przysługi. Mam celę dla siebie: łóżko, umywalka, toaleta, książki, laptop, na którym piszę te słowa. W bibliotece jest sporo książek. Opieka medyczna wydaje się w porządku. Utrzymuję dobre stosunki z resztą więźniów, choć się z nimi nie przyjaźnię. Tych naprawdę niebezpiecznych spotykam tylko podczas posiłków.

* * *

Owszem, widziałem Johna Morelanda. Dokładnie pięć razy. On też mnie widział, chociaż udawał, że nie widzi. Nosi biały kombinezon, co oznacza, że czeka na wykonanie kary śmierci. My wszyscy unikamy facetów w bieli, strażnicy ich od nas izolują.

Sędzia został skazany w procesie, który przynajmniej niektórzy z was z pewnością śledzili na kanale sądowym albo którymś z kanałów kablowych. Nie pomogły mu ani inwestycja w znane nazwiska, takie jak Bertram Ludik, ani pełne pasji i pozorowanej szczerości zeznanie, w którym twierdził, że jego syn i Coates zginęli podczas nieudolnie przeprowadzonego policyjnego nalotu na miejsce zamieszkania pedofila, w którego pobliżu znalazł się przypadkiem, bo tylko szukał odpowiedniej choinki. Sędziowie skazali go za mordstwo pierwszego stopnia, zamordowanie Dorrie. Cztery zdjęcia, które po raz pierwszy zobaczyłem we własnym salonie, należą do najbardziej rozpoznawalnych w Ameryce przez ludzi śledzących procesy sądowe. Tak przynajmniej słyszałem. Wydrukowano je nawet w „People”. Mimo zdjęć i zeznania Henkela John Moreland nigdy nie przyznał się ani do zabójstwa rodziców, ani żony. Powtarza, że wrobili go sprzedajni gliniarze. I że to on zabił Aubreya Coatesa, nie policja.

Podczas procesu biorący udział w wypadkach w Desolation Canyon policjanci zaprzeczali jego zeznaniu. Jeden po drugim opowiedzieli zupełnie inną historię. Dlaczego?

Otóż dlatego, że — wzorując się na samym sędzim — Cody myślał przyszłościowo. Wiedział, że w więziennej hierarchii najniższe miejsce zajmują ci, którzy winni są molestowania dzieci. Traktowani są nawet gorzej od donosicieli. Sezon polowań na nich nigdy się nie kończy. Nawet strażnicy odwracają wzrok. W tym przypadku więzień był sędzią, który pozwolił sobie na uniewinnienie pedofila. Moreland siedział w izolatce, czyli skrzydle Administracyjnej Segregacji, ADSEG. Mimo to, jak słyszałem, kilkakrotnie zaatakowano go, pobito, zgwałcono i pchnięto ostrym narzędziem. Zastanawiam się czasami, czy cieszy to ducha jego pierwszej żony. Może wiara Dorrie jest tak silna, że potrafi przebaczyć? Ja nie potrafię. Przez strażników przesłałem Morelandowi liścik:

Wychodzę za rok, a ty? Melissa przesyła wyrazy uszanowania.

Nie dostałem odpowiedzi.

* * *

W sprawie Kellie Moreland przeprowadzono dochodzenie, wskutek którego błyskawicznie uwolniono ją od oskarżenia o współudział w przestępstwach męża i złowrogiego pasierba. Zeznała, że kiedy w niedzielę John Moreland pojawił się z dziewięciomiesięcznym niemowlęciem i oznajmił, iż jest ono teraz członkiem rodziny, była wstrząśnięta i wściekła. Policji oznajmiła, że oskarżyła męża o sterowanie jej życiem i, cytując Butterfly McQueen* z *Przeminęło z wiatrem*, powiedziała: „Ja nie wiem nic o dzieciach”. Angelinę karmiła winogronami i grzankami. Cały czas płakała. Kiedy następnego dnia rankiem policja pojawiła się na jej progu w towarzystwie Melissy, otworzyła drzwi z małą na rękach i nie kryjąc radości, oddała dziecko matce.

* Butterfly McQueen — murzyńska aktorka najbardziej znana z roli służącej Scarlett O'Hary, Prissy, w *Przeminęło z wiatrem*.

* * *

Melissa i Angelina odwiedzają mnie co sobota. Angelinie buzia się nie zamyka. Jest piękna i ma talent do czarowania ludzi. Muszę przyznać, że ilekroć z nią jestem, szukam w niej śladów tego, o czym powiedział Garrett i co niechcący zasugerował Cody. Nigdy nie powiedziałem o tym Melissie i nigdy nie powiem. Jednak kiedy się z nią bawię, kiedy na nią patrzę, widzę tylko bystrą, kochającą, żywą małą dziewczynkę. Nie ma żadnych oznak, że Garrett mógł mieć rację. Żadnych.

Znów uwierzyłem w coś, w co w ciągu zaledwie trzech tygodni przestałem wierzyć. Na świecie są jeszcze dobrzy ludzie. Myślę o Codym, Brianie, Torklesonie, Sandersie, Moralesie, chłopakach ze SWAT, moich prawnikach, strażnikach, sędzim, który mnie skazał. Oni wszyscy mogli zachowywać się chłodno, obojętnie, a nawet okazywać okrucieństwo. Tak byłoby im najłatwiej. Sądzę, że brutalność przychodzi człowiekowi niejako naturalnie. Ale nie, wybrali dobro, choć ich zachowanie łatwo przyszłoby zakwestionować, przynajmniej w ścisłym rozumieniu prawa.

Nie jestem cyniczny. Uważam się za pragmatyka. Wiem, że każdy człowiek jest zdolny do wszystkiego i że dotyczy to także mnie. Zło i dobro oddziela cienka linia i ta linia przesuwana się w zależności od sytuacji. O tak, przesuwana bardzo widocznie. Przesunęła się i dla mnie, a jednak zdołałem ją przekroczyć. Nie raz, kilkakrotnie. Nauczyło mnie to, że kiedy już ją przekroczysz, złe uczynki popełniasz bez wysiłku, bo zmieniły się kryteria moralności, a skutki przestępstwa łatwo usprawiedliwić. Uruchamiasz proces bez wysiłku, a potem odsuwasz się na bok, mówiąc sobie: „Niech się dzieje, co chce”. Zrobiłem to. Bez wysiłku.

To dlatego tu jestem. To dlatego powinienem tu być.

I tego uczę moją córkę.

* * *

Melissa kieruje hotelem Adam's Mark. Ma mieszkanie własnościowe na samej granicy śródmieścia. Bez moich dochodów musieliśmy sprzedać dom. Twierdzi, że mieszkanie jest wspaniałe, że niczego więcej nie potrzebuje. Pokazała mi zdjęcia. Rzeczywiście, wygląda nieźle. Przeszkadza jej tylko to, że ja jestem tu i Angelina musi spędzać dzień w żłobku.

Oboje mamy swoich strażników.

* * *

Rodzice przyjechali na spotkanie ze mną aż z Montany. Kiedy weszli do sali widzeń, od razu zorientowałem się, że są cholernie zawstydzeni. Wstydzilem się wraz z nimi, bo wiedziałem, że procedury bezpieczeństwa musiały dać im się we znaki. Nie sądzę, by tata choć raz w życiu rozstał się ze swoim wieloczynnościowym nożem z kombinerkami, a mama musiała pewnie przyznać się, że nosi biustonosz z wkładką z drutu. Usiedli przy stole wśród innych więźniów i ich rodzin, trzymając się za ręce. Nigdy przedtem nie widziałem, jak to robią. Wpatrywałem się w ich ręce jak urzeczony, były takie szorstkie i powykręcane. Naprawdę spracowane, a przecież tu najtwardsi z najtwardszych mieli miękkie, gładkie dłonie. Tata zaczął od żartu. Powiedział, że skoro opuściłem rodzinny dom, to prędzej czy później musiałem skończyć w miejscu takim jak to, a on tylko na to czekał. Mama go za to skarciła, ale nie zaprzeczyła.

— To było strasznie miłe, kiedy nas odwiedziliście — powiedziała. — Mam nadzieję, że będziecie przyjeżdżali częściej.

— Na litość boską — nie wytrzymał tata — przecież on siedzi w więzieniu!

Mama się zaczerwieniła.

— Ale kiedyś wyjdzie.

Powiedziałem, że oczywiście, przyjedziemy. I że nie będą musieli długo czekać.

— No to świetnie — ucieszył się tata. — Trzeba naprawić ogrodzenie.

A mama powiedziała:

— Doskonale. Zrobię zapiekankę!

* * *

Cody wrócił do Montany. Jest detektywem policji w Helenie, a w wolnym czasie pomaga tacie na ranczo. Twierdzi, że jest szczęśliwy, i ja mu wierzę. Znalazł sobie dziewczynę, ich związek wydaje się trwały, obiecał nawet, że przyjadą razem do Kolorado, żebyśmy mogli ją poznać. Odwiedził mnie kilkakrotnie, kiedy jechał na południe spotkać się z synem Justinem. Namawia mnie, żebym po zwolnieniu też wrócił do Montany. Pomyśl wart rozważenia, choć w Montanie nie ma hoteli sieci Adam's Mark.

Oczywiście mam dużo wolnego czasu na rozmyślanie o tym, co się wydarzyło w ciągu tych trzech tygodni. Kiedy patrzy się wstecz, niektóre rzeczy łatwiej zrozumieć. Moje podejrzenia potwierdziłem w czasie którychś z odwiedzin Cody'ego.

— Tego dnia, kiedy z nim rozmawialiśmy... kiedy wróciłeś do jego domu... wcale nie powiedziałeś Jeterowi, że ma się wycofać, prawda?

Cody zawahał się, rozejrzał i zapalił papierosa pod znakiem surowo zakazującym palenia.

— Nie, nie powiedziałem — przyznał.

— Dlaczego wprowadziłeś nas w błąd?

— Musiałem. Oboje z Melissą nagle się wystraszyliście. Nie byłbyś w stanie pociągnąć za spust, bo ciągle miałaś skrupuły. Ja nie mam takich problemów. Wiedziałem, że potrzebujemy Jetera, żeby przycisnął tych ludzi i może uwolnił nas od Garretta. Więc kiedy wróciłem, spytałem uprzejmie, czy mogę skorzystać z toalety, a potem życzyłem mu szczęścia w Denver.

— To dlatego tak szybko znalazłeś się wtedy w Appaloosie?

Cody skinął głową.

— Czekałem dalej, przy ulicy. Żałowałem, że nie powstrzymałem cię jakoś przed pójściem za wujkiem, ale nie miałem pojęcia, że okażesz się aż tak głupi.

I puścił do mnie oko.

* * *

Aha, jest jeszcze jedna sprawa. Zdarzyła się rzecz zdumiewająca. Prawdziwy cud. Melissa jest w siódmym miesiącu ciąży. Dziecko poczęliśmy ostatniej nocy, którą spędziliśmy razem, tuż przed tym, jak poszedłem do więzienia. Ten jeden jedyny raz miałem w magazynku ostry nabój.

Kiedy wyjdę na wolność, będziemy mieli córkę i syna. Ciekawe, jaki on będzie, ten nasz syn. Nie mogę się doczekać chwili, kiedy zobaczę go na własne oczy. Wiemy już, jak go nazwiemy. Będzie miał wiele imion: Cody Brian Torkleson Sanders Morales McGuane.

Po wujkach.

TLR